J. I. Kraszewski

POWIEŚCI HISTORYCZNE

ZA SASÓW

DRUKARNIA M. ARCTA W WARSZAWIE, ORDYNACKA 3.

ZA SASÓW

(CZASY AUGUSTA II i AUGUSTA III)

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego

TOM I

WARSZAWA
NAKŁADEM I DRUKIEM M. ARCTA

1904

Дозволено Цензурою.
Варшава, 24 Ноября 1903 года.

I.

Wiek siedemnasty był na schyłku.

Polska po zgonie Jana III miała po długich zabiegach wybrać prawdopodobnie za następcę bohatera, — narzuconego jej przez Francyę kandydata do korony... Starania o to ciągnęły się prawie nieprzerwanie od przybycia Maryi Ludwiki do Polski. Francya obiecywała sobie wiele po tym sojuszu przeciwko Austryi, gdy niespodziewanie jako ubiegający się o tron wystąpił Fryderyk August, od kilku lat po Janie Jerzym IV, zmarłym bezpotomnie, Kurfirst saski, przyjaciel i sprzymierzeniec rakuskiej dynastyi.

Ciche, ale zręczne zabiegi, poparte złotem, umiejętne korzystanie z opieszałości i oddalenia Francyi, naostatek nawrócenie się Kurfirsta na katolicyzm, obiecujące stolicy Apostolskiej w przyszłości odzyskanie Saksonii, rozstrzygnęły o losach Rzeczypospolitej. Fryderyk August wybrany przez mniejszość, ale ruchliwą i czynną, miał się koronować w Krakowie.

W Saksonii i stolicy jej, Dreznie, półgębkiem tylko, cicho, z pewną trwogą i smutkiem mówiono o tym wypadku, który jednym zdawał się obiecywać wzrost potęgi i pomyślności kraju, dla drugich był groźbą prześladowania religijnego. Zdania i uczucia wielce były podzielone.

Reforma religijna miała czas zakorzenić się tu głęboko, przywiązanie do niej posunięte było aż do fanatyzmu; to też jak grom raziła wieść, że głowa

tego nowego kościoła, panujący,—zmienił wiarę, ogłosił się katolikiem i wkładając koronę polską na skronie, zapierał się kolebki, co go wykołysała.

Duchowieństwo ewangelickie przejęte było zgrozą i trwogą, gotując się do walki i stawania w obronie wolności sumienia.

Ode dworu wprawdzie płynęły zapewnienia uspakajające, zaręczano, że August miał uroczystym aktem zabezpieczyć swoim poddanym zachowanie ich wiary, opiekę dla niej. Sumienniejsi ludzie pojąć nie mogli ani lekkomyślności, z jaką Fryderyk August zmienił wiarę, ani obojętności, jaką dla nowej okazywał... Jawny ten frymark polityczny sumieniem wprawiał ich w osłupienie.

Gorliwsi ewangelicy spotykali się w ulicach, nawzajem badając oczyma, głośno jednak z niczem odzywać się nie śmiano, bo w Saksonii rezonowanie (resonieren) źle było widzianem i surowo wzbronionem. Tu wola panującego była jedynem prawem. Dwór i panowie, otaczający Kurfirsta, okazywali radość i cieszyli się zwycięztwem. Saska szlachta przewidywała zmianę stosunków, nieuchronne ofiary, naostatek poświęcenie jej interesom rozległego państwa nowego.

Cisza jakaś głucha, złowroga, ponura, ciężka, przygniatała Saksonię i jej stolicę, a na twarzach Kurfirsta i jej ulubieńców jaśniała radość z otrzymanego zwycięztwa.

Ktoby z dzisiejszego Drezna, a nawet z tego, czem ono było przed pół wiekiem, chciał wnosić o stanie stolicy tej w pierwszych latach panowania Augusta Silnego, omyliłby się wielce. Drezno ówczesne wcale do tego, czem się stać miało za jego czasów, podobnem nie było. To, co później stanowić miało główną jego ozdobę, nie istniało jeszcze.

Dzisiejsze miasto stare, naówczas jeszcze nowem się nazywało i choć w niem około zamku skupiało się życie, gród ten nowy dość ciasno murami był objęty. Przedmieścia tylko szeroko dosyć się

rozsiadały około niego. Znaczna część ich, szczególniej po nad Elbą, zamieszkana była jeszcze przez Wendów, pierwszych autochtonów i założycieli Drażdan.

W szczupłych dworkach, na sposób serbski budowanych, z podsieniami i rzeźbionemi słupkami, siedzieli tu rybacy, cieśle i rolnicy, uprawiający niezbyt żyzne grunta. Zamek przebudowywany i powiększony, dosyć rozległy, miał powierzchowność niezbyt wdzięczną; pojedyńcze tylko części jego, świeżo przyozdobione, wyglądały okazalej, a upodobanie w budownictwie i wystawności zapowiadało, że wkrótce naśladowca Ludwika XIV stworzy tu sobie odpowiadającą wytwornemu swemu smakowi rezydencyę.

Od zamku idąc ku rynkowi, Starym zwanemu, ulica, zwana Zamkową, chociaż na owe czasy była dość okazałą, bo ją przyozdabiały starsze, wytworniejsze, od czoła rzeźbami upiększone kamienice, — w istocie ciasną była, ciemną, niepozorną. Bliżej zamku i bramy, noszącej nazwę Jerzego, znaczniejsza część gmachów należała do Kurfirsta i mieściła w sobie osoby, do dworu i posług jego należące.

Dalej nieco, ku rynkowi, kamienice były własnością mieszczan tutejszych, posiadłościami, oddawna w ich rękach zostającemi. W znacznej części na dole zajmowały je sklepy, handle kupców, sposobem ówczesnym skromnie i bez żadnego starania o elegancyę urządzone.

Każde prawie z tych domostw nosiło u wnijścia znak jakiś, odróżniający je, po którem rozeznać się dawało. Najczęściej godła te służyły razem za rodzaj szyldów handlu, który się tu mieścił od lat dawnych. Były to okręty, dzwony, wagi, nożyce postrzygaczy, podkowy kowalów i liczne zwierzęta.

Nie dochodząc do rynku od zamku po lewej stronie, stał dosyć pokaźny dom Witków, nad którego bramą przed wieki wyrzeźbione były dwie ryby, chociaż dziś już nikt tu się rybołóstwem nie trudnił i oprócz śledzi, innych ryb tu dostać nie było można.

Na dole wcale obszerny sklep zajmował handel

towarów wszelkich, wielce urozmaicony, bo w nim i wyroby z żelaza, mosiądzu, cyny, szkła, i wytworniejsze zamorskie przyprawy do kuchni i wina rozmaite się znajdowały.

Oprócz tych ryb, zapomnianych na froncie, na żelaznym pręcie wisiało złocone niegdyś grono winne, znacznie już zakopcone i poczerniałe.

Stary Witke uchodził za niemca, ale wypadkiem jakimś upodobawszy sobie bardzo piękną, ubogą dziewczynę w Budziszynie, między serbami, ożenił się z nią i słowiańską krew wprowadził do domu, która tu nieznacznie wsiąkła.

Wiadomo powszechnie, że słowiańska ludność Saksonii jakimś cudem Opatrzności potrafiła przechować znamiona swej narodowości przez wieki. Zrazu uciskana i prześladowana, z postępem czasu wzgardzona tylko i wyśmiana, przetrwała do dziś dnia, kryjąc się niemal z sobą i wstydząc pochodzenia.

Powoli jednak co rok ubywało słowian, bo wielu ich najzupełniej się germanizowało. Istniały jeszcze prawa, choć zaniedbane, ograniczające swobodę tych nieszczęśliwych helotów; wyzwalano się z nich, przybierając na zewnątrz charakter niemiecki, przyswajając język, wyrzekając się obyczaju. Męczeństwo, którego te apostazye były skutkiem, ciche, zrezygnowane, milczące, bliżej nawet patrzącym na nie ledwie się dostrzedz dawało.

Co starosławiańskiego pozostawało, kryło się i przysłaniało, z obawy, aby wszelki objaw głośniejszy nie rozbudził nowego prześladowania, którego tradycye i pamięć się zachowywała.

Aż do początków dziewiętnastego wieku Drezdeńska ludność na przedmieściach, nad Elbą, była jeszcze przeważnie słowiańską. Napływ niemców później szybko ją zagłuszył, tak, że nabożeństwa po kościołach z kazaniami i pieśniami serbskiemi pozostały dziś jedyną przeszłości pamiątką.

Chodziły głuche wieści, że i Witkowie niegdyś z Wendów pochodzili, temu nawet przypisywali nie-

którzy, iż stary szukał sobie żony w Budziszynie. Ale raz przybywszy do Drezna, młoda serbka (imię jej było Marta), musiała stosując się do woli męża i dla stosunków z rodziną jego, zapomnieć starych swych ludowych pieśni, wyrzec się stroju i obyczaju.

Umiała ona i dawniej po niemiecku, a teraz zmuszona codzień się posługiwać tym językiem, przyswoiła go sobie tak, że tylko po małym akcencie poznać było można budziszyńską mieszczankę.

Szacunek dla męża sprawił, że jej pochodzenia nie wyrzucano, ani nawet poznać dawano, iż się go kto domyślał. Cicha, spokojna, pracowita, skromna, zawsze łagodnie uśmiechnięta i uprzejma, pani Witkowa łatwo sobie serca wszystkich pozyskiwała. Mąż, który w obejściu się z nią przy ludziach, męzką swą wyższość rad okazywał,—w domu, gdy pozostali sami, prawie jej był posłusznym i we wszystkiem do rady ją wzywał.

Małżeństwu temu Bóg dał jednego syna, którego matka kochała, pieściła, czuwała nad nim z niezmordowaną troskliwością. Żyła tylko nim i dla niego. A że i ojciec go kochał, chociaż się z czułością dla niego zdradzić nie chciał, utrzymując powagę ojcowską, młody Witke (na chrzcie Zacharyaszem mianowany), wychowanym został z większą starannością i kosztem, niż zwykle mieszczańskie dzieci. Natura go też wyposażyła zdolnościami i energią niepospolitą, a rodzice mieli prawo cieszyć się jedynakiem.

Ojciec przeznaczył go naturalnie na swego następcę, mającego po nim objąć handel, już przez niego powiększony a w przyszłości jeszcze się rozrosnąć obiecujący. Wychowanie całkiem domowe rozpoczęło się i skończyło bez szkoły. Na wszelkiego rodzaju nauczycielach nie zbywało młodemu Zacharyaszowi. Nauka przychodziła mu łatwo, chociaż szczególnego do niej nie objawiał upodobania. Czy to dziedzictwem krwi, czy wpływem wrażeń młodości, chłopak najżywiej, najchętniej zajmował się rzeczami praktycznemi, samem życiem i sprawami powszedniemi.

Z tu i owdzie rzuconych słów matka dorozumiewała się w nim ambicyi wielkiej, nie ograniczającej się tym stanem, do którego był zrodzony i przeznaczony, ale sięgającej w daleko wyższe sfery.

Nie wielkie oddalenie od zamku, stosunki kupieckie z dworem Kurfirsta, dla którego Witke dostarczał często różnego towaru, obeznały chłopca zawczasu z życiem i obyczajem dworskim; ciekawym był wszystkich tych historyjek, które tłómaczyły nagle podnoszenie się jednych, upadek drugich. Wiedział też bardzo dobrze, iż na saskim, jak innych dworach, ludzie najskromniejszego pochodzenia dobijali się najwyższych stopni.

Ojciec, chociaż go od dzieciństwa wtajemniczał i wdrażał do swojego zawodu, dawał mu przytem dosyć swobody, a że matka jej nie krępowała, miał więc Zacharek dosyć czasu, aby się do czynnego życia, obeznawaniem z niem, przygotować.

Słusznego wzrostu, pięknej postawy, blondyn, z wyrazistemi niebieskiemi oczyma, obdarzony wrodzonym wdziękiem twarzy i ruchów, Zacharek, równie jak matka, łatwo sobie serca wszystkich zdobywał. Lubiano go powszechnie.

W życiu, jakie prowadził za czasów ojca, miał tyle zajęcia, że się nie mógł nazwać próżniakiem, ale też nie był skrępowany zbytkiem pracy. Matka go oszczędzała, ojciec się posługiwał tylko do spraw ważniejszych, chcąc go z niemi oswoić. Posługi zresztą przy sklepie i domu było dosyć, a chłopak miał się kim, gdy chciał, wyręczyć. Młodość więc schodziła mu bardzo szczęśliwie i swobodnie, a wesoły jego humor świadczył, że mu na świecie dobrze było. Niezbyt pieszczony, miał jednakże wszystko, czego mógł żądać.

Myśli jego, pragnienia, wyżej wprawdzie sięgały ale tego, prócz matki, nikt się nie domyślał. Ojciec w perspektywie wskazywał mu tylko wzrost domu, rozszerzenie handlu i hurtowne spekulacye na większą

skalę. Nie pożądał więcej. Chłopakowi może to nie wystarczało, uśmiechał się, słuchając.

Stary Witke zamierzał otworzyć drugi sklep na starem mieście za Elbą, marzył też o pomniejszych handlach na prowincyi, co wszystko stopniowo, bez wysiłków przyjść miało, ale nic więcej.

Tymczasem odbyt w sklepie przy Zamkowej ulicy szedł doskonale. Znano starego Witke, jako bardzo sumiennego w mierze i wadze, dla mniej zamożnych wyrozumiałego; cisnęli się więc do sklepu ubodzy, a bogatsi chwalili dobór rzeczy i uprzejmość w usłudze. W Radzie miejskiej i w cechu swoim miał też głos znaczący i poważanie.

Zacharyasz liczył już sobie lat przeszło dwadzieścia, gdy nagle pomyślny ten stan rzeczy został zachwiany niespodziewaną śmiercią ojca.

Zdrów i silny, stary Witke jednego wieczora dostał uderzenia krwi do głowy, postradał mowę, męczył się dni kilka i pomimo starań nadwornego królewskiego lekarza, wkrótce życie zakończył.

Cios to był, jak uderzenie piorunu, straszny dla wdowy i syna, ale zostawił rodzinę z zabezpieczoną przyszłością. Wszystko po śmierci jego znalazło się w takim porządku z przewidywaniem wszelkich wypadków, iż nic nie pozostawało synowi i wdowie, tylko stosować się do jego wskazówek.

Dalsze prowadzenie interesów pozostawiał synowi razem z matką, dalekiego zaś krewnego, kupca suknem, handlującego w Starym Rynku, Baura, raczej doradcą, niż opiekunem, naznaczył.

Baur, w równym wieku z nieboszczykiem, był człowiekiem łagodnego charakteru, powolnym i szanowanym powszechnie, mógł pomódz, a zaszkodzić w żaden sposób nie zdołał. Stawił się on zaraz w pomoc rodzinie, ale po rozmowie z panią Martą i jej synem uznał, że rady jego mało mogli potrzebować, tak byli dobrze przez nieboszczyka do prowadzenia handlu wdrożeni. Matka zresztą czuwała nad synem,

a Zacharyasz był chłopak stateczny. Na środkach zaś do handlu nie zbywało.

Zacharyasz więc wspólnie z matką, objął sklep, a że przywykły był i dawniej często ojca zastępować, trudności nie znalazł w niczem. Zostało wszystko w dawnym porządku; sercom tylko brakło poczciwego starego ojca, którego cień i wspomnienie zdawały się nad rodziną ulatywać.

Matka modliła się i płakała, a Zacharyasz, zmuszony teraz wchodzić w szczegóły, rozpatrywać się w pozostałości, w papierach, regestrach i notatkach, powoli zaczął tworzyć plany i zamierzał otworzyć sobie szersze pole czynności. Miał wiele ambicyi, którą wprzódy hamował w sobie; teraz, uzyskawszy zupełną swobodę, dał jej brać nad sobą górę.

Matka, jak się dorozumieć łatwo, nie sprzeciwiała mu się w niczem. Radziła oględność, przypominała nieboszczyka, ale zgadzała się na wszystko, czego ukochany syn mógł zapragnąć

Zacharkowi rozmarzonemu zaczynało być coraz ciaśniej na Zamkowej ulicy.

Wieczorami, gdy po zamknięciu handlu przychodził na górę do pani matki. zasiadając z nią i starszym pomocnikiem do wieczerzy, wyrywały mu się rozmaite śmiałe pomysły; ale dopiero, gdy sam na sam z panią Martą pozostał, zwierzał się jej otwarcie z tego, co mu się po głowie snuło. Były to jakby marzenia, z których się ona uśmiechała, nie przywiązując do nich zbytniej wagi.

Jeszcze przed elekcyą Kurfirsta królem polskim, gdy się starania o koronę zasnuwały, do Fleminga przybywać zaczęli polacy, senatorowie świeccy i duchowni, pan Przebędowski, szwagier jego i ci, których ów dla saskiego kandydata potrafił pozyskać.

Pierwszy może raz spostrzeżono gęściej się przesuwające stroje, wschód przypominające, krzywe szable, wygolone głowy, zawiesiste wąsy sarmackie.

Ludzie w ulicach stawali, ciekawie się im przypatrując, a że mało kto z tych przybyszów mógł się

po niemiecku rozmówić, dodawać im musiano przewodników i tłumaczów. Inni z sobą przywozili izraelitów w długich czarnych żupanach i aksamitnych czapeczkach na głowie, którzy im łamaną niemczyzną służyli.

Im mocniej się utwierdzała wieść o tem, że Fryderyk August w Polsce panować będzie, a dwa te kraje pod jednem berłem połączone zostaną, — tem więcej Polska umysły wszystkich zajmowała.

Młody Witke, posłyszawszy w ulicy mówiących z sobą po polsku dworzan Przebędowskiego, z pomocą serbskiej macierzystej mowy, potrosze ich zrozumiał.

Mocno go to poruszyło, myśli dziwne przewinęły się po głowie. Krył się on z tem, jak wszyscy, którzy krew słowiańską mieli w sobie, że się do niej poczuwał. Winien to był matce, która w największej tajemnicy przed ojcem nauczyła go języka swoich dziadów i pradziadów. Miała to sobie za obowiązek, który w jej pojęciu równał się religijnym. Jak Boga przodków, tak ich mowy zapierać się nie godziło w jej przekonaniu. Zdawało się biednej matce, że dziecko nie byłoby jej dzieckiem, gdyby z niem tą mową nie mogła szeptać choć po cichu. Walczyła więc. Nie łatwo jej przyszło utaić to przed mężem, nauczyć dziecko zachowywać tajemnicę, ale spełniała to, co po niej wymagało sumienie. Zacharek mówił po serbsku.

Nawykły jednak uważać się za niemca, nie miał miłości dla swoich współbraci, uchodził za niemca czystej krwi, wstydził się biednego pochodzenia plemienia podbitego i niewolniczego. Tylko poszanowanie dla matki, chęć przypodobania się jej, skłaniały go de serbszczyzny.

Nikt też oprócz matki i jej krewnych, nie słyszał go nigdy mówiącego tym językiem, a przy ludziach matkę nawet zagadywał po niemiecku. Wieczorami do niej przychodził na te rozmowy; zasiadali naówczas ona przy kołowrotku, on oparty na stole

za kuflem piwa i gwarzyli. Starej jejmości sprawiało to rozkosz niewypowiedzianą, która z twarzy jej promieniała.

Dnia tego, gdy po raz pierwszy usłyszał polską mowę w ulicy, wieczorem z twarzą niezwykle wypogodzoną, wbiegł do matki, która na niego z podwieczorkiem oczekiwała.

Rozmowa, obyczajem powszednim, poczęła się od sprawozdania z zajęć codziennych i ważniejszych interesów, ale Zacharek roztargniony był, zamyślał się, ważył coś, zatapiał się w jakichś rachubach. Matka, znając go dobrze, zapytała w końcu.

— Co ty, biedaku, masz na głowie?

Chłopak niespokojnie potarł czoło.

— A! matusiu miła — odezwał się — niejedno mam na tej głupiej głowie, ale to, co mi się dziś uroiło, ...ja nie wiem, może o tem i mówić nie warto...!

Stara zbliżyła się do niego.

— A! a!—rzekła.—Tobie się nic uroić nie może; masz nadto rozumu, a niedarmo pewnie chodzisz tak zadumany.

Zacharyasz się uśmiechnął.

— W istocie miałem się wam z czemś zwierzyć—rzekł pocichu, siadając przy matce, na starej posagowej skrzyni malowanej, która stała pod oknem. Była to jedna z tych, które niegdyś stanowiły skromną wyprawę staruszki.

Pani matka wlepiła w niego oczy ciekawe.

— Wiecie, matusiu—począł,—że ta polska mowa, którą dziś słyszałem, tak jest do twojej (nie wyraził się naszej) podobna, że ja ją prawie wszystką rozumieć mogę. Otóż przychodzi mi myśl, że z tegoby skorzystać można. Otworzy się dla naszego handlu Polska: co krok będzie potrzeba pośredników, aby sasi polaków a polacy sasów rozumieli. I w Warszawie i w Dreznie ludzi dwujęzycznych zabraknie. Gdybym się ja polskiego nauczył dobrze, co mi przyjdzie z łatwością, mógłbym łatwo być polakiem w War-

szawie, albo wedle potrzeby,—na przemiany! Co wy na to?

Oczy mu się śmiały tym pomysłem szczęśliwym; pomilczawszy chwilę, gdy matka mu nie przerywała, ciągnął dalej:

— Sam nawet najjaśniejszy król Kurfirst nasz bez zaufanych pośredników się nie obejdzie. Handel nasz na tem wiele by mógł skorzystać, i ja!...

Zawahał się dokończyć i wypowiedzieć całą myśl swoją; wstał, aby się przejść po pokoju. Niespokojne oczy matki poszły za nim.

— Widzisz, Zacharek — odezwała się Marta, — jak ci to na dobre wyszło, żem cię nauczyła naszej mowy. Nie wiedziałam, że ona jest do polskiej podobna.

Witke palce do ust przyłożył i szepnął.

— Nie trzeba się z tem zdradzać, aby i drudzy nie poszli tąż samą drogą.

Matka pocałowała go w głowę. Zacharek zadumał się znowu.

— Mam wielką ochotę—dodał—lepiej się w tem rozpatrzeć... no, i może potem polaczka jakiego sobie namówić, aby się od niego prędko nauczyć mówić doskonale po polsku. Mnie języki przychodzą łatwo, tylko nie z gramatyki, ale z rozmowy. Gdy się nauczę po polsku, da mi to pewną wyższość nad innymi niemcami. Któż wie? może się tym sposobem i do dworu dostanę?

Matce twarz się zachmurzyła jakąś troską; powolnie złożyła ręce.

— A! dziecko moje — szepnęła z obawą — do dworu nie życzyłabym ci się cisnąć. Lepiej daleko stać od niego. Wiele tam wprawdzie zyskać można, ale i wszystko utracić.

Zacharek z wyrazem odwagi potrząsnął głową.

— A! — zawołał — kto nic nie waży, ten nic niema!

— A czegóż my się tak znowu dobijać mamy!—

przerwała matka.—Alboż niedosyć nam zostawiło pracowite ojczysko?

Syn patrzył na nią milczący.

— Nie zbywa nam na niczem—odezwał się,— to pewna. Majątek się powiększa i rośnie, ale dla czegóżby nie korzystać z tego i nie starać się o więcej jeszcze? Bogactwo daje możność czynienia wiele dobrego; ja go dla siebie nie potrzebuję, ale chce mi się wyżej! wyżej!

Matka westchnęła.

— Wiem ja to dobrze — powoli mówić poczęła—że majątek nas, mieszczan pokornych, wyzwala i podnosi. Nie jednego bogatego uszlachcono, nie jeden urząd dostał na dworze, ale dziecko moje... policz no tych, co wyniósłszy się, z wysoka pospadali. Alboż nam nie dosyć tak, jak jest!

Zacharek ręką zamachnął tylko i zamilkł, ale po grze jego fizyognomii widać było, że natrętne myśli, co go oblegały, nie opuściły.

Dnia tego nie mówili już więcej o śmiałych marzeniach, matce jednak parę słów syna mocno w pamięci i w sercu utkwiło. Znała ona wytrwałą naturę Zacharka, który nie łatwo co przedsiębrał, ale raz co począwszy, nie rzucał chętnie.

Przez cały następny dzień chodziła pani Marta około swojego gospodarstwa, jak zwykle; ale głowę miała pełną tego, do czego syn się jej przyznał wczoraj. Ogarniała ją wielka obawa o przyszłość.

Nikt prawie naówczas w Saksonii nie znał bliżej Polski, jej stanu i obyczaju: jedni głosili kraj ten niezmiernie rozległym i bogatym, drudzy na wpół barbarzyńskim.

Dźwięki języka, podobnego do serbskiego, pociągały panią Martę ku polakom, czuła w nich braci, ale powierzchowność butna i zuchwała odstręczała. Stara wolała zresztą dla syna spokojny handel w domu na własnych śmieciskach, niż rzucanie się na śmiałe przedsiębiorstwa, których skutków przewidzieć było trudno.

Nazajutrz wieczorem zeszli się znowu. Zacharek przywitał matkę bardziej jeszcze ożywiony i wesoły, śmiało mu się młode lice.

W istocie raz powzięta myśl coraz się w nim dalej rozsnuwała. Utwierdzał się w przekonaniu, że Kurfirst w stosunkach z krajem potrzebować będzie ludzi nowych; czuł się usposobionym do tych posług. Niecierpliwy postarał się już nawet o starą książczynę, wydaną we Wrocławiu dla szlązaków, co się dla handlu z Polską, języka jej uczyć chcieli. Niebezpieczeństwa, o których wczoraj napomknęła matka, nie zraziły go wcale.

Przy wieczerzy Marta sama zagadała o tem znowu, rozpytując, co postanowił i czy co obmyślił nowego.

— Widziałeś się z kim?—zapytała.

— O, ja,—rzekł, śmiejąc się kupiec—gdy mam co na sercu, czasu nie tracę, trwam w tem, mateczko kochana, aby coś począć i to nieodkładając, bo kto inny ubiedz może. Chodziłem do domu Fleminga odnowić tam znajomości i zetknąć się z polakami, którzy z jego siostrą, czy też krewną, przybyli. Tak ci jest, jak przewidywałem: polacy chodzą jak błędni, potrzebują przystani i pośredników. My też nie wiemy, jak do nich przystąpić. Oni naszego Drezna, my nie znamy ich Warszawy, ani Krakowa. Pierwszy, co zawiąże bliższe stosunki i jaśniej się rozpatrzy w Polsce, może u Kurfirstwa pozyskać wzięcie i wpływy. Na co mają korzystać sami tylko *Hofjudeu?* (Żydzi dworu. Tak zwano naówczas bankierów izraelitów, którzy Kurfirstowi dostarczali pieniędzy).

— A—przerwała matka, — czyżbyś ty im miał zazdrościć? Po co nam cisnąć się do dworu? Szanuję ją i czczę naszego pana Kurfirsta, ale mi się zdaje, że nam, ludziom kupieckiego stanu, napierać się na zamek, do panów, niebezpieczna rzecz. Więcej się tam naraża, niż zyskuje. Myśmy do tego nie stworzeni. Ojciec twój, moje dziecko, pilnował handlu

swojego, dozierał miary i wagi, starał się o towar świeży, ale do dworu nie cisnął się, rad go nawet unikał. Po co ty masz nowych dróg szukać?

Staruszka zamilczała chwilę, wpatrując się w syna, który zadumany nic jej nie odpowiedział, a potem ciągnęła dalej.

— Ja się Kurfirsta obawiam; nie dlatego, że podkowy łamie, jak sucharki, srebrne kubki gniecie w garści, jak papier i koniom jednym zamachem łby ścina, ale że dla niego ludzie są narzędziami tylko, których nie pożałuje. Wolno mu pewnie więcej, niż innym, my w jego czynności wdawać się nie mamy prawa, ale młodość z niego jeszcze nie wykipiała.

Musiałeś słyszeć, co dokazuje po jarmarkach w Lipsku, na wodach, w Karolowych warach, ile za sobą miłośnic wozi, jak sypie pieniędzmi, przepych i zbytki lubi, jakiemi się ludźmi otacza, jak się z niemi obchodzi, gdy mu się sprzeciwią, lub naprzykrzą. Z tych, co niedawno bawili z nim na zamku, nie jeden dziś w Königsteinie. Po cóż dostatniemu, spokojnemu, jak ty człowiekowi, narażać się, gdy zysk niepewny, a stratę życia i swobody może kosztować?

Westchnęła pani Marta. Syn ją w ramię pocałował.

— Posłuchajcież mnie, matuś — odezwał się — bo ja też, choć nie sam, to przez ludzi znam Kurfirsta lepiej, niż ty z plotek miejskich. Prawda to, że płochy jest, krew w nim gorąca i niczego sobie nie odmawia, ale właśnie takiemu panu służyć pilno, kiedy mu się czego zachce, w dobrą godzinę najwięcej zarobić można.

— A na cóż ty służyć masz — przerwała matka — kiedy sam sobie panem, nikomu się nie kłaniając, być możesz?

— Na co?—podchwycił, śmiejąc się Zacharek.— Oto dla tego, że wielką ambicyę mam! Nie tylko zysku pragnę, ale wydobycia się z tego stanu mieszczańskiego, w którym my niewiele więcej znaczymy od prostego chłopa.

Matka posmutniała.

— Ojciec twój przecież, dziad i pradziad, mieszczanami i kupcami byli tylko i nie gorzej im z tem się wiodło—poczęła łagodnie.—Z ogniem igrać niebezpiecznie. Gdzie wiele zarobić można, tam też stracić nawet życie. I ty to pewnie słyszałeś, co o Kurfirście mówią, że gdy mu się kto w najmniejszej rzeczy narazi, nie przebaczy mu i choć się dziś uśmiecha, jutro gotów zamknąć lub sprzątnąć. Młody, gorący, krew w nim gra. Straszny on jest... o! straszny.

Zacharek słuchał, ale nie przestraszony wcale, uśmiechał się.

— Wszystko ja to wiem—rzekł,—ale rozumny człowiek silniejszemu od siebie się nie naraża, służy mu... właśnie około takiego pana, który gorące fantazye ma, najłacniej się czegoś dorobić.

— Zresztą — dodał — bądźcie matuś spokojni... nie pomacawszy dobrze gruntu, kroku jednego nie postawię. Tymczasem to rzecz pewna, a niczem nie grożąca, że między nami, a polakami potrzeba jakiegoś łącznika, pośredników. Ja się na takiego chcę koniecznie przygotować. Znajdę, spodziewam się, polaka, który mnie języka uczyć będzie, choć rozmową i czytaniem. Pojadę potem zobaczyć Warszawę i Kraków, sprobuję, czyby tam gdzie sklepu otworzyć nie należało, a ze sklepu zrobić taką przystań, do którejby z obu stron przypływąno dla wymiany.

Mówił to Zacharek wesoło, energicznie, a tak pewien siebie, że ufającą mu matkę nie tylko uspokoił, ale ją niemal na swą stronę pozyskał.

— A, — rzekła w końcu, z pokorną rezygnacyą niewieścią—tyś mężczyzna! Znasz i wiesz lepiej, co czynić przystało. Czujesz się na siłach; ja ci się nie sprzeciwię pewnie. Proszę tylko, ostrożnym bądź, nie posuwaj się zbyt zuchwale.

Pomilczawszy nieco, mówiła dalej, głos zniżając.

— Wiesz o tem, że rodzice moi katolikami byli.

Ojciec twój też mi pozwolił zostać przy mojej wierze, bo ja się jej dla niego wyrzec nie mogłam. Chciał tylko, ażebyś ty wyznawał jego religię, a ja na to musiałam przystać. Wiesz, że ja sobie po cichu chodzę do naszej kapliczki, gdzie przy drzwiach zamkniętych ksiądz nam mszę odprawia, ty się modlisz w kościele Krzyża (Kreuz-Kirche). Nie mówimy nawet o tem nigdy. Kurfirst, zostając katolikiem, bo wszyscy powiadają, że nim już jest, przeszedł na moją wiarę; prawda i jabym się z tego cieszyć powinna... otóż ja ci powiem, że mnie się to płochością wydaje, bo religii, tak jak sukni, zmieniać się nie godzi.

Zacharek się zmarszczył nieco.

— E! e!—przerwał kwaśno—to jego rzecz! My go sądzić nie powinniśmy.

— Ja też go nie sądzę - dokończyła stara—tylko przestrzegam cię, że kto z Bogiem sobie tak lekko poczyna, cóż dopiero z ludźmi, gdy mu kto zawadzać będzie?

— A po cóż mu stawać na zawadzie?—odparł Zacharyasz. — Właśnie w tem cała sztuka, aby nie zawadą być, ale pomocą, bez którejby się obejść trudno.

Staruszka zamilkła. Po chwili dopiero rzuciła pytanie:

— Ale zkądże tobie ta ochota? Zkąd ci te myśli przyszły.

— Zkąd?—odparł wesoło Zacharek.—Z ciebie, matusiu! Gdybyś ty mnie po serbsku nie uczyła, a jam polskiego języka nie rozumiał, posłyszawszy go, nigdy bym pewnie nie zamarzył o tem. Twoja to więc sprawa! Umiejętność twojego języka ułatwia mi bardzo naukę polskiego, a gdy tym zawładnę, to bezemnie się nie obejdą, ho! ho!

Z pewną obawą, ale zarazem z uwielbieniem dla syna, matka słuchała i zjadała go oczyma.

Zacharek zbliżył się i pocałował ją w ramię.

— Matusiu—zakończył—bądź spokojną! A o tem

ani słowa nikomu! Ja bez rozwagi kroku nie stąpię, za to ci ręczę.

Przez parę dni potem pomiędzy matką a synem prawie już o tem mowy nie było. Pani Matka uważała, że Zacharek ciągle był bardzo czynny, kilka razy w ciągu dnia ze sklepu na miasto wychodził, zostawiając go starszemu pomocnikowi i dłużej tam bawił, niż zwykle.

Jednego wieczoru wreszcie do komórki przy sklepie, w której Zacharek zwykł był odpoczywać i poufałych swych gości zapraszać na kubek wina, przyprowadził z sobą nigdy tu jeszcze nie widywanego człowieka, którego powierzchowność i strój polaka zdradzały.

Starej Marcie, przed której oczyma się gość ten przesunął, często bardzo szczęśliwej w poznawaniu i ocenianiu ludzi, przybysz się nie podobał wcale.

Słusznego bardzo wzrostu, chudy i kościsty, z rękami i stopami olbrzymiemi, pomimo młodych lat — przygarbiony, z twarzą żółtą i długą, z głową śpiczastą, okrytą brunatnym, krótko postrzyżonym włosem, ubrany w suknię czarną, bez szabli u boku,—gość ten miał jakiś przestraszony wyraz twarzy. Niewielkie jego oczki ukradkiem biegały dokoła, starając się, aby ich nie pochwycono; w ustach krył się uśmiech dziwaczny, albo raczej wykrzywienie, którego wyrazu trudno było się domyśleć. Równie łatwo mogło się ono w wybuch gniewu, albo szyderstwa zamienić. Chociaż nie zdawał się mieć nad lat trzydzieści, nieznajomy miał czoło pofałdowane, policzki pokrajane fałdami grubemi. Z młodości niewiele mu już pozostawało.

Za wprowadzającym go do sklepu, a potem do komórki Zacharyaszem, szedł tak nieśmiało i ostrożnie, jak gdyby lękał się być spostrzeżonym, lub czuł, że się nie powinien tu znajdować.

Witke prowadził go, ożywiony wielce i wesoły. W komórce, posadziwszy go na krześle swem za stołem, Zacharyasz zawrócił do sklepu, aby kazać podać

wina i natychmiast, wydawszy rozkazy powrócił, przy gościu zasiadając na ławie.

Przybyły, nie tracąc czasu, z niezmierną ciekawością rozpatrywał się po kątach, jakby do najtajniejszych głębin ich chciał przeniknąć, najdrobniejszy przedmiot nie uszedł jego uwagi.

Rozmowa nie rozpoczęła się, aż gdy chłopak sklepowy w fartuszku, przyniósł na tacy drewnianej butelki z winem i kubki. Gospodarz zaraz je ponalewał i począł od potrącenia się z gościem.

— Zdrowie wasze i wszystkich panów polaków, miłych naszych przyjaciół i sprzymierzeńców — odezwał się wesoło.—No? jakże się wam u nas podoba?

Zacharyasz mówił po niemiecku, przybyły słuchał z uwagą natężoną, jakby mu nie bardzo łatwo było zrozumieć, a gdy przyszło do odpowiedzi, zrazu się zająknął, trwożnym wzrokiem obiegłszy komórkę.

— Jakżeby się podobać nie miało?—odparł powolnie, osobliwą niemczyzną, której każdego wyrazu zdawał się szukać z wysileniem i niemałą trudnością.— Dwór naszego przyszłego króla, a waszego Kurfirsta J. Mości, prawdziwie królewski, w mieście widać dostatek... wesoło wszędzie, zabawy ciągłe! Jakżeby się podobać nie miało?—powtórzył raz jeszcze.—Tu tylko żyć!

— A u was tam jak?—zapytał Zacharjasz.

— U nas—mówił polak—nie wiadomo jeszcze jak będzie, bo co król, to inaczej bywa. Tymczasem po bezkrólewiu hałaśliwem, mamy królów aż dwu.

Uśmiechnął się krzywo.

— Ale z francuza nie będzie nic — dodał po namyśle.

Witke ostrożnie nawrócił rozmowę na handel.

— Jawna to rzecz — odezwał się, — że teraz, gdy się Kurfirst utrzyma, pomiędzy naszą a waszą stolicą stosunki i handel ożywić się musi, czego dotąd nie bywało. My wam Szląsk zastąpimy. Z naszych panów wielu, pierwszy Fleming towarzyszyć

będzie pewnie Kurfirstowi do Krakowa i Warszawy. Zapotrzebują tego, do czego w domu nawykli; nie wszystko się może znajdzie. My więc, kupcy, musimy myśleć zawczasu, jak na to radzić, a przytem i zarobić na tem, bo wszelakiej pracy zarobek należy.

Gość głową tę argumentacją potwierdził, pilno z kubka sącząc wino, które widocznie mu smakowało.

— Bez języka—mówił dalej kupiec — człowiek, jak bez ręki, a tłumaczami się posługiwać nie bardzo wygodnie i nie zawsze bezpiecznie.

Gość, ciągle się zgadzając, pomrukiwał, a oczemi biegał dokoła i gdy chłopak o coś pana pytając, drzwi otworzył, wejrzenie aż w głąb sklepu sięgnęło.

— Jabym—rzekł Zacharyasz—pierwszy rad się waszej nauczył mowy. Mam po temu pomoc niejaką, bo sługi mając serbskie, z Łużyc, potrosze do podobnego języka nawykłem.

Słuchacz zdawał się mocno zdziwiony, jak gdyby po raz pierwszy się o tej mowie serbskiej w Saksonii dowiedział.

— Podobna do polskiej?—przerwał żywo, z ciekawością — zmiłujcież się, powiedzcie mi słów kilka.

Witke, jak gdyby się z tem wydać nie chciał, że serbski język doskonale posiadał, niby sobie coś począł przypominać i kilka słów, razem z ich znaczeniem niemieckiem wypowiedział.

W gościu okazało się wielkie zdumienie.

— Coś to, — odparł — na czeską mowę zarywa, ale w istocie bardzo do naszej podobna. Jeżeli z tym językiem jesteście oswojeni, pewnie wam łatwiej, niż innym niemcom, po polsku się przyjdzie nauczyć.

— Mam do tego wielką ochotę—dodał Witke — ale bez nauczyciela obejść się trudno.

Spojrzał mu w oczy. Spotkały się ich wejrzenia, gościowi coś pod powiekami błysnęło, zdradził się niemal z tem, że mu życzenie kupca, którego się domyślał, radość sprawiało.

— Długo tu myślicie pozostać? — spytał Zacharyasz.

— Ja? — ociągając się, wyjąkał polak, który zdawał się namyślać, jak ma skłamać.—Ja? Prawdziwie nie wiem. Pani Przebędowska wzięła mnie tu z sobą dla listów i dla dozoru nad swoim dworem; któż wie, jak długo ona tu zabawi? Ja zresztą związany nie jestem, bom sobie wymówił, gdyby mi się co lepszego trafiło.

Witke podumał.

— U pani Przebędowskiej, kondycyę mieć musicie dobrą—rzekł chłodno.

Gość znowu namyślał się z odpowiedzią; usta dziwniej jeszcze wykrzywił.

— Miejsce moje niezgorsze — rzekł — ale ono więcej na przyszłość obiecuje, niż mi teraz daje. Przebędowscy teraz pójdą daleko.

Zająknął się, oczy spuścił i zamilkł.

— Gdybyście tu dłużej pozostać mieli—wtrącił Zacharyasz ośmielony,—moglibyście może godzin parę codzień znaleźć dla mnie i być moim nauczycielem. Chcę się nauczyć polskiego języka dla handlu i to prędko. Darmo tej posługi naturalnie żądać nie chcę, a zapłacić mogę nawet dobrze, bo to mi się powróci.

Gość ochoczo skinął głową. Witke trzeci mu już kubek nalewał.

— Będę was tylko prosił — ciągnął dalej kupiec,—aby o tem ludzie nie wiedzieli, że się ja uczę po polsku.

— Mnie też chodzi o to, aby się Przebędowska nie dowiedziała, iż komuś więcej nad nią służę — zamruczał, popijając gość.

— A!—rozśmiał się Witke—nie ujmując Przebędowskim, teraz wy sobie łatwo znajdziecie miejsce, umiejąc po niemiecku, a Przebędowscy z tego znani, że jak Fleming, skąpi są.

Polak skinął potwierdzająco, ale ostrożny, mó-

wił nie wiele, może dla tego, że czuł w sobie wino, które mu głowę zawracało.

— Ja, ja—jąkał się, gdy kupiec zamilkł — nie sądzę, abym się na wieki klamki Przebędowskich trzymał. Człowiek musi o sobie pamiętać, bo drudzy o nim nie pomyślą. Ja jestem sierotą, panem sobie i sługą. Jako szlachcic ubogi nie miałem dla siebie drogi innej, tylko wdziać duchowną sukienkę.

To mówiąc, potrząsnął połami długiego swego czarnego okrycia, jakby mu ono ciążyło.

— Ale drzwi się jeszcze za mną nie zamknęły, mogę, gdy zechcę, na świat powrócić. Mam do wyboru skierować się, dokąd mi będzie wygodniej; szukam, rozmyślam, probuję. Tymczasem potrzebowali Przebędowscy amanuenta... przystałem do nich, aby coś zarobić... nie jestem związany, nie!

Witke postrzegł z mowy, że stare wytrawne wino działało.

— Płacą wam przecie? — odezwał się, mierząc go oczyma.

Gość rozśmiał się i ramionami poruszył.

— Płacę, płacą — począł mruczeć szydersko — jużci coś płacą! Dostanę podarek przy Nowym Roku, sprawiają mi suknie, czasem pod dobry humor skąpego pana coś się niespodzianie oberwie. Mam czas się rozpatrzeć... mam okazyę rozsłuchać.

Splunął i kieliszek wysączywszy, odsunął go, okazując, że ma już dosyć. Czoło okryło mu się kroplami potu.

Witke patrzył i słuchał.

— Ja was — rzekł po namyśle — od Przebędowskich odmawiać nie mam zamiaru. Oni was w istocie popchnąć mogą, ale służba ta u nich, — to niewola i niczem się oprócz nadziei nie opłaca. Rozpatrujcie się.

— Tak ja też czynię — zacierając ręce ogromne, rzekł gość — dotąd nie miałem nic lepszego do wyboru.

Zamilkli oba; Zacharyasz chciał mu dolać jesz-

cze, oparł się stanowczo, zabierał się już odchodzić, gdy kupiec na stole się oparłszy, pocichu z nim o warunki nauczycielstwa układać się zaczął.

Pan Łukasz Przebor, bo tak się zwał pisarz pani Przebędowskiej, wyszedł ztąd w pół godziny potem, dobrze podchmielony, uśmiechając się do siebie i brzydko wykrzywiając usta.

— A to mu pilno, temu niemcowi!—mówił w duchu. — Chciwy na grosz, jak oni wszyscy! Poszedł nasz język w cenę! Ktoby się spodziewał, że pan Łukasz z tego skorzysta!

II.

Ranek był wczesny. Wczorajszego wieczoru Kurfirst, wielce zamyślony, przy zwykłej zabawie i kielichach przeciwko zwyczajowi swojemu nie okazywał wesołości i dowcipami współbiesiadników, ani winem nie dawał się wyrwać z zadumy. Po kilkakroć na bok się usuwał z ulubieńcem swym, pułkownikiem Flemingiem i baronem von Rose.

Wcześniej, niż zwykle, Fleming znajdował się nazajutrz w gabinecie, do sypialni Kurfirsta przyległym.

Jak wszystko, co otaczało przepych i wystawę lubiącego Fryderyka Augusta, gabinet ten także odznaczał się wytwornością sprzętów, obicia i ozdób, rzucających się w oczy. Na siedzeniach świeciło złoto, błyskało na obiciach, na gzemsach, a kobierce nawet, któremi posadzka była w części wysłaną, były przetykane złotemi nićmi.

W wygodnem, szerokiem krześle, na pół ubrany, siedział ręką na stole oparty nowo obrany król polski i co dziwnie odbijało od przepychu i elegancyi okalającej, palił fajkę krótką, puszczając gęste kłęby dymu.

Postać to była tak uderzająco pańska i piękna, że wszędzie na siebie oczy zwrócićby musiała. Średniego wzrostu, nadzwyczaj kształtnie zbudowany, z oczyma i włosami ciemnemi, z wdzięcznie się uśmiechającemi ustami, August był w Saksonii, gdzie na pięknych mężczyznach nie zbywało, najpiękniejszym może z nich wszystkich. Wprzód, nim los go obdarzył koroną, zgadzali się na to wszyscy, iż powierzchowność miał królewską.

Porównywano go już naówczas z Ludwikiem XIV, chociaż majestatyczna ta powierzchowność, powaga i urok, który ją łagodził, miały charakter sobie właściwy. Ci, co dłużej i poufalej z nim obcowali, wiedzieli, że one były w części znacznej owocem wielkiego panowania nad sobą, gdyż ten sam Kurfirst w kółku swych przyjaciół, po obficie spełnionych puharach, w których mało kto mu mógł dotrzymać, zmieniał się zupełnie i stawał się do szaleństwa wesołym i swobodnym biesiadnikiem. I wówczas jednak ktoby sobie z nim nadto pozwolił, znalazłby groźnego lwa, którego brwi ściągnięte trwogę wrażały.

Pospolicie jednak August lubił wesołość, nią się otaczał, rozmowie żartobliwy ton nadawał i nią szczęśliwie myśli swe poważniejsze osłaniał... Wyjaśnione jego, wspaniałe i miłe, niemal zalotnie uśmiechające się oblicze, było maską, pokrywającą starannie wyraz, jakiby twarz przybrać musiała, odbijając istotne swe wrażenia, ukrywane przed światem.

Ci, co go znali, wiedzieli, że i uprzejmość, i wesołość najczęściej były zwodniczemi objawiami. Okazywana czułość nabawiała niekiedy strachem, oznajmując nadciągającą burzę, a głośny śmiech zastępował wybuchy gniewu. Szeptali ci, co od młodu przy nim byli, iż nie znali fałszywszego nad niego człowieka, ani też chłodniejszego serca, pomimo słodyczy, z jaką August wszystkich witał i zapewnień łaski, któremi hojnie obdarzał.

Silny, jak lew, — jak ten król pustyni był niebezpiecznym, a gdy, co się niewiele razy w jego ży-

ciu trafiało, namiętności cugle puścił, dochodził do zapamiętałości bez granic.

Patrząc jednak na niego w zwykłych godzinach życia, niktby się nie mógł domyśleć po wyrazie twarzy pełnym słodyczy, w ciemnych oczach, przysłoniętych wdzięcznie powiekami, nadającemi mu wyraz tajemniczy,—lodowatej obojętności i przerażającego egoizmu. Wszystko w nim było wyrobione i sztuczne, lecz tak się już stała komedya naturą, że tylko wtajemniczeni w nią, świadomemi byli zamkniętego na siedem pieczęci wnętrza.

Stojący w tej chwili przed Kurfirstem pułkownik Fleming, właśnie do nich należał. Od nie bardzo dawna ze służby pruskiej przesadzony na dwór Augusta, szlachcic pomorski, synowiec feldmarszałka, pomiędzy poufałemi, między przyjaciołmi zajmował najpierwsze miejsce. Zazdrościli mu go wszyscy, nikt sobie tego wytłumaczyć nie umiał.

Małego wzrostu, ale dumnej, energicznej fizyognomii i postawy, uderzał jednym tylko: zuchwałym wyrazem, butą i gwałtownymi ruchy, a pogardliwem lekceważeniem, jakie wszystkim (rozumie się oprócz pana) okazywał. Względem niego nawet śmiałym był niekiedy i niepohamowanie szorstkim.

W stroju tem się tylko odznaczał, że powszechnie naówczas używanej peruki nosić nie chciał i włosy własne niedbale związane z tyłu znajdował dogodniejszemi, o modę się nie troszcząc. Nie szpeciło go to, gdyż twarz, choć ją wykrzywiał, rysy miała delikatne i dosyć piękne...

Po krótkim przywitaniu, Kurfirst się wpatrzył w przyjaciela i pomilczawszy, odezwał się:

— A zatem elekcya dokonana, miliony wysypane, początek zrobiony, Kurfirst będzie się królem nazywał,—ale co dalej? Nie sądzę, abyś ty widział w tem *metam laborum* i cel ostateczny?

Fleming gwałtownie rzucił ramionami.

— Spodziewam się, że mnie oto Wasza K. Mość

nie posądzasz—głosem rzeźkim odparł, kładąc nacisk na tytuł królewskiej mości.

— Dajże pokój tytułom, słyszysz — przerwał August — po dawnemu chcę cię mieć przyjacielem i bratem...

Skłonił się żywo i wyprostował Fleming.

— Sądzisz, że się utrzymamy przeciwko Francyi i Contistom?—zapytał Kurfirst.

— O tem nie ma co mówić — zamruczał pułkownik. — Postawiliśmy krok, cofać się nie pora... francuskie przysłowie mówi: wino utoczone, wypić je potrzeba.

Rozśmiał się August.

— Tego wina starczy nam na długo, mój Henryku — odezwał się z czułością i serdeczną poufałością—mówmy o tem; z tobą jednym otwarcie, całkiem szczerze mówić mogę... Koronę polską zdobyć było... pieniędzmi, przy twoich stosunkach, nie zbyt trudno, ale to celem dla mnie nie jest. Tytuł królewski—fraszka... korzyści z tego nabycia wątpliwe, idzie o to, ażeby Kurfirst saski .. dokazał tego, czego przyjaciele jego, Habsburgi, kilka wieków pracując, nie mogli doprowadzić do skutku. Chciało się im, jak Węgry i Czechy, pochłonąć rzeczpospolitą... jeszcze dziś oczy mają w nią wlepione... no, Fleming, a my?...

— My? My będziemy szczęśliwsi, spodziewam się, bo już trzymamy cugle w ręku — rzekł pułkownik—na siodło skoczyć będzie łatwo!

— I utrzymać się na niem i tego rumaka, czy znarowioną szkapę zaprowadzić do naszej stajni? — śmiejąc się, mówił Kurfirst.—Ale ty mnie rozumiesz!

— Odgaduję i rozumiem—wtrącił pułkownik.— Zadanie to godne was...

Kurfirstowi oczy zajaśniały.

— Wiesz, że Habsburgów szanuję, kocham i sprzyjam im—mówił dalej,—że dom cesarski w wielkiej mam estymie, ale trudno ustąpić mu tej gratki, kiedy się ona sama nastręcza. Mieli czas... próbo-

wali, nie potrafili nic... kolej na mnie... Rzeczpospolitą tę z jej niedorzecznemi wolnościami raz potrzeba z gruntu na państwo dziedziczne przerobić i uporządkować. Nieład tam panuje taki, jakiegom sobie mógł życzyć. Sądzę, że godzina wybiła i że mnie jest to przeznaczonem!

Fleming milczał, słuchając. Wtem Kurfirst się zaciął i wtrącił:

— Cóż ty na to?...

— Przeciwko temu nie mam nic—odparł zwolna przyjaciel, — ale to sobie z góry powiedzieć potrzeba, że cesarz, który nam przyjacielsko się obiecuje być pomocnym, że Kurfirst Brandeburski, nie licząc innych, pomagać do tego na pewno nie będą.

— O! nie—zawołał August, — bo sami na ten kąsek zęby ostrzyli, ale...

Spojrzeli w oczy sobie i rozśmieli się oba... August rękę wyciągnął.

— Ty mnie rozumiesz, mówmy więc o tem, mówmy! potrzebuję kogoś z kimbym wszystko to mógł roztrząsać. Ty znasz Polskę?

Twarz Fleminga, który do powolnego rozprawiania nie był nawykł i daleko więcej do czynu, niż do słowa czuł się stworzonym, a zwykle krótko i stanowczo, wypadkiem tylko swemi myślami się dzielił, zasępiła się nieco. August wymagał od niego tego właśnie, co mu najtrudniej przychodziło. Żywy temperament, usposobienie, nawyknienie czyniły mu długie roztrząsania trudnemi. Pojmował żywo i natychmiast zwykł był pieczętować nieodwołalnym wnioskiem, nakazująco rzucanym. August to znał, ale tym razem własne swe myśli chciał na kimś wypróbować, a nie miał nikogo zaufanego, oprócz Fleminga... Nikomu w świecie, oprócz niego, zwierzyćby się z nich, a nawet do nich przyznać nie ważył. Były to wielkie jego tajemnice, których w oczy zdradzać przedwcześnie się nie godziło.

Na zapytanie to:—Ty znasz Polskę?—Fleming niecierpliwem głowy poruszeniem odpowiedział.

— My ją wszyscy znamy—wybuchnął nagle — i nikt jej nie zna! Trzeba się w niej urodzić i żyć, aby ją rozumieć!

Rzucił ramionami Fleming.

— Przez moje familijne stosunki—rzekł—i przez moją kuzynkę, kasztelanową, nauczyłem się nieco znać polaków... Zdaje mi się, że z nimi wszystko zrobić można, ale umieć potrzeba...

Kurfirst milcząco ukazał na stole liczenie pieniędzy, dając do zrozumienia, iż niemi najskuteczniej było poczynać.

— To jest środek powszechny—odparł pułkownik—ale nie wszystkich w Polsce ująć można pieniędzmi. Wszędzie są ludzie przekupieni, ale tu oprócz złota,—trzeba rozumu i przebiegłości... grać, jak w szachy, z tymi panami i z ich swobodami, o które są tak zazdrośni.

Szydersko się uśmiechnął August na wzmiankę o swobodach; Fleming też pogardliwie się skrzywił.

— Wysypać miliony—rzekł cicho król,—ażeby mieć przyjemność nosić elekcyjną koronę, której po sobie przekazać nie można... gra nie warta świecy! Ty wiesz, że ja zamierzam na wschodzie Europy zbudować nowe, silne państwo, łącząc do mojej Saksonii dziedzicznej, nową dziedziczną Polskę.

Na wpół rozwinięta karta Europy leżała na stole; żywym ręki ruchem August ją rozłożył szeroko i palcem wskazał Flemingowi wschodnie jej granice, a potem zachodnią część, Szląsk i Saksonię. Patrząc na ogromną przestrzeń, krajami temi zajętą, uśmiechał się.

Fleming się zbliżył do stołu...

— W każdym razie całością nie potraficie zawładnąć — szepnął. — Brandeburskiego okupić będzie potrzeba.

— Królewskim tytułem—wtrącił August.

— Oh! oh! On się nim nie zaspokoi — mówił cicho, urywanemi słowy pułkownik — terytoryalne ustępstwa staną się koniecznością.

— Bodajby!—rzekł król.—Jest z czego choćby dwa królestwa wykroić.

— A car zażąda także uregulowania granic—dodał Fleming.

— Ja na to rachuję—potwierdził król—patrzaj, co pozostaje...

— Sądzicie, że cesarz przy tej zręczności nie sprobuje także coś zyskać?—odezwał się pułkownik.

— Cesarz?—rzekł August.—Nie może pożądać nic; jesteśmy z nim dobrze, sprzyja mi, a wie, że pomagając, zyskuje przeciwko Francyi sprzymierzeńca, który go ludźmi i werbunkiem posiłkować może...

— Na tem jeszcze nie koniec—mówił Fleming—od Turcyi potrzeba odzyskać Kamieniec, oderwać Mołdawię i Wołoszczyznę...

— Na dziś, dosyć!—śmiejąc się, wtrącił żywo król, rzucając mapę, która się zwinęła w trąbkę i stoczyła na ziemię. Fleming pośpieszył ją podnieść.

— Gdybym wierzył w przepowiednie—szepnął król—był to zły *omen!*

Oba ruszyli ramionami. Flemingowi widocznie przykrzyły się długie rozprawy, podniósł oczy ku panu swemu, który stał już zadumany.

— Wszystko to—dodał,—nie może się zdobyć jednym zamachem. Stopniami, powoli; trzeba naprzód dostać się we wnętrzności Polski i tu rozpocząć działanie. Mamy wojsko, będziemy mieć pieniądze.

— Czarne bractwo—szepnął król—ofiaruje nam je... na zastaw klejnotów... na jego też pomoc liczyć musimy...

Pułkownik zdawał się już nie chcieć słuchać, potrząsnął głową.

— Wszystko to ja tak dobrze wiem, jak wy—przerwał żywo—tymczasem co najbliższe, co najpilniejsze ułatwić trzeba... Wojsko nasze wprowadzić w granice Rzeczypospolitej, na żadne nie zważając hałasy, krzyki i pretensye... Koronacyę dopełnić.

— Conti przybędzie pewnie—odezwał się król—

odegnać go leży także w programie... Prymasa zjednać... Sobieskich się pozbyć... Warszawę zająć.

Mówiąc to coraz ciszej, August zadumał się głęboko, głos mu zamarł na ustach... Fleming patrzał na niego badająco.

— Zapisz sobie i to — rzekł, poufale pochylając się ku niemu,—aby nikt w plany te wtajemniczonym nie był... Dosyć jest je ogłosić, a nawet tylko pozwolić się dorozumiewać, aby one w niwecz poszły... Ja się ścian lękam i murów, aby nas nie podsłuchały i nie zdradziły... Gdy się raz rozniesie w Polsce, iż nowy król dąży do *absolutum dominium*, nie będziemy mieli spokoju... Posądzali o to wszystkich...

Nastąpiło milczenie; porozumienie było zupełne, nie mieli się z czem zwierzać sobie... August podał rękę przyjacielowi i krótko zakończył.

— My dwaj, nikt więcej!!

Pułkownik wtrącił żywo.

— Przybył biskup kujawski *incognito* dla porozumienia.

— Przywiózł co nowego?

— Nic, tylko swą gotowość na usługi — rzekł Fleming. — Tymczasem dosyć mu ją będzie opłacić zapewnieniem prymacyalnej godności, którą on sobie przywłaszczył.

— Bardzom mu rad — odezwał się król — ale powinien się starać powiększać kółko naszych w Polsce adherentów...

— Zdaje mi się, że kilku ma w kieszeni—odezwał się Fleming.

— Naturalnie, nie darmo — odparł August — przystaję na wszystkie warunki, ale trzeba się starać o pieniądze. Księża nam tak rychło ich nie obiecują, tymczasem Saksonia dostarczyć musi... kontrybucya... akcyza... rozumiesz...

— Akcyza, tak! Wymysł dobry—rzekł Fleming.

— Trzeba tylko znaleźć człowieka, któryby go, bądź co bądź, na nic nie zważając, wprowadził

w wykonanie — dodał król.—W Saksonii ja szlachty pytać się nie potrzebuję, rozkazuję, co chcę... Tak z czasem i w Polsce urządzić się musimy... Szlachtę zaś saską, jeżeliby rezonować chciała, potrzeba w urzędach zastąpić obcemi... System to najlepszy... Cudzoziemcy w usługach moich na nic się nie potrzebują oglądać. Kraj ich nie obchodzi... nie zależą od niego i nic mu nie są winni, — panujący dla nich wszystkiem...

Dały się słyszeć zamaszyste kroki pode drzwiami gabinetu i król umilkł nagle, palce kładąc na ustach. Fleming usunął się w głąb nieco... drzwi otworzyły się i wielce arystokratycznie, pańsko, a dumnie przedstawiający się mężczyzna, lat średnich, w progu niskim ukłonem przywitał Kurfirsta i obejrzawszy się lekkiem głowy skinieniem pułkownika.

Nowy ten przybysz, któremu się August uprzejmie, ale z pewnym przymusem uśmiechnął, z powierzchowności już kazał się domyślać wysokiego dygnitarza.. Był to w istocie nie tak dawno z Wiednia tu przywieziony namiestnik, książę Egon Fürstenberg.

Mężczyzna przystojny, ubrany bardzo starannie, miał wyraz twarzy zagadkowy, więcej usiłowania o pokazanie się pewnym siebie, niż siły dowodzący. Jakiś niepokój zdradzał się w ruchach i wyrazie twarzy.

Król pośpieszył go natychmiast zagadnąć o jakąś sprawę bieżącą, tyczącą miasta... a Fleming, porozumiawszy się z panem wejrzeniem, skłonił się i wysunął.

Wprost z zamku pułkownik, nie siadając do powozu, który nań czekał, udał się na Zamkową ulicę. Dom, do którego wszedł, należący do zabudowań, połączonych z pałacem Kurfirsta, zajmowanym był przez jednego z przybocznych pańskich ulubieńców i dworaków... ale stojąca kolasa, obłocona, na wpół rozpakowana, kazała się domyślać świeżo tu przybyłego gościa...

Na pierwszem piętrze spotkał Fleming służbę w polskich strojach... a pominąwszy pokój, pełny czeladzi, w salce, którą otworzył, prawie u progu spotkał już wychodzącego mężczyznę.

Strój ciemny, krojem sukni duchownych katolickich, tak jakoś dziwnie był przykrojony i włożony, iż nie można było z pewnością powiedzieć, czy noszący go do świeckiego, czy do duchownego należał stanu. Małego wzrostu, okrągławy, pulchny, z twarzą gładko wygoloną i pełną, z oczyma czarnemi, żywemi, z wypukłemi wargami i szeroką, tępo uciętą brodą, z pod której wyglądał już podbródek, z głową postrzyżoną, na którą dosyć nieumiejętnie wrzucona była raczej, niż włożona, peruka, witający Fleminga niewykwintną francuszczyzną, nieznajomy zdawał się mu rad bardzo .. Fleming też zdobył się na uśmiech dla niego...

Przywitawszy się z pewnym pośpiechem, widocznym zwłaszcza ze strony pulchnego pana, odedrzwi przeszli ku oknu, szepcząc i okazując sobie wzajem wielką uprzejmość.

Przybysz, który w ciągu rozmowy żywością nie ustępował Flemingowi, ciągle na sobie suknie niespokojnie poprawiał.

— Będę więc miał szczęście widzieć N. Pana?— spytał w końcu.

— Jak tylko pozbędzie się spraw bieżących, księże biskupie—odparł Fleming.—Nie chcecie, aby tu wiedziano o was?

— Nie potrzeba! Nie godzi się, aby o tem mówiono—żywo zawołał biskup.

Był to ów główny pomocnik nowego króla w Polsce, Dębski, biskup kujawski, o którym przed chwilą wspominał Fleming.

— Przybywam tu tylko — ciągnął dalej z pośpiechem, — aby się umówić o koronacyę, zapewnić, iż zgodni jesteśmy co do ludzi i obrotu naszej sprawy. Nie mogłem zwierzać się i posyłać nikogo, chciałem sam mówić z królem, wybiegłem więc z Krako-

wa tak, iż nie wiedzą, gdzie jestem... czas mam ograniczony, powracać muszę!

— My was nie wstrzymamy—odparł pułkownik—a król rad wam bardzo... Co słychać o Contim?

Dębski wydął usta i podniósł brwi.

— Wątpliwa to rzecz, czy przybędzie, a pewna, iż się opóźni. Tymczasem starać się będziemy jego adherentów pozyskać; Kurfirst przez dwór austryacki i szwagra powinien się zapewnić, iż mu Sobiescy bruździć nie będą.

— Conti daleko nam straszniejszy—dodał pułkownik.

— Ja nie wiem — wtrącił Dębski. — Sobiescy, gdyby byli zgodni, byliby niebezpieczniejszymi współzawodnikami. Pieniędzy gotowych mają poddostatkiem i wielu dawnych przyjaciół.

— Ale niechętnych jeszcze więcej—rzekł Fleming,—jeżeli mnie Przebędowscy nie zwodzą.

— Przedewszystkiem dosyć twardego Wielkopolskiego pozyskać należy—począł Dębski, — bo zamek nam przed nosem zawrze, do skarbu, w którym koronne insignia są złożone nie da przystąpić, a siły tu zażyć nie wypada.

— A klucze skarbca?—zapytał Fleming.

Za całą odpowiedź biskup się uśmiechnął. Zaczęli znowu bardzo żywo szeptać z sobą. Rozmowa musiała zadrasnąć o coś drażliwego, bo Fleming odezwał się gorąco:

— Potrzeba choć pozory legalności zachować we wszystkiem. Niestety, będziemy musieli w wielu rzeczach ograniczyć się niemi. Szlachta nieufna zakrzyczy wnet, że grozimy jej swobodom, a Kurfirst najusilniej pragnie uniknąć nawet podejrzenia.

— Do zamku, do skarbca, musimy uzyskać przystęp—mówił dalej — choćbyśmy inną koronę dostarczyć mogli. Mówią mi, że wedle form i zwyczajów dawnych, do ceremonii koronacyjnych należy pogrzeb zmarłego króla. Sobiescy nam zwłok nie dadzą! Cóż zrobimy?

— A! o tem myśleliśmy i radzili—odparł Dębski—trumna pusta będzie reprezentowała nieboszczyka... Daleko trudniej przyjdzie nam otworzyć sobie zamek, a koronacya nie może się gdzieindziej odbywać, jak na Wawelu.

Fleming wskazał, milcząc, liczenie pieniędzy, a biskup zrobił minę dwuznaczną.

— Wydaliśmy już tyle, że ich skąpić nie możemy—rzekł pułkownik.

W ciągu tej rozmowy niemiec dawał oznaki niecierpliwości, chciał żywo wyczerpać wszystko, co z Dębskim do narady było, ale biskup, choć równie żywego temperamentu, nawykłym był więcej się nad każdym rozwodzić przedmiotem.

Właśnie Fleming mówił o pieniądzach, gdy powolnym krokiem z wnętrza pokojów, zajętych przez biskupa, wszedł pochyło trzymający się, rysów wielce znaczących, oblicza pełnego myśli, starzec w sukni czarnej, przepasanej takimże pasem, z płaszczykiem na ramionach.

Był to niegdyś ulubiony Janowi III, znakomity uczony towarzystwa Jezusowego, O. Vota. W zakonie swoim niepospolite miał znaczenie i mimo bardzo już podeszłego wieku, zakon i Rzym w sprawie katolicyzmu i wprowadzenia na tron saskiego Kurfirsta nim się posługiwać musieli.

Fleming pozdrowił go zdaleka, grzeczniej, niż się po nim było można spodziewać, a biskup, mimo że był prostym zakonnikiem, zrobił mu pośpiesznie miejsce, okazując wielkie poszanowanie.

O. Vota wydawał się już gościem na ziemi. Niegdyś żywy, a niezmordowany w pracy, dziś zimny, wyżyty, zastygły, spokojny, spełniał już tylko obowiązki, gorąco się sprawami powszechnemi nie zajmując.

— Przychodzicie bardzo w porę — począł Fleming, zbliżając się.—Mowa jest o pieniądzach. Myśmy już skarb saski znacznie wyczerpali; nim akcyza

da nam coś znowu, zakon nam w Polsce u siebie kredyt zapewnił. Niezmiernie go potrzebujemy!

Vota słuchał zimno.

— Cośmy przyrzekli i co ojciec generał w Rzymie zapewnił baronowi von Rose, my to spełnimy święcie. Ale najdostojniejszy panie—dodał — pieniądze to nie są nasze, należą one do zakonu, a raczej do chrześcijaństwa całego, do kościoła, do missyi naszych. Dać ich więcej nie możemy bez pewnych gwarancyi i bezpieczeństwa.

— Myśmy ofiarowali klejnoty — odparł Fleming—to rzecz umówiona.

— Nasi prowincyonałowie będą mieć stosowne rozkazy, chciejcie o tem upewnić króla.

I pomilczawszy chwilę, O. Vota rzekł ciszej, nie patrząc na Fleminga.

— Elekcya i koronacya Kurfirsta leży nam wszystkim na sercu. Nie potrzebuję powtarzać, że w Polsce popierać będziemy króla wszelkiemi siłami. Nawzajem też spodziewamy się dotrzymania nam obietnic. Dotąd nabożeństwo katolickie w Dreznie, w Lipsku odbywa się potajemnie przy drzwiach zamkniętych; musimy się domagać otwarcia kaplic.

— Tylko nie dzwonów, bo tego tymczasem wam dać nie możemy—wtrącił pułkownik. – Król najmocniej polecił, aby katolicy uzyskali wszelkie możliwe swobody, ale musimy się też oglądać na naszych ewangelików, w których namiętności są poruszone. Mamy fanatyków... potrzeba czytać, co piszą, słuchać, co z kazalnic wygłaszają.

— Pierwsza chwila we wszystkiem odznacza się gorączką—szepnął O. Vota.

Fleming szukał już tylko pozoru dla skończenia rozmowy i wyjścia. Poszeptał coś z biskupem i pożegnawszy obu duchownych, przeprowadzony przez Dębskiego do drzwi, zniknął.

O. Vota sam z nim pozostał.

— Cóż mówicie o tem wszystkiem?—zawołał biskup, zwracając się ku niemu.—Jam się dla inte-

resów kościoła poświęcił i wdałem w grę niebezpieczną. Skorzysta na tem istotnie kościół... świat... stolica Apostolska...

Zakonnik się zadumał.

— Nie mam — rzekł — proroczego ducha. Kurfirst, szczerze powiedziawszy, nic obudza we mnie ufności żadnej. W nawrócenie nie wierzę. Żona z pewnością wyznania nie odmieni. Syna obiecano nam wychować, jako katolika, ale matka protestantka będzie pierwszą jego nauczycielką wiary, a potem... potem, Bóg dziełu swojemu dopomoże. W Saksonii, gdzie herezya zagnieździła się najsilniej, trudno ją przyjdzie wyplenić!

— Przykład monarchy—szepnął zmieszany nieco Dębski.—Młody, gorącej krwi, pan ten gorliwym w początkach się nie okaże, ale z czasem... wpływy, otoczenie całe, my wszyscy...

Uśmiechnął się O. Vota.

— Daj Boże—rzekł, — bo też ofiary dla pozyskania go są nie małe.

— Syna wychowamy my, nie matka — dodał Dębski.—Upomni się o niego Rzym. Musimy go wyrwać, wywieziemy go za granicę. Zakon wasz dostarczy nauczycieli.

Zakonnik słuchał dosyć obojętnie. Widać było, że nie wiele miał wiary we wszystkie te obietnice. Dębskiemu szło o to, aby O. Vocie króla inaczej odmalować... poczynał mówić coraz goręcej.

— Pierwszy krok zrobiony, wyrzekł się herezyi... to główna, jest w naszych rękach, teraz my działać powinniśmy.

— Życie zmienić powinien — szepnął Vota. — Zły przykład... a w Polsce takie jawnogrzesznictwo serc mu nie zjedna.

— Ojcze mój — począł Dębski, — spojrzyjcież, co się dzieje na dworze Ludwika, na oczach duchowieństwa katolickiego, z królem arcy-chrześcijańskim. Obyczaj ten Salomonowy ztamtąd z nad Sekwany przeszedł nad Elbę. Dla nas to nauka, że w wielu

razach trzeba być pobłażającym dla uniknięcia gorszego zła...

— Daj Boże, daj Boże—szepnął Vota.—Ja się tylko lękam, aby miasto tego, by się do was stosował, wasi panowie jego naśladować nie chcieli.

Dębski potrząsnął głową.

— Nasze kobiety stoją na straży domowych ognisk; nie lękajcie się, ojcze...

Vota zcicha łagodnie powtórzył swoje.

— Daj Boże, daj Boże!

Rozmowa ustała na chwilę; biskup, jak gdyby sobie coś przypomniał, zbliżył się do Voty i szeptać począł...

— *Ni fallor*, ojcze mój, pan to, jakiego nam było potrzeba. W Tarnowskich górach przyjmując nas, zdusił puhar srebrny w ręku... Ma siłę i nie w dłoni tylko, sądzę, że znajdzie się ona i w charakterze. Poskromi rozpasanie, stłumi rokosze, nie dopuści rebelii, ukróci zbytnią swobodę,—z oczów mu to patrzy. Nawykł zresztą do *absolutum dominium*, bo u siebie nie zna żadnego ograniczenia władzy.

Vota raz jeszcze szepnął:

— Daj Boże! Daj Boże! *Utinam!*

III.

Jak z wielkich przewrotów w naturze korzystają małe istoty i zjawiają się, instynktem wiedzione, na rumowiska, na posiewy, równie na zapach pól kwitnących, jak na woń zgorzeliska; — tak samo w świecie ludzi z wypadków dziejowych, doniosłości wielkiej, korzystają drobni i mali, niewidoczne efemerydy, znajdujące się wszędzie, gdzie się co wznosi lub upada.

W chwili, gdy Saksonia osłupiała i zdumiona

niepokoiła się, w wyborze swojego Kurfirsta widząc zagrożoną religię, gdy w Polsce przenikliwsze umysły lękały się w Auguście przyjaciela, ucznia i sprzymierzeńca Habsburgów, usiłujących ukrócić swobody ludów, ich berłu podległych, wszędzie, gdzie zapanowali, — w Dreznie przy Zamkowej ulicy pan Zacharyasz Witke i dworak Przebędowskich, Łukasz Przebor, myśląc tylko o sobie, obrachowywali jak z tej elekcyi i z nowego pana korzystać i zużytkować go potrafią.

Witkego ambicya popychała na śliską drogę, obudzającą w matce nie bez przyczyny trwogę wielką.

Łukasz, któregośmy w sklepie przy kubku poznali, w wyszarganej sukience kleryka, nie mniej też nad przyszłym losem swoim przemyśliwał, budując go na tem, że trafem stanął już jedną nogą niedaleko dworu króla... Jakim sposobem sierota ubogi, zamiast po prostu zapisać się gdzieś w regestr czeladzi i dworu jakiegoś Lubomirskiego lub Jabłonowskiego, bez żadnych środków, na własną rękę, przebojem przedsięwziął dobijać się krescytywy, to mógł tylko charakter jego i temperament tłumaczyć... Okoliczności składały się tak, że nic innego dotąd mu się nie nastręczyło.

Biedny, zostawiony sam sobie, ratował się instynktem jakimś... przypadkiem dorwał się abecadlnika, zaciekawił nim, pisać i czytać sam prawie nauczył; gwałtem potem wcisnął się do szkółki kościelnej, o suchym chlebie karmiąc się łaciną chciwie... Czyścił buty i zamiatał izby księdzu, który go na kleryka wykierował i wyrobił wstęp do seminaryum.

Wśród tego nowicyatu zwolna w głowie jego, po której się błąkały myśli, najdziwaczniej poplątane, jaśniej się coraz robić zaczynało. Była jakaś opatrzność nad sierotą, niewidoma ręka, która go popychała i posiłkowała...

Zgadywał, domyślał się, miał instynkta wieszcze, chociaż nikomu się nie zwierzał i nie radził nikogo; w tem przeżuwaniu myśli nabył przebiegłości i daru

odgadywania. Niepozorny, w wyszarzanej opończy klecha szedł z życiem w zapasy z tem przekonaniem, że sobie da rady... A spragniony był wszystkiego bez miary... Czyż nie czytał o tych arcybiskupach, co jak paupry chodzili po Krakowie z mieszkami i garnuszkiem?

Krok za krokiem tak stawiając, snuł wszystko z samego siebie. Zamknięty, milczący, posuwał się naprzód ostrożnie, a każda nowa zdobycz ośmielała go do nowych marzeń i nadziei. W seminaryum nabywszy tyle nauki, ile jej powszedni bieg życia naówczas wymagał od tych, co szczególnego zawodu nie obrali, Przebor coraz się więcej zaczął wahać, czy nie czas było zrzucić tę suknię, która mu ciężyła, czy ją zachować i poświęcić się tak zwanej służbie Bożej. Mógł się wprawdzie dobić najwyższych szczebli, ale wszystkie śluby i prywacje, jakich nowicjat wymagał, nie smakowały mu, bo lubił życie z wszystkiemi jego nasyceniami. Pozostał więc do czasu klerykiem, aby mieć byt zabezpieczony, ale rozpatrywał się tylko dlaczego, lub dla kogo sutanny się pozbędzie.

Przypadek nastręczył mu pomieszczenie tymczasowe przy dworze kasztelanowej, która jadąc do Drezna ze służbą polską, potrzebowala dla niej dozoru i tłómacza, dla siebie sekretarza i kopisty, umiejącego tajemnice zachować; Łukasz wydał jej się dosyć ograniczonym... tak, że się nie wahała dawać mu ważnych dokumentów do przepisywania. Przebor z tego korzystał, z chciwą ciekawością obeznawał się ze wszystkiem, podsłuchiwał, odgadywał i wtajemniczał w arkana polityczne. Niktby lepiej nie mógł i nie umiał wyzyskać położenia. Najmniejsza rzecz baczności jego nie uchodziła. Łapał słowa, kombinował, z ludzi, z twarzy, z najmniejszej oznaki ciągnąc wnioski. Im dłużej to trwało, tem był pewniejszym, że pobyt na dworze pani kasztelanowej będzie dla niego podstawą nowego bytu. Błyskawicą przebiegła mu myśl, że mógłby to, co wiedział, dobrze

spieniężyć Contiemu. Sumienie mu tego nie wzbraniało, zręczności tylko brakło.

Rozmowy z Witkem, chociaż ten się nie wygadywał otwarcie, wskazywały Przeborowi, że nadeszła chwila, w której pośrednicząc pomiędzy polakami a sasami, można było z obu stron korzystać. Dla czego on nie miał próbować docisnąć się do dworu, bodaj do króla! W jego przekonaniu Witke chciał zarabiać tylko jako kupiec, on zamierzał frymarczyć jako człowiek pióra... i polityk. Obu im, kupcowi i klerykowi paliły się głowy.

Witke, dostawszy nauczyciela, którego tak pragnął, następnego dnia wziął się do polskiego języka, nie tylko z zapałem, ale z szaloną zawziętością. Pamięć miał doskonałą, język serbski wybornie mu posługiwał, szło tylko o pochwycenie języka i form tej mowy, której główny etymologiczny materyał cały miał w głowie. Okazało się też przy pierwszych lekcyach, że pan Zacharyasz miał dar do języków, a łatwość w uczeniu się ich jest istotnie darem i nie wszyscy ją mają w równym stopniu.

Sam nie pozbawiony zdolności, Przebor zdumiewał się co chwila niepojętej dla niego bystrości umysłu swojego ucznia. Witke po pierwszych próbach tak był uszczęśliwiony, że kazawszy dać wina, nakarmił i spoił profesora. Nic go mocniej ująć nie mogło, bo choć u Przebędowskiej nieźle mu się działo, łakomy był i łasy, jak każdy biedak, co się głodził długo. Czego nie mógł zjeść — chował do kieszeni. Witke ujął go sobie tą papką tak, że podochociwszy, czułym się dla niego okazywał i choć za język się kąsał, zdradzał się potrosze... jeśli nie faktami, to temperamentem i charakterem. Kupiec go nawskroś przeniknął, przypatrując mu się, badając, ażali później posługiwać się nim nie będzie można.

— Zdradzi mnie przy pierwszej zręczności, to pewna—mówił w duchu,—jeżeli mu to korzyść jaką będzie obiecywało; ale w tem rozum, żeby go nie wtajemniczać, tylko do służby sposobić.

Być bardzo może, iż Przebor podobnie myślał o kupcu. Lekcye dla praktycznej wprawy w język upływały na gadaninie. Dotykano różnych przedmiotów. Witke począł się oswajać nie tylko z tą mową, ale z bytem i obyczajem Polski, który mu się objawił jako całkiem różny, jak niebo od ziemi do saskiego niepodobny.

Kupiec choć w handlu miał pod tę porę bardzo ważne sprawy, ani jednego dnia nie zaniedbywał. Część ich zdawał na matkę, mniej znaczące powierzał pomocnikowi, sam z całą gorącością marzeniem upojonego człowieka poświęcił się temu, co było najpilniejsze.

Były we Wrocławiu dla niemców jeszcze w XVI wieku wydawane rozmowy dla uczenia się polskiego języka, z tych skorzystał Przebor, aby sobie nauczanie ułatwić. Kleryk śmiał się i zdumiewał, bo Witke tchnąć mu nie dawał.

— Nie rozumiem—bąknął,—po co się tak męczycie? Znajdziesz tam w Krakowie bez liku niemców osiadłych od wieku a i w Warszawie ich niemało.

— Po co ja się męczę? — odparł Witke. — Bo się nikim posługiwać nie lubię. W mojej naturze jest, że sam wszystko chcę robić, a na nikogo się nie spuszczam.

Po kilku dniach nauczyciel i uczeń przyszli do pewnej poufałości. Przeborowi zdawało się, równie jak Zacharyaszowi, że znał na wylot towarzysza, chociaż kupiec a niemiec tyle mu siebie pokazywał, ile chciał, a nie zwierzał się wcale. Z nich dwu niemiec daleko więcej umiał ze znajomości korzystać.

Dziwiła go ta Polska, którą pierwszy raz poznawał. Przywileje, swobody szlachty, których saska wcale nie znała, wydawały się niemcowi niemal poczwarnemi. Nie mówił tego, ale sądził, że August Silny, z pomocą wojsk, które miał wprowadzić do Polski, nie zechce się poddać niewoli, jaką nań wkładały dawne ustawy Rzeczpospolitej. Nie mieściło mu

się w głowie, ażeby król, z całą władzą swoją, mógł być bezsilnym przeciwko sejmom i rokoszom.

Gdy Przebor mu opowiadał o zuchwałości i bucie szlacheckiej, o samowoli możnych, która Janowi III życie zatruwała, nie umiał sobie wytłumaczyć tego króla, zmuszonego być sługą i bezwładną lalką.

— To się nie może utrzymać—myślał w duchu, odgadując swojego pana—August się porozumie z Carem Moskiewskim, z Kurfirstem Brandeburskim i te niedorzeczne prawa i przywileje w kąt pójść muszą. Jeżeli tego nie uczyni—nie wart w istocie korony!

— U nas — mówił do Przebora, gdy ten mu o szlachectwie rozpowiadał —szlachta też wolną jest od wszelkich opłat, oprócz, że dostarcza koni, obowiązana jest iść w obronie kraju; ale praw nie dyktuje. Gdyby na zwołanem zgromadzeniu saski baron śmiał co burknąć Kurfirstowi, nie wydobyłby się z Königsteinu.

— My mamy przeciwko temu, nasze: *neminem captivabimus nisi jure victum*—zamruczał Łukasz—nie dalibyśmy się, ho! do!

Szło tedy wszystko doskonale w kamienicy pod Rybami, ale jeszcze nie tak szybko, jak Witke sobie życzył. Zapowiedział więc klerykowi, że otrzyma oprócz nagrody umówionej, podarek piękny, byle Witkego przygotował na koronacyę.

— Nie przyjdzie to trudno waszmości—rzekł, śmiejąc się, Łukasz—u nas różnych dialektów dosyć, na Szlązku mówią inaczej, inaczej na Mazurach, inaczej Kaszuby, opowiesz się z innej prowincyi i dosyć.

— A pewnie — odparł kupiec, — ale dla siebie języka chcę się dobrze wyuczyć.

— Trudniej daleko — rzekł Przebor — przyjdzie wam zrozumieć nasze życie i obyczaj, niż mowę. Tego się prędko nie nauczycie.

— Nie rozpaczam o tem — szepnął Witke — wszystkiego nauczyć się można! Masz waćpan dowody, że bardzo tępy nie jestem.

Codziennie wieczorem pani Marta oczekiwała

syna, ciekawa dowiedzieć się, jak mu tam szło z nauką. Cieszyła się razem i obawiała. Wiedziała, że na tej drodze, którą się puścił, już go powstrzymać nie potrafi. Spowiadał się przed nią chodzień i choć całej prawdy nie mówił, czuła, że nadziejami sięgał daleko. Lecz widząc ją zatrwożoną, uspakajał.

— Nie myślcie bo, matusiu moja, że ja mam ambicyę dobijania się urzędów, stanowisk, tytułów! To nie nasza rzecz. Chcę się stać potrzebnym i jak Lehman i Meier dorobić pieniędzy. Z nabitą kabzą dojdę potem, gdzie zapragnę. Ze sklepu wielkich rzeczy wyciągnąć nie można, a kto ma rozum i pieniądze, powinien z nich korzystać.

Matka wzdychała, ściskała syna i powtarzała ciągle jedno:

— Bądź ostrożnym, moje dziecko, bądź ostrożnym! U dworu, jak we młynie, kogo koło pochwyci, to mu kości potrzaska.

Zacharek śmiał się, nie miał najmniejszej obawy.

Kleryk, rozpatrzywszy się dłużej, a widząc przytem, że Przebędowska wcale go wyżej promować nie myślała, ułożył sobie, iż przyjąłby chętnie na początek lada jakie miejsce. Zaczął od tego, iż na swoją panią narzekał półgębkiem, oświadczył, że gotówby ją porzucić, ale kupiec, milcząc, przyjął to wyznanie, a z pomocy do otrzymania jakiejś posady, wymówił się tem, że stosunków niema.

— U nas się umieścić nie łatwo—rzekł—a wy u siebie w Polsce łatwiej co znajdziecie.

— Łatwiej?—rozśmiał się kleryk. — Widać, że nie znacie łacińskiego przysłowia: *nemo propheta in patria.*

— Nie zawsze się ono sprawdza — odparł kupiec.—Sprzykrzyła się wam pani Przebędowska, radzibyście ją porzucić, choć cierpliwością moglibyście dojść łatwo do czegoś. Przypuśćmy, że jabym was posłuchał i poszukał wam zajęcia, innego bym nie znalazł, chyba w handlu, a samiście mi mówili,

że szlachcicowi ani łokcia, ani wagi tknąć się nie godzi.

Westchnął i zamilkł kleryk.

Wistocie z całą chytrością i przebiegłością swoją, sam nie wiedział, co robić; brak mu było cierpliwości, rzucał się nieopatrznie. Niemiec miał wyższość nad nim wielką, nie licząc tego, że kleryk, gdy podpił, choć się pilnował, z tem i owem nieraz się wygadał niepotrzebnie.

Wiedział przez niego Zacharyasz, że z przepisywanych dla kasztelanowej papierów, okazywały się między Dreznem a Krakowem rozmaite układy, jeszcze do skutku nie doprowadzone, które koronacyę poprzedzać miały.

Oswojony już dostatecznie z językiem, nie mówiąc nic Przeborowi, Witke usnuł po cichu plan postępowania. Chciał się najrychlej dostać do Krakowa, rozpatrzeć tam zawczasu i tam sobie zjednać kogoś u boku króla. Dla upozorowania miał interesa handlowe. Z dnia na dzień jednak odkładając podróż swoją, z którą się nauczycielowi nie zwierzał przedwcześnie, rozglądał się i namyślał, czyby na dworze nie mógł otrzymać jakich zleceń do Krakowa, aby od nich rozpocząć nowy zawód, któremu matka była tak przeciwną.

Skład dworu Kurfirsta i stosunki jego ulubieńców dobrze były znane Witkemu. Wiedział, że do małych na pozór a ważnych robót, które ukrywane być musiały, począwszy od namawiania francuskich i włoskich aktorek dla Kurfirsta, aż do frymarków klejnotami, nabywanemi na kredyt, najdzielniej posługiwał i największe miał zaufanie włoch weroneńczyk, pospolicie przezwany Mazotinem, uszlachcony już pan Angelo Constantini.

Był on poprostu kamerdynerem Augusta, ale mu się i przebiegły Pflug, wielki podkomorzy i nawet Fürstenberg kłaniał i uśmiechał. Była to niewiadoma, nieukazująca się prawie nigdy potęga. Mazotina wśród tysiąca poznać było łatwo, jako wło-

cha, nietylko z czarnego, kruczego, bujnego włosa, oczów jak węgle, brwi zrosłych i najeżonych, ale z ruchów niespokojnych, z gestykulacyi nieustających, z nadzwyczajnej gibkości i zręczności, z jaką wszędzie się wciskał. Walczyć z nim na dworze nikt nie śmiał, nawet towarzysz jego, także w wielkich łaskach zostający, Hoffman, z którym o lepsze współzawodniczyli. Hoffman miał również zaufanie u Kurfirsta i był do tych samych posług, co Mazotin używany, ale nie miał jego śmiałości i przebiegłości.

Obawiali się wszyscy weroneńczyka, a każdy go sobie pragnął pozyskać. Wtajemniczony we wszystkie kaprysy miłosne nienasyconego Kurfirsta, który ciągle czegoś nowego zachciewał, Mazotin umiał *per fas ne fas* zawsze fantazyi jego zadość uczynić. Nieprzyjemne następstwa szalonych czasem wybryków brał potem na siebie i wykręcał się z nich bez szwanku.

Constantini, chociaż głowy nie miał tak tęgiej, jak sławny z niej podkomorzy Pflug, który dziesięć butelek wina mógł wypić, nie przestając być trzeźwym, lubił dobre wino, szczególniej hiszpańskie i włoskie. Witke już dawniej, gdy jeszcze żadnych nie miał widoków zdobywania sobie przyszłości, dla pozyskania protekcyi Mazotina sprowadził Lacrima Christi i parę gatunków wyszukanych win południowych, któremi go obdarzył. Ztąd się zawiązała znajomość między niemi, ale Constantini był zanadto zajętym, wmięszanym we wszystkie plątaniny dworskie, aby miał czas wiele z kupcem obcować i z nim się spotykać często.

Odnowić teraz te zaniedbane stosunki zdawało się Witkemu koniecznością.

Od elekcyi Kurfirsta na dworze panował ruch i zamęt podwojony. Brak pieniędzy, gwałtowna ich potrzeba, wyszukiwanie środków dla ściągnięcia ich, nabywanie klejnotów, których wielkiej ilości wymagały podarki dla pań i panów polskich,—zajmowały nietylko Lehmana i Mejera, tak zwanych Hofjuden, bankierów dworu, ale wszystko, co żyło.

Mazotin też był bardzo czynny i trudno teraz było docisnąć się do niego; zrana i wieczorem musiał stać w gotowości na usługi i z raportami w gabinecie, wśród dnia biegał, szpiegował i starał się czemś zasłużyć. Mazotin był najruchliwszym szpiegiem i pod swemi rozkazami miał całą bandę najrozmaitszego powołania ludzi, donoszących mu o wszystkiem i roznoszących to, co on chciał rozgłosić.

Maleńka ta, niedojrzana sprężyna poruszała ogromnemi siłami. Prorokowano już naówczas uszlachconemu włochowi, że z kamerdynera przejdzie do kancelaryi tajnej i na najwyższe posunie się szczeble, o czem on sam nie wątpił.

Jednego wieczoru Witke z latarką sam zszedł do swoich piwnic. Miał on tam w odgrodzonym kątku stare najdroższe wina, od których kluczów nikomu, oprócz matki, nie powierzał. Wydobył ztąd pół tuzina *fiasconów*, pyłem i pajęczyną ozdobnych, ułożył je ostrożnie w koszyku i okryte suknem kazał ku zamkowi nieść za sobą.

Mazotin zajmował tu niedaleko od sypialni Kurfirsta mieszkanko, w którem rzadko kiedy zastać go było można. Mówiono, uśmiechając się, że najczęściej nie nocował tu nawet, a gdzie się obracał, było tajemnicą.

Tym razem, cudem prawie, król się znajdował na polowaniu, a Constantini pozostał w Dreznie — i Witke, który od posługacza sam koszyk wziął do ręki, zapukawszy, został wpuszczonym.

Mazotin był właśnie zajętym przeglądem jakichś pudełek, pełnych rozmaitych klejnotów, ale poznawszy w progu kupca, który mu był zawsze sympatycznym, dostrzegłszy może koszyk w jego ręku, uśmiechnął się i po włosku go palcami od ust pozdrowił.

Szczęściem dla Zacharyasza byli sami. Witke skłonił się bardzo nizko i ułożył twarz wesołą.

— Ze względu — odezwał się, odrazu przystępując do rzeczy, — że pan podkomorzy (dał mu ten

tytuł niby omyłką, ale nie bez myśli) musi być teraz bardzo pracą znużonym, przynoszę tu coś, aby siły jego pokrzepić.

To mówiąc, ustawił na uboczu zakryty koszyk, ukazawszy tylko szyjkę butelki.

— He! he! he! — rozśmiał mu się włoch — pamiętałeś o mnie, Witke. Serdeczne dzięki, ale wino pod ten czas raczej mi siły odejmie, niż ich doda!

— O! o! — odparł kupiec — takie wino, jak to, które przynoszę, wie dokąd iść i nigdy do głowy nie uderza, ale do żołądka, aby mu sił dodało.

Mazotin zmęczony, wyjątkowo był jakoś skłonnym do rozmowy tem chętniej, że Witke po włosku się był nauczył i wcale nieźle z jego signorią mógł się rozmówić.

— No, kochany Zacharia — rzekł kamerdyner, żywo się poruszając—cóż tam słychać? co robisz?

— Ja?—rzekł szybko Witke—jak zwykle w sklepie siedzę i niewiele mam do czynienia, ale gotów bym czynnym być, gdyby się tylko znalazło zajęcie.

Constantini pomyślał trochę.

— Jakie?—zapytał.

— A! mam wielką ochotę służenia i przydania się na coś, teraz, gdy najjaśniejszy pan tyle i tak rozmaitych usług potrzebuje — odezwał się Witke — że gotów bym był na wszystkie zlecenia, gdyby mi je tylko powierzono.

— O! o! — przerwał Mazotin, przystępując do niego.—Seryo to mówisz? W istocie nam zaufanych ludzi, szczególniej do Polski potrzeba.

Witke podniósł głowę.

— A jak się to składa dobrze — odpowiedział z uśmiechem,—bo nawet przypadkiem po polsku nieźlem się nauczył.

— Jakim sposobem?—zawołał zaciekawiony widocznie Mazotin.

— A! a! nie miało się co robić— rzekł kupiec —

zdarzył się człowiek, a ja jestem każdego języka ciekawy.

Constantini się zamyślił. Położył rękę na ramieniu kupca.

— Hm! — rzekł — w istocie się to waszmości i nam przydać może. Nam pewnych ludzi potrzeba, którymby czasem i klejnoty, i pieniądze powierzyć można. Jesteś człowiekiem i majętnym, i uczciwym, na rozumie i zręczności ci nie zbywa!

Witke się skłonił, dziękując.

— Proszę mną rozporządzać — odezwał się prędko — do Krakowa, a choćby i do Warszawy pojadę chętnie. Mam wielką ochotę mój handel rozszerzyć. Każdemu się chce zarobku.

— Naturalnie, — odparł Constantini — jesteś młody, siły masz po temu, czemuż nie korzystać ze zręczności? Umiesz po polsku, a to niezmiernie dziś wiele znaczy, — dodał — tylko rozmyśleć się musisz, czy się tam masz posługiwać, czy taić ze swą umiejętnością, bo i jedno i drugie w danych okolicznościach przydać się może.

Witke rękę na piersiach położył.

— Niech wasza signoria wierzy mi — rzekł, — że służyć mogę z całą gorliwością, jakiej dziś potrzeba. Ostrożności wyuczył mię handel i od młodu z ludźmi obcowanie.

— Ja cię znam, nie masz mi co mówić o tem — wtrącił pośpiesznie Mazotin, podając mu rękę. Zakręcił się potem, przechodząc po pokoju, jakby mu na miejscu spokojnie trudno wytrwać było i zwrócił się żywo do Witkego.

— Mógłbym więc na was rachować — począł żywo, — gdybym kogo do Polski potrzebował i rzeczby pozostała pomiędzy nami w największej tajemnicy?

— A to się rozumie — zawołał Witke.

— Kurfirst nasz, gdybyście mu usłużyli, potrafiłby to wywdzięczyć — dodał Constantini.

— Ja i sam z siebie w Polsce zamierzałem

handel mój rozszerzyć i otworzyć sklep—rzekł Witke.—Nikt więc na mnie tam zwracać nie będzie uwagi, a kupcowi wszędzie przystęp łatwy i nikt go podejrzewać nie może...

Mazotinowi twarz się rozjaśniała...

— Pamiętaj tylko — szepnął, — ażeby do tego, co się może między nami ułożyć, nikt nie był przypuszczonym... Dopóki nasz pan nie owładnie nową koroną, potrzebujemy być oględni bardzo...

Witke uradowany wszystkie warunki przyjmował chętnie. Wiedział, jak z włochem postępować było potrzeba, ażeby go sobie zupełnie pozyskać, zakończył więc wyznaniem.

— Nie kryję się z tem, że szukam zarobku i chciałbym z okoliczności korzystać; pomożesz mi wasza signoria, samo z siebie, iż wdzięczność winien mu będę. Korzyści dla obu z tego porozumienia wyniknąć mogą, a w moim i waszym interesie jest, aby ono pozostało tajemnicą...

Mazotin z kolei przyjął to zapewnienie z oznakami wielkiego ukontentowania... Rozpoczęła się po cichu rozmowa już poufna o położeniu sprawy króla i stosunkach jego w Polsce, o Krakowie, gdzie naprzód rozpocząć się miało panowanie, o Warszawie, do której kupcowi już teraz dostać się było łatwo, choć ją stronnictwo Prymasa i Contiego zajmowało...

— Gotów jestem i do Warszawy — rzekł Witke — ale nie znając Polski, od Krakowa wolałbym rozpocząć, aby się z nią obyć... W Warszawie tymczasem pewnie Kurfirstowi Przebędowscy usłużą...

Na wspomnienie nazwiska tego, Mezotinowi usta się trochę skrzywiły.

— Tak — rzekł — sam pan kasztelan teraz już jest całkiem nasz, ale ja nie zapominam o tem, że on już służył innym, a i on i jego żona nie zawsze nam starczą i nie we wszystkiem usłużyć potrafią. Na nich ja się nie będę oglądać... Kasztelan zaś już

dziś znany powszechnie jako Kurfirstowi oddany, przez to samo nie wszędzie użytym być może...

Jeszcze z pół godziny potem nowi sprzymierzeńcy szeptali z sobą, po cichu się naradzając... i Witke pożegnał Mazotina, umawiając się z nim, aby ilekroć się z nim widzieć zapragnie, zażądał czegoś ze sklepu. Witke miał naówczas natychmiast przybiedz do niego.

Nie spodziewał się tak szczęśliwego obrotu, a nadewszystko tak łatwego osiągnięcia celu p. Zacharyasz i w najweselszem usposobieniu powrócił do domu...

Matka, która właśnie na dole się znajdowała, gdy wszedł, z lica mu wyczytała jakieś powodzenie i byłaby się niem uradowała, gdyby nie to, że teraz wszystko w niej budziło obawę. Wiedziała, domyślała się, do czego dążył syn...

Po południu tegoż dnia nadciągnął kwaśny Przebor... Jemu się jakoś nie powodziło; Witke wprowadzając go do komórki, w której zwykle przesiadywali, począł od oznajmienia, że po namyśle postanowił jaknajrychlej przedsięwziąć wycieczkę do Krakowa.

P. Łukaszowi wcale to na rękę nie było.

— No—przerwał chmurno—a ze mną naówczas co się stanie?

— Prosta rzecz—odparł Witke—ja dotrzymam wszystkiego, com przyrzekł... nie narazi to was na żadną stratę...!

— I rozstaniemy się tak?—bąknął, poruszając głową Przebor.—Nie użyjecie mnie do czego?

Witke poruszył ramionami.

— Do czegóż ja bym was mógł użyć?—odparł.—Jesteście związani z Przebędowskiemi, a ja oprócz handlowych — innych interesów nie mam. Do tych wy mi pomocnymi być nie możecie...

— Kto wie—dodał po namyśle kupiec—później może, gdybyśmy się spotkali...

P. Łukaszowi, który na frasunek już spory kie-

lich mocnego wina wychylił i opróżniony tak ustawił, że kupiec mu natychmiast drugi napełnić musiał, zebrało się na gorzkie żale.

— Z Przebędowską—począł—ja do niczego nie dojdę. Posługuje się mną, jak ścierką, którą potem rzuca do kąta. Widzi mi się, że mnie ma za zupełnie głupiego człeka, który do niczego lepszego się nie zdał, tylko do przepisywania... Nie zwierza mi się nigdy z niczem, a obchodzi pogardliwie... Wprawdzie zyskuję na tem, bo mi wierzy i nic nie tai, ale jaka z tego korzyść dla mnie?

— Cierpliwości i wytrwania waszmości brak— przerwał kupiec.

— Bo w sobie czuję siłę do trochę większych spraw, niż do tej mizernej roli amanuenta—westchnął Przebor.

— Radbym wam z duszy dopomódz — dodał Witke.—Ale jak? Nie widzę sposobu.

Przebor kułakiem w stół uderzył.

— Bądź co bądź — zamruczał — wybić się na wierzch potrzeba.

— A ja tego waszmość panu życzę jak najmocniej—rzekł Zacharyasz—ale razem i zimnej krwi, a wytrwałości, bo bez tego nic... Teraz zaś—dodał, dobywając z kieszeni sakwę dobrze naładowaną — składam wam dzięki najszczersze za naukę, z której się będę starał skorzystać... Oto jest mój dług, wedle umowy, a to przyjacielska ofiara za okazaną mi życzliwość.

Przeborowi oczy się zaśmiały do talarów na stole rozłożonych, których się nie spodziewał tak wiele... a nigdy ich w życiu tyle nie miał razem. Począł kupca za rękę ściskać i w ramię całować...

— Jakże nie mam na tych sknerów narzekać— zawołał.—Czyż oni mi kiedy za poświęcenie im całego czasu mojego choć połowę tego dali!... Do stołu mnie przypuszczają zaledwie, gdy niema gości i to na szarym końcu... Grosza się u nich nie doprosić, a posługują się niemal, jak stróżem...

W głowie mu się nieco zakręciło, począł śpiesznie chować pieniądze; nie nawykły do nich rachował, że mu one na bardzo długo wystarczyć były powinny. Pożegnali się serdecznie i podwójnie upojony p. Łukasz powrócił do pałacu Fleminga, którego część zajmowała Przebędowska, z postanowieniem niemal już stanowczem zerwania z chlebodawcami, aby szukać sobie czegoś korzystniejszego.

Odbiły się talary, które skrzętnie do kufra schował, na twarzy, w obejściu i minie. Pani Przebędowska, która wkrótce potem dla podyktowania listu pozwać go kazała, zdziwiła się, widząc wchodzącego z jakąś butą, której w nim nigdy nie widziała.

Nie wiedząc, czemu ją przypisać, nie pytając o przyczynę, siadła do korespondencyi. Łukasz zajął miejsce i przysposobił się do roboty.

Pani kasztelanowa przypadkiem nim rozpoczęła, z dumą i pańską flegmą uczyniła uwagę, aby się starał pisać wyraźnie i czytelnie.

— Hm! — odparł Przebor — czy ja jeszcze źle piszę?

Kasztelanowa spojrzała ostro.

— Czasem dosyć niedbale — rzekła — wiem, że to waszmość pana nie bawi, ale obowiązki należy spełniać sumiennie.

— A ja je spełniam niesumiennie? — zamruczał, pióro cisnąc, pan Łukasz i zarumienił się okrutnie!

Przebędowska, która go cierpliwym znała, popatrzyła wielkiemi oczyma.

— Co się waszmość panu stało?—zapytała.

— Nic — rzekł, powstając pan Łukasz — tylko ponieważ ja źle piszę i obowiązek mój spełniam niesumiennie, więc dziękuję za miejsce. Proszę mnie kazać obliczyć i koniec!

Przebędowska uszom swym wierzyć nie chciała, nie wiedząc, czy śmiać się, czy gniewać. Brwi jej się w końcu ściągnęły.

— Waćpan oszalałeś! — rzekła dumnie.—Myślisz

więc, że ja na to pozwolę, abyś mnie tu porzucił, gdy nie mam go kim zastąpić? Nie łudź się waszmość. Zatrzymywać go nie będę, gdy powrócim do domu, ale tu waćpana nie odpuszczę! Jesteśmy w Saksonii, jesteś moim oficyalistą, dosyć słowa mojemu bratu, aby wzięto was pod wartę i zaprowadzono na Nowy-Rynek. Miej więc rozum i nie buntuj się, bo to się źle skończyć może.

Przeborowi zrobiło się zimno, gorąco, siadł, nie mówiąc słowa już i nie odzywając się, przygotował pisać pod dyktandem pani, która bynajmniej nie poruszona, list natychmiast rozpoczęła.

Nawykła do biernego posłuszeństwa kasztelanowa wybryk ten amanuenta przypisała podchmieleniu. Rzecz się jej zdawała załatwioną. List stylizować ukończywszy, kazała go sobie podać, przeczytała i nic nie mówiąc, położyła na stole.

Przebor stał i czekał chwilę, a widząc, że pani Przebędowska nie myśli dyktować już dłużej, skłonił się niezgrabnie i wyszedł.

Wszystko zdawało się skończonem, ale nazajutrz rano kasztelanowa dowiedziała się, że nocą Przebor wyniósł się z pałacu Fleminga i znikł bez wieści. Wydano natychmiast rozkazy poszukiwania zbiega, tropiono go po całem mieście, ale bezskutecznie.

Żałowała może poniewczasie prędkości swej surowa pani, ale nie czuła się winną. W jej oczach nie darowanem było zuchwalstwem, że się jej taki biedak śmiał stawić ze swą dumą szlachecką i wymagać choćby najmniejszych względów!! Dostało się za niego całej Polsce i wszystkiej szlachcie!!

IV.

Jednego jesiennego wieczoru, gdy już sklep został zamknięty, a pani Marta niespokojna oczekiwała na syna, podśpiewując wesoło, wszedł do pokoju, w którym zawsze wieczerzali, Zacharyasz, i całując matkę w rękę, a dojrzawszy łzy na jej oczach, rzekł z wyrzutem i czułością.

— Matusiu kochana, widzę, że wy w dziecku swem ufności nie macie? Czy żeby Zacharek nie stracił tego, co jego ojciec zapracował, a wy nie popadli w ubóstwo?

Pani Marta przerwała mu gwałtownie.

— A! ty niewdzięczny! alboż mi tak idzie o bogactwo, którego ja najmniej potrzebuję? Chodzi mi o ciebie, skarbie mój jedyny! Ja każdego dnia, gdybyśmy stracili wszystko, z rozkoszą bym powróciła do mojego Budziszyna, bylebym ciebie z sobą miała. Czyż nie rozumiesz tego, że mi o nic, tylko o twoje chodzi bezpieczeństwo?

— A! matuś miła — jeszcze raz ręce jej całując, odparł Witke—zważ proszę, co mnie zagrażać może?

— Nie wiem—rzekła matka, wzdychając — ale się lękam. Jedziesz do Krakowa?

— Jadę, tak — zawołał Witke—należy się zawczasu rozpatrzeć. Kurfirst wkrótce ma tam przybyć także.

Matka bystro mu spojrzała w oczy.

— Nie mówisz mi wszystkiego szczerze — dodała — a ja odgadywać zmuszona, więcej się może tem trwożę, niżby należało. Mazotin parę razy przybiegał do ciebie, a kto wie, jak on zajęty i jaką gra tam rolę przy Kurfirście, ten musi się domyślać, że ty nie jedziesz do Krakowa wino sprzedawać.

Uśmiechnął się Zacharyasz.

— A! matusiu, nasi panowie—rzekł—Fleming, Pflug i inni, których August z sobą zabiera, niemców

przy sobie potrzebują. Nie będą też wiedzieli w pierwszej chwili, gdzie i jak stąpić... jedno nie zawadzi drugiemu, ja i swój interes zrobię i Kurfirstowi posłużyć mogę.

Smutnie potrząsać głową zaczęła matka.

— Widzisz, Zacharek—odezwała się — widzisz, tego właśnie się ja boję, tego wiązania z Mazotinami, Hoffmanem i dworem, gdy ty nie potrzebujesz nikogo. Raz im posłużywszy, dostajesz się w niewolę. Nie puszczą cię. Mniejsza o to, że swój handel zaniedbać możesz dla tych posług, ale się wszystkiego boję, co ze dworem i panem ma stosunki. Przyjaźń ze lwami i tygrysem niebezpieczna!...

Zacharyasz śmiał się.

— Uspokój-że się, matuś, uspokój—rzekł, poważniejąc — nie jestem i nie będę niczem związany, nie narzucam się nikomu, ale są rzeczy nieuniknione. Odmówić swojemu panu nie godzi się i równie bezpiecznem nie jest, jak mu się narzucać. Proszę więc, bądź matuś spokojną.

To mówiąc, siadł Zacharyasz do wieczerzy nadzwyczaj ożywiony i zwrócił rozmowę na to, co pozostawiał w domu. Wina potrzeba było ściągać, inne klarować, odebrać transport, który miał nadejść, wypłaty porobić w różnych terminach, co wszystko matka brała na siebie.

— Moje dziecko—odparła, wysłuchawszy go — a kiedyż ty z powrotem?

— Ha! ha! — zaśmiał się raźno Zacharek — to tylko Pan Bóg wiedzieć może! Ale to pewna, że tęsknić będę za wami i pośpieszać o ile zdołam.

— A!—dodała troskliwa matka, wzdychając znowu—nie jedną trwogą mnie nabawia ta twoja ruchliwość i zabiegi, mój Zacharku. Sam mi powiadałeś o polakach, że ludzie są zuchwali, do zwady i rąbania się bardzo skłonni...

— Z temi, moja kochana matuś—odparł żywo Zacharyasz,—którzy szable u boku noszą, ja się spo-

tykać nie będę. Kupcem jestem, spokojnym człowiekiem i laską, albo łokciem się podpieram.

Chcąc zwrócić z tego drażliwego przedmiotu, Witke wtrącił Przebora, o którym matce opowiadał.

— Ciekawym bardzo, co się z nim stało? Któż wie? spotkać się może przyjdzie w Krakowie, bo jeden Bóg wie, gdzie się obraca. Wyrwał się ztąd z moją pomocą nagle, a gdybym był wiedział, że go nazajutrz Fleming po całem mieście szukać będzie, nie byłbym tak skory do ułatwienia mu ucieczki. Lecz mała to rzecz i niewielką z niego pociechę musiała mieć Przebędowska...

— O, ja sobie wcale nie życzę, abyś się z nim spotkał — dodała Marta. — Temu człowiekowi źle z oczów patrzy.

— Ale to biedak, który żadnego nie ma znaczenia—przerwał kupiec.

— I tem niebezpieczniejszy—odparła Marta — bo chciwy; aby co pozyskać, gotów na największą podłość.

Zacharyasz potwierdził to poruszeniem głowy.

— Nie myślę się też z nim wdawać — rzekł krótko.

Następnego dnia jeszcze niezupełnie rozwidniało, gdy pan Zacharyasz był już na wozie wygodnym, z dwojgiem czeladzi i pożegnáwszy matkę, która nieznacznie krzyżem go świętym błogosławiła, puścił się w podróż odważnie i wesoło.

Na trakcie tym, który z Drezna prowadził do starej stolicy, chociaż nie było jeszcze oddziałów saskich, które tam ciągnąć miały, ani dworu i ekwipażów króla, poprzedzających go, ruch już panował większy daleko, niż zwykle. Po gospodach spotykał kupiec i od Drezna i do Drezna dążących panów, szlachtę, duchownych i wojskowych. Pomiędzy tymi wielu z twarzy znał Witke, ale im nie był znanym. Z nikim jednak nie zawiązując stosunków, jak mógł najpośpieszniej biegł do Krakowa, gdyż czasu potrze-

bował, aby tam jakąkolwiek zrobić znajomość, a wskazówek miał mało. Baur tylko dał mu list do kupczącego, jak on, suknami, mieszczanina krakowskiego, Hallera, człowieka zamożnego, który chociaż od kilku pokoleń całkiem się stał polakiem, pochodzenia swego niemieckiego się nie zapierał i języka nie zapomniał...

Zacharyasz czynny i baczny, z podróży nawet nie omieszkał korzystać, rozglądając się wśród spotykanych ludzi i nastawiając ucha na rozmowy. Z nich jedno tylko mógł wyciągnąć, że chociaż August wybranym był i przygotowywał się już przybyć i koronować, w Polsce jeszcze pewnego nie miał oparcia. Zdawało mu się nawet, że Kurfirst stał słabiej, niż sobie w Dreznie wyobrażano. Słyszał opowiadających, że w Krakowie samym stronników Contiego było wielu, a pałacyk w Łobzowie, który zamierzano zająć, nimby uroczysty wjazd mógł się odbyć do Krakowa, zajmował Franciszek Lubomirski, starosta olsztyński z oddziałem wojska. Wprawdzie garstkę tę jego łatwo mogli sasi ztąd wyparować, ale narażać się na walkę przed koronacyą nie było wcale politycznem.

Naostatek, śpiesząc wielce p. Zacharyasz, pominąwszy Łobzów, stanął na starym rynku w Krakowie, gdzie gdy mu gospody szukać przyszło, okazała się taka trudność dostania jej, że rad nie rad, z listem Baura musiał pójść do Sukiennic szukać Hallera.

Łatwo mu go było znaleźć. Średnich lat, poważny, pięknej powierzchowności kupiec krakowski, odebrawszy pismo przyjaciela drezdeńskiego, czynnie i gorąco zajął się poleconym sobie Witkem.

— Gospody szukać nie potrzebujecie wcale — rzekł uprzejmie, — dom mój stoi wam otworem. Wprawdzie znaczniejszą część jego musiałem ustąpić jednemu z panów naszych, ale izbę dla was znajdę zawsze, a stajnie i wozownie pomieszczą wóz wasz z końmi i ludźmi.

Ani chciał już Haller słyszeć o tem, aby się to inaczej ułożyć mogło. Rad był widocznie gościowi i dla tego, że się przez niego mógł coś więcej o Kurfirście dowiedzieć, o którym bardzo rozmaite biegały pogłoski. Jedni go tu przedstawiali jako dla wolności rzeczypospolitej bardzo niebezpiecznego człowieka, drudzy jako pożądanego do zaprowadzenia ładu i porządku pana.

Haller, co się łatwo z jego rozmowy dawało wyrozumieć, był wielce umiarkowanym, wyczekującym i ostrożnym, a że na swym stanowisku radcy miasta nie wiele mógł i nie chciał sięgać wysoko, zaspokajał się świadomością tych interesów, które go najbliżej obchodziły.

Od pierwszych słów wymienionych gość podobał się gospodarzowi i nawzajem. Zacharyasz mógł tu uczynić pierwszą próbę posługiwania się nauczonym językiem polskim. W podróży kilka razy szczęśliwie mu się z nim powiodło; z Hallerem też, tłumacząc się zawczasu, iż językiem nie włada wprawnie a radby nabyć łatwości mówienia nim, rozmowę prowadził po polsku. Szła mu ona lepiej nawet, niż się spodziewał, bo Haller na germanizmy nie zwracał uwagi.

Przybyły miał prawo cieszyć się z listu Baura, gdyż lepiej trafić, jak na starego Hallera, było trudno. Mieszczanin krakowski, wytrawny, spokojny, choć nie wielomówny, na wszystkie pytania mógł doskonale odpowiedzieć, bo nikt od niego lepiej o bieżących sprawach poinformowanym nie był. Na to, co Haller powiedział, śmiało się można było spuścić.

Rodzina kupca składała się z żony polki, niewiasty bardzo miłej i temperamentem do męża podobnej, z dorastającego już syna i dwu córeczek wyrostków. Handel, jak się łatwo mógł przekonać Zacharyasz, prowadzili Hallerowie na wielką skalę, mieli drugi sklep w Warszawie i dostatek czuć było w domu.

Jako powód przybycia do Krakowa, podał Witke chęć rozpatrzenia się w celach handlowych i zawiąza-

nia stosunków, które dwa kraje, pod jednem berłem mające się łączyć, zbliżyć do siebie musiały.

Gdy po obiedzie pozostali sami, Haller pierwszy ciekawie począł badać gościa o Kurfirsta, przy czem p. Zacharyasz dowiedział się, jak tu stała jego sprawa. Haller nie wyrokował o przyszłości.

— Wątpliwości niema — rzekł, — że większość i prawomocność przy elekcyi miał Conti, ale saski Kurfirst wasz przy swej mniejszości ma wiele korzyści i ułatwień, na jakich francuzowi zbywa. Wojsko jego stoi na granicy, garstka ludzi, co go okrzyknęła, ruchliwa jest, śmiała i czynna. Prymas, daj Boże, aby Contiemu do końca wiary strzymał, a kiedy i jak on przybędzie... rzecz wątpliwa... Gdy obrany królem August pośpieszy, koronacya raz będzie dokonaną,—trudno z nim przyjdzie walczyć francuzowi.

— Ale jakże tu rzeczy stoją w Krakowie? — zapytał Zacharyasz.—Łobzów, słyszę, zajmuje Lubomirski, niechętny Kurfirstowi. Zamek sam trzyma Wielopolski i otwierać go nam podobno nie życzy.

— Wszystko to prawda—szepnął Haller, — ale zmienić się to może... Myśmy już przed elekcyą i za panowania ostatniego króla, czyli raczej królowej, bo ona rządziła i gospodarowała, do frymarków i przekupstwa nawykli. Wiedzieć to przecież musicie, że sam pan kasztelan Przebędowski, nim się z Kurfirstem porozumiał, innego kandydata na tron popierał. Toż samo stać się może z innemi, których pieniędzmi i względami zyskać nie jest niepodobieństwem... Wojsko niepłatne, grosza też jest rządne, pójdzie z tym, co mu choć część zaległości wyliczy.

Haller zamilkł...

— Sprawa więc naszego pana źle nie stoi — rzekł Witke—cieszę się tem... Nie zaniedba on pewnie skorzystać z tego...

Od niechcenia zapytał krakowianin o królowę.

— Będzie-li ona towarzyszyć mężowi? Mówią, że w paktach przyrzeczono jest, że i ona przyjmie ka-

tolicką wiarę i dopiero złożywszy wyznanie jej, ma być koronowaną.

— O tych paktach ja tak dokładnie zawiadomiony nie jestem — odezwał się Witke — ale tegom pewny, że Kurfirstowa wyznania ewangielickiego na żaden sposób się nie wyrzecze, chociażby dla niego koronę miała utracić.

— Nie wiem więc, jak sobie z tem poradzą panowie — dodał Haller. — Nam wszakże bez królowej się obejść można, bo tron nie jest dziedziczny.

Zagadnął Zacharyasz o osobę prymasa, o którym bardzo rozmaicie mówiono, a Haller nieśmiało jakoś i wahając się dwuznaczną dał odpowiedź.

— Sprzyjał on Sobieskim — rzekł, — teraz popiera francuza... upiera się przy nim, bo go otacza partya Contiego, lecz za nic ręczyć nie można... Wpływ na niego wywiera rodzina, pan i pani Towiańska... i inni. Na mamonę też mówią obojętnym nie jest.

Skutkiem tej rozmowy dnia pierwszego było, że p. Zacharyasz wcale ducha i nadziei nie stracił, że tu sobie radę dać potrafi... Szło tylko o bardzo ostrożne zawiązanie stosunków...

Następnych dni zaczęły się nastręczać sposobności do tego. Po Krakowie, który teraz po długiem opuszczeniu stał się niemal małem miasteczkiem, każda pogłoska rozchodziła się szybko bardzo... Nie zjawił się nikt na tutejszym bruku, o kimby sobie natychmiast nie rozpowiadano. Przybycie więc Witkego nie przeszło niepostrzeżonem... Wszyscy ciekawi byli niezmiernie czegoś się więcej o przyszłym dowiedzieć królu. Drzwi się u Hallerów nie zamykały. Zacharyaszowi było to na rękę, gdyż miał zręczność jednać dla Kurfirsta i z tego, co słyszał, wywnioskować, co go tu czekało.

Pierwszym wnioskiem, któremu oprzeć się nie mógł, iż samowolny w swem państwie Kurfirst, nie nawykły szanować prawa, które sam dyktował, będzie tu miał do zwalczenia wiele trudności ze szlachtą, o swe przywileje zazdrosną.

W kilka dni po przybyciu sasa, zjawił się dawny znajomy Hallera, stary już stolnik Górski, który obyczajem dawnym u Hallera gospodą stanął.

Górski był wielce dla Witkego ciekawą postacią, z której o innych mógł wnosić. Wcielał on w sobie wszystkie właściwości szlachty polskiej i panów, bo stał pomiędzy jedną a drugimi. Zamożny tak, że z wielu magnatami mierzyć się mógł dostatkiem, pan stolnik ani pragnął, ani próbował wciskać się pomiędzy nich, choć ród i posiadłości obszerne zachcianki te by usprawiedliwiały. Pozostał szlachcicem, ani się dobijając urzędów, ani dworem nie otaczając licznym. Przyjmowano go pomiędzy senatorami z poszanowaniem, wśród szlachty jako pana brata, którym się ona poszczycić mogła.

Dom i obyczaj Górskich nie wiele miał nowego, stał przy starych tradycyach i prostotą, a nawet pewną umyślną, republikańską surowością się odznaczał. Stolnik był mężem nieposzlakowanej prawości i nie wdawał się w żadne frymarki z sumieniem. Sąd jego o sprawach Rzeczypospolitej był nieubłaganie ostrym i prawdomównym, a otwartym bez oglądania się na ludzi.

Ci, co się w sumieniu nie czuli czyści, a takich naówczas nie mało już było niestety, unikali Górskiego, bo im bez ogródki wyrzucał ich błędy i przewinienia. Aby się na to nie narażać, obchodzono pana stolnika, kłaniano mu się, ale niechętnie wdawano w rozprawy.

Wiadomem było, że Górski za życia Sobieskiego przyjacielem był mu wiernym, ale królowej niechętnym, a gdy przyszło do jawnej rozterki pomiędzy matką a synami, odstąpił Sobieskich i na polu elekcyjnem z większością za Contim głosował. Przybycie jego do Małopolski i Krakowa miało na celu przekonanie się tu, jak stała elekcya saska i jakie nadzieje mógł mieć kandydat francuzki.

Nowy całkiem dla pana Zacharyasza wydał się ten szlachcic polski, trzeźwy, spokojny, w przeko-

naniach twardy, nieambitny i na pozór bardzo chłodny...

— Nie bierz waszmość z niego miary — rzekł mu spytany Haller. — Pan Górski mało liczy sobie podobnych.

Następnego wieczoru, u kolacyi, Witke znalazł się z nim razem u gościnnego stołu gospodarza. Górski się z nim zapoznał i dosyć ciekawie o Kurfirsta rozpytywać się zaczął. Witke oczywiście chwalił go i wynosił, a stolnik cierpliwie słuchał.

— Sławicie go z mocy wielkiej, — odezwał się potem — i my się z niej cieszyć byśmy powinni, bo nam pana potrzeba, któryby wiele wybryków mógł poskromić; ale to szkopuł! Rzadko kto użyciu siły granice położyć umie i prawo chce poszanować, gdy je bezkarnie złamać może. U nas zaś, cośmy na straży nietylko praw, ale obyczaju naszego stać nawykli, stoi od lat kilkuset samowola niemożliwa. Próbowali, od Batorego począwszy, panowie nasi wszyscy, władzy sobie pomnożyć, a nam swobód ukrócić, a pomnożyli tylko nieład i rokosze. Możeby nam zbytnich wolności w istocie ująć należało, ale kto ich zakosztował, nie łatwo się zrzeka. Kto się porwie na *absolutum dominium,* posłyszy bodaj *pereat mundus, vivat libertas!*

— A pan stolnik—wtrącił Haller—pochwalasz to bałwochwalstwo wolności?

— Ja? — odparł Górski, z uśmiechem. — Ani chwalę, ani ganię; opowiadam, co widzę. Pragnę dobra Rzeczypospolitej, nie mogę poszanowania praw ganić, boć prawo prawem i nie łamać je, ale poprawić należy, jeśli złem jest. Kurfirstowi to wrazić potrzeba, aby go w niebezpieczną kolizyę nie wciągnięto; nie zna nas! Ci, co mu się podjęli Rzeczpospolitą dać poznać, bodaj nie wszyscy są sumienni.

Po chwili milczenia, Górski zwrócił się do Witkego.

— *Si fabula vera* — rzekł, — bo na wysoko sto-

jących potwarze łatwo płyną; mówią, iż Kurfirst zbyt krewkim jest i choć żonę ma, z miłośnicami się nie kryje, a nieustannie je mienia. U nas mu to ani serc, ani szacunku nie zjedna.

Witke zarumienił się mocno.

— Młodym był—rzekł,—ale dziś lata nadchodzą, w których pomiarkować się musi. Podróżował wiele, napatrzył się przykładów lekkomyślności tej na królewskim dworze w Paryżu. Zaraza się chwyta łatwo.

— Tak ci jest—dodał stolnik.—Im z większej wysokości płynie, tem niebezpieczniejsza jest. Do Polski przybywając, powinien się wyrzec tego, bo dzięki Bogu i niewiast nie znajdzie, któreby sromu się pozbyły.

Nie chcąc dłużej o tem mówić, pan Zacharyasz zwrócił rozmowę na bogactwa Kurfirsta, szczodrobliwość jego i świetność dworu, na rycerskie wreszcie przymioty.

— Myśmy słyszeli — rzekł Górski — jakoby na wojnie z Turkami wcale powodzenia nie miał.

Witke nauczony, wytłómaczył to zazdrością i zdradą, a Górski, głową potrząsnąwszy, umilkł.

— Nie ujmując waszemu Kurfirstowi,—odezwał się — za którym ja nie głosowałem, zawsze to zastrzedz muszę, iż dla nas bezpieczniejszym jest pan, który przebywa zdala, niż ten, który o granicę dziedziczne ma posiadłości. Łatwo mu z Sasami nam przewodzić i stałem wojskiem swem swobody nasze ścieśniać.

Tak nawzajem Witke i stolnik badali się przez cały wieczór, przyczem sas się nauczył wielu rzeczy, o których pojęcia nie miał.

Coraz dziwniejsza wydawała mu się ta Polska, jej szlachta, swobody i obyczaje... Było myśleć o czem. Miarkował już, że Kurfirst wcale wolności tych szanować nie myślał, ale zamierzał zręcznie i bez rozgłosu powoli je w niwecz obrócić... Zdradził się z tem, mówiąc z nim Mazotin, naprowadzały na ten

wniosek i inne wskazówki... Co z tego wyniknąć mogło... odgadnąć było trudno...

Górski, który w istocie żadnego nie miał interesu w Krakowie, zapowiedział, że chce tu dłuższy czas pozostać, aby przebiegu spraw publicznych być bliżej. Ponieważ codzień do niego napływało osób mnóstwo, a Haller wiedział o tem, co się u stolnika działo, Witke też wiele z tego korzystał.

Mazotinowi przyrzekł zdawać sprawę ze wszystkiego, co tu widzieć i słyszeć będzie, mogącego obchodzić Kurfirsta; musiał więc w parę dni zasiąść do listu, chociaż do pisania wstręt miał wielki i jako kupiec, znaczenie skryptu znał dobrze i obawiał się go.

Z Krakowa do Drezna regularnych poczt nie było, wysyłali więc sasi, już tu wysłani na zwiady, raporta niemal dnia każdego i przesyłanie pism nie było trudnem... Tąż samą drogą miał je odbierać Witke.

Wieczorem codzień prawie stolnik Górski, który w rozmaitych kołach się obracał, przychodził z miasta, powracając do Hallera, gdzie i Witke się znajdował... Na rękę to było niemcowi, bo się od niego najłatwiej mógł dowiedzieć, co w mieście i na zamku przebywający panowie radzili i rozprawiali i jak stała sprawa Kurfirsta. Górski intryg, potajemnych robót wcale nie rozumiał, miał je za nieuczciwe, nie krył więc nic o czem słyszał, ani co sam myślał. P. Zacharyasz od niego się najłatwiej mógł dowiedzieć, jak się tu składały przygotowania do koronacyi i co przywozili z sobą do Warszawy i Łowicza nadjeżdżający panowie.

Stolnik mówił otwarcie, że choć Conti był prawnie obrany królem i miał za sobą poważnych ludzi wielu, z trudnością przeciwko Augustowi będzie się mógł utrzymać, gdyż garstka adherentów jego, z Przebędowskimi i biskupem Dębskim na czele, była niezmiernie ruchawą i zuchwałą, skrupulatnego poszanowania prawa znać nie chciała i szła przebojem...

Conti tymczasem zwlekał i pieniędzy nie nadsyłał, gdy Sas zapożyczając się, coraz nowych sobie kupował przyjaciół, którzy od francuza odstępowali.

Prymas był główną siłą, na którą rachowali Contyści, a o nim mówiąc, stolnik tylko przez uszanowanie dla arcybiskupiej i kardynalskiej godności wstrzymywał się od sądu o charakterze prałata.

Katolik gorliwy, człowiek pobożny bardzo, Górski, który dzień każdy rozpoczynał od mszy świętej u Panny Maryi, a kończył, razem z czeladzią klęcząc i modląc się przed podróżnym swym ołtarzykiem, chociaż Contiego obierał, zaczynał się wahać sam, co miał czynić. Nie żeby uległ namowom lub się dał, jak inni, pozyskać, gdyż na to zbyt był sumiennym, lecz znane mu postępowanie Stolicy Apostolskiej, jej życzenia, zachody nuncyusza Davij, syna kościoła, ostudzały dla francuza.

Jawnem było, z czem się duchowieństwo też nie taiło, że Rzym koronę polską Sasowi dawał i do otrzymania jej dopomagał z pomocą OO. Jezuitów, aby za tę cenę przywrócenie Saksonii zapewnić i dynastyę Weltynów, którzy w rozprzestrzenieniu i utwierdzeniu protestantyzmu tak czynny niegdyś udział brali, kościołowi pozyskać.

Górski, wierny syn kościoła, przypuszczał już, że chociaż August wcale mu sympatycznym nie był, do jego obozu przejść będzie zmuszony. Milczał smutny. Z jednem tylko bardzo się często odzywał, że fałszem i drogami podziemnemi nie przystało monarsze iść do korony, a na podstępnych i nieczystych zachodach codzień łapał partyę saską.

Witke jak mógł i umiał oczyszczał swojego pana, składając intrygi na ludzi, a rycerski charakter Kurfirsta podnosząc. Ale im więcej go sławił, wedle swojego przekonania, tem Górski mniej w nim smakował.

— Zbytnik jest, zbytki lubi—mówił otwarcie—złotem się okrywa, klejnotami błyszczy, a nam potrzeba nie tego, ale powrotu do kożucha i wielkiej pro-

stoty obyczaju. Mówią nam, że te elegancye i kunszty ludzkości wzrost i ogładę oznaczają, ale ja widzę, że gdzie się one zagnieździły, tam stara cnota poszła precz. Co mi po przepychu, gdy poczciwości w nim niema, a dla połysku sprzedaje się sumienie?

O tych głosach Witke nie zawiadamiał Mazotina, wiedział bowiem, że stolnik sam prawie jeden stał przy tem przekonaniu. Nazywano je dziwactwem.

Gdy Górski mówił, słuchano go z poszanowaniem, jak kaznodziei, ale nikt tego nie brał do serca i szedł potem każdy dawniej obraną drogą... Skłaniano głowę przed prawym i czystym starcem, ale naśladować go nie myślał nikt.

Na miejscu wiele jeszcze przed koronacyą do przełamania było. Najprzód na zamek się dostać bez użycia przemocy mogli sasi tylko z pomocą Wielopolskiego, a ten opierał się i kluczy odmawiał! Powtóre z ośmiu czy dziesięciu kluczów do skarbca koronnego, sześć było w rękach Contystów, a ci ich nie myśleli puścić. Łobzów zajmował Lubomirski... W Warszawie francuscy adherenci gospodarowali,— prymas nie chciał znać Sasa.

Owe osiem tysięcy wojska, które stało w pogotowiu na granicy, było wprawdzie przemagającą siłą przeciwko garstce pułków koronnych, ale przelewanie krwi, nim się do stopni tronu dostało, wydawało się groźnem. August przynajmniej na początek od kolizyi się wzdrygał. Za to i on, i jego partya na ścisłe poszanowanie prawa wcale zważać nie myśleli...

Po Krakowie już się rozchodziła wieść o tem, że żona Kurfirsta, za którą mąż zaręczył, iż wraz z nim rzymsko-katolickie przyjmie wyznanie, popierana przez matkę, nie myślała wcale się dać nawrócić, ani synowi dozwolić, aby przeszedł w ręce katolickich nauczycieli.

— Stoi jak wół w paktach ten warunek—mówili Contyści z przekąsem,—aby królowa wraz z mężem katoliczką się okazała...

Ze strony sasów półgębkiem szeptano, że podpisany oryginał paktów tych gdzieś się zapodział, zawieruszył i nigdzie go odszukać nie było podobna. Kopie tylko chodziły. Nalegano na to z jednej, lekceważono to z drugiej strony.

Witke spisywał, co słyszał. Mazotin nie odpowiadał mu na piśmie, nie dawał instrukcyi, kazał mu tylko oświadczyć przez swych wysłańców, że był z niego rad i pochwalał zręczne postępowanie.

Witke, przybywszy tu pod pozorem stosunków handlowych, przekonał się i z tego, co mu Haller mówił i z tego, na co patrzył, iż nie wiele mógł przedsiębrać. Wszystkiego, czego miejscowi potrzebowali, dosyć było obficie, mógł tylko pan Zacharyasz to wprowadzić z korzyścią dla Polski, do czego nasi byli nawykli, a znaleźć tu nie mogli. Takich zaś niemieckich towarów dla niemców bardzo się liczyło niewiele.

Wedle zapewnienia Hallera w Warszawie stał handel tak samo. Witkemu o handlowe sprawy nie chodziło, ale ich dla pokrywki istotnego celu potrzebował. Krzątał się więc.

Powoli robiły się znajomości, ale tym nie zwierzając się, pan Zacharyasz korzystał, aby się z krajem obeznawać. Ponieważ nowo obrany król dopiero pierwszych dni września mógł stanąć pod Krakowem, gdyż wiele przyborów, do uświetnienia koronacyi potrzebnych, z Wiednia ściągać musiał, pozostawało Witkemu dosyć czasu, aby do Warszawy przedsiębrać wycieczkę.

Haller, który dla miasta się podjął dostarczyć sukna szkarłatnego na wysłanie w Rynku szranków, wśród których Kraków nowemu panu, wedle zwyczaju, hołd miał składać, potrzebował jeszcze sporo postawów i zamierżał je ściągnąć od swoich wspólników z Warszawy, bo mu za nie we Wrocławiu zbyt drogo się domagano.

Sam on niemal rzucił tę myśl Witkemu, że go z sobą zabrać gotów do nowej stolicy, z której pręd-

ko powrócić mieli. Jednego więc dnia z pośpiechem wielkim pożegnawszy pana stolnika, pozostającego w Krakowie, wyjechali oba i z pomocą znajomości, jakie miał Haller po drodze, prędzej się dostali do Warszawy, niż obrachowywali.

Tu krakowski kupiec poszedł za swemi interesami, a Witke, oswobodzony od wszelkiej kurateli i nadzoru, puścił się na miasto.

Po Dreznie nowa stolica nie uczyniła na nim korzystnego wrażenia; znalazł ją małą, wielce zaniedbaną w porządku, zabrukaną, a co gorzej, tak przez Contistów zajętą, że tu o Sasie odzywać się nie było można.

Zaraz następnego dnia po przybyciu, z Rynku starego miasta, gdzie stanęli u kupca pokrewnego Hallerowi, Witke rano powędrował oglądać zamek i przedniejsze ulice. Na tej pielgrzymce, w której z wielką swą pociechą doskonale się polskim językiem posługiwał, zeszedł czas niemal do południa i wróciwszy nazad ku krakowskiej bramie i zamkowi, pan Zacharyasz na jednym domu nieopodal zamku, spostrzegł winne grono i wiechę zieloną. Pić mu się chciało. Szynczek nie wiele obiecywał, ale napis miał francuzki i nazwisko właściciela, cudzoziemca oznajmywało: Jean Renard, marchand des vins français.

Zaledwie próg przestąpił, owiała go wonią napojów przejęta, duszna atmosfera izby; nim okiem miał czas rzucić po izbie, usłyszał okrzyk podziwienia i swoje nazwisko.

Za stołem przy butelce siedział, o dziwo! pan Łukasz Przebor, ale go poznać było trudno, tak się zmienił. Naprzód nic w nim nie pozostało z kleryka, wąsa pokręcał, a suknie miał pospolitym krojem ówczesnym polskim, jak z igły, niesmacznie dobrane, ale jaskrawe i bijące w oczy. Strój ten brzydszym go czynił, niż był, nosząc strój dawny, ale z twarzy widać było, że albo on, albo szczęśliwe okoliczności dodały Przeborowi odwagi i swobody w obejściu się

z ludźmi. Siedział w gromadzie szlachty, dosyć krzykliwie rozprawiającej, której zdawał się przewodzić.

Zobaczywszy Witkego, nie zważając na towarzyszów, porwał się żywo bardzo pan Łukasz i podbiegł ku niemu.

Sasowi to spotkanie wcale przyjemnem nie było. Nie życzył sobie aby go tu, jako adherenta Augustowego palcami wytykano. Szczęściem Przebór się musiał tego domyśleć i z krzywym uśmieszkiem, a okazem radości wielkiej, pozdrowił go jako Szlązaka.

Szlachta, siedząca u stołu, której pan Łukasz coś szepnął, snadź już tu długo biesiadująca, bo lica miała pałające i próżnych flaszek dosyć przed nią stało, ruszyła się od stołu i rozchodzić zaczęła; Przebor pozostał,

Witke, zająwszy miejsce u opróżnionego stolika, kazał podać butelkę wina i dwie szlanki, bo wiedział, że Przebor, choć już niespragniony, nie odmówi zaproszeniu. Ciekawość, nadzwyczaj podniecona, z oczów mu tryskała.

— Na żywego Boga!—zawołał — co waćpan tu porabiasz. Prędzejbym się był dzisiaj spodziewał widzieć nie wiem kogo, niżeli was!

Witke miał czas się namyśleć nad odpowiedzią.

— Prosta rzecz, — rzekł — kupiec jestem, mówiłem waćpanu, że tu handel założyć myślę; przybyłem się rozpatrzeć.

Przebor głęboko wlepił w niego oczy.

— No i cóż?—zapytał.

— Nic jeszcze nie wiem—obojętnie dosyć odparł Witke.—Byłem w Krakowie, ale to bodaj umarłe miasto, które tylko może na krótką chwilę odżyje, a Warszawę lepiej poznać potrzebuję.

I dodał z umyślnym przekąsem.

— Czego macie dosyć—to błota!

Rozśmiał się pan Łukasz.

— W jesieni, cóż to za dziw, — rzekł nieco urażony. — Zresztą inna to rzecz miasto niemieckie, a polskie; my do fatałaszek ceny nie przywiązujemy.

Machnął ręką.

— Cóż u was słychać—ciągnął dalej.—Po mojej ucieczce czy pani Przebędowska wdziała przynajmniej żałobę?

Rozśmiał się bardzo głośno, aż się po izbie rozległo.

— Co się mnie tyczy — dodał, — jak widzicie, sutannę wyrzuciłem za płot i powróciłem do swobody, szabelkę jak przystało, przypasawszy.

Pokręcił niezbyt wyrosłego wąsika.

— No i ze złości na Przebędowskich—rzekł—przerzuciłem się do Contystów, którym służę.

Rzucił okiem na Witkego, ale ten ani podziwienia, ani żalu nie okazując, szepnął tylko.

— A jakże się powodzi?

— Mam najlepsze nadzieje... poznałem już wiele osób, obiecują mi dosyć; nasz Conti nie tak bezpiecznym jest, jak się może wydaje, i tylko co go nie widać w Gdańsku, gdzie z ogromną flotą i siłą, znaczną ma wylądować, a tam też już nie małe na niego poczty oczekują. Mamy z sobą Prymasa, a ten jeden za dziesięć regimentów zaważy.

Rzekłszy to, poczekał trochę Przebor, azali się jakiej odpowiedzi nie doczeka, ale Witke mu nalał szklankę opróżnioną i ramionami tylko poruszył. Po krótkiem dopiero milczeniu sas się odezwał.

— Jak to dobrze, żem was spotkał i informacyi zasięgnął, okazuje się bowiem, że ja tu nie będę miał co robić i nie potrzebuję wina sprzedawać, gdy francuzi zawczasu już swoich mają.

I ręką pokazał na izbę, w której się znajdowali.

— A tak! – rozśmiał się Przebór – gospodarzem tu jest Renard... i bodaj nie od dzisiaj. Nie wiem, ojciec jego, czy dziad za królowej Maryi Ludwiki tu się osiedlił. Handel mu idzie dobrze, człowiek stateczny... jejmość jeszcze wcale przystojna, a była bardzo piękna. Córeczka zaś...

Mówiąc to, potrącił łokciem Witkego i wskazał na drzwi. Stała w nich właśnie ta, o której mówił.

Było to dziecię jeszcze, ale tak przedziwnej piękności i wielkiego wdzięku, tak zachwycające, że od niego oczu oderwać nie było można. Wszyscy goście, gdy się ukazała mała Henryetka, obrócili się ku niej, patrząc jak w obraz cudowny.

Dziewczyna śmiała, bo od dzieciństwa do obcych nawykła, z zalotnością nad wiek swój uśmiechała się swoim wielbicielom. Widać z niej było, że rodzice kochać ją i pieścić musieli, bo z niezmierną elegancyą ustrojona, miała nawet od rana klejnociki na sobie i pyszniła się niemi i sobą.

Tak pięknego dziecka, gdyż Henryetka więcej nad lat dziesiątek nie liczyła, trudno było znaleźć nietylko w pospolitej winiarni, ale i po pańskich pałacach. Witke, który dzieci lubił, a i pięknemi twarzyczkami wogóle nie gardził, patrzał widocznie zachwycony.

Dziewczę z włosami ciemnemi, w puklach puszczonemi na ramiona, w krótkiej różowej z białem sukience, w bucikach na czerwonych korkach, ze swą twarzyczką ślicznego owalu i rysów delikatnych, było jakby do malowania!

Przebor, znajomy już, uśmiechnął się jej oczami.

— A co to będzie, gdy ten cudowny kwiatek rozwinie się całkiem toć pański kąsek! Ale w takiej winiarni, gdzie wszelkiej młodzieży zawsze bywa pełno...!

Westchnął i nie dokończył.

Wyszła w tej chwili wystrojona również matka Henryetki, niemal tak piękna, jak ona, ale już drugiej młodości jejmość, zażywna i otyła, i pochyliła się ku dziecięciu, i nieco opierające się odebrała ciekawym oczom, uprowadzając z sobą.

Pan Łukasz, który już wprzódy był podochocony, a tęgiem winem Witkego bardziej jeszcze głowę sobie zawrócił, pochylił się przez stół do kupca i gwarzyć począł, co mu ślina do ust przyniosła.

— Ja jestem tak dobrze jak na służbie u Prymasa — mówił otwarcie.—Skorzystałem z tego, żem przy tej Przebędowskiej wisiał. W wielu rzeczach

mogłem ich objaśnić, a co mnie wasz Sas obchodzi? Zobaczymy, jak się rzeczy obrócą; juści to nie może być, ażeby francuzi mniej od jednego Kurfirsta saskiego mieli pieniędzy, ale jakoś dotąd ich nie widać a saskie talary kursują gęsto. Prymas się skarży, że mu one ludzi codzień odciągają. He! he! jabym i za niego samego nie ręczył!

Witke się uśmiechnął.

— Tak sądzicie?—zapytał napozór obojętnie.

— Kardynał sam—rzekł Łukasz,—pewnie by się sprzedać sromał i za mało go kupić nie można, ale około niego bab dosyć.

— Jakto bab? około arcybiskupa? — zagadnął Witke ciekawie.

— Nie myślcie nic złego — odparł Przebor. — Uchowaj Boże! ale siostrzenicę ma bardzo ulubioną, Towiańską, a ta klejnoty lubi, a blizka też krewna, księżna Lubomirska...—pokręcił głową, popił i ciągnął dalej.

— Prymas ma słabość do Towiańskich.

Ani się spostrzegł pan Łukasz, gdy się, nie bardzo nawet za język ciągnięty, wyspowiadał ze wszystkiego. Z kolei począł też badać kupca, ale ten mówił tylko, co chciał i co mu mówić było potrzeba. Wygadał się niby nie umyślnie, że na koronacyę Fleming wiózł całe beczki złota dla opłaty wojska, całe skrzynie klejnotów na podarki dla przyjaciół.

Przebor głową poruszał znacząco.

Naostatek dowiedział się kupiec od niego, iż Radziejowski list miał wystosować do saskiego Elekta, w pięknych i łagodnych wyrazach, uprzedzający go, aby spokoju Rzeczpospolitej nie zakłócał rozdwojeniem, gdy wybór jego nieprawny w żaden sposób utrzymać się nie mógł. O tem też wiedział pan Łukasz, iż jeśliby w Krakowie zebrał się sejm koronacyjny, Prymas zwoła drugi do Warszawy i ogłosi rokosz.

Długo tak wysiedziawszy, Witke się nareszcie

ruszył, żegnając z Łukaszem, ale nie mógł się go pozbyć, bo mu aż do gospody towarzyszył.

V.

Dnia dziesiątego września dziwy już sobie rozpowiadano po Krakowie o tym niesłychanym przepychu, z jakim August do spalonego dobrowolnie przez Lubomirskiego Łobzowa nadciągnął. Ludzie sznurem ze stolicy płynęli tam i napowrót ku murom pałacyku, aby się cudom, o jakich głoszono, przypatrzeć.

W istocie August nie żałował na wystawę, którą by mógł polakom dać jak największe o bogactwach swych wyobrażenie. Okazałości te były albo na wiarę przez kupców wiedeńskich dane Kurfirstowi, lub niesłychanym uciskiem jego poddanych saskich zebrane.

Wybór Kurfirsta spowodował przewrót zupełny, szczególniej w licznych urzędnikach kraju, którzy wszyscy naraz zdegradowani zostali, a kto się opłacić nie miał czem, aby utrzymać na stanowisku, musiał je zamożniejszemu ustąpić. Oprócz tego ustanowiono akcyzę, narzucono na szlachtę kontrybucyę i biedna Saksonia przeklinała zawczasu Polskę.

Ale potrzeba było widzieć za to, jak August po królewsku się rozdościerał w Łobzowie! Samych złoconych i srebrzonych kolebek pańskich liczono sto dwadzieścia pięć, koni przeszło kilkaset, a niektóre z nich dźwigały na sobie dywdyki i czapraki niezliczonego bogactwa. Paziów, lokajów, hajduków w barwie nowej, szamerowanych galonami, nie można było policzyć. Trabanci, szwajcarowie, gwardje, działa ogromnej wielkości, zapasy kul i prochu, czterdzieści wielbłądów, objuczonych szkarłatem i złotem, towarzyszyły naśladowcy Ludwika XIV.

Szeptano, że jedna laska marszałkowska, która przed królem niesioną być miała, cała brylantami wysadzana, na tysiąc dukatów szacowaną była.

Widział już i pamiętał stary Kraków niejeden raz wciągające tu orszaki pańskie, równie kosztowne i wspaniałe, ale na nie się cały kraj, szczególnie panowie i rycerstwo składało; teraz zaś zmniejszoną wielce liczbę pocztów pańskich sam jeden przepych Kurfirsta miał zastąpić.

Na parę dni przedtem znajomy nasz, Witke, w którym kupca trudno się było już domyśleć, przystrojony modą francuzką, w peruce, kręcił się około zamku. Zdawał się mieć tu dobrych znajomych i stosunki. Przybywającego wieczorem oczekiwał poważny, podżyły urzędnik dworu, dowódzca zamku i z poszanowaniem wprowadził przez puste korytarze do komnat, które sama pani zajmowała.

Oczekiwano tu nań widocznie. Średnich lat poważnie i pańsko wyglądająca matrona, strojna wytwornie, klejnotami okryta, przyjęła przybywającego, którego wpuścił przewodnik i nie bez pewnego zakłopotania miejsce mu przy stole wskazała.

Witke, jak gdyby w życiu nigdy nic innego nie robił, z wielką zręcznością wywiązał się z jakiegoś poselstwa i po krótkiem przemówieniu, dobył z pod sukni pudełko, przyniesione z sobą. Otworzył je, podsuwając przed oczy pani, która, choć zarumieniona, z wielką ciekawością przyglądać mu się zaczęła. Rumieniec oblewał jej twarz, ręce drżały, wzrok biegał po pustej komnacie, jak gdyby lękała się być pochwyconą na tej schadzce, której tajemniczy cel zdawały się odsłaniać w mroku ogniem strzelające brylanty.

Brała je, przyglądała się i rzucała, przysuwała i odtrącała leżące na stole klejnoty, zdawała się walczyć z pokusą. Witke w milczeniu z poszanowaniem czekał na jakąś stanowczą odpowiedź. Po kilkakroć zadrżały wargi, jak gdyby mówić chciała i zamknęły się, bo przyśpieszony oddech odezwać się nie da-

wał. Kamienie były wysokiej ceny, a poważna pani może po raz pierwszy w życiu była wystawioną na to pokuszenie.

Witke przypatrywał się jej tak zimny i na pozór obojętny, jak gdyby w tych frymarkach, do których w istocie nie był wcale nawykły, miał już wprawę i nawyknienie.

Myślała jeszcze, namyślając się poważna pani, gdy kupiec rzekł półgłosem.

— Bądź co bądź objęcie zamku w jakikolwiek sposób przyjdzie do skutku. Ksiądz biskup Dębski, pan wojewoda Jabłonowski, marszałek Lubomirski, upewnili o tem Elektora; spokojnym więc umysłem możesz pani przyjąć ten *podarek*.

Usta słuchającej z przyciskiem powtórzyły ten wyraz.

Witke zlekka podsunął klejnoty, ujął kapelusz i jakby mu pilno było dokończyć, skłonił się na pożegnanie. Zakłopotana pani powstała, chciała coś mówić i opadła na krzesło.

Witke na palcach, cicho, opuścił zamkową komnatę; uśmieszek zwycięzki błądził po ustach jego.

Dnia dwunastego września, pomimo, iż słońce nie bardzo chciało przyświecać uroczystości, od rana napływały już tłumy do miasta, a kto się tu wcisnąć nie mógł, obawiał, lub nie chciał, stawał na drodze, z Łobzowa wiodącej, którą pochód Augusta miał się odbywać.

Starcom przypominały się dawne czasy i opowiadania ojców i dziadów o tych świetnych wjazdach, zaślubinach, obchodach, których Kraków był świadkiem.

I na ten dzień przepych się obiecywał zdumiewający, olśniewający, królewski, lecz wielce różnił się od tego, jaki niegdyś świadczył o bogactwach kraju i przywiązania jego do swych panów. Nader mała liczba magnatów występowała, towarzysząc wybranemu panu; wszystko, co tu błyszczeć dziś miało, było saskie i należało do Kurfirsta. Owe poczty wo-

jewodów, biskupów, kasztelanów, wysokich urzędników dworu i Rzeczpospolitej, które się nieraz po kilkaset koni liczyły, wcale się nie obiecywały. Zato orszak własny przyszłego króla, miał być niezmiernie liczny i nad wyraz wspaniały i smakowny.

Ci, którym się udało wcisnąć na podwórze Łobzowskie i oglądać tam poodsłaniane powozy od złota i aksamitów, konie postrojone w opony, herbami okryte, ludzi w najrozmaitszych barwach, cudzoziemską modą poprzybieranych, wielbłądy z jukami, w kobierce wschodnie powiązanemi, unosili się nad zamożnością i szczodrobliwością Augusta. Mówiono sobie, że miliony już rozsypał, aby elekcyę swą utwierdzić, a drugie tyle ich wiózł z sobą, aby między wiernych adherentów rozdzielić.

Usposobienie tłumów, które niewidzialni posługiwacze Augusta zagrzewali, całe się ku niemu zwracało. Sławiono jego męztwo, siłę i zręczność, rozum a zarazem uprzejmość i łagodność. Unosili się ci, co go już widzieli nad pięknością postaci, porównywając z kolei do Apollina, Herkulesa, Samsona i Marsa. Ciekawość kobiet szczególniej była do najwyższego stopnia podsycona.

W rynku Krakowa panowie Radni już na pewno wiedzieli, że bramy zamku, których Wielopolski jeszcze przed kilku dniami otwierać nie chciał, miały stanąć bez przeszkody na oścież wjeżdżającemu. Uwijano się w zamku z przygotowaniem opuszczonych dawno i zaniedbanych komnat, widziano wozy niemieckie wczoraj wieczorem już tu nadciągające i wpuszczone.

Mieszczaństwo też, zawczasu przybrane, występowało całe z cechami, znakami, godłami, uzbrojeniem i chorągwiami, i wjazdowi miało przyczynić, jeśli nie okazałości, to powagi i liczby uczestników.

Szły tedy na przedzie, gdy z Łobzowa sygnał dano, cechowe chorągwie, każda ze starszyzną i insygniami swemi, zbrojne i strojne; za niemi polskie gwardye i wojsko, załogę miejską stanowiące, po nich

dwa piękne regimenty dragonów, a za niemi w ślad dwudziestu czterech paziów saskich z cudzoziemska postrojonych.

Dwadzieścia i cztery konie ręczne Augusta we fiokach i czubach, były wszystkie jednakowo okryte czaprakami z karmazynowego aksamitu, bogato srebrem szytemi w herby saskie i Weltynów, w cyfry króla. Czterdzieści mułów po nich, miały na sobie żółte nakrycia, saskiej barwy. Poprzedzały one dwadzieścia i dwie karety, tak uporządkowane, iż coraz wspanialsze i bogatsze następowały jedne po drugich do końca. Ale powóz Augusta zaćmiewał je wszystkie! Dwanaście koni perłowej maści, nadzwyczajnej piękności, tak dobrane doskonale, jakby je jedna matka rodziła, ciągnęło kolebkę wyzłacaną, około której szło pieszo dwunastu drabantów w żółtej barwie, krojem szwajcarskim.

W szeregu powozów ciągnęły kolebki paradne cesarskiego posła i własna jego kareta.

Konie ręczne, które przodem prowadzili masztalerze, uderzały pięknością i doborem, lecz niczem one były obok czterech wierzchowców osiodłanych, które wiedziono za karetami. Całe rzędy na nich, siodła, czuby, napierśniki, świeciły drogiemi kamieniami i złotem.

Za temi szła muzyka, z trębaczów i bębnów złożona. Pałki nawet, któremi w kotły bito, srebrem połyskiwały. Zapowiadała ona dwa oddziały wojsk saskich, którymi dowodził konno minister hrabia Eck.

Cudzoziemskiego autoramentu umundurowania i uzbrojenia w Polsce już nowością nie były, ale król August, swoje pułki na okaz wprowadzając, ze szczególną je i uderzającą wysztyftował elegancyą.

Gościnność wymagała, aby sasów przodem puszczono, a pułki pancerne za niemi kroczące, wcale się porównania nie obawiały. Na każdego z panów towarzyszów, składających je, warto popatrzeć było z osobna, bo, choć wszyscy oni, mniej więcej w jeden sposób strojni byli i zbrojni, każdy się starał

fantazyą i wytwornością zbroi, lamparcich skór, skrzydeł, kopii złoconych, siodeł i rzędów, prześcignąć drugich; każdy czemś się szczególnem odznaczał. Niektórzy prości towarzysze szeregowi tysiące na sobie dźwigali, a z twarzy i postawy do dowódzców raczej, niż żołnierzy, byli podobni. Największe imiona i najlepsza krew Rzeczypospolitej szła dumnie w tych szeregach.

Z niemi i za niemi, po większej części konno, jechali senatorowie, wojewodowie, kasztelanowie, urzędnicy wyżsi, kiedy z sobą mniejszy lub większy prowadząc poczet.

Dębski, biskup kujawski, ten którego dziełem była, można powiedzieć, elekcya, jechał z biskupem sandomierskim, poprzedzając marszałka wielkiego koronnego, Lubomirskiego, który niósł w ręku ową laskę marszałkowską, całą wysadzaną brylantami, już zawczasu ogłoszoną jako klejnot drogocenny, kosztem króla przygotowany.

W ślad za Lubomirskim jechał Elekt i na niego się oczy wszystkich zwracały, badając w nim przyszłość, której on był tu przedstawicielem.

August na ten dzień, za poradą biskupa dla pozyskania sobie serc, przebrał się po polsku. Szedł pod nim koń śnieżnej białości, krwi wielkiej, którego gorącość silna dłoń króla z łatwością poskramiała. W całym blasku młodzieńczej jeszcze piękności był wtedy saski Kurfirst. Okrywała go suknia ze złotogłowu podbita gronostajami, na żupan niebieski narzucona, który świecił ogromnemi guzami brylantowemi. Niemi też wysadzone i obszyte były kapelusz, szabla, pas, siodło, wędzidła i rząd konia, na którym dyamenty naprzemian z rubinami wielkiemi połyskiwały. Nad nim niosło baldachim ze szkarłatnego aksamitu sześciu radców miasta, a straż dokoła stanowili trabanci w żółtych szwajcarskich barwach.

Za królem jechał biskup Paszewski i liczne duchowieństwo polskie, kapituła, kanonicy, prałaci, da-

lej urzędnicy dworu Kurfirsta, nieodstępny Pflug, generał hrabia Trautsmansdorf, królewska gwardya przyboczna, królewscy kirasyerowie i t. p.

Piechota saska, z obu stron drogi ustawiona, straż trzymała aż do zamku. Nie zostawiono objuczonych wielbłądów w Łobzowie, bo ich juki tajemnicze miały zawierać owe bajeczne skarby, które August rozsypywać w Polsce obiecywał.

Wszystko to razem wzięte, choć starano się, aby miejsca zajmowało wiele i długim się przewlekało ogonem, mogło przepychem olśnić, lecz dla tych, co stare czasy pamiętali, uderzało skąpym udziałem kraju... nieobecnością wielu rodzin i wielu głównych dostojników.

Ci, którzy dotąd oblicza króla nie oglądali, wpatrzyli się w nie, chcąc z niego rokować przyszłość. Mogła się ona wydać im promienistą, bo dzień ten był dniem tryumfu dla Augusta, a twarz jego posłuszna zachowała wiarę w siebie spokojną, poważną, majestatyczną. Łagodny uśmiech, jakby dobroci pełen, nie schodził z ust i serca przyciągał.

Pamiętało wielu wspaniałą postać Sobieskiego i mimowoli narzucało się porównanie. August młodszy nie miał na sobie majestatu bohatera z pod Wiednia, ale elegancyą i wdziękiem zalotnym go prześcignął. Czarujący ten uśmiech łagodny, który w nim ujmował, nikomu się nie wydał tem, czem był w istocie, — wdzianą ozdobą dnia tego, ponętą, pod którą serca szukać było próżno. W prostocie swej zawsze skłonni do przyjmowania z dobrą wiarą, co im do serca przemawiało, polacy szeptali.

— Dobrym będzie... szczodrobliwym jest... łagodność mu patrzy z oczów, a przy sile wielkiej cóż nadto pożądańszem być może?

Radowali się więc wszyscy.

W rynku stał z garstką wielkopolanów wcale się niczem nie odznaczający stolnik Górski. I on przybył tu, aby sobie coś wywróżyć z aspectu Elekta, jak się wyrażał. Wybrano mu miejsce takie, aby wy-

godnie i swobodnie mógł się przypatrzeć Augustowi. Wlepił też w niego oczy z taką siłą, iż zwrócił na siebie królewskie wejrzenie.

Uderzyć musiał przejeżdżającego Elekta wzrok ten śmiało i uparcie wciskający się mu jakby do głębin jego duszy. Górski odepchnięty zaostrzonem wejrzeniem Augusta, nie cofnął się przed nim. Walczyły z sobą dwa te badające się wzroki i gniewne oczy króla z pewną niecierpliwością w stronę się odwróciły.

— Oszust i komedyant jest!—ozwało się w duszy stolnika, który myśl tę narzucającą mu się odepchnął. Niepostrzeżenie, jakby zgrzeszył tem, uderzył się w piersi i szepnął.

— Przebacz mi Panie!! Grzesznie może potępiam to, czego nie znam... *Parce domine.*

— A co, panie stolniku?—odezwał się głos towarzyszącego mu Morawskiego.

Ze smutnym wyrazem twarzy obrócił się ku niemu Górski; Morawski domagać się zaczął wyroku na tego króla, którego po raz pierwszy oglądał.

— A cóż, panie stolniku, król? — powtórzył Dzierżykraj Morawski.

— A waćpanu, panie starosto, jak się zda? — odparł, pytaniem odbijając pytanie, Górski.

— Piękny, choć go malować! — zawołał starosta.

Nastąpiła krótka chwila milczenia, Górski zadumał się i z koniem przybliżył ku Morawskiemu.

— Uczyli was ojcowie jezuici w szkołach historyi zwierząt?—zapytał po namyśle.

Morawski się rozśmiał.

— Mało co – rzekł.

— No, to życie waćpanu dało tę obserwacyę— rzekł stolnik zimno, – że najsroższy a najniebezpieczniejszy zwierz stroi się w najpiękniejszą sukienkę. Niema wdzięczniejszych barw tęczy, nad skórę żmii i węża, mieni się i złoci kameleon, piękny jest tygrys i lampart.

Morawski słuchał zdziwiony.

— Więc?—wtrącił.

— Ja żadnych wniosków z tego nie ciągnę — zakończył Górski. — Nie wiem zkąd mi to na myśl przyszło; może od tych skór lamparcich, które nasi pancerni mieli na barkach.

Morawski nie pytał więcej.

— Chcesz, panie starosto, na bigos do mnie?— wtrącił, z koniem się w tył cofając stolnik—bardzo proszę! Na zamku wprawdzie pulpety nas czekają, ale ja tam nie pojadę.

— Ja zaś nie dla pulpetów, uchowaj Boże — rozśmiał się starosta, — lecz żeby bliżej poznać naszego pana przyszłego, na zamek muszę.

— A jakże się z nim rozmówisz?—spytał z przekąsem Górski.—Po polsku zasię nie umie ani słowa, po łacinie, jakom słyszał, nie wiele zna, a waszmość z niemiecką i francuzką mową jak stoisz?

— Na bakier—rozśmiał się Morawski,—co nie przeszkadza, abym choć zdala mu się nie chciał przypatrzeć.

Górski skłonił się i odjechał ku kamienicy Hallerowskiej. W bramie jej stał Witke, chciwie pochwytując słowa i wyrazy twarzy.

On sam wesoło był usposobionym. Pobyt dłuższy w Krakowie już mu całkiem usta rozwiązał, rozumiał i mówił jaką taką polszczyzną, opowiadając się szlązakiem. Z wielką rewerencyą powitał stolnika, bo nauczył się go szanować, widząc jaki ma mir u ludzi.

— A cóż? — zapytał, przystępując do niego.— Spodziewam się, że Kurfirst wstydu sobie, ani koronie tej nie uczynił?

— Gdyby ludzi więcej było, choćby kamieni drogich mniej, wolałbym może — rzekł z przekąsem Górski i poszedł do mieszkania swego.

Witke poruszył ramionami. Pierwszy raz przez czas dłuższy przebywając między obcemi, kupiec czuł coraz dobitniej, jak odmiennej natury mogą istnieć

ludzkie społeczeństwa, jak różnemi one pojęciami się rządzą i żywią. Człowiek uczciwy w sprawach powszednich, aż do drobnostek pilnujący rzetelności słowa, tu w Polsce nieustannie się ocierał o niepojęte dowody lekkomyślności w tych samych ludziach, którzy do rzeczy dla Witkego obojętnych, nadzwyczaj wielką przywiązywali wagę. Trudno mu było ich zrozumieć!

Spotykał tolerancyę największą, połączoną z najgorętszą pobożnością, rzucanie bezrozumne groszem obok oszczędności spartańskiej, a naostatek w małych i nieznaczących ludziach, którzy sił żadnych i wpływu nie mieli, takie przejęcie gorące sprawami ogólnemi rzeczypospolitej, jakiego gdzieindziej w największych nie spotykali sferach. Sprzeczności te, które chwilami w osłupienie wprawiały kupca, znajdował na każdym kroku. Natrafiał na ludzi, przekupić się dających, nie czyniących z tego tajemnicy; ale ciż sami ludzie po za pewną granicą, którą sobie zakreślili, stawali się niezłomni i niczem się ugłaskać nie dawali.

Witke musiał się tu uczyć nowego człowieka, jakiego w Niemczech nie znał. Wiedział już z krótkiego doświadczenia, że ówczesna Polska rozpadła się na dwa wielkie obozy: gdzie tylko cywilizacya zachodnia z ogładą i pogardą obyczaju starego się wcisnęła, tam moralność była zachwianą i nadwyrężoną; — gdzie panowało surowe stare prawo, ludzie z żelaznym stoicyzmem opierali się zepsuciu... Naostatek i to musiał sobie zapisać p. Zacharyasz, iż pozorne nieokrzesanie, szorstka skorupa tych, których on miał za barbarzyńców, okrywała sobą nie ciemnotę i nieświadomość, ale zupełnie inną, różną jakąś, o własnych siłach wypracowaną cywilizacyę, od zachodniej odmienną.

W krótkim przez kraj przejeździe z Hallerem zdumiewał się Witke chłopom, w grube i brudne siermięgi poubieranym, którzy w najtrudniejszych ra-

zach umieli sobie radzić ręką i głową, tam, gdzie on, wykształcony, stawał się bezsilnym.

Tacy ludzie, jak stolnik Górski, dawnego autoramentu mąż, znajdowali się dosyć gęsto rozsiani, choć nie wszyscy równe jemu przymioty umysłu okazywali. Obok nich Witke liczył i widział tych, których Kurfirst łatwo mógł unieść i pociągnąć z sobą. Ale i ci nawet, w razach, gdy szło o prawo stare, o obyczaj, który złamać było potrzeba, raczej obejść je, niż zniweczyć byli gotowi. To poszanowanie zakonu, przy nieustannem wymijaniu jego skutków, zdumiewało Niemca i należało do najciekawszych właściwości polskiego narodu.

W interesach elekcyi, która prawomocną nazwać się nie nie mogła, nikt tu ani pomyślał, aby siłą skruszyć i pominąć odwieczne przywileje. Starano się wytłómaczyć, przekręcić zakon, nie śmiejąc go wywrócić. Na chwilę tylko usuwano się z pod jego skutków, ale odwieczny mur nietknięty pozostawiono przyszłym wiekom...

Wieczorem tegoż dnia na zamku już nasz kupiec zszedł się ze zmęczonym wielce Mazotinem, Hoffmanem i Spieglem, kamerdynerami królewskiemi.

Wszyscy oni, zobaczywszy przybywającego kupca, uradowali się niezmiernie; wiedzieli, że on tu już mieszkał dłużej, oblegli go więc pytaniami.

Mało i tylko powierzchownie poznawszy polaków, ci ichmoście znajdowali ich tak łatwymi, uprzejmymi, uginającymi się, że sobie i królowi najpiękniejszą wróżyli przyszłość, sądząc, że im się uda przeprowadzić, co tylko zechcą. Mazotin szczególniej zuchwale patrzył na przyszłość.

— Straszono nas niepotrzebnie — mówił, śmiejąc się.—Nikt tu się opierać nie myśli, ludzie lgną do nas, a nawet z przeciwnego obozu francuzkiego, codzień się ktoś do naszego przerzuca. Niechże bliżej naszego pana poznają i skosztują, dopiero w nim zasmakują!

Hoffman z uśmiechem sarkatycznym szepnął bardzo cicho.

— Ale im Königsteinu i Pleissenburga nie pokazujcie, bo oni tego nie lubią!

Mazotin, który po ciężkim dniu odpoczywał w swojej komnacie na zamku, dla towarzyszów i gości zastawił wino, które królewskiego stołu było godne, bo też od niego zostało przyniesione. Tem bezpieczniej mogła sobie służba pozwolić, bo August też, odprawiwszy gości ceremonialnych: nuncyusza, duchownych i wyższych urzędników, w ciaśniejszym kółku rozpoczął zwykłe wieczorne libacye, kończące się często dopiero nad rankiem. Fleming, Pflug i inni przyboczni dotrzymywali mu placu.

Ale dnia tego nie można było biesiadowania przeciągnąć zbyt długo, bo następny miał zająć uroczysty pogrzeb poprzednika, wedle prastarego zwyczaju.

Ponieważ zwłok Sobieskiego rodzina i Contyści wydać nie chcieli i strzegli ich w Warszawie, sądzono, że cały obrzęd koronacyjny rozbije się o to, iż ceremonii pogrzebowej dopełnić nie będzie można. Zakłopotanie było wielkie, bo starego obyczaju zaniedbać i pominąć nikt się nie ważył doradzać.

Sam nowo obrany król podszepnął księdzu Dębskiemu, że ściśle biorąc, zwłok króla nieboszczyka nie było potrzeba. Lud i tłumy nie wiedziały, gdzie się one znajdowały; dla nich starczyła próżna trumna i egzekwie, wedle tej formy, której ceremoniał wymagał.

Myśl tę podchwycono. Wszystko więc, na ten dzień przygotowane, kłamstwem było i udaniem. Chować miano trumnę pustą, kruszyć insygnia naśladowane, niszczyć pieczęci udane. Ale prawu i zwyczajowi zadosyć się stało!

Nikt przeciwko temu nie protestował, August śmiał się i poruszał ramionami, szepcąc do ucha Flemingowi:

— Słuchaj, Henrysiu, i z tego bierz miarę, jak

tu postępować potrzeba. Pozory musimy we wszystkiem poszanować i zachować, — w tem grunt! Byle one okrywały to, co się robić będzie, — przejdzie wszystko.

Był też najlepszej myśli Elekt, a przed polakami z przesadzoną troskliwością dowodził najskrupulatniejszego poszanowania prawa. Mówił o niem ciągle i skłaniał głowę pokornie. Jeden może biskup Dębski wiedział, że ten popis z legalnością był jednym ze środków pozyskania zaufania w narodzie.

Trzynastego września stało już w katedrze na Wawelu wspaniale wzniesione i przyozdobione *Castrum doloris,* ze szkarłatną, złotemi ozdobami przystrojoną trumną, a w tłumie, który kościół zapełniał, bardzo wielu miało to przekonanie, że istotnie grzebano zwłoki Sobieskiego.

Kruszenie chorągwi, kopii, miecza rycerza, który wjeżdżał konno, aby paść u katafalka... wszystko dnia tego widziano, jakby na prastarych pogrzebach królów. Nikt przeciwko tej komedyi, tak dobrze odegranej, nie protestował.

Wieczorem po wielkiem przyjęciu na zamku i uczcie, August z przyjaciółmi pił znowu i pocichu szydził z pogrzebu, który się udał tak doskonale.

W sobotę potem jechał król uroczyście na Skałkę, wedle obyczaju, za morderstwo Ś-go Stanisława, spełnione przez poprzednika swego, odbywając rodzaj pokuty.

Nie potrzebujemy mówić, że skupienie ducha i pobożność, z jaką całował podane relikwie męczennika, powszechnie były ocenione i wynoszone. Duchowieństwo gniewało się na tych, którzy posądzali Sasa o religijną obojętność i cieszyło się jego nawróceniem.

Biskup Dębski bardzo zręcznie dowodził:

— Chociażby dla korony wiarę zmienił,—różnemi drogami Bóg do siebie prowadzi! Serce się jego poruszyło, łaska zstąpiła, wiara zwycięży i będzie gorliwym katolikiem.

A ojciec Vota szeptał:

— *Utinam!*

W niedzielę naostatek dopełnić się miała z niecierpliwością wyczekiwana koronacya.

Nie wszyscy wiedzieli, jakim sposobem bez kluczów do skarbca koronnego i nie wyłamując drzwi, nie gwałcąc zamków, Kurfirst przyszedł do opanowania korony Chrobrego, insigniów starych, bez których obrzęd nie mógłby uchodzić za ważny.

Król był za tem, ażeby fikcyę, pogrzebem rozpoczętą, prowadzić dalej, kazawszy wykonać naśladowanie korony, miecza-Szczerbca, jabłka i berła. Sprzeciwił się temu nawet Dębski.

Drzwi łamać nikt nie doradzał, mowy być o tem nie mogło.

Szepnął ktoś, myśl ta może królowi przynależała znowu, że nie naruszając kutem żelazem podwoi, łatwo było mur przebić i wyłomem do skarbca się dostać.

Fortel ten rozbójnicki nie wszystkim przypadał do smaku; krzyczano zrazu, protestowano, ale nie było innego środka, a koronacya insigniami nowemi nie starczyła.

Musiano więc nocą, po cichu, wypiłować otwór; weszli nim do skarbca wysłani urzędnicy i wynieśli drogie pamiątki, poczem straż postawiono, nim by napowrót ściana została zamurowana.

Tak składało się wszystko na to, aby z tej przyśpieszonej koronacyi, uczynić akt niesłychanego zuchwalstwa, urągającego się prawom.

Surowi senatorzy, zaszedłszy raz dalej, niż chcieli, cofnąć się już nie mogli, ale na obliczach ich widać było, jak ich bolało, że się zaawanturowali, nie przewidując, do czego ich wybór króla doprowadzi. Contyści, których jako spektatorów, nie mieszających się do niczego, było dosyć, urągali się, śmieli i oburzali, co wcale ani króla, ani najbliższych jego zwolenników nie hamowało.

August spodziewał się olśnić przepychem dnia

tego, bo dyamenty, które miał dźwigać na sobie, szacowano na milion talarów, sumę naówczas olbrzymią, choć dzisiaj się ona taką nie wydaje. Sam strój jego był najdziwaczniejszą mieszaniną, jakby na teatralne deski wymyśloną, z rzymska, niemiecko-polski. August chciał się koronować we zbroi i ufając olbrzymiej sile, wdział bardzo ciężki kiras złocony, a na głowę kapelusz, białemi piórami przystrojony. Płaszcz na zbroi był z niebieskiego aksamitu szyty w kwiaty złote, podbity gronostajami. Dodawszy do tego starożytne sandały, miecz rzymski i inne drobniejsze przybory, składało się to na coś dziwacznego, niewidzianego, ale przez to samo obudzającego podziw i zachwycenie.

Stolnik Górski, ujrzawszy go wchodzącego w tym stroju przy odgłosie trąb i muzyki, krokiem wyuczonym, z postawą teatralną, złożył ręce i jęknął:

— Komedyant! Daj Bóg, byśmy tragedyi pod nim nie oglądali, dobrze nasze opłaciwszy miejsca.

Zbytecznie sobie zaufawszy, król pierwszy *omen* złowrogi niebacznością swą wywołał. Znużenie, ciężar zbroi i ubranie, nawet tak herkulesową siłą obdarzonego złamały. Śpiewano przed wielkim ołtarzem kirye elejson i biskup Dębski miał rozpocząć wyznanie wiary, które za nim August powinien był powtarzać, gdy naraz pochylił się, blednąc i zemdlał.

Bliżej stojący nie dali mu paść, a natychmiast nadbiegająca służba pośpieszyła porozpinać zbroję i zdjąć ją z niego.

Człowiekowi, który swoją siłą zwykł się był chlubić, a uchodził za atletę, w obliczu tłumu w tak uroczystej godzinie omdleć, było ciosem niesłychanie bolesnym. August był dotknięty wstydem i wzburzony; zresztą jak w nic nie wierzył, tak i do przepowiedni żadnej nie przywiązywał wagi, ale wśród pobożnych i bogobojnych polaków omdlenie w chwili wyznania wiary... miało znaczenie jakby przestrogi z niebios.

W duszy króla srom doznany wywołał gniew

straszliwy, który w sobie pohamować musiał; całą nadzieją jego było, że w ścisku tylko bliżsi to chwilowe osłabienie dostrzedz mogli... chociaż wieść o niem piorunem się rozeszła po kościele, a za kościół do miasta. Ale wkrótce potem, gdy na skronie namaszczone włożono koronę i zaczęło się wołanie: *Vivat Rex!* coraz głośniejsze, a działa zagrzmiały na wałach, towarzysząc uroczystemu Te Deum, zapomniano o wrażeniu, a inni pogłosce nawet wierzyć nie chcieli.

August, który żadnemu bolesnemu i przykremu wrażeniu nigdy nad sobą długo panować nie dał, razem z lazurowym płaszczem, który na szkarłatny przemienił i humor potrafił rozjaśnić.

Zamek przepełniały tłumy, chociaż one inaczej wcale wyglądały, niżeli przed wieki w równie uroczystych dniach namaszczenia i hołdu. Brakło orszaków, senatorów i magnatów; połowa znaczniejsza ziem korony i Litwy wcale tu reprezentowaną nie była. Ale ci, co tu przewodzili, nie zważali na to wcale, wiedzieli oni jakiego znaczenia dla narodu pobożnego był obrzęd uroczysty, religijny, w którym sam Bóg przez swych kapłanów brał udział. Był to jakby ślub któremu choćby orszaku brakło, nie mniej wiązał przysięgą nowożeńców...

Na to poszanowanie namaszczenia rachował i biskup Dębski i wielu adherentów Augusta, a w obozie przeciwnym wiadomość o spełnionej koronacyi musiała przygnębiające uczynić wrażenie. Biegały jednak dowcipy o tej elekcyi bez prymasa, pogrzebie bez zwłok, otwarciu skarbca bez klucza i koronacyi bez pactów conventów, o których już mówiono po cichu, że zginęły!!

Fortel to był, aby nowe układając, postarać się o wyeliminowanie z nich niewygodnych punktów, a między innemi warunku, tyczącego się królowej, która wolała wyrzec się korony, niż wiary...

Ostatnim dniem, dopełniającym uroczystości koronacyjnych, był zwykły hołd miasta w rynku krakowskim.

Król, który wiele rachował na swą powierzchowność, wystąpił znowu inaczej we wspaniałym płaszczu niebieskim, złotem podbitym, w sukni srebrnolitej, obsianej dyamentami, w czapce polskiej z kitą brylantową i buławą dziwaczną w ręku. Dla ludu pieczono woły i urządzano winotryski... August lubił jeść i karmić, a poić.

V.

W kamienicy Jabłonowskich siedział sam, sparty na ręku, w myślach zatopiony pan wojewoda wołyński, syn hetmana... Uciekł on od wrzawy zamkowej i zabawy królewskiej, która go nie bawiła... Młody, w sile wieku wojewoda, miał na twarzy pięknej typu polskiego, rysów szlachetnych, wypiętnowane pochodzenie, krew pańską i wczesną dojrzałość, która lat nie czekała.

Z pańska przybrany pokój, w którym się znajdował, świadczył o ulubionych zatrudnieniach myślącego i pracowitego hetmańskiego syna. Dosyć duży stół cały był zarzucony księgami rozmaitych formatów i powierzchowności Leżały na nim i w drewnianych, skórą świnią odzianych okładkach, stare foljanty i piękne z pozłocistemi brzegi francuzkie wydania i niepozorne w niebieskiej bibule nowości domowe; papier, inkaust, pióra stały w gotowości do pisania.

Wojewoda jednak ani czytał, ani pisał, odpoczywał i dumał, wydychać potrzebował czczą wesołość, z zamku przywiezioną. Pod pięknem wyniosłem czołem chwilami ściągały mu się brwi i usta zaciskały od jakiejś wewnętrznej boleści. Ręka bezmyślnie chwytała jednę z ksiąg, leżących przed nim, oczy roztargnione zatrzymywały się krótko na rozwartych

jej kartach — i wojewoda precz odsuwał uchwyconą księgę.

Niepokój i walka wewnętrzna tem widoczniej się w nim piętnowały, że sam będąc, nie potrzebował się lękać, aby go podpatrzono. Każdego bowiem zdziwić by musiało to usposobienie Jabłonowskiego właśnie w tym momencie, gdy zdawało się, że spełnione fakta zaspokoić go były powinny.

Hetman i on po surowej rozwadze, widząc, że Sobiescy się z własnej winy utrzymać nie będą mogli, że Conti nie wczas i słabo przez Francyę zostanie poparty, przeszli na stronę Kurfirsta i potężnie go swym wpływem poparli. Stało się czego pragnęli: August został ukoronowanym, okazywał się dla ojca i syna wdzięcznym, obiecywać sobie mogli wpływ i znaczenie za jego panowania. Czegóż więcej mogli na teraz żądać? W rozdawnictwie losu nie byli pominięci, jeśli nie sami, to ci, których losem się zajmowali.

Pomimo tego szczęśliwego składu okoliczności twarz wojewody wyrażała niepokój i smutek... Kto znał domowe sprawy Jabłonowskich, ten strapienia nie mógł im przypisywać. Wina więc troski spadała na rzeczy publiczne, chociaż te po myśli ich się zdawały. Samo tak wczesne usunięcie się od towarzystwa nowo ukoronowanego króla, gdy ten właśnie odpoczywał i weselił się poufale z przyjacioły, miało nie małe znaczenie. Nikt jednak z najbliższych nawet wojewodzie wytłómaczyć sobie tego nie umiał. Parę razy zajrzawszy do bajek Ezopa, Jabłonowski otworzył Boccaciusza, którego najmniej zdawał się potrzebować, przeczytał jednę kartę i odsunął go. Sparł się na łokciu i zadumał.

Wtem drzwi zlekka się uchyliły i znana a miła wojewodzie wypogodzona twarz Dzieduszyckiego ukazała się w nich; wchodzący gość, nie śmiejąc zakłócić spoczynku wojewodzie, zatrzymał się milczący, jakby czekał na pozwolenie do wnijścia. Wojewoda

wstał i zbliżył się do progu, podając mu rękę, usiłując twarz rozjaśnić.

— Pozwolicie?—zapytał starosta.

— Proszę was — rzekł Jabłonowski — widzicie, nie przerwaliście mi nic, oprócz myśli!

— Smętnych, wśród prawdziwego wesela? — odparł, wchodząc Dzieduszycki i zabierając miejsce przy stole, u którego Jabłonowski siadł też na swem krześle.

— Tak jest—rzekł wojewoda—smętnych wśród wesela, a może tem weselem właśnie wywołanych. Taką jest ludzka natura, że się w sprzeczności łatwo przerzuca.

— Nie sądzę—mówił dalej starosta, — abyście mogli czemkolwiek smutek wasz usprawiedliwić; ja się już tem nawet cieszę, żeśmy szczęśliwie przebrnęli te dni ciężkie radości urzędowej, występów galowych, vivatów, prezentacyi, mów i procesyi. Wszystko to czcze, a nużące bez miary...

— A! tak jest, tak jest!—potwierdził wojewoda—lubować się w tem mogą tylko ludzie płosi! Ale czego zwyczaj wymaga, co tradycye narzucają, spełnić się musi. Koronacya ze wszystkiemi jej przynależytościami dokonana, ale teraz dopiero następuje sejm... orzech do zgryzienia twardy!

Oba zamilkli; Dzieduszycki potrząsnął głową.

— Najgorsza to—rzekł,—że go trudno uczynić prawnym, bo nim nie jest; nie cała Rzeczpospolita będzie na nim reprezentowana.

— A kwestye przyjdą,—dodał wojewoda—które i najpełniejszemu zgromadzeniu rozstrzygaćby nie łatwo było...

Po krótkiem milczeniu Jabłonowski dodał:

— Wiecie, że oryginał pactów conwentów zaginął?

Ruszył ramionami Dzieduszycki, a wojewoda z pewnym przekąsem ciszej dokończył.

— Osobliwa to rzecz, że co zawadzaćby mogło, w sam czas znika, a co pomagać ma, znajduje się

najniespodziewaniej. Wielkie to szczęście króla, szczerza powiedziawszy... nie podoba mi się.

Trochę zdziwiony spojrzał na mówiącego pan starosta. Parę razy w milczeniu zmierzył krokami niewielki pokój gospodarz i, zawróciwszy, stanął przed swym gościem.

— Tak, tak, wiele mi się rzeczy nie podoba, i dlatego widzicie mnie smutnym. Przed wami zeznać to mogę — mówił dalej — sam nasz nowy regent, im go bliżej poznaję, tem mniej mi przypada do serca...

Dzieduszycki szeroko osworzył zdziwione oczy. Wojewoda westchnął.

— Gładki, miły, uprzejmy — ciągnął dalej wojewoda — ale zbyt łatwy, gdy o rozwiązanie takich węzłów idzie, które dla sumiennego człowieka bywają szkopułem i zaporą. Wszystko omija lub nadrabia, śmieje się ze wszystkiego. Rozumiem teraz, że mógł łatwo zmienić wiarę, bo do niej żadnej nie przywiązuje wagi. Mamże ufać temu, który Boga w sercu nie ma?

— Panie wojewodo—przerwał z boleścią Dzieduszycki—zapóźno to przychodzi! Niestety, klamka zapadła!

Nic nie odpowiedział Jabłonowski, jak gdyby nie uważał klamki za nieodwołalnie zamkniętą. Potrzebował, uczyniwszy wyznanie szczere, a przykre uniewinnić się z niego i począł, o stół się oparłszy, a głowę spuściwszy.

— *Mea culpa!* Zawiódł mnie ten człowiek, bom go takim sądził, jakim się okazywał pierwotnie. Zdawał się otwartym, szczerym do zbytku, dobroci pełnym, tymczasem...

Starosta przerwał.

— Wątpicie?

— Wszystko fałsz! Komedye są wszystko! — kończył, rozgrzewając się Jabłonowski. — Teraz, gdy mniej potrzebuje się kryć przed nami, codzień straszniejszym mi się wydaje. To, co o nim z Saksonii do-

chodzi, przeraża. Gdyby nam był potrzebnym pan do bankietowania i zabawy, z pewnością byśmy lepszego od niego wybrać nie mogli; my zaś właśnie o silnego, surowego, ale sprawiedliwego, powinniśmy byli Boga prosić. Rzeczypospolitej gmach nie podpierać, ale zgoła przebudowaćby należało, nie obalając. Śmieciem i brudami stare nasze gmachy zarzucone oczyścić. Sądziliśmy, iż weźmiemy człowieka, który to zadanie pojmie, a będzie miał siłę je rozwiązać. Tymczasem cała jego moc w dłoni, w głowie, płochości i próżności, w sercu chłód i egoizm.

— Na Boga! — wykrzyknął Dzieduszycki — nie patrzajcież na przyszłość z takiem o niej zwątpieniem, a pozwólcie sobie powiedzieć, że jakeście się raz omylili na nim, tak i w sądzie, bez miary surowym, możecie być niesprawiedliwymi.

Jabłonowski ręce złożone podniósł do góry.

— Obyście byli prorokiem, a ja kłamcą — zawołał — ale niestety, niestety, lękam się, abym tym razem nie widział za jasno. Rozpatrzcie się w całem jego postępowaniu; wszystko jest fałszem, podrobieniem i obłudą.

— Nie wiem tylko—przerwał Dzieduszycki, — czy wszystko to jest jego winą. Widzicie go otoczonym doradcami, a w sprawach Rzeczypospolitej on nie tyle rozstrzygał, co Dębski i Przebędowski. Złóżcie część winy na tych radców.

— Macie słuszność — rzekł wojewoda, — lecz w takim razie przyzwolenie i przyswojenie sobie tych środków fałszu jest wspólnictwem w niem. Wiecie to, że kto pomaga do spełnienia przekupstwa, a nie opiera mu się, ten niewinnym nazwać się nie może. Od elekcyi począwszy, stąpamy po bezprawiach; Dębski uzurpuje miejsce Prymasa, garść wyborców mianuje się większością... my wszyscy rokoszanie jesteśmy... Lecz pomińmy to! Na koronacyę kradniemi insignia, na zamek dostajemy się przekupstwem, grzebiemy Sobieskiego, gdy zwłoki jego są w Warszawie, i tak dalej.

— Gdybyście wiedzieli, jak się on wesoło z tego wszystkiego śmieje! Cóż my po nim spodziewać się możemy... co go wiąże? Nasze ustawy i prawa łacno mu będzie obchodzić lub wywracać, a życie prywatne... zgroza!!

— Młodość—odparł starosta.

— Namiętność, krewkość—mówił dalej Jabłonowski—wszystko to pojmuję, ale nie, gdy się szuka chluby z grzechu i urąga temu, co jest prawem Bożem i ludzkiem. Nauczyli nas cezarowie rzymscy, iż dla nich praw i granic nie było, że sobie mogli pozwolić konie konsulami mianować, siebie bogami, a wyzwoleńców swych niewiastami; ale po nich przyszedł Chrystus, światło się rozlało po ziemi, kondycya człowieka zmieniła się, przyszły obowiązki nowe, od których się wyzwolić nie można.

Westchnął wojewoda; nastąpiła potem długa chwila milczenia. Zachmurzył się i Dzieduszycki, jaśniej przejrzawszy, ale pierwszy potem usta otworzył.

— Panie wojewodo! Bądź co bądź nam już nie utyskiwać trzeba, lecz myśleć o tem, jak złemu zapobiedz.

Jabłonowski spuścił ręce, jakby bezsilne.

— Macie słuszność. Zbolałe serce tylko otworzyłem przed wami—dodał,—a wierzcie mi, żem nikomu więcej do niego nie dał zajrzeć. Macie słuszność. Popełniamy błąd, przyznając się do tego; gdy się nie usiłuje błędu naprawić, na nic się lamenty nie zdały. My, cośmy sądzili, że temu panu pomagać tylko będziemy obowiązani, podobno z nim wkrótce do walki stanąć będziemy musieli.

— Nie wzdrygniemy się przed nią — odparł mężnie starosta. — Do tegośmy, niestety, wdrożeni i nawykli.

— Ale tu łatwo się rozbić o szkopuł — dodał wojewoda,—na który w ciągu długich lat natrafialiśmy ciągle... Walka o prawo przechodziła w namiętne rokoszowanie i spiski. Nastawano na życie Bato-

rego, zatruto żywot jego następcy, warcholono za dwu synów jego, zamęczono Wiśniowieckiego, znękano Sobieskiego i toż samoby miało się powtórzyć znowu?

Dzieduszycki się podniósł z siedzenia.

— Sądzę—odezwał się weselej,—że da-li Bóg, nie przyjdzie do tego! Zawczasu tylko należy mu dać uczuć, że poprawy Rzeczypospolitej żądamy, ale wywrotu jej nie dopuścimy.

I po chwili starosta dodał.

— Mielibyśmy się ulęknąć ośmiu tysięcy sasów, których wpuścimy do kraju?

— Wojska? — rozśmiał się smutnie Jabłonowski.—Ja się wojska wcale nie lękam. Boję się czegoś innego... Tych ludzi, dla prywaty gotowych na wszystko, którzy królowi tak służyć będą w przyszłości, jak mu teraz posługiwali.

— Większość przecież uczciwa—dodał Dzieduszycki.

— Tak, ale uczciwi to ludzie spokojni, którzy nie radzi krzyczeć i podnosić wrzawę, a szyby w oknach wybijać. Mniejszości burzliwe wszędzie górą.

To mówiąc i jakby już syt był własnych smutnych wieszczb i przeczuć, wojewoda zbliżył się do stolika, wziął w ręce jakąś książkę, rzucił oczyma na nią i zwracając się do starosty, zapytał:

— Nie wiecie o czem nowem od Łowicza?

— Od Prymasa?—podchwycił starosta — Wiem o tem, co i dla was nowością nie będzie, że Radziejowski dotąd się trzyma uparcie Contiego, ale bodaj dla tego to czyni, aby drożej się sprzedał.

Wojewoda dał znak potwierdzający.

— A o Contim co słychać?

— Płynie do nas to pewna—mówił starosta,—ale siły znacznej z sobą nie prowadzi, a tu jej zebranej na przyjęcie nie znajdzie. *Nifallor* rachuje na to, że dosyć mu się pokazać, aby za nim poszły zbrojne rzesze, a my, my wielce wątpimy o tem.

— Gorzej, bośmy pewni, że garść się może znaj-

dzie tych, co swe wrota na polu pod Wolą orężem popierać gotowi. Wojna domowa... najstraszniejsza klęska, jaka może kraj dotknąć... rokosze. Dla tego my nietylko przy Augnście stać musimy, ale jednać nowych przyjaciół...; to w istocie zadanie obecnej godziny, a jutro *Deus scit et Deus providebit!*

Na tem skończyła się rozmowa *de publicis,* a Jabłonowskiemu, gdy zrzucił ciężar z serca, lżej się jakoś zrobiło. Nie długo jednak rozchmurzonym pozostał; brwi mu się najeżyły i twarz posmutniała.

— Wiecie o tem—rzekł,—że ten Elekt, jadący na koronacyę, nie mógł się bez tego obejść, aby z sobą nie wlec jakiejś niemkini, pani Dufeki, która jawnie rezyduje w Łobzowie i wygląda jak wielka pani, a zowią ją hrabiną? Służba zaś jego niepoczciwa już tu po Krakowie lata, polując na twarzyczki i miłośnice dla pana, któremu coraz coś świeżego potrzeba.

— *Proh pudor* — odparł, marszcząc się, starosta—ale nie są-ż to wymysły i potwarze?

— Nie,—rzekł wojewoda—są to sromotne początki tego, co nas czeka. Nie damy mu potem złamać ustaw naszych, ale cóż to pomoże, gdy rodzinę nam zarazi rozpustą, a ze świętych niewiast naszych porobi sobie nałożnice? Ognisko domowe zburzy... co nam pozostanie?

Milczał starosta, spuścił głowę i wzdychał; dopiero po długiej chwili rozmysłu, wyrwało mu się:

— Nie może to być, nie może! Zaraza ta nas się nie imie. Nie wierzę, nie przypuszczam, nie boję się! Niewiasta nasza zbyt czystą jest i świętą. Matki nasze zbyt pobożne.

I silną pięścią uderzył w stół, a oburzenie to widząc wojewoda, porwał go w ramiona i serdecznie uścisnął. Obu im łzy na powiekach stanęły.

Jabłonowski się rozweselił znowu, a że godzina wieczerzy nadchodziła, klasnął na sługi, aby ją podawano, zaprosiwszy Dzieduszyckiego.

— Na zamek dziś nie pójdę; jutro się będę mu-

siał wytłumaczyć chorobą—rzekł,—ale pijatyki, jaka tam wczoraj była i dziś się powtórzy, nie znoszę, a nawet patrzeć na nią mam obrzydzenie.

Choć wojewoda przy wieczerzy rad był rozmowę odwrócić od tego, co umysł jego zajmowało, jemu i staroście zarówno przychodziło to z trudnością i mimowoli najmniejsze słówko napowrót ją do króla i bieżących spraw ciągnęło. Dla Jabłonowskiego był on niepokojącą zagadką, w której coraz nowe strony się ukazywały. Obok płochego, rozpasanego i lekkomyślnego człowieka, zdradzał się polityk zuchwałych planów, który obudzał obawę.

Wojewoda dostrzegł, iż August po kilkakroć zawsze sam na sam i w nieobecności panów polskich, miewał narady z posłem Brandeburskim v. Overbeckiem, usiłując widocznie go sobie pozyskać. Ze słów, pochwytanych w różnych źródłach, dawało się wnosić, że król już zbliżył się do cara Piotra i na jego przyjaźń i alians rachował.

Wszystko to wprawdzie tłumaczyło się potrzebą zabezpieczenia od Szweda, któremu Inflanty należało odebrać. W pactach, które zaginęły, stało odzyskanie *awulsów,* a do tych należały równie Inflanty, jak Kamieniec, Podole i części oderwane Ukrainy.

W kraju szczególniej boleśnie się czuć dawała utrata Kamieńca i na tę twierdzę zwracały się oczy wszystkich; tymczasem na dworze saskim mówiono więcej o Inflantach i nie ulegało wątpliwości, iż król naprzód myślał o ich odzyskaniu. Wojska saskie, które miano wprowadzić do Polski, do Inflant przeznaczone były.

Wiedziano już, że młody Karol XII, był wielce rycerskiego ducha, surowego obyczaju i męzkiego, żelaznego charakteru, ale i w Auguście spodziewano się znaleźć siłę, mogącą się mierzyć z nim. Generałowie niemieccy, pomimo wspomnień kampanii dwukrotnej przeciwko Turkom, którą się chlubić nie było można, wychwalali rycerskie męztwo Augusta i wiel-

kie militarne wykształcenie. Spodziewano się w nim przyszłego bohatera, który mógł stanąć godnie obok wielkiej postaci zwycięzcy z pod Wiednia. Niepowodzenia pierwsze przypisywano powszechnie zazdrości i podstępom dowódzców austryackich.

— Konszachty potajemne z Brandeburczykiem i jego posłem nie podobają mi się—mówił po cichu Jabłonowski, — tak jak i zbytnie serdeczne bratanie się z carem Piotrem.

— Czegożbyśmy się obawiać mogli?—uspakajał Dzieduszycki. — Trzeba przypuścić aż zdradę tego kraju, któremu się wierność zaprzysięgało, ażeby waszą trwogę podzielać.

— *Utinam sim falsus vates!*—westchnął wojewoda—ale ja się obawiam najgorszych rzeczy. Bóg może nie dopuści ich spełnienia, a jednak...

Hałas w przedpokoju zmusił nagle przerwać rozmowę. Gospodarz wstał, nie mogąc zrozumieć, kto się dobija, gdy wbiegł dworzanin, oznajmując posłańca od króla J. Mości.

Był nim znajomy nasz Zacharyasz Witke, chociaż nie król go przysłał, ale Constantini, który sam nie chcąc się fatygować na miasto, pozwolił sobie wysłać tego podręcznego swego, pod pozorem, że się z wojewodą po polsku porozumieć potrafi.

Witke też dla własnych celów już się tu był przebrał po polsku, nazywał się, śmiejąc, Witkowskim i wcale nieźle udawał polaka.

Wojewoda przyjął oznajmionego królewskiego posła, nie powstając. Zdziwił się, widząc niby polską postać, choć król jeszcze polskiego nie miał dworu. Witkowski miał powierzchowność nader ujmującą.

— Przychodzę—rzekł, pokłoniwszy się — z polecenia króla do pana wojewody, gdyż radby był go N. Pan oglądał na zamku, gdzie w wesołem towarzystwie odpoczywa i do niego zaprasza.

Zafrasował się nieco Jabłonowski i posłańcowi kazawszy nalać kubek wina, rzekł uprzejmie:

— Czułem się nie zdrów; prosiłem pana mar-

szałka koronnego, aby mnie uniewinnił, iż muszę się dziś wyrzec szczęścia oglądania oblicza J. K. Mości. Nie pojmuję, jakim sposobem Lubomirski mógł zapomnieć moją ekskuzę?

— Mógł on oświadczyć królowi — odparł Witkowski—ale król snadź tęskni za panem wojewodą.

— Chciejże pan oświadczyć, iż choć niezbyt usposobiony, natychmiast przybędę podziękować przynajmniej królowi.

Nowokreowany przez Mazotina dworzanin, ukłonił się i odszedł. Pozbywszy się go, wojewoda kazał natychmiast podać sobie ubranie i zaprzęgać kolebkę.

— Jestem zmuszonym jechać—rzekł, żegnając Dzieduszyckiego;—może też posłuży mi na coś przypatrzenie się mu lepsze w tym stanie podchmielenia, w jakim się już musi znajdować... *In vino veritas*, ale mi się trafiało widzieć go przy końcu takiej pijatyki, gdy go sasi we dwu pod ręce prowadzili do łożnicy, jeszcze tak przytomnego, że się żadnem słówkiem nie zdradził.

Jabłonowski zastał na cichym oddawna zamku krakowskim, w oddalonych komnatach Augusta, otoczonego niemcami i polakami w humorze nadzwyczaj podnieconym, śmiejącego się, dowcipkującego, wyszydzającego swych przybocznych, lecz nie upojonego wcale.

Polacy i sasi w najlepszej komitywie obejmowali się i ściskali. Ze złośliwością dziecinną król jednych przeciwko drugim podbudzał i robił sobie z tego igraszkę.

Zobaczywszy wojewodę, podszedł ku niemu z nadzwyczajną grzecznością i nazwał go dezerterem, za którym tęsknił... Ale zarazem przenikliwemi oczyma badał go, jakby się czegoś domyślał i obawiał. Wojewoda trochę chmurny i przemódz się nie mogący, podziękował pokornie dosyć, lecz nie potrafił udawać wesołego.

Zmuszono go do wychylenia zdrowia króla to-

kajem, jednym z licznie przygotowanych kielichów rozmaitego kalibru, które stały uporządkowane.

August ujmował polaków za serca swą niepraktykowaną w panującym poufałością. Nie zrzucając z siebie nigdy majestatu, umiał jednak tak się uczynić łagodnym i przystępnym, że prostoduszni byli zachwyceni. Jabłonowski raz już wpadłszy na trop charakteru, widział w tem tylko niezmiernie zręcznie odegraną komedyę, w której szczerość nie wierzył.

Rozmowa, z której poważniejsza treść była wykluczoną, toczyła się o fraszkach. Fleming i Przebędowski badali króla, jakie na nim wrażenie uczyniła ludność królewska, a szczególniej kobiety, pomiędzy któremi i pań polskich wiele się wmięszało przez ciekawość.

Fleming utrzymywał na wpół seryo, że teraz, gdy August został zarazem królem polskim i Kurfirstem saskim, sprawiedliwość wymagała, ażeby przez pół roku bawiąc w Saksonii miał tam kochankę niemkę, a w Polsce polkę sobie wybrać był powinien.

Król się uśmiechał, Przebędowski coś mruczał.

Było to już nie pierwsze naówczas panowanie metressy, która Augustowi poczynała się przykrzeć. Po pannie Kessel, nielicząc przemijających miłostek, których obrachować nawet Mazotin nie umiał, po pięknej Kessel, nastąpiła Aurora hr. Königsmark, ze Szwecyi rodem; a chociaż król nie zerwał z nią zupełnie, już ją zastępowała hrabianka Lamberg, austryjaczka, wydana za hr. Esterle.

Dębski przestrzegł Elekta, ażeby przynajmniej na koronacyę nie wiózł z sobą skandalu, któryby polaków mógł zrazić. Esterle więc miała pozostać w Dreznie, ale się uparła towarzyszyć królowi, utrzymując, że nikt o niej wiedzieć nie będzie i siedziała w Łobzowie pierwszych dni, a potem wśliznęła się do Krakowa. Udawano, że nie wiedziano o tem.

Oprócz niej za wiadomością i zezwoleniem Augusta, jako niby ochmistrzyni i żona jednego z urzęd-

ników dworu, przybyła tu panna Klengel i otwarcie na Wawel zajechała.

Jak się wydawała służba ta cała, Spiegle, Hoffmanowie, Constantini, Lehman bankier, Flemingi i Pflugi, naostatek sam pan—w tym starym poważnym, smutnym, opuszczonym zamku, który nigdy podobnych ludzi i obyczaju nie oglądał—wypowiedzieć trudno. August czuł się tu obcym gościem i było mu tak nieswojsko na zamku, jak w kościele katolickim, jak w katolickiej Polsce. Rozumiał to sam, że wchodził we wnętrze Rzeczpospolitej, jak okryty skórą baranka nieprzyjaciel. Wszystko go tu raziło, z gruntu pragnął też to wszystko wywrócić i obalić. Tymczasem zadanie to właśnie wymagało uśmiechania się i radowania z tego, co dla niego było wstrętnem i śmiesznem.

Tę walkę wewnętrzną Jabłonowski pochwycił i odgadnął intuicyę jakąś w królu Auguście. Nie była ona tu w panującym nowością, bo z podobnemi uczuciami wchodzili na tron Henryk Walezy, który uciekł od niego, Batory i Zygmunt III, w początkach chcący się pozbyć korony ustępstwem rakuskiemu Ernestowi. Ani Władysław, ani Jan Kazimierz polakami się nazwać nie mogli. Ale w tych wszystkich była dobra wola porozumienia się z krajem i przejednania, gdy w Auguście koronacyę poprzedziły plany nieprzyjazne wywrotu i zamachu na ustawy Rzeczypospolitej.

Zaledwie zstąpiwszy z majestatu w rynku krakowskim, król suknie polskie natychmiast zrzucił i poczuł się zaraz swobodniejszym. Z panami polskimi, nie wyjmując zaprzedanego mu Przebędowskiego, nigdy się nie zdradził z tem, co myślał. Z sasami nie mówił też otwarcie z żadnym, oprócz Fleminga.

Tego dnia po przybyciu wojewody wołyńskiego na zamek, który stanowczo się od kielichów wymówił, zapijano, śmiano się i żartowano, tak że dopiero bardzo późno w noc wszyscy się porozchodzili. Przez cały czas pobytu wojewody wołyńskiego na

zamku, król go nie spuszczał z oka, chociaż nie dawał tego poznać po sobie. Jabłonowski też źle w sobie ukrywał jakieś podrażnienie.

Z Flemingiem potem wszedłszy do sypialni, August mu szepnął.

— Jabłonowski ojciec i syn są mi podejrzanymi!

Ponieważ oni byli jednymi z pierwszych, którzy się dali nawrócić i wpływ ich wielce dopomógł elekcyi, Fleming znalazł to poderzenie dziwacznem. Ruszył ramionami.

— Tego wcale nie rozumiem i nie widzę najmniejszego powodu do zniechęcania się przeciwko nim—odparł.—Nie godzi się im czynić takiej krzywdy.

Król stał, patrząc ostro na przyjaciela.

— Przyczyny do posądzenia ich nie mam — rzekł—to prawda; nic im dotąd zarzucać nie mogę, zgadzam się, a pomimo to wszystko czuję w nich prędzej czy później, wrogów moich. Szczególniej wojewoda wołyński, filozof i świętoszek, nie podoba mi się.

— Śmieszna rzecz — dodał po chwili — zawsze się obawiałem ludzi, co nie piją, wesołymi być nie umieją, cnotę swą, jak płaszcz, na ramionach noszą. W Jabłonowskim ja nie widzę nic jasno, zamknięty dla mnie, nigdy ani na chwilę nie otworzył się przedemną.

— Ale—odparł niecierpliwie Fleming—są natury i temperamenty różne. Ja się przynajmniej w Jabłonowskim nie obawiam zdrajcy.

— To są republiwanie - zamknął król.

Z tem samem uczuciem wstrętu wojewoda powrócił z zamku. Im dłużej był z królem, tem czuł większą do niego odrazę.

Nazajutrz rano już się rozpoczynały przygotowania do sejmu koronacyjnego, które wszystkich pochłonęły. Znaczna część przybyłych przerażona była tem, że podpisane pacta conventa zginęły. Gdzie się one podziały i jak zaginąć mogły, dojść było nie-

podobna; najściślejsza inkwizycya nie wykazała nawet jaśniej w czyje ręce przeszły po podpisaniu i kto je zatracił.

Nie był to jednak prosty przypadek, tak jak Dębski go podawał. Domyślano się zamiaru jakiejś zmiany w tych punktach, które królowi niewygodne być mogły.

Ze stronnictwa Augusta nawet ludzie podnosili głosy groźne, czując, że milczeniem na siebie część winy za to przyjąć musieli. Król sobie lekceważył w początku i dopiero postrzegłszy, że się na burzę zanosiło, oświadczył, iż w razie konieczności po raz wtóry takie same słowo podpisze.

Z całego obejścia się jego w Polsce widać było, że gotów był zachować formy, do których wagę tu wielką przywiązywano, ale do celu swego innemi zamierzał iść drogami. Myśli jego po za kulisami szukać było potrzeba; nigdy ona nie występowała na scenę.

Witkowski Witke, który nie odstępował przyjaciela Constantiniego, nazajutrz na rozkaz jego stawił się na zamek. Tu pomiędzy niemiecką dwornią przebranego po polsku kupca z Zamkowej ulicy witano zawsze śmiechami, drwinami i cieszono się niezmiernie z tej maskarady, która dzielnie dopomagała Witkemu do wciskania się i podsłuchiwania.

On sam, jakby upojony i rozmarzony, gdy mu się udało stać potrzebnym Constantiniemu, głowę tem sobie zawrócił i zapomniawszy własnych planów, dał mu się ciągnąć dalej.

Zdawało mu się, że stał już na pierwszym szczeblu drabiny, która go gdzieś do wymarzonych, górnych sfer prowadzić miała. Co do handlu, przekonał się, że tu nie wiele miał do zrobienia. Na czas pobytu króla w Warszawie, gdzie ze dworem niemieckim musiał gościć, mógł wprawdzie Witke przywieźć to, czego niemcom było potrzeba i do czego byli nawykli. Toż samo w Dreznie dla przybywających panów polskich mógł przygotować, lecz wszystko to ra-

zem niewiele znaczyło. O jakimś handlu olbrzymich rozmiarów nie było mowy, bo nowego nic stworzyć nie umiał pan Zacharyasz.

Zabiegi jego wszakże nie spełzły na niczem. Pochlebiał sobie, że król już o nim wiedział, chociaż się w tem mylił. Zręczny włoch posługiwał się nim jak drugimi, strzegąc się wyjawić przed panem, jakich używał narzędzi, a wszystko biorąc na siebie.

I teraz widząc, że królowi szło o to wielce, aby jakiś stosunek z rodziną Prymasa, z Towiańskiemi zawiązać, oświadczył, mając na myśli Witkego, iż znajdzie człowieka, który się tam wcisnąć potrafi.

I gdy sejm miał się rozpoczynać, Witke odbierał od Mazotina instrukcye na podróż do Warszawy i Łowicza.

Dla niezbyt jeszcze z krajem obznajmionego kupca było to zadanie dosyć trudne, ale Witke wiele sobie ufał i miał odwagę niepospolitą. Może też nowość tej roli, jaką miał odegrywać, pociągała go i nęciła. Miał na myśli zużytkować wreszcie Łukasza Przebora, który mu się już od pierwszej z nim rozmowy niepotrzebnie wyspowiadał. Aby pokryć te roboty pokątne, musiał nareszcie Witke czemś usprawiedliwić swój pobyt w Polsce, a że tu handel napitków i słodyczy mógł iść korzystnie, nie powątpiewał o tem. Godził się na to i Constantini, aby niedaleko zamku gdzieś handel otworzyć, wina sprowadzić i z winiarni zrobić źródło informacyi.

Z planami więc gotowemi, pożegnawszy Hellerów, wyruszył Witke tym razem sam do Warszawy.

Constantini, wyprawiając go, dając mu zlecenia, zużytkowawszy już do otwarcia bram zamku krakowskiego, dotąd o żadnem wynagrodzeniu, a nawet o zwróceniu kosztów nie mruknął. W ogólnych wyrazach mówił o wdzięczności króla, w przyszłości ukazywał świetne widoki, na teraz jednak klepał go po ramieniu tylko, chwalił zręczność i na tem się skończyło.

Witkemu na środkach nie zbywało, był więc

cierpliwym, ażby stał się niezbędnie potrzebnym. Nie szło mu o maleńkie zarobki, ale o grubą rachubę całej przyszłości.

Z głową pełną rojeń sunął się do Warszawy. Na ostatnim popasie przed stolicą, trafem w gospodzie spotkał się z francuzem Renardem, właścicielem winiarni pod zamkiem, w której znalazł Przebora. Utkwiła mu dobrze w pamięci jego fizjognomia francuzka, a że nauczył się z każdej zręczności korzystać, przybliżył się do niego.

Renard za długim w Polsce pobytem, nauczył się nie źle mówić po polsku.

— Kupcem jestem, jak waćpan—rzekł—i miło mi z nim zrobić znajomość. W Warszawie byłem w pańskiej winiarni. Co słychać w stolicy?

Renard był wielomówny, chętnie zabierał znajomość.

— A pan zkąd jesteś, i jakim się handlem zajmujesz?—zapytał.

— Sklep mam w Saksonii w Dreznie, ale na pół polak, myślę z okazyi wyboru Kurfirsta korzystać i przenieść się do Warszawy. Handluję... a trudno powiedzieć czem, między innemi i winem... tylko go u siebie nie daję.

— W Warszawie też myślisz wino sprzedawać?—rozśmiał się Renard.—To się na nic nie zda. Wielcy panowie sprowadzają z Węgier beczkami, szlachta też po kilku razem do Węgier posyła; pośrednika nie potrzebują.

— Ja też na jednem winie tylko nie stoję — odparł Witke — gotowem kupczyć czemkolwiekbądź. Muszę się rozpatrzeć. Nasz Kurfirst dużo pije i poi, wasi panowie też pono za kołnierz nie wlewają.

Renard śmiał się.

— Więcej się w Polsce przepija, niż przejada— rzekł z przekąsem.

Począł sas rozpytywać, jak szedł handel. Francuz ruszył ramionami.

— Choć mógłbym dla zrażenia was od konku-

rencyi narzekać—nie uczynię tego,—począł.—Handel szedłby dobrze, gdybym miał kapitał potrzebny. Muszę się rachować i łatać, a szlachta też nie rada płaci i często długo czekać potrzeba. Jeżeli waćpan pieniądze masz, możesz być szczęśliwszy odemnie.

— Pieniądze się znajdą — odezwał się po namyśle Witke — ale mnie doświadczenia i znajomości kraju brakować będzie... dla tego też jeszcze nie wiem co zrobię i co przedsięwezmę. Król nowy pół roku tu będzie mieszkać.

Tak rozpoczęta gawędka przeciągnęła się dosyć długo. Renardowi podobał się bystry i przedsiębiorczy Witke, a nawzajem Witke ocenił francuza, czując w nim uczciwego człowieka. Przyszło mu nawet na myśl jakąś z nim spółkę zawiązać, ale się z tem nie wygadał. Ciągnęła go ku temu i pewna okoliczność, której wstydził się przed samym sobą. Wyrostek ten, Henryetka, którą ujrzał w winiarni, córka Renarda, choć dziecko jeszcze, dziwnie mu wpadła w serce i oko. Twarzyczkę jej uśmiechniętą miał ciągle na pamięci. Ile razy się pochwycił na tej słabostce, rumienił się sam przed sobą.

Renard, który za interesem winnym jechał do Krakowa, obiecywał rychło powrócić do Warszawy i zapraszał kolegę, aby go odwiedził, co p. Zacharyasz z chęcią przyobiecał.

Rozstali się po tych paru godzinach, spędzonych z sobą, w dobrej komitywie. Renard wiele skorzystał z rozmowy, lepiej się obznajmiając z sasami i dworem.

Tegoż dnia Witke był na noc w Warszawie, a nazajutrz poszedł do winiarni do pani Renard, która gospodarowała sama z córeczką; przywiózł od męża pozdrowienie, zawierając przy tej zręczności z niemi znajomość.

Wyrostek śmiały, nad wiek swój rozwinięty, trochę zalotny, jeszcze mu się teraz więcej podobał. Nie zbywało i w Saksonii na ładnych twarzyczkach,

ale żadna z tych, jakie tam spotykał, nie miała takiego charakteru szlachetnego, takiej dystynkcyi.

W winiarni było huczno. Witke się nasłuchał dużo, szczególniej Contystów, bo ci tu panowali, a sascy adherenci, jeżeli byli jacy, milczeli i siedzieli przyczajeni.

Następnych dni z systematycznością niemiecką wziął się pan Zacharyasz do obchodzenia sklepów, handlów, rozpatrywania ich położenia, wynajdywania sobie miejsca, gdzieby najwłaściwiej było się zagospodarować.

Nie zwierzał się nikomu i nie brał do porady narzucających mu się pośredników, którzy odgadywali, co go tu sprowadziło. Chociaż mówił po polsku i przebrał się z polska, wychowanie i obcowanie długie wycisnęło na nim tak niemieckie piętno, iż nic go już zatrzeć nie mogło.

O Przeborze w tych pierwszych dniach ani się mógł dowiedzieć, ani go spotykał. Zbyt małe to było stworzenie.

Ze wszystkich rachub Witkego wypadało nie śpieszyć z żadnym krokiem stanowczym. Oglądał się na Constantiniego... nie był pewien, gdzie go on, to jest król, użyje. Wyobrażał sobie bowiem, że włoch zamiast na swą korzyść go obrócić, podzieli się nim zasługą i królowi naiwnie rywala zaleci.

Bystrego w innych rzeczach oka jego nie uszło, że w Warszawie Contyści, chociaż głośno bardzo przeciwko sasowi krzyczeli, nie uznając go, troszczyli się już, dowiadywali po cichu, co wiało z Krakowa, liczyli siły Augusta i dla tego trzymali się francuza, aby się sprzedać jego współzawodnikowi.

Postępowanie nowo ukoronowanego było nadzwyczaj zręczne i mądre. Wszystkie jego odezwy, listy do Prymasa, uniwersały tchnęły nadzwyczajną łagodnością i dobrocią. Nikomu drzwi nie zamykano, ktoby się chciał nawrócić. Król wszystkim obiecywał być jaknajczulszym ojcem.

Gdy Prymas groził i niemal wyklinał, August uśmiechał się, przyrzekał zapomnienie win wszelkich.

Potrząsano głowami, czytając i różnie sobie z tego rokując.

— Lis — mówili jedni — wszystkich on wywiedzie w pole!

— Mądry i dobry monarcha — unosili się drudzy, a inni dokładali:

— Wie, mospanie, że u nas kułakiem i grozą nic się nie robi!

VII.

Gdy w Krakowie przygotowywał się i toczył burzliwy Sejm Koronacyjny, na którego posiedzenia August przychodził, zmęczony codziennem ucztowaniem nocnem, a słuchał, nie rozumiejąc i lekceważąc próżne wyrzekania, ostatni akt dramatu, w którym Conti miał smutną rolę zawiedzionego, odegrał się pod Gdańskiem.

Kandydat Francyi, zaledwie wylądowawszy, aby się przekonać o swej bezsilności, powracał, wyrzekając się marzenia o koronie. Pozostawił jednak za sobą garść swych wiernych adherentów, a na ich czele Prymasa Radziejowskiego, uparcie stojącego przy rokoszu, który był już tylko środkiem do uzyskania od Augusta okupu.

Nowo ukoronowany król z dziwną przenikliwością, która kazała się domyślać, że go zawczasu dobrze obeznano ze stanem umysłów w kraju, przyjmował swe położenie wesołą twarzą i spokojnym umysłem. Nic mu się nie wydawało groźnem, szedł powolnym, ale pewnym krokiem do zamierzonych celów, jednając sobie cara Piotra i najprzyjaźniejsze stosunki utrzymując z kurfirstem Brandeburskim.

Nawet rekuperacya awulsów była mu bardzo na rękę, bo usprawiedliwiała wprowadzenie wojsk saskich do kraju, których liczby nie kontrolowano.

Przyboczna rada,—Fleming, Przebędowski, Dębski, mniej więcej wtajemniczeni w plany, sterowali dalej królewską łodzią. August zresztą do intryg i zabiegów politycznych miał więcej usposobienia, niż do wojny, o której wiele mówił, ale w pole wyciągać nie miał ochoty.

Przebędowski z biskupem kujawskim tak mu długo mówili, iż polacy krzyczą głośno, ale w końcu ulegają, że na króla wrzawa sejmowa nie robiła już żadnego wrażenia. Drugą zasadą i prawidłem było wszystko, czego się Sejm domagał, obiecywać, podpisywać nawet z tem przekonaniem, że go to bynajmniej nie wiąże.

Po każdem niemal posiedzeniu na pokojach u króla w poufałem kółku wyśmiewano najgorętszych, a Dębski szczególniej szkalował ich, doradzając zawsze iść przebojem.

Ważyło się już tylko, kiedy się wybrać do Warszawy i stawić czoło rokoszowi.

Tymczasem, gdy z Contim w listopadzie skończono, szło tylko o tajemne pozyskanie Prymasa, a August pozostawał sam, mimo wszelkich nielegalności przy elekcyi i koronacyi, prawomocnym monarchą, uznanym przez całą Rzeczpospolitę.

Witke znajdował się jeszcze w Warszawie, gdy posłaniec Mazotina przywiózł mu instrukcye, aby koniecznie się starał dostać do kasztelanowej Towiańskiej, siostry Radziejowskiego. Przez nią tylko można było pozyskać Prymasa.

Pani kasztelanowa słynęła z wielkiego rozumu, ale więcej jeszcze miała przewrotności i cynizmu. Nasłuchała się od młodości, jak Marya Ludwika i Marya Kazimiera kazały sobie płacić za wszystko, wydawało się jej sprawiedliwem wyzyskać swe położenie. Miała wpływ wielki na brata, zuchwalstwo, bezwstyd, a chciwość jej spocząć nie dawała. Za jej

poradą kardynał się trzymał, burzył, protestował, aby doprowadzić do tego, żeby go kupiono; pośredniczka nie myślała o sobie zapomnieć.

Witke mógł łatwo domyśleć się wszystkich potrzebnych mu szczegółów o pani kasztelanowej, ale drogi, jaką miał się do niej wcisnąć, nie łatwo mu było wyszukać. Pani Towiańska lada z kimby się układać nie chciała, ani zwierzyć pierwszemu lepszemu. Miała dumę rodziny, która świeżo się dobiła senatorskiego krzesła i w Rzeczpospolitej wcale dotąd znaną nie była.

Pomimo całej zręczności, kupiec, który dniem i nocą przemyśliwał nad tem, jak się dostanie do kasztelanowej, nie mógł dotąd nic począć.

Zapowiedziano mu tylko, że gdyby do tego przyszło, ażeby stanęła umowa jakaś i klejnoty lub pieniądze składać było potrzeba, winien się mieć na ostrożności, gdyż bardzo łatwo mógł być oszukanym.

Przebor, którego Witke wynalazł naostatek plątającego się na małych posługach u Contystów, przyznał się, że był używany od Prymasa dla informacyi o Dreznie i królu, że mówił z panią Towiańską, ale się nie mógł wcale jej łaską pochwalić.

Witke musiał tak chodzić około niego, aby nie wpraszając się sam, przez niego dostał się do kasztelanowej. Panu Łukaszowi było na rękę tą posługą pani Towiańskiej się zalecić.

— Uprzedź ją waćpan tylko — rzekł Witke, zgodziwszy się na wycieczkę do Łowicza—że ja mojego pana zdradzać nie myślę i dlatego chętnie objaśnię, czego się po nim spodziewać mogą, ażeby się fałszami nie łudzili. Prawdy taić nie mam powodu, bo Kurfirst wszystko co czyni, czyni otwarcie i jawnie.

Nie mało to zachodu kosztowało, nim się posłuchanie u kasztelanowej ułożyło gładko.

Nie opuszczała ona prawie brata i żyła przy

nim, z większą częścią rodziny swej, zajmując część zamku. Konie, kolebki, służba kardynała była na rozporządzenie Towiańskiej, tak jak i brat. Ona tu rozkazywała.

Krzykliwa, zuchwała, dumna nie miała przyjaciół, nie cierpiano jej, ale otaczały ją tłumy pochlebców i klijentów wszelkiego rodzaju. Zbliżając się już do lat sześćdziesięciu, silna pomimo to, w nieustannym ruchu wcale nie okazywała się znużoną życiem.

Mąż, dzieci, tak samo jak brat, musieli jej być posłuszni. Wpadała bardzo łatwo w pasyę, a naówczas nie miała pomiarkowania i brak wychowania wychodził na jaw, bo klęła i łajała w sposób grubijański.

Purpura brata, jego prymasowska godność, która go w bezkrólewiu dostojnością *Interrexa* okrywała, zawróciły głowę Towiańskiej, która w świecie ledwie kogo równym sobie sądziła. Korzono się przed nią.

Niepowodzenie Contiego, słabość jego partyi, która poprzeć go nie umiała, budziły jednak niepokój w kasztelanowej, a szczególniej, gdy pomijając Prymasa, August się porozumiewał z naczelnikiem rokoszu.

Szeptano już o przyjacielu Sobieskiego, biskupie Załuskim, że się chciał zbliżyć do Sasa, podejrzewano i Sobieskich. Potrzeba więc było korzystać z chwil ostatnich może, aby wyjednać korzystne warunki.

Przebor oznajmił kupca, jako człowieka, który miał na dworze stosunki wielkie i mógł, niepostrzeżenie, cicho służyć za narzędzie.

Kasztelanowa wcale się pewnie czego innego spodziewała i wyglądała... gdyż zdumiała się, gdy siedząc w krześle z poręczami, jak na tronie, ujrzała wchodzącego bardzo przystojnego młodzieńca, po polsku ubranego. Tak mało sasa w nim pozostało, że go pani Towiańska wcale w nim nie dostrzegła. Sądziła nawet, że zaszła omyłka, ale Przebor, który go przedstawiał, wątpliwości rozwiał.

P. Łukasz zrozumiał, że nie powinien być świadkiem rozmowy, a byłby zawadą, nie pomocą; wyślizgnął się więc zaraz za drzwi.

Chwilkę jakąś Towiańskiej trudno było nawiązać rozmowę. Zaczepiła go o to, iż Sas, czy go kto królem uznawał, czy nie, obudzał ciekawość, a mało osób go w Polsce znało i różne chodziły o nim pogłoski.

— A! możemy powinszować jego wyboru—pośpieszył z odpowiedzią Witke—pan ze wszech względów godzien tronu. Umysłu wielkiego, wspaniały, szczodrobliwy aż do zbytku, ludzki i łagodny.

— Więc tylko same pochwały masz waćpan dla niego! — odparła kasztelanowa. — To się rozumie, — kto mu służy!

— Ja nie mam szczęścia być w służbie króla— rzekł Witke — ale mówię to, co wszyscy, którzy go znają, powtórzą.

— Mówią, że bardzo płochym jest—dodała Towiańska—no i chociaż na pozór przyjął wiarę katolicką, swoję dawną podobno trzyma.

— Nigdzie się to jednak nie pokazało—począł Witke. — W Krakowie go wszyscy widzieli przystępującego do komunii.

Towiańska głową kiwnęła.

— Szczodrym jest,—wtrąciła—powiadasz waćpan. Pewnie, pewnie, bo inaczejby nic nie dokazał. Rzeczpospolita wycieńczona wojnami potrzebuje pieniędzy. Wojsko niepłatne.

Zatrzymała się, patrząc badawczo na kupca, który stał, z pozoru bardzo chłodny.

— Na wszystko mu stanie odezwał się po namyśle—nawet na wywdzięczenie tym, co mu sprzyjać i posiłkować zechcą.

Spojrzał w oczy kasztelanowej, której rumieniec dał poznać, że się już dorozumiewała posłańca.

— Na tym świecie—odezwał się, wzdychając— nic darmo. My tego nie przerobimy. To też król August zaopatrzył się w sposób znaczny, jadąc na koronacyę—rzekł z uśmiechem.—Radby pozyskać so-

bie przyjaciół i wojnie domowej zapobiedz. Nie będzie żałował ofiar na to.

Po chwili milczenia Towiańska, która już wytrzymać dłużej nie mogła, zawołała.

— Przyznaj się waszmość, czy masz jakie polecenia?

— Nie — ani rozkazów, ni zleceń nie mam — rzekł Witke spokojnie. — Jestem mały człeczek, ale ze znaczącymi ludźmi stosunki mnie wiążą. Wiele bym uczynić mógł, choć do niczego nie jestem obowiązany... a milczeć umiem.

Kasztelanowa wstała z krzesła, obejrzała się dokoła i skinęła na Witkego, odprowadzając go ku przyległemu gabinetowi.

— Przyznaj że mi się waszmość—powtórzyła—masz co do powiedzenia. Ja ceregielów nie lubię, u mnie co w myśli, to na języku. Przecież nie zdradzę.

— Powtarzam pani kasztelanowej—odezwał się Witke—zlecenia nie mam, ale królowi dobrze życzę, radbym mu pozyskać tych, od których pokój i uśmierzenie rokoszu zależy. Gotówem podjąć się zanieść, gdyby mi co zwierzono.

Towiańska skinęła głową. Niewiedzieć jaką drogą wpadła na myśl poczęstowania gościa.

— Możebyś waćpan napił się czego?—wtrąciła.

— Nie, dziękuję—rzekł Witke.

Kasztelanowa zakręciła się po pokoju.

— Ale któż waćpan jesteś?

— Ja? kupiec z Drezna.

— A zkądże ta polszczyzna?

Witke się zarumienił.

— Dawnośmy w Niemczech osiedli.

— Jak się waćpan nazywasz?

— Niemcy mnie zowią Witke, a polacy Witkowskim—odezwał się kupiec.

— Bo to tak, widzisz waszmość, z pierwszym lepszym w traktaty wchodzić...

Pokręciła głową. Witke wcale nie nalegał, chciał

ją poznać i coś z niej wyciągnąć, nie spodziewał się od razu dojść do celu. Towiańska przypatrywała mu się z chciwą, rozbudzoną ciekawością. Nie wątpiła, że to był poseł jakiś z królewskiego obozu, albo wysłany na zwiady; nie wierzyła, ażeby kupcem był, usiłowała przeniknąć go, aby się nie dać oszukać. Poczucie własnej nieudolności, bo wcale nie była zręczną, ani stworzoną do subtelnych intryg, w których podejścia wszystko stanowią, nieufność, — czyniła ją podejrzliwą. Nie miała cierpliwości i kończyła zawsze, zdradzając się, wybuchem niezgrabnym. Zagadkowy sas, kupiec, mówiący po polsku, wychwalający króla, a przybywający do Łowicza na żądanie, niepokoił ją mocno.

— Mówmy bo otwarcie... co tam! — rzekła żywo zakłopotana—ja lubię wprost, tak, karty na stół. Macie przystęp do dworu?

— Najłatwiejszy, choćby do samego króla—odparł Witke.

— No, to możecie powiedzieć, coście słyszeli i widzieli—poczęła coraz prędzej i goręcej,—że Prymas do ostatka nie ustąpi... a póki Prymas trzyma z Contim, póty jego partya żyć i bruździć będzie, a rokosz nie ustanie. Prymasowi zaś nikt nic uczynić nie może... nic, ani nawet w Rzymie. Tknąć go nie śmie nikt pod exkomuniką... tembardziej taki król, który tylko co katolikiem został. Prymas jest potęgą, ma on więcej, niż wojsko, bo jego słowo waży za regimenty. Brat mój dosyć utracił przez to bezkrólewie, zdrowie nadwerężył.. pieniądze rozsypał, nieprzyjaciół sobie przysporzył; czemże mu to nagrodzi?

Witkowski pomilczał trochę.

— Oczywista rzecz—odezwał się,—że pan mój niema tego czem wynagrodzić, ale straty pieniężne przynajmniej zwrócić,—mnie się słusznem wydaje.

— Spodziewam się — krzyknęła Towiańska. — Król ma z czego ciągnąć... a mój brat własną ojco-

wiznę zmarnował dla dobra Rzeczypospolitej, rodzinę zubożył.

— Król z pewnością te straty będzie się starał wynagrodzić—przerwał Witke, — ale nie od rzeczy byłoby, choć mniej więcej wiedzieć, ile one wynieść mogą. Wydatki były i są ogromne, król musiał wojsku żołd zaległy wysypać.

— Tu się też małem czem nie obejdzie — dodała kasztelanowa.—Ja tam nie wiem... ale mnie się zdaje, że stu tysiącami talarów trudno będzie to załatwić.

Spojrzała na Witkego, który udawał przestraszonego.

— Dla króla—ciągnęła dalej pani Towiańska—to mała rzecz... a kardynał gdyby to dostał, ledwie będzie miał czem opłacić długi na ojcowiste dobra pozaciągane, czasu interregnum. No, i spodziewam się—rzekła, zniżając głos—że ja, jako pośredniczka, gdyby do czego przyszło, zapomnianą nie będę. Choćby wioskę król kupował, musiałby porękawiczne dać, a toć tron!

Zaczęła głową rzucać; kupiec słuchał z uwagą natężoną, ale nie śpieszył z odpowiedzią.

— Jeżeli o pieniądze trudno—dodała, nieustając kasztelanowa — wiem, że król w klejnotach się kocha i ma ich przepaść. Ja się niemi będę kontentowała, tylko znowu ladajakich nie przyjmę.

Dawszy się jej tak odkryć i wygadać, Witke podniósł głowę.

— Wszystko się to da zrobić, jak mnie się zdaje—rzekł,—oczywiście nie przez tak małego człowieka, jak ja; idzie tylko o to, aby wymagania nie były za wielkie.

— Cóż to waćpan znajdujesz, że kardynał może mniej wziąć nad sto tysięcy? a ja klejnotów za czwartą część tej sumy?—zawołała kasztelanowa. — Myślicie, że my, jak żydzi, będziemy się targować?

— Ja tu przecie nic nie stanowię — odezwał się Witke spokojnie — jedna rzecz, w której usłużyć

mogę to, że gdy mi pani zleciła, to doniosę królowi, iż się da wszystko ukończyć zgodą i powróceniem strat. Życzy sobie tego pani kasztelanowa?

Zagadnięta wprost, stara pani oczyma błysnęła i zagryzła wargi. Udawała źle niby wahającą się, choć gorąco pragnęła, uprzedzając innych, sama rozpocząć układy, sama je prowadzić i dopilnować w nich przedewszystkiem własnego interesu.

Kupiec zwrócił raz jeszcze uwagę jej, nie doczekawszy się odpowiedzi, na wysokość wymagań dla Prymasa.

— Sto tysięcy talarów, pani kasztelanowo, duży to pieniądz, nawet dla króla—rzekł powoli.—Za wiele wymagając, można wszystko zepsuć...

Towiańska porywczo mu przerwała.

— Wiesz waćpan co? O sumę dla mojego brata niech się sobie układają. Może on co zasakryfikuje i ustąpi, ja nie wiem, ale ja, ja klejnotów za ćwierć sta nie odstąpię... król ma ich miliony, powiadają, chodzi cały od stóp do głów okryty dyamentami, choć mu ich kochanki sporo odebrały.

Wspomnienie o kochankach Witke pokrył milczeniem, choć jejmość ciekawa bardzo, gotową była o nich przedłużyć rozmowę. Spytała potem, czy prawda, że król się do Warszawy wybierał.

— Niezawodnie przyjedzie i zajmie swą stolicę — rzekł Witke. — Nikt mu się tu opierać nie będzie, a gdyby nawet przyszło do tego...

Nie dokończył.

— O! wiemy, wiemy—zawołała kasztelanowa—wojska ma pono dosyć. Wpuścili je do Rzeczypospolitej, niechże teraz myślą zawczasu, jak się ich pozbędą. Skarżyli się na swoich, że ich hibernami i stacyami objadali, teraz dopiero zakosztują tego, co żołdak może; sasi dopiero rozumu nauczą!

Wszystko to Witke przyjął w milczeniu, a Towiańska niespokojna, nie tracąc głównego przedmiotu z myśli, powróciła do Prymasa i do układów, ra-

dząc, aby się król z niemi nie ociągał, bo może mieć pomoc wielką i dzielną w kardynale.

— Król sobie wybrał tę purchawkę Dębskiego — zawołała z obrzydzeniem — ale co on znaczy?! Nikt go nie słucha i nie szanuje, a kara musi go spotkać za uzurpacyę. Kardynał mu nie daruje. Mówią, że i Załuski myśli się przejednać, ale z tego też wielkiej pociechy król nie będzie miał.

Kupiec słuchał ciekawie, aż zmęczona umilkła. Zdawało mu się, że czas ją było pożegnać, ale widząc ten ruch, zatrzymała go.

— Czekaj-że waszmość! Mów, mam się czego spodziewać? dasz mi jaką wiadomość?

— Pozwalasz mi pani mówić?—spytał.

— Mówić, ale nie trąbić — odparła Towiańska zwykłym sobie grubiańskim tonem. — Mów waćpan tym tylko, co wiedzieć o tem powinni, a daj mi znać, czy się czego spodziewać mamy. Prymas chce zwołać rokosz, od was będzie zależało, czy się on wzmocni i utrwali, lub rozwiąże.

Gość, który już całej tej rozmowy miał dosyć, zdobywszy, co mu było potrzeba, zaręczył, że uczyni, co będzie mógł, aby spokój i zgodę przyśpieszyć.

— Nam kupcom więcej o to chodzi, niż komu, aby w kraju i w stolicy bezpieczeństwo i pokój panowały. Chętnie więc moje małe usługi ku temu ofiaruję, a skoro czegoś nowego się dowiem, nie omieszkam dać wiedzieć.

Witke, odmówiwszy wszelkiego przyjęcia i ugoszczenia, jak wszedł tylnemi drzwiami potajemnie, tak wyślizgnął się niemi nazad, zastawszy Przebora oczekującego na straży.

Nie zwierzył mu wcale tego, co mówił z kasztelanową i zbył go tem, że do porozumienia pono nie łatwo przyjść może.

— Wszakże—dokończył—rozpaczać nie trzeba. Waćpanu—dodał, zwracając się do dawnego nauczyciela — za ułatwienie mi znajomości z panią kaszte-

lanową, bardzom wdzięczny i postaram się to okazać. Wiem przynajmniej, co tu myślą i co sobie obiecują.

Ponieważ szło o zachęcenie do posług ex-kleryka, któremu zupełnie było obojętnem, czy służył Contiemu, czy Sasowi, byle coś na tem mu się upiekło, Witke, nie zwlekając, gotowizną zapłacił za doprowadzenie do Łowicza. Polecił mu tylko, aby uszu nadstawił, a co mu w nie wpadnie, donosił, bo i drobnostki czasem przydać się mogą.

Powróciwszy do Warszawy, kupiec rozmyślał, czy mu samemu nie wypada jechać do Krakowa, bo przez listy i niebezpiecznie i trudno się było porozumieć; wstrzymywał się jednak aż do otrzymania odpowiedzi na raport w ogólnych wyrazach, który umyślnym wysłał. Tymczasem, korzystając ze znajomości, z Renardem zrobionej, z uprzejmości, jaką mu francuz okazywał, czując w nim kapitalistę, Witke dogadzał swej słabostce, nosił małe podarki i łakocie Henryetce i patrzył w jej śliczne oczy, żywe, ogniste, do życia się rozbudzające.

Rodzice oboje, a szczególniej matka, w sprawach miłosnych wiele mająca doświadczenia, spostrzegli to szczególne upodobanie młodego kupca w wyrostku, którego piękność wszystkich zachwycała. Oboje się tem cieszyli, gdyż zamożny zięć za kilka lat bardzo się im mógł przydać do utrzymania przy handlu, który szedł bardzo dobrze, ale wyjść z długów nie dozwalał. Przyczyniało się do tego to, że pani Renard lubiła się stroić, ubierała córeczkę, jak pańskie dziecię, płaciła do niej nauczycieli drogo i wielkie pokładała na jej piękności nadzieje.

Jej widokom nie odpowiadał skromny, choć majętny kupiec, bo się losu świetniejszego dla Henryetki spodziewała, ale na wszelki wypadek wygodnie było mieć go w zapasie.

Witke przychodził codzień, a że dziecku, Henryetce, pochlebiało jego nadskakiwanie, przyjmowała go uprzejmie i posługiwała się nim bez ceremonii.

Pan Zacharyasz tak się zajął gorączkowo wy-

rostkiem tym, iż myśl ożenienia powziąwszy, z nią się nosił. Ale jakże tu było chcieć wprowadzić do tego domu, tak cichego, skromnego, tak po mieszczańsku urządzonego, dziewczę rozpieszczone, rojące tylko o błyskotkach, o zbytkach, o zabawach, nawykłe do uwielbień i upojone niemi!

Wszyscy goście Renarda na rękach niemal nosili śliczną Henryetę, która rosła w tym dymie i woni kadzideł. Jakżeby taka synowa mogła się pogodzić z tą pobożną, cichą, pracowitą Martą, drepczącą po całych dniach z kluczykami po domu, utrzymującą rachunki, posługującą w sklepie, wydającą ze śpiżarni i mającą oko na kuchenkę?

Za to Henryetka śpiewała jak słowik, wyglądała, jak aniołek, spoglądała zalotnie, a odcinała się tak dowcipnie! Urok jej młodości działał na spokojnego dotąd niemca w taki sposób, iż sam już sobą nie władał. Często, uląkłszy się tej niedorzecznej pasyi, próbował z nią walczyć, wstrzymywał się dni parę od odwiedzania Renardów, ale potem biegł do nich jak oszalały, a gdy w progu Henryetka go zapytała, dla czego o nich tak zapomniał, uniewinniał się jak z grzechu, z tej walki z samym sobą.

Renard też i żona jego starali się wszelkiemi sposobami trwale sobie przyjaźń jego zaskarbić. Projekt założenia wielkiego jakiegoś handlu dojrzewał zwolna, lecz Witke, gdzie szło o pieniądze, bardzo był rozważnym i rachował wszystko ściśle.

Odpowiedź z Krakowa nie długo na siebie czekać kazała. Mazotin w niewielu słowach żądał przybycia Witkego dla ustnej narady. Potrzeba więc było, pożegnawszy Renardów i piękną Henryetkę, pośpieszyć z powrotem, chociaż Constantini donosił, że król wkrótce się wybiera do Warszawy.

Opanowany dwoma swemi marzeniami, jakiegoś wybicia się w górę i pozyskania pięknej Henryetki, niemiec sam siebie nie poznawał. Mało nawet tęsknił za Dreznem, za matką i troskał się o swój interes, o który spokojnym był, pod opieką staruszki.

Pomimo przykrej już pory jesiennej, Witke, z wieczora odebrawszy list, ledwie wpadł do Renardów z pożegnaniem, a nazajutrz rano biegł do Krakowa.

Tu wszystko znalazł, jak było... Król zapamiętale ucztował, zamykał się czasem godzinami z posłem Brandeburczyka, von Overbeckiem, z Flemingiem, Przebędowskim i Dębskim, podpisywał, co chciano, przyrzekał, czego się domagano... śmiał się i widział się już jedynym panem Rzeczypospolitej...

Codzień prawie przybywali dezerterowie z uszczuplonego obozu francuzkiego, poddając się mu dobrowolnie. August wszystkich przyjmował z niewymowną grzecznością, łagodnością i łatwem przebaczeniem. Serca sobie zjednywał. Wynoszono go pod niebiosa. Statyści poważniejsi szeptali między sobą.

— To nic, że dobry i łagodny pan jest, ale ma rozum i takt... ma energię... potrafi powstrzymać wichry nasze, wprowadzi ład, wywoła reformę praw przestarzałych, władzę monarchiczną ukrzepi.

Wszyscy to prorokowali, choć wcale się na to nie zanosiło; pijatyka tylko niesłychana, gorsząca, nieustająca, od której ani stan, ani wiek nie uwalniał, wchodziła w obyczaj codzienny, a przy niej o niczem nie mówiono tylko o kobietach i o królewskich amorach...

Nie jedno uczciwe, stare, polskie lice zarumieniło się i oblało wstydem, ale przykład szedł z góry...

Constantini pochwycił przybyłego Witkego, z niezmierną niecierpliwością go badając i dobył z niego wszystko... Kupiec się spodziewał, że z tym raportem dopuszczonym będzie do króla i tym sposobem da mu się poznać... Miał to być pierwszy krok... ale włoch klepnął go po ramieniu.

— Co ci się śni!! Nie pora tobie jeszcze wprost z królem traktować. Zostaw to mnie, ja sam ci powiem, kiedy się będziesz mógł stawić... To zawcześnie!!

Nie podobało się niemcowi to pozostawienie go

na stronie, ale z Mazotinem ani zrywać, ani spierać się nie chciał, zamilkł więc. Zręczny posługacz królewski naturalnie całą zasługę zdobycia tych pożądanych wiadomości sobie przypisał przed królem.

Razem jednak z tem, co przyniósł Witke, z drugiej strony król otrzymał wiadomości, potwierdzające w pełni, co kupiec słyszał od Towiańskiej, a zarazem i przestrogę, ażeby traktować z kasztelanową nie z Prymasem, który nie inaczej, jak przez nią, mógł być pozyskany. Król był niezmiernie ostrożny.

Nieprzyjaciele Towiańskiej i ci, co ją dobrze znali, powiadali, że mogły przepaść i klejnoty i pieniądze; jeśliby się nie opisano i nie zapewniono, końca by rokoszowi nie było. Radzono więc przynajmniej klejnoty Towiańskiej pokazywać, ale ich nie dawać póty, pókiby czarno na białem nie stało przymierze, a Prymas się publicznie nie pojednał.

Constantini z nadzwyczajnem uwielbieniem dla pana swego, pod niebiosa go wynosząc, zwierzył się Witkemu, że August miał pewne na podarki przeznaczone klejnoty podwójne, zupełnie podobne do siebie na pierwszy rzut oka, ale jedne z nich fałszywe były i bez wartości, drugie istotnie cenne.

Król więc August wnosił, aby pani Towiańskiej dla rozłakomienia pokazywać fałszywe, bodaj jej powierzyć je, ale prawdziwych nie dawać, ażby skończono układy.

Witkemu się to nie bardzo podobało.

— A nuż się na tem poznają?—odparł. - Wstyd by było panu naszemu, że w jego imieniu śmiano fałszywemi się popisywać...

— Czy to ta baba, która pono nigdy nie widywała takich precyozów — odparł Constantini — ma się na nich znać? albo będzie miała jubilera pod ręką? Gorzejby było, gdyby pochwyciła drogocenne klejnoty, a my się nawet nie śmieli o nie dopominać!!

Constantini więc przytem stał, aby Witke fałszywe kamienie zabrał z sobą dla zaoskomienia niemi Towiańskiej. Trzeba było słuchać. Naśladowanie to

zresztą tak doskonale było wykonane, że tylko oko znawcy mogło dojść fałszu...

Kupiec odebrał zlecenie ukazywać tylko klejnoty, ale ich nie dawać z rąk, a co najdłużej na dwadzieścia cztery godzin powierzyć je Towiańskiej.

Do zawarcia z Prymasem przymierza i targowania się z nim o okup sumienia miał być wyznaczony ktoś znaczniejszy... Witke tylko pole przygotowywał, co w istocie najważniejszem było.

Król stu tysięcy talarów dać nie chciał, ale na trzy czwarte tej sumy się zgadzał, a klejnoty dla kasztelanowej przeznaczone, miały mieć wartość, przez nią oznaczoną.

Wszystko to wielce pożądane Augustowi zrobił w jego przekonaniu, nieporównany, nieprześcigniony Mazotin... Król go za uszy targał, śmiejąc się, i pieszczotliwie zwał wielkim *ladrone*... Pysznił się kamerdyner, radował August, rósł w łaskach włoch — o Witkem nie było mowy...

Zaledwie instrukcyę otrzymawszy, kupiec napowrót się puścił do Warszawy, chociaż z tej swej wycieczki niekoniecznie rad, bo się spodziewał króla widzieć, a wcale nie przewidział, że mu dadzą fałszowane precyoza... O tem myśląc, twarz mu się krwią zalewała. Uczciwa jego kupiecka natura wzdrygała się na myśl posługiwania się fałszem, chociaż był tu tylko użytym dla zabezpieczenia od oszukaństwa. Ale nie chciało mu się wierzyć, aby pani kasztelanowa, siostra Prymasa, pomimo swego grubijaństwa, wielka pani, należąca do arystokracyi, zdolną była popełnić to, o co ją posądzano. Z pewnym wstrętem jechał, niemal upokorzony, przemyślając nad tem, że drogą, którą go Constantini prowadził, nie daleko zajść może, i że lepiej ją rzucić było...

Lecz jak w bardzo wielu wypadkach, tak i z nim się działo, że dawszy się pochwycić i wciągnąć raz, z trudnością się mógł wycofać, nie narażając. Bał się Mazotina...

Pierwsze chwile w Warszawie poświęciwszy Re-

nardom i Henryetce, która także trzymała go w niewoli, musiał wybrać się do Łowicza, bo nie miał czasu do stracenia, a król był niecierpliwy.

Ci, co go tu już widzieli na sekretnem posłuchaniu u Towiańskiej, śpiesznie mu wyrobili przyjęcie i kasztelanowa, która się ubierała na jakieś przyjęcie gości, wyszła do niego bez ceremonii, zaledwie się płaszczykiem okrywszy, z włosami rozrzuconemi, w przydeptanych trzewikach, podobniejsza do starej ochmistrzyni, niż do siostry księcia kościoła.

Zmierzyła go badającemi oczyma, a że pudełka z klejnotami z trudnością się ukryć dawały, domyśliła się zaraz z czem przychodził i ledwie się wstrzymała od tego, ażeby mu ich z rąk nie wyrwała, tak pilno jej było.

— No, z czemże acan przychodzisz? mów!—zawołała—czasu nie mam...

— Ja też nie mogę nim szafować — odezwał się Witke.—Trafiłem różnemi drogami do przyjaciela króla, do Fleminga... Król August, jak był, tak jest za tem, aby szkody i straty indemnizować, ale i dla niego też czasy ciężkie, co przewidywać było łatwo... Wyśle król wkrótce bardzo poważnego posła dla układów i sądzę, że jego propozycye zostaną przyjęte... Coś książę kardynał musi spuścić...

Towiańska zatrzepała rękami.

— Nie może! nie może!—krzyknęła—ale zresztą niech się układa, jak chce... ja tam nie wiem! A ze mną co będzie?

— Król dla pani kasztelanowej nie chce być skąpym—rzekł Witke — i owszem, gotów szczodrym się okazać... Klejnoty, które dla niej przeznacza, wysokiej ceny... z pewnością warte będą tego, co pani mieć sobie życzyłaś...

Towiańskiej oczy zdawały się wyskakiwać z powiek.

— Znaczniejszą ich część — mówił dalej niemiec — powierzono mi dla pokazania... ale nie mam

prawa z rąk ich puścić, tylko dano mi je, byś się pani przekonała, że król na seryo o tem myśli.

O mało z rąk mu pudełek nie wyrwała Towiańska, taka ją paliła ciekawość. Witke jakby na przekór flegmatycznie zaczął pudełka rozkładać na stole.

Wielce kunsztowna oprawa i doskonałe naśladowanie kamieni, w niej zawartych, w pierwszej chwili tak zachwyciły kasztelanowę, iż stanęła osłupiała.

Kosztowne kanaki, naszyjniki, pas, kolce, dyadem błyszczały ogromnemi szmaragdami i topazami.

Nauczony ceny tych wyrobów, Witke z kolei wymieniał wartość każdego z nich.

W Towiańskiej po ochłonięciu z pierwszego wrażenia obudziła się nieufność. Nie przypuszczała fałszu i na myśl tę nie wpadła, ale posądzała, że precyozy przeceniono.

Sama ona nie bardzo z takiemi rzeczami była obeznaną.

— A no! piękne, piękne — zawołała, powstrzymując się od pochwał — ale licho wie, ile to może być warte. Ja się na tem tak dalece nie znam.

— Przecież król...—wtrącił Witke.

— A! co tam król — odparła — czy on tam o wszystkiem wie i rozporządza sam... Jego i mnie razem mogą jubilerowie oszukać. Ja nikomu nie wierzę.

— Na sprawdzenie wartości czas będzie później—rzekł kupiec — mnie zlecono tylko pokazać to pani.

— Daj-że mi się w nich choć kilka godzin rozpatrzyć—poczęła natarczywie kasztelanowa.—Właśnie mam w gościnie Lubomirską, podkomorzynę koronną; ona się lepiej na tem zna, niż ja, a jest naszą blizką krewną. Pokażę jej, nikomu więcej, słowo daję, nikomu więcej. Waćpanu każę dać kwaterę w zamku, przenocujesz, klejnoty oddam jutro.

— Nie kazano mi ich z rąk puścić, nie mam prawa—odparł Witke.

Towiańska z błagalnego tonu, przeszła natychmiast w gniew.

— Cóż to ja nawet tyle wiary nie mam, aby mi na kilka godzin powierzyć klejnoty? Nie przywłaszczę ich sobie przecie.

— Ja jestem sługą i spełniam rozkazy—dodał niemiec.

— Musiałeś je źle zrozumieć — ciągnęła dalej Towiańska — nie może być, aby mnie, senatorowej, okazywano nieufność.

Witke nie wiedział, co począć; gniewała się, fukała, rzucała. Koniec końcem tak go znużyła, że pomyślał, iż niebezpieczeństwa nie było w powierzeniu na kilka godzin rzeczy, nie mających nadzwyczaj wysokiej wartości. Nie zdawało mu się też, ażeby Towiańska na fałszu poznać się miała, bo oglądając, unosiła się najbardziej nad kamieniami bardzo niezgrabnie naśladowanemi. Nadchodził wieczór, a nazajutrz do dnia ofiarowała się zwrócić wszystko.

— Pani kasztelanowo — rzekł w końcu — pani mnie zgubić nie zechcesz.

Zaczęły się targi, prośby, nalegania, tak nieznośnie napastliwe, że znużony niemi Witke w końcu, rozmyśliwszy się, do następnego poranku zgodził się pozostawić dla rozpatrzenia przywiezione klejnoty. Nie czyniłby był tego pewnie, gdyby wiedział, że podrabiane nie były.

Przywołano natychmiast marszałka dworu Prymasa, niejakiego Skwarskiego i kasztelanowa zdała mu gościa swego, upominając, ażeby jak najlepiej był przyjęty i umieszczony. Skwarski, mrukliwy jakiś i kwaśny człek, popatrzywszy na Witkego zpodełba, zabrał go z sobą.

Tymczasem kasztelanowa dostała gorączki, zamknęła powierzone precyoza i co najprędzej ubierać się zaczęła.

VIII.

Kasztelanowa Towiańska nie rychło ochłonęła z wrażenia, jakie na niej uczynił widok tych kosztownych klejnotów. Przywiezienie ich samo miało znaczenie wielkie: układy przychodziły do skutku. Prymas za jej pośrednictwem miał otrzymać to, czego się dobijał. Znaczenie jego miało się wzmódz. Spodziewał się pozbyć innych doradzców i opanować króla. Kasztelanowa nim rządzić się gotowała. Nawykłym był jej ulegać.

Zawracała się głowa jejmości, która sobie przypisywała tak szczęśliwy obrót okoliczności. Pomimo tego upojenia jednak, musiała być ostrożną.

Przyszło jej na myśl w tej chwili, że z Warszawy właśnie przywieziony jubiler zamknięty pod nadzorem i strażą, w pałacu przerabiał mitrę arcybiskupią, starą. Klasnęła w ręce z radości, że się tak wszystko dziwnie pomyślnie składało.

Jubiler, chrześcijanin, mieszczanin warszawski, którego już trzy czy cztery pokolenia do cechu należały, człowiek stary, majętny, uczciwy, niejaki Mrużak, głoszonym był, jako wielki znawca w złotniczych rzeczach. Nie raz go już do koronnych insigniów reperacyi i oceny używano, gdy je zastawiać przychodziło.

Postanowiła go wezwać. Musiała się jednak śpieszyć, bo i na obiad, jako gospodyni, w domu brata wyjść musiała i Lubomirskę młodą, krewnę swą, wielką podkomorzynę koronną, miała w gościnie, i dnie były krótkie, a wieczór niesposobny do oglądania kamieni, które często kolor mienią przy świetle. Umiała jednak wszystko to pogodzić w ten sposób, że u stołu kazała się zastąpić synowej pod pozorem jakimś, jedzenia się wyrzekła, tylko dwa talerze rosołu spożywszy prędko, i gdy wszyscy zasiedli jeść, Mrużaka do siebie wezwała.

Stary jubiler rządzącej się tu szarej gęsi nie lubił, dokuczyła mu już nie mało w różnych targach, ale wiedział, że ona tu więcej od Prymasa znaczyła; poszedł, przeklinając po cichu, a obiecując sobie od baby sekutnicy jak najprędzej się uwolnić.

Towiańska w swoim gabinecie przyjęła go z niebywałą nigdy uprzejmością. Poczęła od tego, że go o sekret zaklęła i zażądała, aby jej klejnoty wskazane ocenił. Zamknąwszy drzwi jedne po drugich, wydobyła z szuflady pudełka i zwycięzkim wzrokiem mierząc Mrużaka, domagała się jego zdania.

Stary zabrał się do dzieła sumiennie, stolik kazał do okna przystawić, dobył szkła powiększające i rozpatrywać się począł. Zrazu zaimponowały mu te misterne oprawy, głową pokręcał, nie mówił nic, jakby zdumiony.

Nagle jakieś podejrzane łamanie się światła zwróciło jego baczność; zaczął badać bliżej i jakby skamieniały siedział chwilę; powtórnie wziął się do egzaminu i znowu, ruszając ramionami, dumał głęboko.

— Pozwoli mi jaśnie wielmożna kasztelanowa zapytać się, czy klejnoty te już nabyła?

Towiańska odparła żywo:

— Nie jeszcze, ale mi je tanio chcą sprzedać.

Mrużak się uśmiechnął, dumał znowu; ciężko mu było coś powiedzieć.

— Co to wszystko razem wzięte warto?—nalegała Towiańska—mniej więcej?

— Hm! — po długim namyśle rzekł jubiler, szkła chowając do kieszeni. — Hm! klejnoty te mało co więcej warte nad to, co oprawa misterna... Kamieni czeskich siła, szkła dużo, — prawdy w nich mało.

Kasztelanowa krzyknęła na głos, łamiąc ręce.

— Co się waćpanu w głowie pomięszało! — zawołała—to nie może być. Ja wiem, zkąd one pochodzą.

— Choćby i ze skarbca koronnego—rzekł z prze-

kąsem Mrużak—albo z zakrystyi gnieźnieńskiej, nie mniej to są podrabiane karbunkuły, których część większa żadnej wartości nie ma.

Stanowczy ton, z jakim Mrużak wydał ten wyrok, wstając od stołu, wprawił kasztelanowę w stan nie do opisania. Gniew, wściekłość, przestrach jakiś ją ogarnął. Widocznie drwiono z niej sobie. Król mógłże w ten sposób chcieć ją oszukać?

W pierwszym momencie oburzenia chciała kazać wziąść pod straż i uwięzić niemca, rozgłosić sprawę, ale rozmysł zmusił ją do pomiarkowania. Powściągnęła wybuch gniewu.

— Pewno to acan twierdzisz?—spytała zimniej.

— Tak pewnym jestem tego, jak, żem żyw — odparł złotnik.—Zęby na tem zjadłem, a toć przecie tak jawne, że wielkiej mądrości nie potrzeba, aby się tego dopatrzeć. Prawda, że złotnicza robota tak piękna, iż najdroższych kamieni warta i siedzieć one w niej musiały, ale dziś...

— O! ja zaraz to spostrzegłam—przerwała Towiańska—i właśnie dla tegom acana wezwała.

Mrużak się skłonił i ku drzwiom kroczył. Nie zatrzymywała go już kasztelanowa. Pierwszą myślą jej było klejnoty do rana zachować, pochwalić się niemi przed Lubomirską, ale oburzenie nie dało jej czekać do jutra. Natychmiast posłała po Witkego, który właśnie do stołu marszałkowskiego miał zasiadać.

Tknął go ten pośpiech; wysunął się frasobliwy. W gabinecie, z policzkami jakby krwią oblanemi i trzęsąc się cała, oczekiwała na niego siostra Prymasa. Klejnoty w pudełkach i powyrzucane z nich leżały na stole.

Wskazała na nie dumnie ręką.

— Zbierać mi to natychmiast i precz ztąd! — krzyknęła.—Jedno z dwojga,—oszukaństwo, albo drwiny, a ja ani jednego, ani drugiego nie nawykłam znosić. Rozumiesz waćpan?

— Wcale nie rozumiem—rzekł śmiało Witke—proszę mi wytłumaczyć...

Kasztelanowa parsknęła gniewnie.

— To są szkła i fałsze—poczęła, głos podnosząc — chcieliście mnie wziąść na plewy, ale ja nie w ciemię bita... wiem, że niemcom na słowo ich wiary dawać nie można.

— Za pozwoleniem — przerwał Witke. — Niech pani kasztelanowa rozważy naprzód, czy tu jest się gniewać za co. Ja pani tych klejnotów nie przywiozłem oddać, ale pokazać. Rzecz cała tylko dla mnie się w sposób najprzykrzejszy tłumaczy. Że też pani tego nie rozumie, iż snadź mnie prawdziwych, a tak kosztownych precyozów powierzyć się obawiano i dla tego dano mi podrobione. Jam się gniewać za to powinien na królewskie sługi... Pani z pewnością nikt oszukiwać nie chciał, bo byś się podejść nie dała.

Rozumowanie to i wielce zbiedzone oblicze posła, który pokornie zgarniał pudełka, dało do myślenia Towiańskiej. Ochłonęła nieco.

— Toś acan nie wiedział, co wiozłeś? — zapytała.

— Gdybym się domyślał, nie podjąłbym się z tem jechać—rzekł sucho i zimno Witke, obliczając pudełka i sprawdzając, co w nich było. — Ja się więcej w żadne już pośrednictwa wdawać nie chcę i nie myślę...

Tym szczęśliwym zwrotem ułagodziwszy kasztelanową, ale sam podrażniony i gniewny, niemiec się zabierał opuścić nietylko pokój, ale i Łowicz, nie powracając już do marszałkowskiego stołu. Domyślając się tego, stara jejmość pożałowała porywczości swojej...

— Waćpan się na mnie też gniewać nie powinieneś — odezwała się łagodnie, — bo i ja obrażoną jestem... Mówisz, że waćpanu nie dowierzano, a ja też mogę powiedzieć, że we mnie ufności nie miano.

Poruszyła ramionami.

— Opowiadacie o wielkiej szczodrobliwości i szlachetności waszego króla—dodała, — a toż królewska rzecz takiemi się podstępami i wykrętami posługiwać?

— Ja też króla nie obwiniam, ani mu przypisuję tego postępku—odezwał się Witke. — Sprawa to być musi sług podrzędnych, z któremi miałam do czynienia, a król o niej nie wie...

— To pewna teraz—rzekła Towiańska,—że gdyby do układów przyszło, ja bez jubilera od króla waszego nic nie wezmę... Jaki pan, taki kram... dobre ma sługi!

— Zasłużyłem może w przekonaniu pani, abyś mnie do nich policzyła — przerwał Witke z pewną rezygnacyą dumną, — alem pani już mówił i powtarzam to raz jeszcze, że w służbie króla nie jestem...

— Dla mnie waćpan zawsze sługą jego jesteś— odparła Towiańska, — boś ty mu służył i dobrze na tem wyszedłeś...

Poczęła się śmiać, gdyż gniew jej powracał.

— Od początku do końca wszystko u was na kłamstwie i na obłudzie stało i stoi... Dębski bezprawnie go okrzyknął, garść samozwańców poszła go witać w imieniu Rzeczypospolitej. Pacta conventa skradł ten, kto podpisał, po koronę się do skarbca, włamywać przyszło, a na zamek okupem się dostać.

Rzuciła ręką.

— Bywaj waćpan zdrów. Wtem głos jej złagodniał.

— Dlatego, gdyby potrzeba było porozumieć się ze mną, liczcie, że brat bezemnie nic nie zrobi, dla tego waszmość się nie zrażaj, możesz przyjechać i mówić ze mną... ale mi kłamstwa nie przywoź, bo my się na farbowanych lisach znamy.

Gdy Witke nic na to jakoś nie odpowiadał, kasztelanowa jeszcze uprzejmiej dodała:

— W takich sprawach gniewu nie masz. Będziesz miał z czem, przybywaj... ja szparka jestem,

ale ze mną do ładu przyjść można. Rankoru w sercu nie chowam.

Kupiec, nie mając już co odpowiadać, pokłonił się grzecznie a zimno i wyszedł. Co się z nim potem działo, gdy do gospody powrócił na nocleg, a nazajutrz puścił się do Warszawy, trudno opowiedzieć. Wszystkie jego zamiary, plany, myśli ambitne zdawały się w niwecz obrócone. Wiedział teraz dopiero, że uczciwemu a sumiennemu człowiekowi w te konszachty z ludźmi luźnego sumienia wdawać się nie było podobna. Chciał rzucić wszystko, powrócić do matki i skromny swój ojcowski handel dalej powoli prowadzić. Wyrzucał sobie nierozsądną ambicyę, która go na straty i na upokorzenia narazić miała.

Ale zaledwie rozumne to postanowienie uczyniwszy, natychmiast go żałować zaczynał. Nie chciało mu się porzucać zasnutego dzieła i zrażać pierwszem niepowodzeniem, a raczej nieprzyjemnością doznaną. Być też może, iż wdzięk Henryetki, słabostka dla tego dziecka do Warszawy go ciągnęła.

Nim z Łowicza się do stolicy dostał, po kilkakroć zmieniał przekonanie. Chciał powracać do Drezna i zostawał w Warszawie, rumienił się doznanym zawodem i tłumaczył tem, że go przewidywał a Constantini sam był winowajcą i sprawcą.

W tej walce z sobą niesłychanie zmęczony dobił się nareszcie do gospody, ale tak się uczuł złamanym, że listy tylko do Mazotina przygotowawszy, już się dnia tego nie ruszył z domu, choć go bardzo do dziewczęcia ciągnęło.

Constantiniemu w niewielu słowach, z żalem do niego, opisał całą swą przygodę, czyniąc mu srogie wymówki, że go na taką sromotę naraził, przy czem i na króla saskiego cień padał, a podejrzenie, że mógł się posługiwać takiemi środkami; samemu sobie nie mógł przebaczyć, iż się dał na takie namówić oszukaństwo. A choć i w istocie nie miał na myśli zrywać i wyrzekać się dalszych stosunków z kamerdy-

nerem królewskim, w liście się wyrażał tak, jakby z dalszych usług chciał się uwolnić.

Wypocząwszy potem, poszedł do Renardów, gdzie go, jak zawsze, wielce serdecznie przyjęto. Renard sam przynaglał, ażeby czasu nie tracił i coś postanowił na przyszłość, ofiarował mu swe usługi i Warszawę tym razem mu zalecał. Nad całą jego jednak wymowę śmiejące się oczki Henryety wymowniej przemawiały... ale Witke chwiał się jeszcze. Przez samą miłość i poszanowanie dla matki bez niej nic stanowczego przedsiębrać nie chciał. A tu mu się do niej wyrwać tak ciężko było!

Bardzo prędko przez królewskie kresy przyszła od Mazotina odpowiedź krótka i nakazująca.

— Przybywaj waćpan co najprędzej do Krakowa i przywoź z sobą powierzone klejnoty.

Raz z włochem skończyć było potrzeba. Nazajutrz Witke żegnał się z Renardami i zgryziony, a upokorzony powlókł się napowrót do Krakowa.

Podróż go rozweselić nie mogła, szczególniej gdy się ku stolicy zbliżał, około której wojska saskie były rozłożone. Wyprowadzone na okaz, na placu monstry (mustry) świeżo poubierane, na pozór karne, wyglądały one bardzo ładnie i elegancko, ale potrzeba czytać świadectwa współczesnych, ażeby mieć wyobrażenie o stanie rzeczywistym, o rozpasaniu starszyzny, nędzy prostego żołnierza, niegodziwem wypotrzebowaniu go po całych dniach i nocach przez oficerów, oddanych pijaństwu, kosterstwu i rozpuście.

Dopóki król nie został ukoronowany, dowódzcy mieli najsurowsze rozkazy, aby ciurów trzymali w ryzie, bo za niespokojne ich zachowanie się odpowiadali. Nie dopuszczano gwałtów. Natychmiast potem, gdy król już był pewnym tronu, wszystko się zmieniło i żołnierz zaczął dokazywać, jak w zawojowanym kraju. Ze wszystkich miejsc, w których wojska rozłożone były, posypały się skargi, lamenty, narzekania. Sasi wprost napadali na dwory, do szczętu niszczyli

włościan, rozrywali stogi, rozkradali brogi, włamywali się do stodół i spichrzów. Skargi nie pomagały; przenoszono winnych na inne stacye, gdzie się toż samo ponawiało.

Sam Witke w ciągu podróży, że był przebrany po polsku, o mało nie został odarty i ledwie się swą niemczyzną obronił, a najzuchwalszych nadużyć i przekleństw się napatrzył i nasłuchał.

Gotowała się straszliwa burza przeciwko tym rozpuszczonym wojskom saskim. Naradzano się już na jaką je granicę przeprowadzić, zkądby skargi i krzyki nie dochodziły. Tam, gdzie stali sasi, toczyła się niemal wojna między nimi a mieszkańcami; szlachta, gdy ich mogła pochwycić w małej liczbie, zabijała i topiła.

Opatrzono się też, że król sasami zamek krakowski obsadził i podejrzenia rosły, że z nimi chce opanować całą Rzeczpospolitę. Dopomagało to rokoszanom.

Na pozór coraz lepiej stojąca sprawa Augusta, w istocie znajdowała teraz przeciwników w tych nawet, co Augusta na tron prowadzili. Zaczęto się dopatrywać tego, że zadanie, jakie wziął na siebie, przechodziło siły jego.

Zdając je to na Fleminga, to na Przebędowskiego, sam on myślał tylko o rozrywkach, o świetnych występach z przepychem, o rozrywkach coraz nowych, pił i swawolił, sądząc, że to, co zamierzał, samo się jakąś siłą cudowną dokona.

W rozmowach rozwijał najtrafniejsze pomysły, najpiękniejsze plany, nie już poprawy, ale przekształcenia zupełnego Rzeczypospolitej, połączenia jej z Saksonią, stworzenia silnej monarchii. Ale na słowach i marzeniach, na pozyskaniu pojedyńczych ludzi wszystko się kończyło. Przed innemi sprawami szły kobiety, biesiady, polowania, turnieje, popisy siłą i zręcznością. Rzadki był dzień, kończący się na trzeźwo, bez zupełnego upojenia gości i gospoda-

rza. Poważniejsi ludzie coraz smutniejsze okazywali oblicza.

Przybywszy do Krakowa, zrażony i zniechęcony, Witke pośpieszył do Mazotina, który go, dąsając się, przywitał wymówkami.

— Co!! Sameś winien wszystkiemu!—zawołał.— Nie trzeba było klejnotów z rąk puszczać, przestrzegałem, ani się dać zbytnio w nich rozpatrywać! Gdybyś postąpił, jak chciałem, nie mieliby czasu w klejnotach fałszu dochodzić, ale z waszeci nowicyusz.

— A no, do takich spraw, w istocie jestem nowicyusz — rzekł rozgniewany kupiec, — bom nawykł prostą chodzić drogą i nigdy nie kłamać. Mniejsza z tem, żem się sromać musiał, ale i sprawie królewskiej zaszkodzić to może.

Constantini mu się w nos rozśmiał.

— O! prostaczku ty!—zawołał.—Cóż to ty myślisz, że król na siebie weźmie to, co sam skomponował? Powie, żem ja winien i ukarze mnie, a ja złożę na ciebie i skrupi się zawsze na najmniejszym. Gdyby się tylko rozgłosiło o fałszywych brylantach... powiedzą, żeś ty je dla zysku podstawił i chciał przywłaszczyć i temu więcej uwierzą, niż żeby król miał coś podobnego wymyśleć.

Witke się ukłonił, składając na stole pudełka.

— Dziękuję wam za naukę i będę z niej korzystał—rzekł.—Wdałem się w nieswoje rzeczy, powrócę do handlu. Nie widzę, cobym zyskał na takich posługach. Uda się,—wam to przypiszą, pośliźnie się noga, ja odpokutuję.

Chciał już odchodzić, ale Constantini go oburącz za kołnierz chwycił i nie puścił.

— Tak się skończyć nie może! — zawołał. — I króla i siebie musimy oczyścić. Tym razem dam waszmości też same klejnoty, ale z prawdziwemi kamieniami. Zawieziesz je kasztelanowej i domagać się będziesz, aby je oszacowano; okaże się, że Towiańska oczów nie miała i potwarz na nas rzuciła.

Witke zgodził się na to; dogadzała mu ta re-

habilitacya. Nie dłużej nad dni dwa czekać musiał, aby w tę samą oprawę wstawiono wyjęte drogie kamienie. Na oko były to też same naszyjniki, kolce i dyademy, ale teraz były one warte około dwudziestu kilku tysięcy talarów.

Constantini zalecił tylko, aby Witke kosztownego depozytu z rąk nie puszczał.

Ciągłe to podróżowanie zmęczyło już i znudziło niemca, musiał jednak raz jeszcze poselstwo sprawić dla oczyszczenia się. A że gościńce nie bardzo były pewne, przyłączono go do wozów królewskich, które szły pod eskortą do Warszawy, dokąd się i sam August wkrótce wybierał.

Nie było jej komu bronić i potajemnie miał zapewnione zdanie zamku, cekhauzu i wszystkiego. Czekano tylko na dokończenie układów z Prymasem. Witke po niewczasie żałował, że się tak zaplątał, iż teraz z więzów wyswobodzić się było mu trudno.

W Warszawie prawie nie spocząwszy, wyruszył do Łowicza. Chociaż z panią kasztelanową nie najlepiej się rozstali, gdy o nim oznajmiono, natychmiast wielce zaciekawiona wpuścić go kazała.

— Cóż to waszmości sprowadza?—zapytała żywo, podchodząc.

— Potrzeba usprawiedliwienia — odparł Witke.—Pani kasztelanowa osądziła te klejnoty fałszowanemi, tymczasem ci, co mi je powierzyli do okazania, ręczą za nie, a ja żądam wezwania choćby dziesięciu złotników, którzy się na tem znają. Ślepym był, kto się w nich fałszu dopatrzył!

Towiańska się rozgniewała.

— A to mi dopiero historya!—krzyknęła.

Pobiegła do drzwi niespokojna.

— Prosić do mnie Mrużaka... natychmiast!

— Choćby nie jednego, ale ilu ich pani zechce, byle takich, co oczy mają—rzekł Witke.

Począł zatem uskarżać się na doznane z tego powodu nieprzyjemności i domagać się koniecznie *expertum vivum*.

Na bardzo rozognioną rozmowę nadszedł złotnik, ale zaledwie usłyszał o co idzie, poruszył ramionami.

— Nie mam co drugi raz patrzeć — odezwał się,—bo com powiedział, to trzymam.

— A ja stawię gardło — zawołał Witke, — że tego nie dowiedziesz.

— Jest przecie drugi mój towarzysz, także doświadczony człek—odezwał się Mrużak,—niechaj on przyjdzie.

Posłano po owego towarzysza, także niemłodego już człowieka, flegmatyka, który słynął z tego, że złoto w jego rękach przybierało kształty jakie zamarzył, bo z niego plótł, tkał, wyciągał, co chciał, a szczególniej kwiaty robił bardzo piękne. Zwano go Padniewczykiem.

Mrużak sam już nawet nie chcąc drugi raz się rozpatrywać, szepnął mu o co chodziło. Poszedł Witke z nim do stołu pod okno i z kolei począł pudełka otwierać.

Nastąpiło milczenie; pani Towiańska zbliżyła się także do rozpatrujących.

Padniewczyk, który pono ze starszym mistrzem w konflikt nie rad był wchodzić, długo nie mówił nic; brał, patrzył, obracał, kładł, wzdychał, głową potrząsał.

— No, a cóż?—śmiejąc się, spytał pewien siebie stary—a cóż?

— Jam tu dotąd fałszu żadnego nie napotkał—odezwał się Padniewczyk—jak Bóg miły, nie widzę, albom ślepy.

Żywo podbiegł Mrużak, chwytając pierwszy lepszy naszyjnik, który dobrze pamiętał, bo w nim duże szafiry były jawnie podrabiane.

Ale tym razem, wpatrzywszy się, osłupiał i przeżegnał się.

— W Imię Ojca i Syna!—zawołał—oprawa taż sama, ale kamienie!

— Także też same — dodał Witke z przeką-

sem—tylko dziś oczy inne. Patrzajcież ichmość i rozpatrujcie dobrze, abym czystym był.

Mrużak się pięścią buchnął w piersi.

— Jam się omylić nie mógł—krzyknął.—Patrzże waszmość na siwą głowę moją! Cóż to mnie po raz pierwszy z kamieniami i perłami do czynienia mieć?

Oba złotnicy pospuszczali głowy, podobywali szkła, poczęli próbować twardości kamieni. Mrużak pootwierał wszystkie pudełka i zamilkł.

— Szatańskie to są jakieś sprawy — odezwał się z westchnieniem — nie wiem już, co mówić. Ja sam dziś nie przeczę, że tu fałszów niema, ale tak samo przysięgać bym gotów, że fałsz był.

— Cóż waćpan myślisz—przerwał dumnie Witke,—że się kto będzie bawił i w taką drogocenną oprawę szkła i dyamenty wstawiał?

Mrużak zmilczał, odstąpił od stolika upokorzony.

— Pierwszy to raz w życiu podobna mnie konfuzya spotkała—rzekł,—niech ona Boga chwali.

Padniewczyk po kolei rozpatrzył klejnoty wszystkie, podziwiając już nie tyle owe karbunkuły w nich, jak robotę wytrawną i misterną; przypisywał on ją włochom.

Kasztelanowa stała zadumana. Ona też życzyła sobie rzucić okiem na te błyskotki, których była łakomą, ale Witke bardzo skrzętnie natychmiast wszystko w pudełka układał i zamykał.

— Jeżeli pani kasztelanowa życzy sobie—rzekł naostatku — gotowem poddać te klejnoty każdemu znawcy, jakiego wyznaczy.

Mrużak wyszedł gniewny, nie czekając, aby go odprawiono.

— Złotnik się omylił—dodał niemiec, — a jam za niego odpokutował.

Milczała zmięszana kasztelanowa; cała ta przygoda w głowie się jej jakoś pomieścić nie mogła. Chciała się coś dowiedzieć o dalszych układach, ale

Witke złożył się tem, że nic nie wie, że mu nie dano żadnego zlecenia, od niechcenia tylko niby dodał, że król się bardzo prędko ze wszystkimi panami senatorami, u boku jego będącymi, wybiera do Warszawy.

— Jakto? nie czekając na to, aby się z bratem moim porozumiał?—zapytała.

— Nic nie wiem—rzekł Witke.—Być może, iż pewnym jest, że Prymas, widząc, jak się składają rzeczy, króla uzna, a rokosz rozwiąże.

Kasztelanowa śmiać się poczęła.

— Ja jeszcze o tem nie wiem nic—odparła.—Król przecież krok jakiś uczynić musi, bo on nas potrzebuje.

Towiańska słów tych domawiała, a Witke stał, przygotowując się do wyjścia, gdy boczne drzwi pokoju, w którym się znajdowali, ostrożnie i cicho się otworzyły i z za nich ukazała się zachwycająca twarzyczka, nadzwyczaj wdzięcznie ufryzowanemi włosami otoczona, po której różanych, małych usteczkach krążył uśmiech figlarny.

Zjawisko to nawet obcego tu zupełnie Witkego wstrzymało nieco, tak było pociągające, taki wzrok i wyraz nęcący tej młodziuchnej jeszcze, ale śmiałej istoty. Zalotność naturalna, niewymuszona, tak zdawała się właściwą temu obliczu, iż bez niej pojąć by go nie można było. Ciemne, przysłonięte tajemniczo powiekami i długiemi rzęsami oczy, buzia koralowa, przeglądające z pod warg perłowe ząbki, całość tych rysów, raczej wdzięcznych, niż pięknych, wyzywała i przykuwała.

Kasztelanowa Towiańska, jakby zjawienie się gościa tego wcale jej nie było przeszkodą do otwartej rozmowy z Witkem, nie przestała mówić i nie przeszkodziła zaglądającej ciekawie pani wsunąć się poufale do pokoju.

Była to niewielkiego wzrostu, ale nadzwyczaj kształtnej i gibkiej postaci osóbka, której strój wykwintny i śmiałość ruchów świadczyły, że już zamężną

być musiała. Nóżki, rączki, które umiała uwidocznić, jakby od posągu greckiego były zapożyczone; choć rysy twarzy wcale klasycznemi się nazwać nie mogły, miały one jednak więcej niż to, co daje nieposzlakowana rysów prawidłowość, — życie, wdzięk, urok niezwyciężony.

Weszła na paluszkach, śmiejąc się, trochę roztrzepana umyślnie dla nadania sobie życia, z kolei wpatrując się to w Towiańską, to w przystojnego mężczyznę, którego miała przed sobą. Bo chociaż łatwo było odgadnąć, że położenie towarzyskie daleko tego młodzieńca stawiło od nadobnej pani, nieomieszkała go czarować, strzeliwszy do niego parę razy wzrokiem śmiałym razem i omdlewającym.

Witke stał jak przykuty, myśląc w duszy — Czarodziejka!

Towiańska nadąsana usiłowała się jej uśmiechać; ona całą baczność swą zwróciła na Witkego. Jawnem było, że kasztelanowa nie miała dla niej tajemnic i że to musiał być ktoś należący do rodziny kardynała.

Tak było w istocie; natrętny ten gość zwał się Urszulką Lubomirską, wielką podkomorzyną koronną. Ojciec jej, który z Francyi tu przywędrował — pono za Maryą Ludwiką, zwał się Bouccon, ożenił się w Polsce, nazwisko spolszczył nieco i piękna Urszulka kilkunastoletnia zaledwie, choć nie posażna i rodziny nie odznaczającej się wcale, umiała usidlić młodego syna hetmana.

Namiętnie w niej rozkochany Jerzy Dominik Lubomirski, pomimo oporu familii, powiódł ją niedawno do ołtarza, ale małżeństwo państwa podkomorzych koronnych, jak głoszono, nie bardzo było szczęśliwe. Ona oskarżała męża o dumę, zazdrość, dziwactwa, tyranią, on ją o zalotność i płochość.

Piękna Urszulka śmiała się z męża, on gniewał na nią. Po całych miesiącach nie mówili do siebie; on wymagał wyjazdu na wieś i mieszkania gdzieś

w pustyni poza światem, ona potrzebowała świata, życia, ruchu, wesołości i młodzieży około siebie.

Godzono ich rano, a wieczorem się już znów rozchodzili. Dodać wszakże potrzeba, że gdy piękna Urszulka zagniewanego męża potrzebowała przyciągnąć i przejednać, umiała to bez niczyjej pomocy dokazać. Leżał u nóg jej, przepraszając. Cóż gdy niedługo potem, trzpiot ze śmiechem odbiegł i zalotnością swą przyprowadzał go do rozpaczy.

Witke zacząwszy się żegnać, miał już odejść, gdy go Lubomirska wstrzymała.

— Czekaj waćpan—zawołała, zbliżając się i z nałogu wdzięcząc do niego — czekaj waćpan! Wszak przybywasz z Krakowa! Znasz króla? widziałeś go? mów, myśmy nadzwyczaj ciekawi naszego młodego pana... Ja już się wybierałam na koronacyę, ale ten mąż nieznośny zawieźć mnie nie chciał!

Nie wiedząc jak odpowiedzieć na to szczebiotanie poufałe i natrętne, Witke stał wpatrzony w śliczną panią; głową tylko znak dał, że gotów był poddać się badaniom.

Podkomorzyna, poprawiając pukle fryzury, otaczającej wdzięczną jej twarzyczkę, ciągnęła dalej.

— Mówią nam i portrety pokazują, że król jest młody i bardzo, bardzo przystojny, ale te portrety tak kłamią... że się stroi wytwornie, że dla kobiet jest grzecznym... Prawda to?...

Witke się mimowoli uśmiechnął.

— Wszystko to, co o królu mówią — odezwał się już całkiem oczarowany—nie starczy... Portrety robią go starszym daleko, niż jest, a co do dam, aż do zbytku dla nich powolny.

Tupiąc nóżką, przerwała mu Lubomirska.

— Jak waćpan śmiesz mówić, że można być nadto dla nas powolnym! Myśmy stworzone na to, aby nas słuchano, przynajmniej dopókiśmy piękne. A że ten wdzięk nasz rychło przekwita, zato się nam tem więcej należy.

— Ale — przerwała, zwracając rozmowę — ale

powiedz mi pan otwarcie... Wiele król ma teraz kochanek?

Śmiałość tego zapytania zmięszała Witkego, który się zarumienił i oczy spuścił.

— Ja—rzekł zakłopotany—o żadnych nie wiem.

— A cóż bo znowu — rozśmiała się podkomorzyna — należysz do dworu, masz stosunki na nim i nic nie wiesz! Dyskrecya to bardzo piękna, ale bądź waćpan szczerym, ja go nie zdradzę. Wszakże hrabina Esterle przybyła z nim do Krakowa, więc zapewne zabierze ją z sobą do Warszawy, gdy tu zjedzie?

Kupiec, tak zagadnięty, potrzebował namyśleć się chwilę, co miał odpowiedzieć. Nie chciał króla zdradzić, a trudno się było oprzeć tej inkwizytorce, która oczyma dobywała tajemnic z najskrytszych duszy zakątków.

— O hrabinie Esterle—rzekł w końcu, widząc, że i Towiańska się przysłuchuje i zdaje się być rada temu badaniu—nie słyszałem w Krakowie. Być może, iż ją ciekawość na koronacyę sprowadziła... ja jej nie widziałem...

Lubomirska krok jeszcze bliżej przystąpiła, jakby chciała zbliżeniem się tem wywrzeć jeszcze silniejsze na nim wrażenie. Zniżyła głos, czyniąc go słodkim i przymilającym się.

— Powiedz bo pan prawdę, wiesz wszystko — szeptała—wszak to nie pierwsza miłość króla? Bardzo on do niej przywiązany? a ona, kokietka?

Słychać było, jak drobnemi nóżkami z niecierpliwości stukała o podłogę, a maleńkie rączki, pierścieniami okryte, rwały, poprawiając, koronki ubioru. Witke, choć nie mógł oprzeć się jej urokowi, nie wiedział spełna, co ma mówić.

— Niech mi pani wierzy, że nie tak jestem dobrze o rzeczach prywatnego życia króla uwiadomiony, abym mógł o nich mówić z pewnością. Król jest żonaty...

— Ał—roześmiała się na głos Lubomirska,—

wszyscy wiedzą, że bardzo szanuje żonę, ale jej nie kocha. Zresztą on teraz katolik, a ona dyssydentka, więc przez to już małżeństwo zerwane i my królowej mieć nie będziemy...

I dziwnym, namiętnym śmiechem wybuchając, dodała:

— Musi tu sobie tymczasową wybrać królowę! My Esterle nie chcemy! Esterle! Esterle! to tak jakoś brzmi, jakby była żydóweczką...

— Esterle jest hrabią, — poprawił Witke, — a ona z domu hrabianka Lamberg!...

Podkomorzyna skrzywiła się i usteczka jej podniosły się pogardliwie.

— No, jakże? — nalegała — bardzo ją kocha? mów pan...

— Nigdy w życiu nie widziałem hrabiny Esterle—rzekł, wstrzymując się, Witke.—Nie pokazuje się ona w Dreznie tak bardzo, a stąd wnoszę, że więcej o tem mówią, niż warto.

Lubomirska słuchała.

— On sobie tu musi wybrać tymczasową królowę—szepnęła, i wtrąciła żywo:

— Cóż się stało z piękną Aurorą?

Kupiec oniemiały znowu wstrzymał się z odpowiedzią dla namysłu.

— Hrabina Königsmark,—rzekł w końcu,—jak wszystkim wiadomo, jest zawsze w łaskach u króla.

— Choć ją tak haniebnie zdradził z tą Fatimą, a potem dla Esterle — dodała podkomorzyna, dowodząc, jak doskonale była o wszystkich miłostkach króla uwiadomioną i jak ją one obchodziły.

— Widzę—odezwał się po chwili kupiec, — że prędzejbym się ja od pani mógł czegoś dowiedzieć, niż jej coś nowego przynieść. My nie podnosimy oczów do góry i wolimy nie mięszać się do serdecznych spraw N. Pana. Muszę też pani wyznać, że ja do dworu nie należę, z powołania kupcem jestem...

— A!—wtrąciła żywo i porywczo Lubomirska— czemże handlujesz? kamieniami? klejnotami? nieprawdaż?

Witke się roześmiał.

— Bynajmniej — począł wesoło — na tych się wcale nie znam...

To mówiąc, chociaż podkomorzyna usiłowała go zatrzymać i jeszcze miała na ustach natrętne pytania, Witke skłonił się kasztelanowej, potem pięknej nieznajomej i wyniósł się co żywo, obawiając się wygadać mimowoli.

Zaledwie się drzwi za nim zamknęły, a Towiańska miała począć rozmowę z podkomorzyną, gdy wszedł Mrużak oczekujący w przedpokoju, prowadząc za sobą kolegę Padniewczyka. Oba mieli twarze posępne i uroczyste.

— Jaśnie wielmożna pani—odezwał się, nizko kłaniając Mrużak—nie chciałem przy tym jegomości sporu wszczynać... Prawdą a Bogiem kamienie dnia dzisiejszego były drogocenne i piękne, ale pierwsze, które on tu w tej samej przywoził oprawie, na oszukaństwo, tak mi Boże dopomóż, wprawione zostały... Padniewczyk mi poświadczy, że na oprawie nawet znać świeżą dłubaninę, gdy je wyjmowano i zakładano...

— Nie moja rzecz sądzić, co to miało znaczyć—dodał—alem ja stary wyga, na tem zęby zjadłem; ja do szacowania klejnotów koronnych byłem wzywany, gdy je w zastaw dawano, nie mogłem się omylić i zbłaźnionym być nie chcę.

Głos mu drżał, tak wziął do serca przypisywaną sobie omyłkę.

Kasztelanowa ruszyła tylko ramionami, gdy Padniewczyk pomrukując, potwierdził zapewnienie towarzysza.

— Wierzę, wierzę—dodała—bądź waćpan spokojny; chcieli mnie oszukać, ale się nie udało, będę ostrożną. Ale, że to są, bądź co bądź, królewskie sługi, lepiej o tem zamilczeć.

Miała słuszność pani kasztelanowa, ale zaleciwszy milczenie Mrużakowi, sama go nie umiała utrzymać. Wiedziała o tej przygodzie piękna podkomorzyna Lubomirska, nie była ona tajemnicą dla synowej, dla Prymasa, dla znaczniejszej części jego dworu, nikomu nie zalecano, aby nie rozpowiadał, co posłyszał, wieść więc o fałszywych klejnotach rozeszła się po kraju i rozmaite wywołała sądy. Towiańska się nie bardzo sromała tego, że wymagała porękawicznego, które było w obyczaju i nikt się nie taił, kto go wymagał; daleko mocniej ją obchodziło to, że mogła być zwiedzioną i oszukaną.

Witke w przekonaniu, że naprawił popełniony błąd, wrócił trochę spokojniejszy do Warszawy.

IX.

Aż do nowego roku, 1695, położenie na pozór mało się zmieniło; potajemnie toczyły się układy z główniejszymi przywódcami rokoszu, zapewniano, że Prymas nawet został pozyskany i że piękna podkomorzyna Lubomirska, niewiadomo jakim sposobem, wmięszała się w to przejednanie i grała w niem pewną rolę, pomimo męża i podobno bez jego wiedzy. To pewna, że głośno przy każdej zręczności wyrażała się z najwyższem uwielbieniem o pięknym, miłym i niezrównanie uprzejmym dla kobiet królu Auguście. Nie ulegało wątpliwości, że widywać go musiała, była nim zachwyconą, ale wzdychała do tej chwili, gdy otwarcie i jawnie będzie mogła zabrać z nim bliższą znajomość.

Usposobienie to pięknej Urszulki tak było na rękę i Prymasowi i Towiańskiej, że nietylko jej nie powstrzymywali w tych zapałach, ale zdawali się

podburzać i rachowali na czarodziejkę, aby wpływ, jaki pozyskać miała, ua korzyść swoję obrócić.

Wielce zazdrosny młody Lubomirski nie wiedział ani o tych zabiegach żony, ani o jej uwielbieniu dla króla.

Tymczasem, pozyskawszy sobie łagodnością i wielce zręcznem pobłażaniem Sobieskich, biskupa Załuskiego, Lubomirskiego z rodziną jego, przygotowawszy pojednanie dwóch na Litwie walczących stronnictw Sapiehów i szlachty, król August już się nie wahał przedsięwziąć podróży do stolicy.

Na skargi i żale przeciwko nadużyciom wojsk saskich, których wyprowadzenia z kraju natarczywie się domagano, król zręcznie bardzo odpowiedział rozkazem, przenoszącym ich do Prus, zkąd nie tak łatwo mogły dochodzić krzyki i szlachty mało i wielkopolskiej nie obchodziły już tak mocno.

Cały liczny i wystawny swój dwór, wszystkie okazałości jego, stroje i błyski, August przywoził do stolicy, w której mazurom chciał się pokazać równie świetnie, jak w Krakowie małopolanom.

Zawczasu się upewniono, że dowodzący na zamku w Warszawie, zda go bez oporu saskiej gwardyi, która towarzyszyła królowi...

Cały ten dosyć powolny pochód od jednej do drugiej stolicy był jakby tryumfem dla Sasa, który teraz mógł sobie pochlebiać, iż tak dobrze począwszy, dalej już żadnych groźnych do przełamania nie znajdzie trudności.

Po drodze nie było prawie popasu, ani noclegu, na którymby gromady szlachty z urzędnikami na czele nie witały Augusta okrzykami i nie składały mu hołdów. Nie badając przeszłości, nie poszukując za nią pomsty, król wszystkich bez różnicy ich dawnych stosunków w obozach przeciwnych, przyjmował z uprzejmością nadzwyczajną, z twarzą jasną i otwartym stołem, a pełnemi szklanicami. Na każdym noclegu wyprawiano ucztę dla gości, a August ze swymi przybocznymi zasiadał do niej, biesiadując

niemal do chwili, w której do dalszej podróży sposobić się było potrzeba. Na wygodniejszych stacyach, po miasteczkach, zatrzymywano się całemi dniami.

Szlachta zachwycała się nowym panem, który ją tak uprzejmie poił, przyjmował i ciągle wesół, uśmiechami uszczęśliwiał. Rozmówić się z nim wprawdzie mało kto mógł, oprócz tych, co po francuzku umieli, ale oblicze jego mówiło, że się czuł szczęśliwym i wszystkich około siebie chciał widzieć szczęśliwymi.

Najwspanialszą z tych biesiad po drodze była wyprawiona w Radomiu, w klasztorze księży Bernardynów, w wigilję Trzech Króli, gdzie August zastał nietylko gromady szlachty, ale wiele osób znaczniejszych, o których pozyskanie mu chodziło... Przybycie ich i połączenie się z orszakiem pańskim miało znaczenie wielkie. Rokosz tracił siły i racyę bytu.

Chociaż Rzym dotąd przez nuncyusza, przez OO. Jezuitów, sprawę króla w Polsce popierał, choć nawróceniem się jego na katolicyzm duchowieństwo zdawało się pozyskane, nie mniej szło Augustowi wielce, aby między niem miał jak najwięcej przyjaciół, bo Stolica Apostolska dotąd dla niewiadomych jakichś pobudek ociągała się uznać go królem.

Rad był więc bardzo August, znajdując tu przyjaciela nieboszczyka Sobieskiego i jego rodziny, wielce rozumnego, uczonego i powszechnie szanowanego Załuskiego.

Prymas, jak powiedzano, był już kupiony i albo był lub miał być wkrótce zapłaconym... Zgodził się na siedemdziesiąt pięć tysięcy talarów, a Towiańska ostatecznie, kapryśząc, wahając się, papląc o fałszywych klejnotach, przyjmowała precyoza o dwudziestu pięciu...

Król, który lubił błyskotki i okrywał się niemi, tęsknie wzdychał po utracie pięknych kamieni, ale spokój i zgoda coś warte były. Prymas obiecywał iść z królem i silnie go popierać... Rokosz miał być rozwiązany.

W Radomiu szczególniej, przy suto zastawionych stołach wielka się miłość dla Sasa zrodziła i urosła. Opowiadano, że na wszystko się zgadzał, czego tylko sobie szlachta życzyła, że niesforni żołnierze wyciągali do Prus, że rokoszanom było przyobiecane przebaczenie warunkowe, że natychmiast miał znakomity wódz iść odzyskać Inflanty, albo wespół z carem moskiewskim zwrócić się przeciwko Turkom, aby opanować nieodżałowany Kamieniec.

Można sobie wyobrazić jak powolną była ta podróż Augusta, gdy w wigilję Trzech Króli ucztując w Radomiu, potem w Warce, dopiero po przyjęciu przez Sobieskich w Wilanowie, dnia 15 Stycznia odprawił wjazd do Warszawy. Obaj królewicze wyszli naprzeciw niego aż do drzwiczek powozu.

Cała ta podróż była szeregiem pomyślnych dla króla wypadków. W Radomiu w sam dzień świąteczny z pomocą Załuskiego i Lubomirskiego, udało się zbliżyć do siebie zajadłych wrogów, zakłócających pokój na Litwie, Słuszkę, kasztelana wileńskiego z podskarbim litewskim, Sapiehą. Tu znaczna liczba dwojako upojonej szlachty i panów przyłączyła się do pochodu i towarzyszyła królowi do Warki.

Dwaj Sobiescy naprzód tu go w przeprawie przez Pilicę powitali, a potem polecieli przodem do Wilanowa, aby mu tam zgotować przyjęcie i wypoczynek, nimby obmyślono, z jaką uroczystością miała go witać stolica.

Królowi, pomimo zimnej pory, która nie dozwalała ocenić wszystkich piękności Wilanowa, dawna rezydencya Sobieskiego podobała się wielce.

Nie wiedzieli pewnie Sobiescy, że August poufnie szepnął na ucho Fleminowi.

— To jak stworzone dla mnie! Sobiescy muszą mi, radzi nie radzi, tego małego Wersalu ustąpić!!

Nareszcie na wjazd został przeznaczony dzień piętnastego Stycznia. Ze stolicy naprzeciwko przybywającego monarchy wyjechali w kolebkach Załuski, podkanclerzy Radziwiłł, podskarbi Sapieha, Dębski,

referendarz Szczuka, Bielawski podkomorzy i wielu pomniejszych.

Król nie dosiadł konia dla chłodu, wjeżdżał przystrojony w brylanty swe i złotogłowy, z całą pompą teatralną, do której taką przywiązywał wagę, i tak się w niej lubował, w ośmiokonnej pozłocistej kolebce, otoczony świetną swą i doborową gwardyą saską. Niezliczone tłumy się wylały ze stolicy w części za nim, w części naprzeciwko niego... i wśród bicia z dział, dźwięku wszystkich dzwonów, okrzyków radości, wjechał tak tryumfujący, wprost się kierując do kościoła św. Jana, gdzie mowy i Te deum zamknęły uroczyste objęcie stolicy.

Witke, który z innymi znajdował się w zamkowym kościele, dostrzegł, jak na podwyższeniu umieszczonym niedaleko wielkiego ołtarza, strojna jak obraz cudowny, a w istocie będąca cudownym obrazkiem-- Lubomirska oczyma przymrużonemi witała z uśmieszkiem Augusta, który bardzo widocznie oddał jej ten uśmiech i skłonił głową znacząco. To dowodziło, że się już znali.

Niemiec poruszył ramionami i rzekł sobie po cichu.

— No, teraz już prawdziwym jest królem polskim, bo pani podkomorzyna zastąpi pewnie Esterle.

O tem jednakże dotąd słychać nie było.

Po odwiedzinach u królowej wdowy, po objęciu zamku, do którego wciągnęli sasi, poczęły się naprzód uroczystości, zabawy i turnieje. Sam król chciał być w nich czynnym i popisywać się ze swą zręcznością i siłą.

Drugiego i trzeciego dnia po obiedzie i kielichach mnogich, które tyle tylko, że humor dobry podniecały, bo król August miał głowę mocną i nie łatwo mu się ona zawracała, biegali sasi do pierścienia. Próbowali i niektórzy z naszych tej zabawy. Szło o to, aby konno z kopją w ręku, rozpędziwszy się, końcem jej do zawieszonego w górze pierścienia trafić i zdjąć go.

Najwprawniejsi w to igrzysko nawet bardzo często chybiali, bo lada drgnięcie konia, albo ręki, trzymającej kopję, od celu odbiło, a choć kto o pierścień potrącił, jeśli go nie zdjął, liczyło mu się za chybione.

Ponieważ w Polsce jakoś dawno te rycerskie zabawki ustały, bo zabawiać się nie było czasu, gdy kozactwo pół kraju zalewało, mało kto mógł do pierścienia biegać i zręcznym się okazać. A był to popis w którym piękny, dorodny młodzian mógł się z siłą i gibkością popisać.

Dnia tego nikomu się nie powodziło i niemcy i polacy biegali, napróżno konie męcząc i siebie. Odbywał się ten turniej na placu przed zamkiem, opasanym łańcuchami, po za któremi był ścisk ogromny ludu, patrzącego na te pańskie wyścigi, jak na hecę.

Król zawsze galant, kazał dla gości przedniejszych i dam na te wszystkie dni pobudować z tarcic trybuny, które kolorowemi płótnami poobwieszano. Wszystkie panie, żony senatorów i córki, postrojone zajmowały tu miejsca, siedząc godzinami, aby się pięknemu młodemu królowi przypatrywać mogły...

Między innemi, wprost naprzeciw tego miejsca, w którem król pod baldachimem, otoczony panami zasiadł, jako sędzia i wódz, traf czy rachuba dała siąść pani podkomorzynie Lubomirskiej, wraz z kasztelanową Towiańską i jej synową.

Pomiędzy polskiemi paniami nie zbywało na pięknościach, były może i przechodzące Urszulę rysami twarzy i wspaniałą figurą, ale pomimo to Lubomirska jaśniała tu, jak gwiazda. Miała ona dar szczególny zwracania oczów na siebie. Twarzyczka jej, wejrzenie, cała powierzchowność jakaś oryginalna, ubiór bardzo szczęśliwie zastosowany, przy tem żywość ruchów, śmiałość, zalotność gasiły wszystko, co ją otaczało. Gniewano się, zazdroszczono, ale wzrok mężczyzn, jak w tęczę w nią był wlepiony.

Widzieli wszyscy, że król nieustannie oczy ku niej obracał, a ona też ciągle się w niego wpatrywała. Podkomorzy po kilkakroć przychodził jej coś szeptać, był posępny, ale ona ani jego, ani nikogo słuchać nie miała zwyczaju.

Wśród śmiechów, oklasków, krzyków, przygrywania na trąbach, ciągnęło się tak widowisko niefortunnie, aż król sam wstał i szepnął Flemingowi, ażeby mu konia jego przyprowadzono.

Miał w bieganiu do pierścienia wprawę niemałą i bardzo często w Dreznie udawało mu się z rzędu kilka razy wziąć nagrodę. Tym razem jednak Fleming był przeciwny i chciał odwieść Augusta od tego popisu.

— Sława z tego niewielka—szepnął mu,—a gdyby się nie powiodło, przykrość dotkliwa; tyle oczów patrzy!

Nie posłuchał król dobrej rady przyjaciela. Zrobił się rumor wielki, zaczęto sobie z ust do ust podawać:

— Król, król będzie biegał do pierścienia!

Lubomirska w ręce klaskała.

W istocie było na co patrzeć, bo koń piękny i król dorodny, a bohatersko i rycersko wyglądający, stanowili obrazek wielce powabny. Siadanie na konia, ujęcie kopji ciężkiej, którą on jak piórkiem władał, panowanie nad wierzchowcem, każdy ruch pełen wdzięku obudzał uwielbienie w patrzących.

Z wielką pewnością objechał naprzód August arenę, prowadząc pod sobą rumaka, jak w tańcu. Kobiety klaskały i powiewały chustkami. Lubomirska szalała, niemal od zmysłów odchodząc.

Odbywszy tę paradę wstępną, król August jakby od niechcenia stanął naprzeciw pierścienia. Kopję złożył, popatrzył i nagle dawszy znak koniowi, kopnął się z wielkim impetem do pierścienia.

Co się naówczas stało, tego nikt ani zrozumieć, ani wytłumaczyć później nie umiał; koń się pod nim związał, padł, przywalił nieco sobą Augusta, a jedna

jego noga tak została uciśniętą, że gdy natychmiast rzucili się wszyscy na ratunek, a król powstać chciał, nie mógł się utrzymać, bo wielki palec był straszliwie zgnieciony i krew z niego trysnęła.

W chwili, gdy się to stało, Lubomirska wychyliła się, rozpostarła ręce, jakby na ratunek biedz chciała i padła zemdlona w objęcia Towiańskiej.

Nie wszyscy to postrzegli, gdyż cała uwaga była zwrócona na króla, który nie chciał okazać, jak cierpiał i sparty na ręku Pfluga, zniknął natychmiast.

Ale że Lubomirskiej potem się dotrzeźwić nie było można i około niej też zbiegła się ciekawa gromadka, a osłabioną wynieść prawie musiauo do powozu, rozgłosiło się to i rozeszło.

Nadbiegł podkomorzy, przeklinając nerwy i lękliwość kobiecą, gniewny i oburzony tak, że gdyby nie Prymas, możeby natychmiast Lubomirską na wieś albo sam wywiózł, lub odprawił, ale Towiańska ją zabrała z sobą,

Z wypadku tego tedy w owym wieku, pełnym jeszcze przesądów, zaczęto wróżyć nie dobrze. Upadek, skaleczenie, krew, wszystko to dawało do myślenia.

Lubomirska z aprehensyi o króla J. Mości, z niechęci przeciwko nieznośnemu mężowi rozchorowała się.

Pocieszając króla tegoż wieczora, naturalnie zausznicy jego opowiadali mu o omdleniu pani podkomorzynej. Dowiedział się o tem bardzo rad, bo mu się niezmiernie podobała. Ale z drugiej strony przestrzegano go, aby w Polsce, przynajmniej w początkach, był niezmiernie ostrożnym. Lubomirskich sobie narazić było rzeczą niebezpieczną.

Wiedział o tem bardzo dobrze, a jednak nawykły zawsze dogadzać swoim fantazyom, nie mógł się wyrzec Lubomirskiej. Ona zaś ze swej strony wprost mu się narzucała i od tego dnia stosunki jej z mężem stały się nieznośną walką. Dodać potrzeba, iż pani kasztelanowa Towiańska rachowała na tę ku-

zynkę i jej wpływ na króla, więc zamiast ją powstrzymywać, podżegała, choć niezręcznie.

Dwór, otaczający króla, którego próżność tak dotkliwie ucierpiała dnia tego, starał się tłumaczyć wypadek, składając winę na konia.

Skaleczenie nogi z początku miano za rzecz bardzo mało znaczącą, tymczasem uderzenie było tak silne, iż lekarze z początku o odjęciu palca mówili. August długo nie mógł chodzić, a gdy wyzdrowiał i ranę zagojono, pozostał mu ból, który trwał do zgonu i później wcześnie laski używać zaczął dla tej nogi.

Nazajutrz jeden z paziów królewskich, potajemnie przysłany, przyszedł do Towiańskiej z komplementem, dowiadując się o zdrowie pięknej Urszuli.

Omdlenie to stanowiło o losach przyszłych Lubomirskiej. Król już zobojętniały dla Esterle, nie mogący nigdy długo wytrwać bez zmiany w swych afektach, szukający ciągle czegoś nowego, pomimo przestróg przyjaciół, całkiem się zwrócił ku podkomorzynie.

Fleming ruszał ramionami i uśmiechał się, utrzymując, że był pewnym wyboru polki, bo należało Augustowi mieć dwie przynajmniej kochanki, tak jak miał dwie korony.

Sasi, przywykli do sposobu życia Kurfirsta, nie wielką wagę przywiązywali do tego, co im się wydawało naturalnem; pomiędzy polskimi panami samo imię i położenie towarzyskie Lubomirskiej podnosiło znaczenie tych miłostek i czyniło je gorszącemi. Pomrukiwano, przypominając Radziejowską za Jana Kaźmierza i wszystkie klęski, jakie niesłusznie przypisywano słabości króla dla niej.

Ale dotąd stosunki podkomorzynej nie dawały powodu do obwinienia ani jej, ani Augusta. Nie zerwała ona z mężem, nie dała powodu do posądzenia niczem oprócz omdlenia, które się mogło drażliwością niewieścią tłumaczyć. Tylko dla tych, co z przeszłem życiem Kurfirsta lepiej byli obeznani, jak Prze-

będowscy, widocznem było, że August, nawykły do łatwych zwycięztw, gotów dla nich do największych ofiar; raz rzuciwszy okiem na piękną Urszulę, już jej się nie wyrzecze.

Uważano, iż z mężem podkomorzynej, który niemal codzień mu się na oczy nawijał, król stał się uprzejmym, serdeczniejszym, niż kiedykolwiek. Dawał mu pierwszeństwo przed innymi, starał się wyróżnić i okazać dlań pełnym atencyi. Był to zwykły sposób postępowania Augusta; w wigilję tego dnia, gdy kogo miał wyprawić do Königsteinu, nadzwyczajną czułością go otaczał.

Lubomirska po omdleniu następnych dni się nie pokazywała. Podkomorzy musiał się do niej gwałtem dobijać. Powiadano, że pomiędzy małżonkami w cztery oczy nastąpiła scena gwałtowna. Towiańska słyszała krzyki, a podkomorzy wyszedł wściekły, rzucając drzwiami, nie chcąc widzieć się, ani rozmówić z kasztelanową.

Gdy po oddaleniu się jego, weszła do pokoju Urszuli, znalazła ją we łzach gniewu, z policzkami gorejącemi, rozdrażnioną do szaleństwa.

— Nie chcę go znać—poczęła wołać—tyranem jest, żyć z nim nie mogę... Podam się do rozwodu, niech będzie, co chce... Wuj mi w Rzymie wyrobi zerwanie tego małżeństwa. Byłam przymuszoną, nie kochałam go nigdy...

Napróżno Towiańska starała się ją ukołysać, przedstawiając, że zerwanie z mężem jest niepotrzebne, a nadto wywoła potwarzy i krzyków. Radziła się pogodzić, ułagodzić go, brała to na siebie i na Prymasa. Podkomorzyna zaklinała się, że woli do klasztoru.

Lubomirski, który choć kaprysami żony znużony, miał dla niej przywiązanie, gotów był wszystko zapomnieć pod warunkiem, ażeby z nim zaraz na wieś jechała. Ale o tem Urszulka słuchać nie chciała. Stało się to, co już niemcy przewidywali; potajemnie zawiązały się stosunki, tak umiejętnie osło-

nione, że nawet Towiańska, stojąca na straży, nic o nich nie wiedziała.

Król, który tyle miał do czynienia z rokoszem, ze sprawami Rzeczypospolitej, w tej chwili najważniejszej przełomu, zdawał wszystko na Fleminga, Dębskiego, Przebędowskich, Pfluga i t. p., a sam myślał już tylko o pięknej Urszuli. Ani Inflanty, ani Kamieniec oderwać go od niej nie mogły. Poświęcał im zaledwie krótką chwilę, gdy intryga z Lubomirską pochłaniała resztę dnia. Król ukazywał się, znikał, zamykał, posłańcy się kręcili, podarki sypały... Małżeństwo jednak dotąd rozerwanem nie było i podkomorzy do żony się dobijał, wpadał, kłócił z nią, mając nadzieję pojednania, kładł za warunek wyjazd na wieś, a piękna Urszula zarzekała się, że z mężem nie pojedzie nigdzie i musi się od niego oddzielić.

W tem wszystkiem Prymas i pani kasztelanowa grali taką rolę, jak w sprawach rokoszu. Radziejowski już był pozyskanym, szło tylko o wysokość sumy, którą go miano opłacić, potajemnie znosił się z królem, a jawnie powstawał przeciwko niemu i rokosz podsycał i przeciągał.

Oszukiwał szlachtę i cały obóz swój, ale razem i króla trzymał w zawieszeniu, nie kończąc z nim, nie dopuszczając pacyfikacyi, aby wymódz i utargować jak najwięcej. Doskonałym pozorem do tego zwlekania ze strony Prymasa było, że z biskupem Dębskim pojednać się nie mogli. I jeden, i drugi rozjątrzeni byli do najwyższego stopnia.

Na Litwie, pomimo wszelkich zabiegów do pogodzenia Sapiehów ze szlachtą, wzmagało się wzburzenie umysłów, groziła wojna domowa. August tymczasem gotował się przeciwko Turcyi, a zarazem, usiłując pozyskać sobie Kurfirsta brandeburskiego, nie tylko przez posły z nim wchodził w układy, ale sam, pod pozorem polowania, pojechał omawiać dalsze losy Rzeczypospolitej.

Pozostało tajemnicą to, co ze swej strony król

ofiarował Kurfirstowi, i czego się od niego domagał w zamian, lecz nie ulega wątpliwości, że szło o radykalne zmiany, o podział kraju, o zmianę formy rządu...

Domyślać się można, iż król bardzo korzystnemi warunkami i ustępstwy terytoryalnemi usiłował przeciągnąć na stronę swoję Kurfirsta, lecz ten czuł się w położeniu swem tak silnym i miał widoki na przyszłość tak wielkie, że wolał się nie wiązać żadną stanowczą umową... Jeżeli Rzeczpospolita miała z gruntu być przetworzoną, wolał sam z tego ciągnąć korzyści, niż się niemi dzielić z Sasem, który nie był zbyt bezpiecznym na swym tronie.

Wśród tych wycieczek Augusta do Gdańska, do Prus, porozumiewań z brandeburskim Kurfirstem i carem moskiewskim Piotrem, którego spodziewał się sobie pozyskać—król zarazem o miłostkach z Lubomirską nie zapominał.

Piękna Urszula już tak pewną była ukoronowanego kochanka, że sama nagliła i przyśpieszała ostateczne zerwanie z mężem. Podkomorzy kilka razy dla zgody przybywał i nie został dopuszczonym. Żona go znać nie chciała.

Przez kilka tygodni nawet, chcąc uniknąć widzenia się z nim, za poradą Prymasa, piękna Urszula zamknęła się w klasztorze Klaryssek, a po mieście chodziły słuchy, że król August, przebrany za kapucyna w habicie ją odwiedzał!

Radziejowski, spodziewając się, że Lubomirska będzie mu w przyszłości pomocą, przez nią na króla wpływać sobie obiecując, przez Towiańską i sam popierał rozwód i zupełne oswobodzenie pięknej Urszuli.

Podkomorzego różnemi środkami starano się ukołysać, dowodząc mu, że rozwód był jedynym środkiem wyjścia z tego nieprzyjemnego zawikłania. Przestawał odtąd być odpowiedzialnym za żonę i jej postępowanie.

Ze złamanem sercem podkomorzy w końcu na rozłączenie się zgodził, a żona jego opuściła klasztor

i z nową świetnością ukazała się światu, jako tryumfatorka. Dwór jej, klejnoty, sposób życia, osoby otaczające, jawne już z królem stosunki, nie dozwalały wątpić, iż była jego kochanką. Zdradzało się to i nagłem zniknięciem hr. Esterle, którą zawczasu przyjaciel jej, kanclerz Beickling i pani Rechenberg ostrzegli o tem, że Lubomirska miała ją zastąpić...

Uląkłszy się wygnania i pozbawienia bardzo kosztownych klejnotów, które król jej dawał do użycia i popisu, hr. Esterle, z pomocą Beicklinga potajemnie, zabrawszy precyoza, uciekła z Warszawy.

Mówiono, że Lubomirska, która na te same klejnoty oko miała, utraty ich Beicklingowi nie mogła przebaczyć i przyczyniła się do upadku jego.

Król rad, że się pozbył Esterle bez wymówek, łez i scen, których znieść nie mógł, stratę kosztowności zniósł łatwo i do Esterle nie miał później żalu. Ona i Aurora Königsmark umiały się ze swym losem pogodzić, zachowując przyjaźń Augusta, który im okazywał życzliwość i wesoło się czasem zabawiał z niemi...

Pomiędzy warunkami rozwodowemi, podkomorzy położył jeden, który do pewnego stopnia miał imię Lubomirskich od zakały ratować i żądał, aby nowy jakiś tytuł przybrawszy, piękna Urszula przestała się nazywać jego imieniem.

Król przystał na to, równie jak podkomorzyna. Czekało ją księztwo Cieszyńskie.

Miłostki z Lubomirską, któreby w Saksonii nie miały wielkiego znaczenia ani rozgłosu, ani zgorszenia nie wywołały, w tej Polsce, w której węzły rodzinne szanowano, gdzie niewiasta była niewidzialnym duchem opiekuńczym domowego ogniska, uczyniły wrażenie ogromne... Nie słabość kobiety, nie płochość króla nadawały im znaczenie, ale jawność, urągająca się prawom Bożym i ludzkim...

Mogła się w Polsce przytrafić nie raz zdrożność podobna, lecz ją przynajmniej przez poszanowanie cnoty ukryć się starano, a nie chwalić i na jaw wy-

stawiać. Tu ów pomazaniec Boży, na tronie osadzony, który przy koronacyi wdziewał szaty kapłańskie, który był stróżem wiary i zakonu narodu, deptał oboje z lekceważeniem świętokradzkiem.

W innych krajach można było to uniewinniać i tłumaczyć tem, że król stał ponad prawem wszelkiem, bo sam prawa nadawał i odbierał, mógł dla siebie w nich wyjątek uczynić. W Rzeczypospolitej elekcyjnej wyjątkowy ten charakter panującego nie istniał.

W początkach wiadomości tej, rozchodzącej się po kraju, ale na ucho rozpowiadanej, aby niekoniecznie dochodziła do młodzieży, nie chciano dawać wiary. Imię Lubomirskich czyniło ją wątpliwą.

Król stracił wiele u tych ze swych adherentów, którzy na nim pokładali nadzieje. Mógłże reformować Rzeczpospolitą, kto siebie powściągnąć nie umiał?

— *Quid leges sine moribus!* — szeptał Jabłonowski, — a wtórowali mu tacy, jak Stanisław Leszczyński, jak mnodzy inni, czyści, prawi ludzie... Nie mogli oni tego brać lekko, co dotykało rodzinę, kobietę, najświętsze i najdroższe węzły...

Piękna Urszula spostrzegła wkrótce, że oprócz Towiańskich i niewielu innych familii, wszyscy z nią zerwali. Nowych przyjaciół musiała sobie szukać na dworze saskim, pomiędzy niemcami i tą kosmopolityczną arystokracyą, którą August się otaczał, wygodniejszą ją znajdując, nad swoją szlachtę saską.

Wchodziło to w tradycye i obyczaj dworu, aby się otaczać cudzoziemcami. W tym samym czasie prawie w Saksonii ograniczono prawa szlachty, nie dopuszczając do zgromadzeń doradczych (Landesversammlungen), tylko tych, którzy po mieczu i kądzieli ze czterech pokoleń szlacheckich wywieść się mogli i urzędników wyższych stopni.

Ten rodzaj wiernopoddańczych sejmów, chociaż najmniejszej nie miał siły, jeszcze się groźnym wydawał. Włosi, szwajcarowie w znacznej liczbie do wojska i posług króla byli zaciągani.

Każdego, kto znał dwa kraje, pod jednem teraz berłem połączone, uderzała niezmierna różnica ich ustaw. August w początkach lekceważył ją, jak wszystko, sądząc, że łatwo swobody wiekowe potrafi zatrzeć, ale wrzawa, jaką wywołały wojska saskie, zajęcie w Warszawie przez nie cekhauzu, przeciwko któremu Kątski zaprotestował, a August mu ustąpić musiał, przekonały go, iż obalenie wiekowych instytucyj, zrosłych z życiem narodu, wcale łatwem być nie mogło.

. . . . . .

Chociaż w tym roku miał król tyle spraw ważnych, iż zdawało się, że dla nich wyrzec się będzie musiał ulubionej swej rozrywki, karnawałowego jarmarku lipskiego, było nad siłę jego pozostać w cichej i nudnej Warszawie, gdy tam zapowiadano bytność znakomitych gości, między innemi Zofii Karoliny pruskiej, pani słynącej ze złośliwości i dowcipu.

Lubomirska też bardzo pragnęła poznać ten karnawał, który jej August tak wychwalał.

Czem on był, to się dziś trudno opowiedzieć daje. Dostojni goście zapominali na chwilę o swych wysokich stanowiskach, mięszali się z tłumem i weselili, jak prości śmiertelnicy. August incognito, z fajką w ustach, jeździł konno, po jarmarcznych budach wypatrując ładnych twarzy.

Trafiło się, że w tym roku na jarmark się zjechały razem, nie wiedząc o sobie, Lubomirska, hrabina Aurora Königsmark, zbiegła z Warszawy hrabina Esterle i pani Haugwitz, niegdyś panna Kessel, pierwsza jawnie ogłoszona metresa, która panią hrabinę Königsmark poprzedziła.

Na zapowiedziany bal maskarady wybrała się Lubomirska. Była na nim Zofia Karolina. Król naturalnie czynił jej tu honory. Zażądała ułożyć kadryl dla niego, obiecując mu dobrać cztery najpiękniejsze panie.

Na czele ich postawiła Augusta z Urszulą, obok i naprzeciw wcześnie już upatrzoną Königsmark, Esterle i Haugwitz. Panie te dopiero, gdy się taniec rozpoczął, poznały się i domyślily złośliwej psoty księżnej, która znikła. August natychmiast domyślił się, odkrył w maskach dawne kochanki, ale nie dopuścił, aby podrażnione i obrażone sprawiły przyjemność tej, która mu kadrylem płochość jego chciała dać uczuć dotkliwie.

Po kolei musiał każdę z nich błagać i zaklinać, aby wesołemi twarzami się powitały i nie okazywały bynajmniej obrażonemi.

Aurorę już doświadczenie z piękną Fatymą nauczyło być pobłażającą. Esterle potrzebowała króla przebłagać, pani Haugwitz musiala pójść za ich przykładem. Najtrudniej przyszło wymódz na Lubomirskiej, aby stanęła w jednym rzędzie z temi paniami, które za daleko pośledniejsze od siebie uważała

August musiał ją obietnicami, zaklęciami, naleganiem niejako zmusić do przyjęcia bez wybuchu psoty już wyrządzonej. Tylko wesołość i lekceważenie mogło uczynić kadryl obojętnym i zapobiedz skandalowi.

Z podrobioną, wymuszoną wesołością przetańczyły, głośno się śmiejąc, a w duszy przeklinając kadryla tego, w którym król z pogardą na twarzy, z gracyą i właściwą mu obojętnością, podawał z kolei ręce przeszłości i teraźniejszości.

Dla pięknej Urszuli, która pochlebiała sobie, że będzie ostatnią i pozostanie u boku jego na wieki, było to straszliwe *Memento mori.*

Na przekór Zofii Karolinie, która ukrywszy się, śledziła wszystkie ruchy tych pań, z zazdrością w sercach, ocierające się o siebie i strzelające ognistemi oczyma, August wszystkie je razem z ich partnerami zaprosił na wspólną wieczerzę, przy której z bólem, upokorzeniem, gniewem w sercu, piękna Urszula grała rolę gospodyni.

Königsmark, najzimniejsza z nich, z dumą pań-

ską i obojętnością, dowcipkowała najswobodniej, przycinając królowi, który przyjmował jej dowcipy z poddaniem się losowi swemu.

Przez drzwi na wpół otwarte umyślnie, ta która kadryl ten piękny stworzyła, mogła się przekonać niepostrzeżona, że August z Jowiszowym majestatem, niezachmurzony, królował w pośród tych bogiń.

W dziejach jego serca, jeżeli taka rozwiązłość z sercem może mieć co wspólnego, był to dopiero początek; świat miał się zdumiewać, bo rozpasanie jego doszło aż do potwornych wybryków.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

ZA SASÓW

DRUKARNIA M. ARCTA W WARSZAWIE, ORDYNACKA 3.

ZA SASÓW

(CZASY AUGUSTA II i AUGUSTA III)

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego

TOM II

WARSZAWA
NAKŁADEM I DRUKIEM M. ARCTA

1904

Дозволено Цензурою.
Варшава, 24 Ноября 1903 года.

I.

Biedny Witke, po pierwszych próbach zbliżenia się do dworu z pomocą Constantiniego, zrażony tem, że musiał być prostem bezwiednem narzędziem w rękach kamerdynera, a przed królem ani się pokazać, ani się dać poznać nie mógł, miał wielką ochotę dać swej ambicyi za wygranę i powrócić do handlu. Ale gdy koła potężnej machiny raz pochwycą człowieka, nie łacno mu się z nich wydostać. Szczęśliwy jeszcze, gdy na miazgę nie zdruzgotany, wyrwie się na swobodę, nie gdy zechce, lecz gdy go wyrzucą, jak owoc, z którego sok wyciśnięto.

Witke pokutował teraz za lekkomyślność, z jaką się rzucił dobrowolnie w ten wir intryg dworskich, które dokoła króla polskiego osnuwały. Zręczny Mazotin umiał go ocenić; nie łatwo było uczciwego i zamożnego kupca zastąpić, nie puszczał więc z rąk tego szczęśliwego nabytku. Witke nie śmiał mu się narazić, zrywając z nim gwałtownie, bo wiedział jak okrutnym był i mściwym. Musiał więc służyć, choć z odrazą.

Używano go do Lubomirskiej, do Towiańskich, do Prymasa, w wielu wypadkach, gdy szło o sprawy pieniężne, dla których bezinteresowność Witkego była rękojmią nieocenioną.

Jedyną pociechą związanego kupca, który na przemiany rolę niemca i polaka odgrywać musiał w interesach króla, a ten o istnieniu jego nawet nie

wiedział, było, że w Warszawie mógł codziennie prawie napawać się widokiem pięknej Henryetki, w oczach jego rozwijającej się z nadzwyczajną szybkością.

Matka stęskniona i niespokojna od roku domagała się powrotu, a przynajmniej przyjazdu jego na czas jakiś do Drezna; interesa handlu cierpiały na oddaleniu głowy domu. Witke tęsknił, zżymał się, ale Constantini łudząc go, grożąc, wyśmiewając i łechcąc na przemiany, z dnia na dzień wyjazd do Drezna wstrzymywał.

Podkomorzyna Lubomirska już wcale pośredników do króla nie potrzebowała. Między Augustem a nią porozumienie było zupełne. Stosunki ułatwione, a przez nią Prymas i Towiańscy trafiali do króla i nawzajem. Tu więc bez niego się już obchodzono, ale Constantini, sam zupełnie w Polsce obcy, niedowierzający nikomu, rad był, że miał na posługi Witkego, z językiem i obyczajem kraju obeznanego.

Wrzawa, jaką wywołały nadużycia wojsk saskich, o których wyjście z granic Rzeczypospolitej gwałtownie się dopominano, zmuszała króla Augusta do ukołysania niespokojnych umysłów, do szukania środków, któreby choć część saskich sił w granicach Rzeczypospolitej zatrzymać dopuszczały.

Wojna z Turcyą okazała się niemożliwą, nieprawdopodobną. Turcy, choć z bólem serca, powracali Polsce Ukrainę, żądali pokoju. Tu więc sasi nie byli wcale potrzebni. Szczęściem pozostały Inflanty, jako *awuls* do odzyskania.

Oczy Augusta, zarówno jak Brandeburskiego Fryderyka i cara Piotra na Inflanty się zwracały.

W interesie Augusta, który zamierzał Rzeczpospolitą przetworzyć i rozćwiertować, było opanowanie Inflant. Zdobyte saskiemi wojskami, dawały mu niejako prawo obchodzenia się z sobą, jak z krajem zawojowanym. Porozumieć się o posiadanie ich z Fryderykiem zdawało się możliwem.

Wszystko nadzwyczaj szczęśliwie się składało dla Augusta. Danja obiecywała iść z nim, brande-

burski kurfirst przyrzekał, jeśli nie pomoc, to sympatyę, car Piotr pierwszy wyciągał do króla rękę i ofiarował mu przymierze.

Naostatek August silny, dojrzały, polityk przebiegły, pochlebiający sobie, że był wodzem znakomitym, miał naprzeciwko siebie młodzika, okrzyczanego nawpół szalonym dziwakiem, bez doświadczenia, który zjednoczonym przeciwko sobie na żaden sposób czoła stawić nie mógł. Szwecya, mówiono, nie miała pieniędzy, broni, ludzi, ani wodza. Zwycięztwo zdawało się łatwem, wojna nęcącą. Fleming i generał von Carlovitz namawiali do niej króla, a August sam nie potrzebował pobudzania i niecierpliwie jej pożądał.

W chwili więc, gdy się walka z Karolem XII rozpocząć miała, porozumienie się z carem Piotrem było wagi niezmiernej.

Właśnie car, incognito, rozpatrując się po dworach europejskich, miał przybyć do Drezna, jadąc do Wiednia. Król sam nie mógł pośpieszyć na przyjęcie go. Szło więc o to, ażeby Piotr w stolicy saskiej był tak przyjęty, ażeby czuł się tu jak w domu, jak u przyjaciela.

Znano już pewne dziwactwa jego i charakter, niecierpiący przymusu. Chodziło o to wielce, aby go najmniejszą nie zrazić rzeczą. Mieli już wydane w tej mierze instrukcye: namiestnik, książe Fürstenberg, generał v. Rose i baron v. Rechenberg, ale niespokojnemu królowi Augustowi ciągle coś nowego na myśl przychodziło, a oprócz tego chciał mieć tam kogoś potajemnie śledzącego, jak jego rozkazy spełniano; miał wysłać na zwiady i z rozkazami Constantiniego, ale włoch obawiał się oddalić na dłuższy czas od swego pana w obawie, aby z tego nie skorzystali Hoffman lub Spiegel i nie podkopali go w łaskach i zaufaniu Augusta.

Nie mówiąc kogo miał użyć do tego posłannictwa, Mazotin ręczył panu, iż nie jadąc sam, znajdzie zastępcę, który wszystko spełni, co mu poleco-

nem zostanie. Witke nie wiedział jeszcze, co go czekało, gdy król, ulegając namowom ulubionego sługi, zdał na niego wysłanie zaufanego człowieka do Drezna dla przygotowania przyjęcia cara Piotra w saskiej stolicy.

Kupiec nasz naradzał się właśnie z Renardem nad założeniem wielkiego hurtowego składu win i przysmaków, gdy go wieczorem na zamek powołano.

W progu spotkał go Constantini, wprost witając rozkazem:

— Jutro Waćpan jedziesz z poleceniami króla do Drezna. Oto jest, na wszelki wypadek, podpisane przez N. Pana świadectwo, że ci wiara ma być dana.

To mówiąc, położył przed nim kartę otwartą z pieczęcią prywatną Augusta. Witke rzucił na nią oczyma. Spodziewał się w niej znaleźć imię swoje przynajmniej, coby dowodziło, że król znał go choć przez Constantiniego, ale nadzieja ta omyliła; list był wystawiony na okaziciela. Skrzywił się Witke.

— Dlaczego nie wypisaliście mojego nazwiska?—zapytał kwaśno.

— Żądałem tego — odparł, kłamiąc Mazotin— ale król miał snadź powody takiego postąpienia, jak widzicie, a ja mu się sprzeciwiać nie mogę. Dowód to jednak nadzwyczajnego zaufania, że was Pan wyprawia, a nie kogo innego.

— Wie więc o mnie?—spytał kupiec.

— To się samo przez się rozumie—rzekł Constantini.

Zawahał się na chwilę Witke, lecz przypomniawszy sobie nalegania matki, potrzeby własnej bytności w Dreznie, naostatek pragnąc sobie zaskarbić króla, nie sprzeciwiał się już wcale.

Constantini, jakby opozycyi z jego strony nie przypuszczał nawet, natychmiast począł mu dawać instrukcye, jakie otrzymał od króla. Ustnie miał księciu namiestnikowi, generałom, dworowi zalecić, aby car został przyjęty z całą możliwą uprzejmością. Nie

miano się zrażać żadnemi jego wymaganiami, choćby najkapryśniejszemi. Zamek, służba, wojsko, wszystko miało dlań stać otworem. Witkemu zlecono wmięszać się pomiędzy służbę dworską i manewrować tak, aby mógł później zdać sprawę z każdego najmniejszego kroku cara Piotra. Pochlebiało to może kupcowi, gdyż stawiało go jako kontrolującego po nad najpierwszymi tu urzędnikami. Miał prawo wszystko widzieć, być wszędzie i pytać o cokolwiek mu się podobało.

Działo się to jeszcze w czerwcu 1698 r. Constantini przez znaczniejszą część wieczora zatrzymał u siebie Witkiego, wrażając mu jego obowiązki i nagląc o pośpiech w podróży, gdyż w tym miesiącu jeszcze car, powracający z Amsterdamu i dążący do Wiednia, w Dreznie być obiecywał.

Pochwycony tak niespodzianie, Witke tegoż wieczora jeszcze poszedł pożegnać Renardów, a gdy patrząc w oczy pięknej Henryetce spytał ją, jakiego jej miał gościńca przywieźć z Drezna, dziewczę zarumienione odpowiedziało zalotnie, ażeby sam jaknajprędzej powracał.

Rano, jak dzień, Witke siedział już w swym wózku krytym i pośpieszał najprostszą drogą do Drezna. Długa niebytność w domu, niewidzenie matki, zaniedbanie spraw własnych, rodzajem zgryzoty uciskały mu serce. Wyrzucał sobie to zaniedbanie obowiązków, a najmocniej ostygnięcie dla tej matki, która go tak kochała i tak za nim tęskniła. Tym razem miał jej uczynić niespodziankę, gdyż wcale się go spodziewać nie mogła. Zbliżenie się do domu dało mu niemal zapomnieć poselstwa, jakie miał powierzone.

Był wieczór i chłopcy właśnie okiennice sklepu zamykać mieli, gdy przed wrotami stanął wózek; staruszka, poznawszy syna, z krzykiem radosnym wybiegła naprzeciwko niego.

Wzruszony Zacharyasz padł przed nią na kolana; czuł się winowajcą. Radość była wielka, nie-

wysłowiona, ale trwała krótko, gdy Witke, oczy spuszczając, wyznał, że przybywał tu z ważnemi zleceniami i niedługo zabawiwszy, będzie musiał do Warszawy powracać. Posmutniała pani Marta, chociaż nie mogąc jej wtajemniczać w swe obroty, Witke oznajmił, że handel w Warszawie, przybrawszy sobie francuza do pomocy, zakłada.

Stara jejmość miała wstręt i niewiarę ku włochom i francuzom, których przy dworze widywała i słyszała o nich często. Francuz więc wspólnik, niebardzo jej był miłym, a Witke przeczuwając to, o pięknej Henryetce ani słowem nie wspomniał, aby matki bardziej jeszcze nie nabawić niepokoju.

Siedzieli do późna w noc, tak wiele różnych interesów, tyczących się handlu, kasy, miała matka do rozpowiadania synowi. Starszy pomocnik powołany był także, bo Witke chwili czasu nie miał do stracenia.

Następnego poranka ze swym listem był już w przedpokoju księcia Fürstenberga, w domu tuż naprzeciwko zamku położonym, i kazał się oznajmić mu, jako posłaniec od króla.

Namiestnika znał tylko z widzenia. Był to średnich lat mężczyzna, nader pańskiej powierzchowności, słusznego wzrostu. Łatwo było po nim poznać wytrawnego dworaka i doskonałego komedyanta. Obcy w Saksonii, bo król go sobie, zaleconego, jako katolika, przywiózł z Austryi, Fürstenberg w krótkim czasie zawiązał stosunki ścisłe z arystokracyą miejscową, umiał ją sobie ująć i był już podówczas, jak się zdawało, silnie ubezpieczonym od niełaski. Popierali go naówczas rej wodzący Friesenowie.

Fürstenberg, znając potrzeby króla, który był nieustannie żądny pieniędzy, wszelkiemi sposobami starał się ich dostarczyć, a jak wielu jemu współczesnych i sam król wierzył mocno, że alchemicy do robienia złota z pomocą swych nauk tajemniczych przyjść muszą i na alchemię chorował. Całe podziemie kamienicy Fürstenberga zajęte było pracownią

alchemiczną, w której ciągle jakiś adept smażył coś i na jutro skutek obiecywał.

Jak tylko mu oznajmiono posłańca królewskiego, namiestnik natychmiast go do gabinetu swego wpuścić kazał i niespokojny wyszedł na spotkanie.

Witke naprzód ukazał mu list wierzytelny. Niepodobał się Fürstenbergowi, ale dumny namiestnik, zmierzył go okiem niby obojętnem i szepnął, (skłamał), że już był o jego przybyciu zawiadomionym.

Witke oddał Fürstenbergowi co mu zlecono, zawsze tę jedną odbierając odpowiedź z góry, iż wszystko to było mu wiadomem. W końcu książę dał mu od siebie niby zlecenie, aby Rosemu i Rechenbergowi się przedstawił i wglądał we wszystko.

— Właściwie mówiąc—dodał książę z półuśmiechem—żądałem, ażeby mi król przysłał kogoś zaufanego. Cieszę się, że mi waćpana dano do pomocy. Car prawdopodobnie za parę dni przybędzie. Rose i Rechenberg dziś jeszcze na spotkanie go wyjechać powinni. Zresztą jesteśmy na zamku w pogotowiu, o ile być można gotowym na przyjęcie gościa, który jedzie *incognitissimo,* a co chwila się swą samowolą i zachciankami zdradza.

Kilka pytań od niechcenia rzuciwszy, pomiędzy któremi wmieszało się dwuznaczne, tyczące pani podkomorzynej, namiestnik pożegnał Witkego. Śpieszył na mszę świętą do kaplicy katolickiej, gdyż wielką gorliwość religijną objawiać potrzebował.

Wprowadzony tu przez O.O. Jezuitów wiedeńskich, musiał postępowaniem swem to usprawiedliwiać, choć królowa, gorliwa protestantka, była tem zrażoną i zniechęconą, a Fürstenberg łaski u niej nie miał.

Na zamku, gdzie jeszcze zastał barona Rechenberga, Witke znalazł w istocie wszystko przygotowanem tak, że car mógł przybyć natychmiast, a niczegoby na przyjęcie jego nie zabrakło. Zamiłowany w zbytku i wspaniałości, król August chciał i znanego z prostych obyczajów cara olśnić swoim prze-

pychem, a grzecznością okazać mu wielką serdeczność.

Przez cały niemal ranek Witke chodził po zamku, rozpatrywał dom Neitschütza, gdzie Piotra także ugaszczać miano, dowiadywał się o ceremoniał obmyślony i dopiero na obiad mógł powrócić do siebie.

Z natrętnego wglądania we wszystkie kąty, do którego się czuł obowiązanym, tę tylko korzyść miał Witke, że się wszystkim naraził. Musiał nieustannie wierzytelny list swój dobywać; skłaniano głowę przed nim, ale kwaśno spoglądano na tego nadzorcę.

Resztę dnia mógł już spędzić z matką i przybyłym na powitanie go starym przyjacielem ojca, który go o tysiące szczegółów pobytu królewskiego w Polsce rozpytywał.

Witke z mowy jego i wogóle z tego, co tu widział i słyszał, mógł się łatwo przekonać, że sasi z zazdrością i niechęcią spoglądali na Polskę, która im odbierała Kurfirsta, a kraj wycieńczała, bo z niego ciągle pieniądze wyciągano, a nastarczyć ich nie było można.

Na dyskretnych ubolewaniach nad położeniem upłynął dzień cały.

Nazajutrz zapowiadano przyjazd cara, który naprzód już zalecał jaknajściślejsze incognito. Rozkazy Augusta sprzeciwiały się temu.

Przebrany znowu po niemiecku od rana już Witke musiał się wmięszać pomiędzy oczekujących na przybycie Piotra urzędników dworu i służbę.

Naostatek długo oczekiwane powozy, które generał Rose i Rechenberg przeprowadzali, poczęły wjeżdżać w podwórze zamkowe do stajni, wprost do pokojów przygotowanych i rzęsiście oświetlonych.

Trzy powozy pierwsze zajmowali: generał Lefort, urzędnik ministeryum wojny, Gołowkin, i kanclerz towarzyszący Piotrowi. Z czwartego dopiero wysunął się car, w krótkim, hiszpańską modą kabacie, z rękawami jak wyloty wiszącemi, obcisłych spodeńkach i prostych trzewikach holenderskich, z głową

bardzo krótko ostrzyżoną, na której miał rodzaj czarnego birecika; widząc mnóstwo oczów zwróconych na siebie przy wysiadaniu, zdjął czapeczkę i zasłonił nią twarz, aby go nie poznano.

Zaledwie wszedłszy do wspaniałego apartamentu, który oczyma zmierzył szybko, car zażądał jedzenia. Stało ono w jadalnym pokoju gotowe. Zasiadł do stołu, ale pośpiesznie nieco skosztowawszy, napiwszy się wina, podniósł głowę i zawołał:

— Do kunstkamery!

Hrabia von Eck, któremu jako mistrzowi ceremonii, powierzonem było oprowadzanie, natychmiast rozkaz spełnić był gotów, chociaż pora spóźniona i znużenie podróżą nie dozwalały się go spodziewać.

Światło, służba, w mgnieniu oka były na rozkazy.

Przejście do tego skarbca, razem i muzeum, przez korytarze zamkowe, car Piotr przebiegł żywo, pilnując, aby jak najmniej był widzialnym. Eckowi oświadczył, że nie życzy sobie pokazywać się nikomu.

W kunstkamerze, pomimo, że ją nieco odarto dla króla do Polski, tyle było rzeczy do widzenia, a car tak się troskliwie przypatrywał wielu przedmiotom, że obejrzawszy dwa pierwsze pokoje, uczuł się zmęczonym i resztę na jutro odłożył.

Mistrz von Eck odprowadził go do sypialni i pierwszy dzień tak się szczęśliwie dokonał.

Witke po namyśle nie powrócił do domu, ale poszedł spocząć w mieszkaniu Constantiniego, nie chcąc się z zamku oddalać. Można się było spodziewać, że car wstanie bardzo rano i dzień rozpocznie.

Cały dwór od brzasku był na nogach, gotów do zabawienia dostojnego gościa, który się nie pokazał nikomu, niczego nie żądał i oświadczył, że obiad u siebie sam jeść będzie.

Stało się, jak rozkazał.

Mało co po obiedzie spocząwszy, car zażądał

widzieć cekhauz, a baronowi Rechenbergowi polecił oznajmić odwiedziny u żony i matki kurfirstowej.

Obie panie, przystrojone w klejnoty, pomimo żałoby po kurfirście hanowerskim, oczekiwały go napróżno do późnego wieczora.

Car wbiegł do nich na małe pół godzinki z grzecznemi komplementami, siadł pomiędzy dwiema paniami na krzesełku, ale tak do tego posłuchania mało przywiązywał wagi, że się nie przebrał nawet na nie.

Z pokojów królowej przeszedł car do antykamery, w której znajdowały się panie dworu, urzędnicy i przedniejsi z miasta zaproszeni. Ale tu nie zatrzymując się wcale, prowadzony przez Fürstenberga, udał się do domu Neitschütza, naprzeciwko stajen, w którym nadzwyczaj wspaniała wieczerza była zastawioną i na nią sproszone najpiękniejsze damy z miasta i ze dworu. Tu późno w noc zabawiał się car w ich towarzystwie, przy biciu z dział na wałach, gdy zdrowie jego wznoszono.

Cała ta wytworność, przepych, zbytki i galanterya nie zdawała się wcale na nim czynić wielkiego wrażenia, a z przytomnemi osobami obchodził się, nie czyniąc ceremonii, jadł i pił ochoczo, ale zastrzegł sobie u Fürstenberga, aby publiki i ciekawych do widzenia go nie dopuszczano, pod groźbą ciężkiego ukarania.

Namiestnik i wszyscy urzędnicy, mający surowy przykaz króla, aby na przyjmowanie cara nie żałowali, wysadzali się na zrobienie mu przyjemności i urozmaicenie rozrywek, tak, że udobruchany w końcu nawet ciekawym zdala przypatrywać się sobie nie zabraniał, ale też nic go nie obchodzili i swobody mu nie odejmowali.

Następnego dnia już zabierał się jechać, ale Fürstenberg wymyślił nowe przyjęcie we wspaniałej sali przy moście na Elbie, którą Jungfer zwano. Tu przy doskonałem winie, humor też doskonały przyszedł gościowi i pozostał jeszcze nawet na dzień na-

stępny, a co osobliwsza, ubrał się w bardzo przyzwoity strój niemiecki.

Ponieważ chciano mu pokazać wszystkie przepychy, zawieziono go do tak zwanego wielkiego ogrodu i włoskiego pałacu za Piranajską bramą, gdzie ugaszczano go i rozweselano do trzeciej rano, to jest do białego dnia, a car jakoś w tej ciepłej atmosferze, którą go otoczono, choć w początkach był skrzepły i chmurny, coraz się okazywał weselszym. Wpływała może na to okoliczność, że sam tu będąc, nie potrzebując na nikogo zważać, otoczony tylko ludźmi niższej sfery, poczynał sobie, nie oglądając się na nikogo.

Nad rankiem zgadało się o sławnej twierdzy Königsteinie. Car zażądał ją widzieć. Podano konie i powozy i ruszono tak żwawo, że o szóstej kareta stanęła u bramy.

Nastąpiło też oglądanie twierdzy, cekhauzu, wszystkich osobliwości, potem obiad i koncert, do którego car zasiadł w doskonałem usposobieniu. Do piątej godziny wieczór zabawiał się i nie powracając już do Drezna, wprost przez Czechy ruszył ztąd do Wiednia. Nie miał najmniejszego przeczucia, jakie go wiadomości oczekiwały tam i jak rychło nazad powracać będzie musiał.

W ciągu tych wszystkich uroczystości nieszczęśliwy Witke, któremu przykazano wszystko widzieć na własne oczy, dla zdania sprawy, musiał stać w kącie niepostrzeżony, patrzeć i słuchać. Miał więc czas badać jednego z najoryginalniejszych ludzi swego wieku, w którym uderzała go najbardziej energia i lekceważenie tych fraszek, do których tu wykwintne towarzystwo wielką przywiązywało cenę. Obejście się też jego z ludźmi znamionowało panującego, który granic swej władzy nie znał i nawykłym był postępować wedle własnego popędu, nie krępując się niczem.

Wieczorem Witke, nie czekając na panów, któ-

rzy z Fürstenbergiem przeciągnęli ucztowanie na Königsteinie, pośpieszył do domu.

Spełniwszy, co mu zlecono, musiał natychmiast jechać z raportem do Warszawy. Utrapione to było życie i pan Zacharyasz obiecywał sobie oswobodzić się z niego, lecz musiał się oglądać na przyszłość. Matka sądziła, że dłużej go zatrzyma po tak długiej niebytności, a on nie śmiał jej powiedzieć, że natychmiast powracać musiał.

Gdy nocą już przybiegłszy do Drezna, zaraz na wstępie witającej go uściskiem matce wyznał ze smutkiem, że dłużej nad kilka godzin pozostać z nią nie może, biedna staruszka, srodze zaniepokojona, pierwszy raz w życiu wystąpiła z pewną energią. Wprawdzie energię tę widocznie natchnęła miłość, ale Zacharyasz tak nawykły był nigdy w niej najmniejszego nie znajdować oporu, iż z początku nie umiał nawet na zaklęcia i prośby odpowiedzieć.

— Ja ciebie nie rozumiem—odezwała się Marta z płaczem—i dla tego może drżę o ciebie. Żyliśmy spokojni, bezpieczni, ojcu i tobie powodziło się szczęśliwie... Jakaś fatalność wciągnęła cię w sprawy i interesa cudze, których niewolnikiem się stałeś. My tu robimy, co umiemy, aby cię zastąpić, ale bez głowy domu nie mamy odwagi, a ty o sobie i o nas zapomniałeś... Co masz na widoku?—ja nie wiem! Zaklinam cię, porzuć obce nam interesa i wróć do własnych, nie krępuj się!

Mówiła płacząc. Witke czuł się winnym i wzruszonym, ale nie mógł przed nią wyznać całej prawdy a cofnąć się całkowicie zapóźno było. Począł tylko staruszkę uspokajać czczemi obietnicami, zaręczając, że będzie się starał wyswobodzić, chociaż nagle tego dokonać nie może.

Udało mu się zapewnieniem tem matkę nieco uspokoić, ale bądź co bądź, powracać musiał nazad.

Wiedział z przybyłych ode dworu listów, że króla już nie miał zastać w Warszawie, że pod pozorem wyprawy przeciwko Turkom, trzeba go było szu-

kać gdzieś na Rusi. Razem z tem Constantini, który towarzyszył Augustowi, dawał mu znać, ażeby w przejeździe przez stolicę starał się dowiedzieć, co się działo u Prymasa.

Radziejowski był na pozór przejednanym z królem, ale włoch już miał doniesienia i dowody, że Towiańscy i on, mimo wpływu Lubomirskiej, gdzie tylko mogli knuli i spiskowali przeciwko królowi i najnieprzyjaźniej dla niego byli usposobieni. Odmówiono Towiańskiemu jakiegoś urzędu, Radziejowski zawiódł się, obiecując sobie wielki wpływ.

Zamęt wogóle panował na Litwie i w Polsce niewypowiedziany. Wikłały się tu i krzyżowały intrygi, najsprzeczniejsze kierunki działały na króla. Przyjaźń, czy wojna przeciwko Szwecyi,—jeszcze nie było postanowione... Karol XII zaczynał z całą potęgą młodzieńczą ukazywać się na horyzoncie... August lekceważył go. Danja i Brandeburg występowały przeciwko niemu, car Piotr oświadczył się także z pomocą. Mimo więc pokrewieństwa, pomimo zapewnień danych Karolowi XII,—król się wahał.

W tej chwili właśnie zjawił się w Polsce szlachcic inflantski, o którym już chodziła fama, jako o człowieku wielkich zdolności i znaczenia.

Był to ów sławny, a nieszczęśliwy, śmiały, ale przewrotny Reinhold Patkul, którego czekał taki los smutny, a krew jego obryzgać miała na wieki Fryderyka Augusta.

Gdy Witke miał przybyć do Warszawy, nie mówiono tu o niczem i o nikim, prócz o Patkulu.

Prymas zapewniał, że przywoził od swych współziomków wezwanie, prośbę do Augusta, aby szedł wyswobodzić Inflanty. Zapewniano pieniężną nawet pomoc z ich strony... Sto tysięcy talarów na początek... Przydawszy do tego przymierze Duńczyka, Brandeburga i cara Piotra, jakże się August nie miał dać skusić niemal z góry zapewnionem zwycięztwem?

A naprzeciw tych potęg występował młodzik,

sam jeden, bez ludzi, bez broni, bez pieniędzy i doświadczenia.

Dać się ująć szlachetnością i temu młodzieńcowi osamotnionemu rękę podać — na to król August zanadto był ambitnym i egoistą. Rychlej zdradzić był gotów, niż się poświęcić!

Do tych wszystkich pobudek wojny ze Szwedem, dołączyć należy i urok, jaki sam Patkul wywierał. Odważny, wykształcony, w najwyższym stopniu przebiegły, w polityce był zupełnie tej szkoły, co August II. Szukał w niej powodzenia, nie oglądając się na środki i nie krępując żadnemi moralnemi względami, ale zręczniejszym był może od niego, bo lepiej to ukrywał, gdy August nie wstydził się swej przewrotności i łatwo ją dawał przeniknąć.

Wymowny, znawca ludzi, gładki, jak dworak, a energiczny, jak żołnierz i pełen entuzyazmu, gdy ten mógł mu posługiwać — Patkul pozyskiwał sobie niemal wszystkich, z któremi wszedł w stosunki. Niepospolite też zdolności dawały mu wyższość nad tymi, z którymi miał do czynienia...

Witke wierny swej słabości dla Henryetki, o której nie zapomniał i w Drezníe, bo wiózł dla niej nabyte tu podarki, pobiegł, wróciwszy, do Renardów, gdzie był zawsze miłym gościem.

Dziewczynka pierwsza wybiegła przeciwko niemu, bo była pewna, że ją próżnemi nie powita rękami. Jakoż w istocie z pełnym fartuszkiem powróciła do matki...

Oboje rodzice pośpieszyli też naprzeciwko przyjaciela, gdyż tak go tu już nazywano. Wzięto go do sypialni, aby się rozmówić na osobności.

Renard, któremu zresztą po ucieczce Contiego było obojętnem, kto miał panować, byle panowanie to życie i ruch wprowadziło do miasta, chociaż nie miał szczególnego nabożeństwa do Sasa, choć w duszy wolałby był francuza, umiał ze swego stanowiska ocenić Augusta i dosyć mu sprzyjał. Wiedział, że król pił dużo i upijał się chętnie, że ściągał do sie-

bie ludzi, sypał pieniędzmi... i świetne wyprawiał uczty, był więc za nim i życzył mu powodzenia, aby potem Warszawa sejmami, karnawałami, polowaniami i intrygami kobiecemi odżyła.

On pierwszy oznajmił Witkemu o Patkulu i prawdopodobieństwie już przewidywanej wojny szwedzkiej. Przyjęcie cara Piotra w Dreznie, o którem Witke przywiózł wiadomość, było rękojmią przymierza z Moskwą, zaręczającego niemal łatwe pognębienie nieopatrznego młodzika.

Mając od Mazotina polecenie, aby się dowiedział dokładnie, co było słychać około Prymasa i niedobitków rokoszu, kupiec nasz, choć mógł znaleźć jakiś środek pozorny dla wciśnięcia się do Łowicza, nie bardzo życzył sobie tam się pokazywać. Chciał gdzieś naprzód pochwycić Przebora, z którego spodziewał się wyciągnąć wszystko, czego mu było potrzeba.

Renardowie lekko go ważyli, bo mu się jakoś nie wiodło, nie wiedzieli więc nawet, gdzie się zabłąkał. Witke musiał tropić za nim po mieście i znalazł go tymczasowym amanuentem przy którymś z Lubomirskich.

Ów wiele sobie obiecujący Łukasz w chwili, gdy samowolnie Przebędowską porzucał, bolał teraz nad nieopatrznością swoją, bo nazad powrócić nie było podobna. Do Prymasa docisnąć mu się nie udawało i z biedy przystał do jednego z młodych Lubomirskich, który królowi przebaczyć nie mógł sromu, jaki spotkał ich rodzinę, przez zbałamucenie podkomorzynej.

Przebor bolał nad swym losem, szukał lepszego czegoś i z radością chwycił się Witkego, gotów do usług jego.

Nie wiele jednak z niego zrobić było można. Więcej p. Łukasz o sobie rozumiał, niż mógł dokazać... Zazdrosny, mściwy, zbyt namiętny, nie umiał stąpać po śliskiej drodze, na którą wszedł, a im się więcej niecierpliwił, tem mniej mu się powodziło.

Przez niego Witke dostał języka z Łowicza, sam się tam nie chcąc pokazywać...

Przebor, co mu się zdawało nadzwyczaj szczęśliwem, zawiązał był stosunek miłosny z niemłodą rezydentką, bawiącą przy kasztelanowej Towiańskiej. Służył mu on za upozorowanie wycieczki do Łowicza.

— Pamiętaj tylko jedno — rzekł mu niemiec, dając pieniądze na drogę — nie kłam przedemną, bo mnie nie okłamiesz, a jeśli cię raz pochwycę na chętce oszukania, więcej cię nie tknę!

Przebor, który teraz jedyną miał nadzieję w bogatym kupcu, poprzysiągł służyć mu wiernie. Nie mniej byłby go zdradził, ale na ten raz na nic by mu się to nie zdało.

Dwa dni przesiadując u Renardów, czekał na wysłańca swego Witke; nareszcie Łukasz powrócił. Mętne i niepewne przywoził nowiny, ale jednę stanowczą i pewną, że pomimo zaręczeń i pozorów, król nie powinien był Radziejowskiemu ufać i dawać wiary.

Nastrój w Łowiczu był najnieprzyjaźniejszy dla króla, ale zarazem Prymas zachował sobie swobodę łudzenia Augusta swą wiernością i oddaniem dla niego. Towiańska i jej syn występowali niemal otwarcie przeciwko Przebędowskim głównie i królowi, Radziejowski publicznie trzymał z Sasem i za nim przemawiał.

Nic nadto się nie dowiedziawszy w Warszawie, posłuszny rozkazom włocha, Witke wyruszył szukać króla na Ruś i spodziewał się go znaleźć w Brzeżanach, co w istocie się sprawdziło. Miał zamiar i teraz oswobodzić się z niewoli Constantiniego, lecz nie wiedział, co go tu czekało.

Mazotin go oburącz za szyję pochwycił, zobaczywszy i kazał sobie opisywać drobnostkowo pobyt cara w Dreznie.

Szło mu nadzwyczaj o wyrozumienie charakteru i temperamentu, sposobu obejścia się z ludźmi cara Piotra, gdyż August miał nadzieję spotkać się z nim. Domyślano się, że car musiał się niewątpli-

wie dowiedzieć w Wiedniu o buncie strzelców, a nie wątpiono, że ten wypadek tak ważny musiał go skłonić do szybkiego powrotu i zaniechania dalszej podróży. Bunt wprawdzie został stłumiony, ale następstwom jego tylko sam car mógł zapobiedz.

Włoch, dobywając co mógł z Witkego, pochlebiał sobie, iż król raportem się jego zaspokoi. Skłamał naprzód, że raport otrzymał na piśmie, ale ze sposobu opowiadania August się dorozumiał fałszu i groźnie nakazał Constantiniemu, aby mu przyprowadził i stawił swojego wysłańca.

Był to wypadek dla włocha najnieszczęśliwszy, gdyż musiał za sobą nieodzownie prawie pociągnąć to następstwo, iż król bez pośrednictwa jego, Witkiem się zechce posługiwać.

August jak tylko powziął podejrzenie, iż Mazotin skłamał, kazał Hoffmanowi wyśledzić, kogo wysyłał i kto przybył do niego. Musiał więc Constantini skonfudowany uznać się zwyciężonym, gdy mu król wręcz powiedział:

— Jeżeli nie chcesz, abym ja sobie sam kazał tego Witkiego przyprowadzić, to mi go jutro rano staw sam.

I pogroził w dodatku. Constantini nadrobił śmiechem i rezolutnością.

— N. Panie—odparł—ja się tego nie zapieram, że niechętnie kogoś przypuszczam do W. Kr. Mości. Jestem zazdrosny i sam pragnę służyć mu.

August przerwał mu.

— *Pulcinello!!*

Nazajutrz Witke nagle, niespodzianie osiągnął cel swych życzeń. Sam Mazotin miał go przedstawić królowi.

Okoliczność ta miała o jego przyszłych losach rozstrzygać. Od Constantiniego łatwo się mógł uwolnić, od króla nie było sposobu.

Gdy weszli do sypialni, August na złość i dla ukarania faworyta, wskazał mu drzwi, kazał wyjść, a sam na sam pozostał z Witkem.

Natychmiast poddał go badaniu o cara Piotra tak zręcznemu, iż nawet mniej zdolny i pojętny człowiek musiałby był dać o nim jakieś wyobrażenie. Witke, chociaż zrazu onieśmielony nieco, odzyskał panowanie nad sobą, a widząc Augusta dobrze usposobionym, swobodnie i zręcznie począł opisywać pobyt w Dreznie.

Wszystko to przyjąwszy wdzięcznie, król spytał jeszcze jakie piękności Drezdeńskie zrobiły wrażenie na carze, ale kupiec wiedział to tylko, że z niemi gość obchodził się nader poufale i lekceważąco, chociaż nie przykrzył sobie niemi.

Dodał i to, że odwiedzając królowę i jej matkę, car zachował się przyzwoicie, chociaż dla nich stroju podróżnego nie odmienił, a na pożegnanie nie czuł się obowiązanym przybyć do nich.

August ze sposobu tłumaczenia się Witkego zdawał się bardzo rad i uderzył go po ramieniu, pytając, czy nie chce wejść w służbę jego.

— N. Panie—odparł kupiec—mam sklep przy ulicy Zamkowej i dość znaczne interesa, których porzucić nie mogę... ale ilekroć W. K. Mość użyć mnie zechcesz, chętnie usłużę. Umiem po polsku, mam ochotę na pół się osiedlić w Warszawie.

— Wszystko to mi jest na rękę — rzekł nawzajem król—jeżeli w czem pomódz ci mogę, zrobię, co mogę. Tylko — dodał, śmiejąc się—pieniędzy teraz nie żądaj odemnie!!

II.

Pierwszych dni sierpnia w małej mieścinie Rawie ruskiej, panował ruch, jakiego za ludzkiej pamięci w tych stronach nie było. Okolicę całą zajmowały najpiękniejsze regimenta saskie, gwardye króla i artylerya; w mieście wszystkie nieco lepsze de-

mostwa, z których właściciele ustąpić musieli, wyporządzano dla dostojnych gości, a że te nie starczyły, w rynku przypierały do nich porozbijane wspaniałe namioty. Łatwo poznać po nich było, że pochodziły z łupów na Turku zdobytych pod Wiceniem. Świeżo i nadzwyczaj wytwornie postrojony dwór Augusta, którego sasi zwali Silnym, a inni Wspaniałym, w liczbie wielkiej kręcił się około gospód i połączonych z niemi namiotów.

Stajnie zaledwie mogły pomieścić konie, a szopy—powozy króla i jego przybocznych. Najznaczniejsi generałowie, najwyżsi urzędnicy, służba, na której August najwięcej polegał, wszyscy się tu znajdowali. Czuć i widać było na dni już kilka przedtem, że się spodziewano gości. W istocie car Piotr, powracający pośpiesznie do Moskwy, miał się tu spotkać z królem polskim. Szło o to Augustowi, aby sobie ujął cara Piotra, na którego pomoc do pokonania brata ciotecznego, młodziuchnego Karola XII, rachował.

Wszystko, co się obrachować dawało, aby Piotra zjednać i przywiązać, August przygotował zawczasu. Znał Piotra z opowieści, z jego podróży po Europie, z raportu Witkego i z tej intuicyi, jaką mu pewne charakterystyczne cechy dać mogły.

Z tem wszystkiem Piotr, w którym tyle sprzecznych łączyło się przymiotów i wad, z wielu względów był dla Augusta, jak dla wszystkich, zagadką. O jednem tylko powątpiewać nie było podobna, że miał energię żelazną, wytrwanie, i wolę niezłomną, i że przyszła wielkość państwa, które na drodze cywilizacyi się opóźniło, leżała mu na sercu.

Popęd do przekształcenia i postępu, którego uśpionemu narodowi własna dać nie mogła wola, musiał od Piotra wyjść, przez niego być stworzonym. Oprócz tego wszystkie warunki życia nowego car sam zniewolonym był tworzyć, i nie przewidywał, ażeby wola jego nie mogła stworzyć cudu, zastąpić czasu.

August z tego co słyszał, wyobrażał sobie cara

samowolnym i dumnym; pocieszało go to, że przy stole i kielichach, które lubili oba, łatwiej się porozumieć będą mogli.

Nie gniewał się i za to, że Piotr zawczasu zapowiadał i mówił sobie, aby incognito mógł zachować i żeby do niego nie przypuszczano nikogo, z wyjątkiem chyba najwyższych dostojników.

Owe incognito, o które się car upominał, rzeczywiście utrzymać się nie mogło. Mówiono naprzód o przyjeździe cara, a zresztą pomimo skromnego i nielicznego dworu, mimo niepozornych powozów, jakiemi jechał, sama ich powierzchowność zdradzała pochodzenie z daleka...

. . . . . .

W dniach poprzedzających przybycie cara, król August głowę sobie łamał, wymyślając, czem go zabawić potrafi, zająć, rozerwać, przypochlebić może ..

Kilka dni spędzić razem musieli, aby przymierze z sobą ułożyć i zawrzeć stanowczo. Miał król swe wojsko saskie do popisu, miał wiele pięknych rzeczy do pokazania, od własnej począwszy siły... lecz chciał olśnić i oczarować cara.

Nadszedł nareszcie dzień przyjazdu, do którego z całym blaskiem, przepychem i świetnością ulubioną przygotował się August. Car Piotr przybył z niewielu ludźmi, niepozornemi powozami, służbą niepokaźną, sam z podróży w stroju zaniedbanym i wytartym, którego nie myślał zmieniać.

Wspaniała postać Herkulesa-Antinousa Saskiego, szlachetne a dumne i słodkie razem oblicze, jego teatralne ruchy i miny, uczyniły Piotra, pogardzającego wszelkiemi zewnętrznemi oznakami, postacią na pozór podrzędną. Ale wpatrzywszy się w nich obu, gdy byli razem, rozpoznać było łatwo, że w niepozornym Piotrze więcej było energii i siły, niż w Saskim kunsztmistrzu.

Cały ów blask, bogactwo, wytworność, z jaką August przyjmował cara były niemal stracone. Piotr

nie patrzał na nie, a to, co widział, tak mu było obojętnem, jakby lekceważył wszystko, do czego nie był nawykły. Gdy August z uniżonością niemal skłaniał się przed nim, pieścił go, zabiegał około niego, car z króla, z przyjęcia, z tych honorów i ukłonów zdawał się niemal urągać. Oko jego mierzyło niemców i niewielu polaków z niejakiem szyderstwem, a jawną obojętnością.

Razem z tem August zaraz pierwszego dnia się mógł przekonać, że ów prostakowaty, rubaszny car, ani się podejść, ani z duszy nic wyrwać nie dawał.

Był nadzwyczaj otwartym, ale nie mówił nic. W ostateczności zbywał śmiechem i kielichem. August mimo całej swej polityki subtelnej, zdradzał się co chwila, Piotr nigdy.

Pierwszego zaraz wieczoru po przybyciu cara, zamknęli się do rozmowy na cztery oczy, Augustowi bowiem pilno było, jak mówił Flemingowi, za puls cara potrzymać, ale puls mimo buntu strzelców bił spokojnie.

Sas pośpiesznie poruszał wszystkie sprężyny, których dźwięku był ciekawy; odpowiadały mu one głośno, ale niezbyt zrozumiale. Potrzeba było zbadanie ich odłożyć na dni następne.

Król chciał dać naprzód o sobie i swej potędze i bogactwach wielkie wyobrażenie carowi, ale największy wysiłek nie sprawił skutku.

Piotr, udając małą podrzędną figurkę, krył się za swoim Lefortem i stawał ciągle po lewej ręce, utrzymując incognito.

Obóz saski był rozłożony w pewnej odległości od miasteczka; gospodarzył w nim Fleming. Zrana pojechali go oglądać monarchowie oba; a August na koń siadłszy, sam pułki swe przeprowadzał. Był to lud dorodny, piękny, wykwintnie uzbrojony i ubrany. Car mu przyklaskiwał, ale zachwytu na nim widać nie było.

Polskich regimentów wcale w obozie nie znaleziono.

Fleming równie z panem swym zabiegał, aby się Piotrowi zalecić, ale również jak on przeczuł, że mieli do czynienia z twardą i niedającą się uwieść naturą, która miała swe własne zdanie i sąd, a nie łatwo się poznać dawała.

— Ja, — mówił car po przeglądzie do króla — ja takich pięknych wojsk mieć nie mogę, moje to są proste chłopy, ale piechota moja stoi jak mur, a oficerowie słuchają, jak żołnierze. Jak mi się zbuntować sprobują, to im łby wszystkim poucinam i będę na długo spokojnym. U mnie dużo zaspanego, za to ja teraz dzień i noc czuwać muszę.

Po przeglądzie wojsk, Fleming zaprosił monarchów do namiotu, gdzie ich bardzo wspaniale przyjmował, karmił, poił i zabawiał. Car ściskał Augusta i całował, śmiał się, zaręczał mu swą pomoc i stałą przyjaźń i pomrukiwał znacząco, gdy o Szwedzie była mowa.

Młokosa Karola XII traktowano, jako zarozumiałego wyrostka. Dania miała taniec z nim rozpocząć, August iść w jej ślady, Piotr był też w gotowości, a bardzo ostrożny Brandeburski kurfirst milcząco zapewniał, że i on się później do nich przyłączy. Stanowczo tylko rozpoczynać sam nie chciał.

Wróciwszy z obozu, monarchowie zasiedli w namiocie do nowej uczty i kielichów, a król nie mógł dotąd dobrać sposobnej chwili do stanowczej ze swym gościem rozmowy.

Późno w noc wreszcie, umyślnie tak przygotowano wszystko, aby sam na sam pozostali z sobą. August miał zawczasu ułożony plan rozmowy. Car Piotr zdawał się czekać na nią, ale sam nie rozpoczynał.

Ponieważ pokilkakroć dnia tego mowa była o tem, co car u siebie zamierzał dokonać i jak ogromne miał przed sobą zadanie, — wojsko, marynarkę, szkoły, rzemiosła, kunszta europejskie chcąc prze-

szczepić do siebie, August do tego naprzód przyczepił zagajenie o własnych sprawach.

— Kochany bracie! — odezwał się do Piotra, ściskając go i przyjmując gorący uścisk wzajemny — my się w istocie nazwać możemy braćmi. Nie sądź, żebym ja w mojem nowem królestwie mógł siedzieć z założonemi rękami! Tu też zgoła wszystko przerabiać potrzeba! Ty masz do czynienia z narodem na pół dzikim, trwożnym i posłusznym, ja—z rozpasanym swobodą, jakiej nigdzie żaden naród niema w świecie. Sądzisz, że to tak może pozostać? Nie na to sięgnąłem po koronę, abym nią się przystroił tylko. Myśli moje i zamiary sięgają daleko i szeroko. Ty mi rękę podać możesz. Granice mojej Rzeczypospolitej według waszych dawnych pożądań uregulować możemy, ale wy mnie do zaprowadzenia ładu, do obalenia niedogodnych swobód pomódz musicie. Mam przyczenie Brandeburga, którego też jest z czego zaspokoić. Ziemi mu też dać mogę, od hołdownictwa go uwolnię, ale to, co mi pozostanie, jako monarchię dziedziczną połączę i dynastyę Wettinów osadzę na tronie. Ty na północy wzniesiesz państwo ogromne, ja od zachodu. Nowe królestwo brandeburskie musi być z nami, aby się mogło oprzeć Austryi, którą ja sobie pozyszczę.

Car Piotr słuchał z uwagą.

— O! o! — odezwał się, popijając — z panami polskimi twardy mieć będziesz orzech do zgryzienia. Oni tu królować nawykli!

August się rozśmiał, pomrugując oczyma.

— Na to mam sposób, kochany bracie — rzekł.— Patrzcie, co się już dzieje na Litwie; tam dwa tak zajadłe obozy stoją przeciwko sobie, iż się nawzajem tępić będą, a jeden z nich, okupując zwycięztwo, wyrzecze się swobód. Toż samo przeszczepię do Polski. *Divide et impera!* — zakończył z uśmiechem wdzięcznym.—Stara i nieomylna maksyma, nie chybi ona nigdy, a nigdzie jej łatwiej zastosować, jak u mnie.

-- Naród rycerski, wojsko... wojsko się niegdy biło dobrze! Byli w Moskwie!—westchnął car.

— Wojsko!—zaśmiał się Sas. — Wojsko i dziś na popis bardzo piękne. Niektóre pułki skrzydła u ramion mają, ale te czasy przeszły, gdy latały niemi — i nie wrócą. Kopje ich do turniejów się zdały, nie do wojny. Szlachta zleniwiała, pól wykarczowali za dużo... z rycerzy stali się chleborobami.

Słuchał car z uwagą i głową potrząsał.

— Tak — dodał, — ja mam wiele do zrobienia w domu, ale u mnie wszystko z nowa poczynać potrzeba, gdy u ciebie popsute trzeba naprawiać.

— Mylisz się bracie—odparł August — u mnie także nowe stworzyć muszę, bo to, co jest, na nic się nie zdało. To są naśladowcy Rzymian i republikanie, a mnie trzeba z nich posłusznych zrobić poddanych.

— Życia ledwie stanie na tę robotę — rzekł Piotr.

August nalany puhar potrącił o kielich cara, który się zadumał nieco.

— Bracie, wszystko się dokona, pójdziemy-li zgodni. Wam Karol XII i Szwecya wrogiem i przeszkodą, dla mnie ona jest narzędziem i środkiem. Zuchwały mój kuzynek musi nam ztąd ustąpić. Spuścizną jego się podzielimy.

— Brandeburczyk też się nam do niej przypyta — szepnął Piotr. — Ja się go lękam; przebiegły jest, ostrożny, stąpa powoli, ale gdzie stopę postawi, tam się trzyma. Patrzcie i teraz; on poczynać nie chce... a gdyby nam się oślizgnęła noga — poda rękę Szwedowi!

August mniej bystry, a świeżo ujęty przez Fryderyka, głową potrząsnął.

— To się tłumaczy: —rzekł—mniej od nas ma do stracenia. My się ziemią dzielić i okupywać możemy... on nie, jemu ciasno dla przyszłej Królewskiej Mości.

— A komuż z nas za szeroko?—odparł car.—

Mnie Turek dusi. Rad nie rad w przyszłości wojnę z nim zostawić muszę następcom, aż do wygnania ich, lub wytępienia. Dla tego z wami pokój stanąć powinien... pokój mocny...

— Tak mocny, jak my dwaj jesteśmy — przerwał król i mówiąc to, srebrny kubek zgniótł, jak liść, w ręku.

Napili się razem. Piotr, który się nieco zachmurzył, rozjaśnił twarz powoli i rzekł:

— Pokaż mi swych Polaków. Słyszę o nich wiele, nie widziałem prawie. Rad poznam tych carzyków waszych.

Wojska polskie, naówczas w marszu będąc pode Lwów, niezbyt się daleko znajdowały.

August zaledwie posłyszawszy życzenie cara, pochwycił dzwonek... wbiegł paź; kazał król powołać sekretarza i list wyprawić natychmiast na całą noc do hetmana Jabłonowskiego, który potroszę się tego wezwania spodziewając, z hetmanem polnym, Szczęsnym Potockim, był już w pogotowiu do wyruszenia.

Staremu Jabłonowskiemu zdawało się, że ujmą byłoby dla wojsk polskich, gdyby na ziemi polskiej sasi tylko mieli się prezentować carowi. Półtora tysiąca jazdy co najprzedniejszej, chorągwi pancernych, usarzów, pechotyrców, gotowało się towarzyszyć panom hetmanom.

Gdy nadszedł zapraszający list królewski do Jabłonowskiego, w którym wyrażone było, iż car nie życzy sobie być widzianym od wielu i zaledwie najprzedniejszych dopuści przed swe oblicze, ledwie się mógł hetman obronić napierającym gwałtem, bo każdy cara na ziemi Rzeczypospolitej osobliwość wielką, a w dodatku cara, o którym dziwne rozpowiadano rzeczy, widzieć pragnął. Jedni więc za zgodą i przyzwoleniem hetmanów, inni samowolnie do ich orszaku się przyłączyli. Wszyscy stali o to wielce, aby się nie dać sasom zakasować, więc tych parę tysięcy koni za Eljerów pomiędzy Eljerami liczyć było

można; chłop w chłopa, konie cudne, zbroje i rzędy na tysiące dukatów dające się szacować.

Jabłonowski miał orszak, jakiego mu król mógł zazdrościć.

O ćwierć mili od Rawy, hetmanowie z kolebek przesiedli się na koń i tak w paradzie wielkiej, pod chorągwią hetmana i buńczukami, z buławami w ręku, ciągnęli aż na rynek!

Król, któremu dano znać, czekał na nich w namiocie i tu przyjął Jabłonowskiego z Potockim. Za niemi wcisnęło się tuż co było osób przedniejszych, ciekawych cara oglądać.

August powitał doskonałym humorem gości tych, ale spojrzawszy, że ich pełen namiot był, a wiedząc jak car się broni, aby nie pokazywać lada komu, rzekł do Jabłonowskiego po cichu:

— Mój gość jest mąż oryginalny, a ja jako gościowi muszę dogodzić fantazyi. Pójdę więc go zapytać ilu i kogo przyjąć raczy.

To mówiąc, król odszedł i po krótkiej chwili wrócił uśmiechnięty.

— Przewidywałem to!—rzekł—car nie chce do oblicza swego dopuścić, jak tylko hetmanów i senatorów. Jam temu nie winien, chodźcie!

Mówiąc to, król zawrócił do drzwi, wiodących z namiotu do domostwa i przez nie na podwórzec, a z niego tyłami wprowadził osiem tylko osób za sobą. W tej liczbie syna hetmana, wojewody ruskiego, Jana Stanisława.

Wystąpił stary hetman z powitaniem po polsku, nie wątpiąc, że go car zrozumie, bo mowy obie powinowate spodziewać się tego kazały.

Postawa starego Jabłonowskiego pańska, spokojna, szlachetna wielce, acz bynajmniej nie poniżająca się zbytnio, ani też nadymająca, musiała na Piotrze uczynić wrażenie wielkie i dobre, bo oka z niego nie spuszczał i odgadywać było można, iż mu się podobał, a gdy dokończył przemówienia, po krótkim namyśle odparł po rusku.

— Diakuju waszoj miłosti, cośte brata moho Auhusta, korolom obrały.

W czasie przemówienia i odpowiedzi, gdy hetman się zbliżał coraz do cara, ten ciągle się w tył cofał, ale później do Jabłonowskiego przystał bardzo.

Na rozmowę już czasu wiele nie pozostawało, bo król pilnował tego, aby znaczniejsza część dnia u stołu upływała; wkrótce więc dano znać, iż obiad gotów był, ale w innym domu, do którego poszli przodem monarchowie i hetmanowie, a senatorowie za niemi.

Ponieważ car stał uporczywie przy swojem incognito, zasiadł więc August w pośrodku z prawej strony, po lewej Piotr, za królem hetman wielki, polny i senatorowie rzędem, za carem Lefort, Gołowkin i całe jego poselstwo.

Zaledwie rozpoczęto jeść, już ponalewano ogromne kielichy i puhary, a król Jabłonowskiemu zapowiedział, że tu o honor narodu chodzi, aby polacy do dna wychylali.

— N. Panie — rozśmiał się Jabłonowski, — ja mam słabą głowę, upiję się.

— No, to się upijesz—rzekł August —I ja też upić się spodziewam, a sądzę, że nikt nam ztąd trzeźwym nie wyjdzie.

Szedł tedy obiad, a więcej jeszcze pijatyka zabójcza, wesoło i ochoczo, ciągnąc się bardzo długo.

Król, chcąc niby senatorów przypuścić do swych układów z Piotrem, przy stole zapowiedział im, że nazajutrz do konferencyi względem conjunctur przyszłych wezwani będą. Tego dnia wszyscy już tak dobrze mieli w głowach, że o tem myśleć nawet nie było można.

Jabłonowscy oba, ojciec i syn, którym całe postępowanie króla wielce było podejrzanem i w tem wezwaniu polaków do konferencyi widzieli to tylko, co istotnie się w nim kryło. Szło Augustowi o pokrycie umowy o wojnę szwedzką z carem Piotrem,

o której na naradach nikt ani słowa się nie odezwał, chociaż czuć ją było.

Car Piotr tylko mówił o Karłowickim traktacie, a ostatecznie się oświadczył ogólnikiem, że będzie sojusznikiem Rzeczypospolitej i króla Augusta nieodstępnym przyjacielem, bratem—*et caetera*. Wszystko to ułożył napozór zręcznie król, ale nie wszystkich uwieść zdołał.

Czas pobytu w Rawie schodził zresztą na pijatykach, uściskach i pocałunkach króla z carem i na przeglądach wojska, z którem August się popisywał, a car je z uśmiechem ironicznym wychwalał.

Ze strony gospodarza nadskakiwanie gościowi było bardzo widoczne i posunięte do uniżoności niemal; car zaś Piotr zdawał to przyjmować, jako rzecz należną, chłodno. Przy kielichach śmiał się i całował, resztę czasu oczyma niespokojnie badał, co go otaczało.

Król codziennie wdziewał najwytworniejsze szaty, złotogłowy z brylantowemi guzami, prezentował się sam i dwór galowo, gdy car pod pozorem, że bagaże za sobą zostawił, chodził ciągle w szarym wytartym kaftanie i prostem holenderskiem grubem obuwiu, skórzanemi sznurkami pozawiązywanem. Wśród dworskich trudno go było rozeznać i domyśleć się, chyba po respekcie, jaki mu wszyscy okazywali.

Z tego powodu zdarzył się wypadek, który króla mocno zirytował. Piotr, jako był samowolny i na nic nie zważający, wyrwał się następnego ranka, po przybyciu hetmanów na pole, do musztr przeznaczone, po którem się snuło dużo różnych jezdnych i pieszych.

Koniuszy hetmana polnego, Szczęsnego Potockiego, który nigdy w żywe oczy nie widział cara, biegnąc konno, potrącił go nieostrożnie, za co Piotr rozgniewany biczyskiem, który w ręku miał, chłostać go zaczął. Koniuszy, czy go się domyślał, czy nie, mając przy sobie kilku towarzyszów, natychmiast sza-

bli dobył i wszyscy rzeźko się za uchodzącym Piotrem rzucili.

Nie rychło jakoś dopiero wstrzymano koniuszego, wołaniem:

— Stójcie, stójcie, to Car!!

Zadyszany, sapiąc, przybiegł Piotr do króla, który szczęściem z Jabłonowskimi stał w pobliżu i pół śmiejąc się, na pół gniewnie zawołał do starego hetmana Jabłonowskiego, którego jakoś szczególnie polubił:

— Twoi Lachy chotiły mne rozrubaty [1]).

Rzucił się nastraszony hetman, chcąc zaraz inkwizycyę surową począć i sprawiedliwość wymierzyć, ale Piotr go wstrzymał.

— Daj pokój, jam go pierwszy uderzył! Cicho licho, niema czego roztrąbiać...

Hetmanowi staremu mógł król zadrościć, tak widocznie go nad innych car preferował. Powaga, wiek, szlachetny sposób obejścia się, w którym eleganckiej uniżoności Augusta nie było, podobały mu się i powtarzał kilkakroć, napiwszy się, hetmanowi, że gdyby go u siebie miał, jak ojca by go szanował i słuchał. W części zaś afekt ten przeszedł na wojewodę ruskiego, syna hetmana, którego, że trzymał nad granicą ukrainną Białocerkiew, car zwał „sasidom".

Dla króla Piotr był, mimo wszelkich zabiegów czynionych, aby go sobie pozyskać, chłodnym. Zamykali się codzień dla narad, z twarzy Augusta widać było pewne uradowanie, ale poufały stosunek nie mógł się ze sztywności jakiejś nawet po pijanemu uwolnić.

---

[1]) Język rusiński, który pisarze nasi wkładają w usta carowi, nie mógł być przez niego użytym, gdyż używał języka rossyjskiego, nie chcieliśmy jednak nic zmieniać ze źródeł. *(P. A).*

Naostatek przyszło do pożegnania i rozstania się.

Ponieważ Piotr dla pośpiechu ekwipaże za sobą zostawiwszy, prostym przybył powozem, August nastał na niego, aby przyjął kolebkę podróżną, aż do Moskwy i wojskową straż do granicy... Oprócz tego wyposażono go na drogę w napitki i jadło jak najobficiej, i na niezabudź król ofiarował gościowi piękną i kosztowną laskę, dyamentami sadzoną, car zaś Piotr wywdzięczając się, a wiedząc, że się w kamieniach kochał, dał Augustowi bardzo szacowny, duży szafir, czem go nie mało uradował.

Pożegnanie sprzymierzeńców było na oko przynajmniej bardzo serdeczne, a po twarzach Przebędowskiego i Fleminga poznać było łatwo, że cel został osiągnięty.

Do wypadków w czasie pobytu cara w Rawie i to trzeba dodać, że Przebędowski, którego nie lubiono, a wszystko mu przypisywano, cokolwiek król poczynał z Polakami, omało nie został poturbowanym przez Potockiego, strażnika koronnego, którego do stołu nie dopuszczono, gdy dwaj młodzi Jabłonowscy, chorąży i oboźny koronni, zaproszenie otrzymali. Przebędowski, uląkłszy się, po obiedzie już wprowadził pana strażnika.

Tak się to potajemnie dla wielu, ale dla innych już jawnie przygotowała niefortunna wojna ze Szwedem, którego król lekceważył, ani przypuścić mogąc, co go czekało od tego młodzika.

Nigdy może tak blizcy krewni, bo bracia cioteczni, mniej do siebie nie byli podobni, nad Karola i Augusta. Pominąwszy to, iż męztwo osobiste i poczucie godności swej w Karolu XII posunięte były aż do przesady i do szału, że jako żołnierz i wódz despotycznym był i nie rozumiał, aby mu się kto śmiał sprzeciwiać,—jako człowiek, jako żołnierz i jako wódz był to mąż znakomity. Sama też powierzchowność młodego króla uderzała kontrastem z Augustem. Najprostsze z grubego sukna ubranie, bez

galonów, bez oznak żadnych, ogromne grube buty, których czasem miesiącami nie zrzucał, kładąc się w nich na spoczynek, aby być na każde zawołanie gotowym, pogarda wszelkiego zbytku, życie anachorety, trzeźwość, surowość obyczajów, czyniło go wyjątkową istotą.

Marzył tylko o bohaterstwie, o sławie, a wierzył w to, że potęgą woli można siłę nawet cielesną zastąpić.

Niczem go w świecie ująć i złamać nie było można.

Jako człowiek był też czciciel ideału, cnoty, poświęcenia, czystości obyczaju. O męztwie mówić jest zbytecznem; posunięte ono było aż do zuchwalstwa i zupełnego zapomnienia się. Wzgarda wszystkiego, co było zewnętrznym popisem i konwencyonalną formą, cechowała go tak, jak przeciwnie Augustowi odegrywanie komedyi stało się naturą.

W tej jednak chwili dwaj przyszli zapaśnicy i przeciwnicy wcale się jeszcze nie znali. Jakie miał wyobrażenie o Auguście Karol, trudno zgadnąć, ale August najmniejszego przeczucia nie okazywał, aby lekkomyślnego młodzika sobie za coś ważył.

Obok spraw takiej doniosłości, które po większej części król zdawał na Fleminga, a Fleming się do nich w Polsce znienawidzonym Przebędowskim posługiwał — miłostki szły swoim porządkiem. Lubomirska panowała dotąd nad sercem i zmysłami Augusta. Zajęty był nią, co nie przeszkadzało mu bynajmniej utrzymywania stosunków przyjaznych z odprawioną już hrabiną Königsmark, ze Spieglową, ze wszystkiemi dawnemi ulubienicami i niekiedy zawiązywania nowych przelotnych miłostek z francuzkiemi aktorkami i paniami jarmarków lipskich.

Rozwiązłość króla posuniętą była do najwyższego stopnia, a jawność jej w Polsce szczególniej wydawała się potworną i oburzającą.

Jezuici i inni duchowni zmuszeni dla interesów katolicyzmu popierać Augusta, tem postępowaniem

jego byli nieraz przywiedzeni do rozpaczy, nie umiejąc uniewinnić i obronić. Zadawano kłam wszystkiemu, ale król nazajutrz, jakby na przekorę, sam się potępiał.

Karnawały te i jarmarki lipskie, na które umyślnie zjeżdżał, aby w towarzystwie francuzek i włoszek, z fajką w ustach się snując, majestat swój królewski pospolitować—niepokoiły i nieszczęśliwą Lubomirską. Złudzenie jej co do trwałości stosunków z królem nie mogło się utrzymać długo. Musiała udawać, że o sprzeniewierzeniach nic nie wie, ażeby nie dać powodu do zerwania. Nie miała bowiem jeszcze nic, oprócz trochy klejnotów i wielkich obietnic.

Piękna Urszula zresztą mogła znieść przewidywaną katastrofę lżej, niż kobieta, któraby się istotnie przywiązała do Augusta. Lubomirska miała tę naturę zalotnic wogóle, które w pierwszym momencie dla zdobycia sobie kogoś życie gotowe dawać, ale cały ten szał ich, im gwałtowniejszy jest, tem trwa krócej. Siła jego objawia się zawsze w stosunku przeciwnym do trwałości. Najmniejsza potem pobudka ostudza nagle.

Piękna pani podkomorzyna mdlała, gdy król upadał z konia, rozwiodła się z mężem, naraziła rodzinę, cierpiała wzgardę i rodzaj banicyi z towarzystwa, ale zniósłszy to dla króla, już po kilku miesiącach przywiedzioną była do udawania miłości, która zupełnie ostygła.

Król zaś z wielu powodów trzymał się podkomorzynej. Naprzód — pozostała mu jeszcze resztka namiętności dla niej, którą piękna Urszula nader zręcznie żywić umiała. Następnie podkomorzyna była dla niego w Polsce narzędziem potrzebnem. Przez nią trafiał do Prymasa, nad którym czuwać było potrzeba, ona często mogła mu objaśnić i ułatwić to, czego nie potrafił ani Fleming, ani Przebędowski.

Lubomirska przewidywała, że się w sercu króla nie potrafi utrzymać, chciała tylko zdobyć tytuł

i wyposażenie. Na pozór lekka, roztrzepana, zalotna, nawet nieoględna, w istocie była niesłychanie zręczną i przebiegłą, a ta powierzchowność motyla, to zdradzanie się, te wrzekome omyłki, jakie popełniała, słabości, za które ją rodzina strofowała, — były doskonale obliczone i przygotowane.

Najprzebieglejsi nawet, których zwieść i obałamucić było nadzwyczaj trudno, dawali się jej w błąd wprowadzić, tak doskonale naturalną się wydawała w postępowaniu.

Jednym ze środków obudzenia zaufania był najmniej pospolity, a więc najskuteczniejszy. Popełniała umyślnie jawne omyłki, ażeby zmylić tych, coby ją posądzać chcieli o zbyt mądre obrachowanie.

August zazdrosny i podejrzliwy nigdy jej nie posądzał. Omdlenie to w czasie turnieju było rękojmią przywiązania, które tem gwałtowniej się objawiało, im więcej stygło.

Oprócz tego podkomorzyna w stosunkach z królem umiała je utrzymać na pewnej odległości idealnej, gdy August gdzieindziej schodził aż do najostatniejszych krańców bezwstydu i rozpasania. Z nią zawsze musiał grać rolę rycerskiego kochanka, bohatera, półbóstwa. Miłość dla niej miała tę właściwość i to ją niestałemu panu czyniło znośną. Znajdował w niej pewną odmianę, urozmaicenie. Z aktorkami francuzkiemi dopuszczał się bydlęcych niemal wybryków, z nią musiał być, choć najbardziej namiętny, przyzwoitym i wytwornym.

Nieprzyjaciele podkomorzynej, których, równie jak przyjaciół, miała pomiędzy niemcami, nie śmieli jeszcze rozpoczynać nic przeciwko niej, tak dotąd stała mocno.

Król okazywał dla niej największe uszanowanie. Była to pierwsza polka wielkiego imienia i rodziny, która dla niego poświęciła męża, familię, wszystko. Tego nie uczyniła dla niego ani Kessel, ani Königsmark, ani Fatima-Spiegel, ani Lamberg Esterle. Tam-

te mógł wynagrodzić, dając im mężów, tej odebrał go... musiał więc sowicie zapłacić za to.

Rozumiała swe położenie Lubomirska, i pomimo natury zalotnej, nie dała królowi najmniejszego powodu do podejrzenia i zerwania.

Zajęty swą polityką tajemniczą, August czasem miesiącami całemi nie mógł widywać podkomorzynej. Naówczas krążyły pomiędzy nią a królem najgorętsze listy, najczulsze zapewnienia miłości, a wkrótce potem uszczęśliwiła panią podkomorzynę nadzieja potomka.

Było to jedno, czego najmocniej pragnęła... Król nie mógł już, doczekawszy się dziecięcia, mniej uczynić dla niej, niż dla Aurory.

Po powrocie swym do Drezna i niespodzianem wezwaniu do króla, położenie Witkego zmieniło się całkowicie. Doszedł do tego właśnie, czego pragnął; król go znał i rachował na jego służbę. Ale z drugiej strony nie mógł się łudzić Witke. Constantini, który posługując się nim dla siebie, był mu chętnym i przyjacielskim, teraz stał się podejrzliwym, a u króla poprostu wrogim.

Mazotin miał już tu tak wielkie zasługi, a sądził się Augustowi tak niezbędnie potrzebnym, że pozbycie się nowego człowieka, Witkego, uważał za zadanie bardzo łatwe.

Zaraz po królewskiem posłuchaniu Constantini powołał go do siebie.

— No — rzekł mu — widzisz! Zawdzięczasz to mnie, żem cię królowi zalecił. Rozumiesz! Czuj że się do wdzięczności dla mnie i służ wiernie, bo jak łatwo mi było cię polecić, tak jeszcze lżej będzie precz odprawić.

— Ale, na Boga!—odparł Witke—jak możecie coś podobnego przypuścić; ja bez was kroku nie stąpię!...

Podali sobie ręce i rozstali się.

Do najmądrzejszych środków utrzymania króla w zawisłości od siebie, Lubomirska liczyła jak naj-

troskliwsze śledzenie każdego kroku kochanka. Miała około siebie paziów, których umiała pozyskać i polskich panów, którzy jej donosili o najdrobniejszych szczegółach.

Constantiniego podejrzewała słusznie, gdyż ten nie śmiejąc jeszcze nic przedsiębrać, zmierzał do tego, aby król z Lubomirską zerwał, a zawiązał stosunek nowy z kimś, przystępniejszym dla włocha. O Witkem doniesiono jej zaraz, gdyż na dworze domyślano się, że król, który z wielką się o nim pochwałą odezwał, używać go nie omieszka.

Natychmiast podkomorzyna poruszyła wszystkie sprężyny, aby Witkego poznać i pozyskać go sobie. Nie było to łatwem, ale probując, dowiadując się, księżna trafiła na Przebora. Tego, że wcale się jej nie podobał, używała za pośrednika tylko i poleciła mu, aby jej sprowadził Witkego.

Wytłumaczyć się z tej zachcianki łatwo było. Kupiec mieszkał w Dreznie, podkomorzyna miała się tam przenieść, potrzebowała je poznać. Witke mógł jej w tem być pożytecznym.

Naówczas już August obmyślał, gdzie ją umieści, a wszechmocny jeszcze Beichling, przyjaciel od serca hr. Esterle, poczynał przeciwko niej intrygować. Dla obrony od niego i niebezpiecznego mieszkania w Dreznie, dla objaśnienia o stosunkach na dworze, podkomorzyna potrzebowała kogoś. Witke mógł jej w tem i u króla usłużyć.

Postarała się więc ściągnąć go do siebie i pozyskać. Witke nie był ani tak doświadczonym, ani tak przewidującym, ażeby się w tem domyślił jakiejś intrygi. Lubomirska wydała mu się zachwycającą, urok jej całkiem go zjednał! Służyć jej zdało mu się zarazem dać dowód wierności królowi. Nie wydało mu się nawet dziwnem, iż poleciła tajemnicę i zastrzegła, aby Constantiniemu się nie zwierzał.

Po dwukrotnem potajemnem spotkaniu się z Lubomirską, kupiec całkiem już był pozyskany. Se-

kret, jakim się osłaniały stosunki te, wydawał mu się naturalnym.

W ten sposób dwakroć uwikłany, o cofnięciu się już ani mógł pomyśleć.

III.

W Bielanach pod Warszawą, gdzie król dla siebie nowy pałacyk letni postawić kazał, w nim się ze swojemi amorami i pijatyką schraniając, aby go z nich polacy nie wyśmiewali, w antykamerze, pełnej służby saskiej i polskiej, panowała martwa cisza. Jedni na drugich spoglądali z jakiemś przerażeniem, trwogą, niepewnością, co mieli począć.

Widocznem było na pierwszy rzut oka, że na coś oczekiwano, iż wieść jakaś popłoch rzucić musiała.

Od pokojów, w których król natenczas się znajdował, nic słychać nie było, a ku nim oczy i uszy służby się zwracały. Niektórzy ostrożnie na palcach zbliżali się ku drzwiom, chcąc posłuchać... napróżno...

Przed chwilą zbiegli się tu byli senatorowie, najbliżsi majestatu, oddani mu, pozjeżdżali sasi, wpadł Pflug, przybyła blada Lubomirska. Wszystko to znikło w głębi pokojów, w których złowrogie panowało milczenie.

Saska i polska służba, pomiędzy którą, rzecz niezwyczajna, starszyznę i faworytów: Constantiniego, Hoffmana, Spiegla i Witkego widać było, zwykle stroniąca od siebie i trzymająca się osobną gromadką, zbliżała się ku sobie i wymieniała pytania i odpowiedzi.

Rok zaledwie upłynął od świetnych owych nadziei, któremi karmił się August po zjeździe z carem Piotrem w Rawie, ale położenie niespodzianie zmieniło się straszliwie. Ów młokos nieopatrzny, które-

mu pewną zgubę przepowiadano, zadał w Danii ciężką klęskę przeciwnikowi: cara Piotra pobił pod Narwią. August przeciwko niemu stał z przemagającą artyleryą swoją i najlepszemi ludźmi pod Rygą, oczekując od Fleminga wieści zwycięzkich. Same działa saskie miały szwedów zetrzeć na miazgę.

Przyszedł goniec do Warszawy od Fleminga. Co przyniósł?—nikt jeszcze nie wiedział stanowczo, ale trwoga się szerzyła. Nie zwiastował zwycięztwa—to pewna.

Z Warszawy do Bielan po kolei przyjeżdżali konno i kolebkami przyjaciele królewscy, z twarzami blademi wpadali do sali na pokoje i nikli w nich. Panowało grobowe milczenie.

W antykamerze Mazotin stał, zapatrzony w okno, a na sfałdowanem jego czole czytać było można więcej, niż niepewność i troskę. On i Witke, który wychudł, zbladł i w tych usługach pana i Lubomirskiej zestarzał i znędzniał do niepoznania, spoglądali na siebie i potrząsali głowami znacząco.

Reszta służby snuła się około nich, pragnąc zaczepić i wybadać, ale Constantini i Witke ruszali ramionami, na żadne nie odpowiadając pytania. Oczekiwanie to przeciągnęło się niezmiernie długo.

Przez cały ten rok przygotowywano się na szweda. August osobnem poselstwem Gałeckiego uśpił go, zapewniając, że traktat oliwski zachowa.. a potem,—knuto i gotowano wojnę.

Sam król tymczasem?

Król zdawał się niezmiernie zajęty, a nic nie robił. Posługiwał się Flemingiem, generałami, dworakami, kobietami, szpiegami, rozprawiał i kombinował, jeździł, zdaleka spoglądając tu i owdzie, ale ani swoich rozrywek, ani miłostek, ni ucztowań i pijatyki nie poświęcił polityce. Sobie pozostawiając kierownictwo zdala i zgóry, nie czuł się w obowiązku troskać o wykonanie.

Rzucał rozkazy Flemingowi, zdawał się pewnym, że Opatrzność i ludzie mają obowiązek je spełniać,

nie wymagając od niego ofiar nawet z rozrywek i napawania się życiem.

W ciągu tego roku Lubomirska dała mu syna Jerzego, *Chevalier de Saxe*, który równie, jak syn Aurory *Maurycy*, przyznanym został, a piękna Urszula zwała się księżną Cieszyńską. Doszła więc do tego kresu życzeń swych, ku któremu dążyła i zdawało się jej, że króla uwięzi, utrzyma przy sobie.

Okazywał jej czułość wielką, poszanowanie prawie przesadne, a księżna się niemi cieszyła, nie rozumiejąc tego, iż były oznakami zobojętnienia.

Bliżej znający Augusta, jak przebiegły Mazotin, wiedzieli dobrze, iż nie długiem już być miało panowanie Lubomirskiej i że wszelkie oznaki znużenia i przesytu z kolei się zjawiały.

Coraz częściej wykradał się August od księżnej na tajemnicze wycieczki i łowy. Constantini jeden, albo mu towarzyszył, albo zdradzał świadomość celu tych podróży.

Przed Lubomirską polityka najczęściej służyła za wymówkę oddalania się, zmęczenia i widocznego ostygania.

Piękna Urszula siliła się na rozpędzenie chmur. Król odpowiadał jej wymuszoną czułością, ale pomiędzy niemi stygło powietrze. Lubomirska przeklinała politykę, czekała, aby co najrychlej obalono Szweda, zrabowano Inflanty i odśpiewano Te Deum.

W chwili, gdy ta cisza grobowa zalegała antykamery pałacyku na Bielanach, w gabinecie, obok wystrojonej, ubielonej, utrefionej, uśmiechniętej, dziwnie ślicznej księżny, siedział król z twarzą, wpół znudzoną.

Skarżył się na Fleminga, że mu o sobie nie dawał wiadomości, gdy od wieczora już rozstawionemi kresami nadejść były powinny. Ile razy to powtarzał, Urszula nieśmiało zaglądała mu w oczy, drżały jej wargi, zdawała się gotować coś wyrzec i brakło jej odwagi.

Znała niezmierną gwałtowność króla, który z pło-

chego śmiechu, przechodził czasem do wściekłego gniewu, a naówczas jak oszalały lew, gotów był gnieść i zabijać, co mu się nastręczyło.

Milczała więc piękna pani, łagodząc i pieszcząc, a król, choć ziewać mu się zabierało, uśmiechał się do niej czule.

Drzwi tylko zamknięte dzieliły ich od sali, w której po cichu, strwożeni widocznie, stali wszyscy przyjaciele króla. Już samo ich gromadne zbiegowisko na Bielany nie wróżyło nic dobrego, a twarze wyrażały pognębienie i przestrach niewypowiedziany.

Czytać w nich było można niemal rozpacz. Pomimo wielkiej usilności, aby zachować milczenie, szmer wśród tego ścisku dawał się słyszeć niekiedy.

Król roztargniony i niespokojny, mimo zabiegów księżnej, nagle nastawił ucha. Doszedł go szelest i mruczenie, w których domyślił się znacznej liczby zgromadzonych, choć się ich tu w tej godzinie spodziewać nie mógł. Bez namysłu, chociaż księżna chwyciła go za rękę, chcąc powstrzymać przy sobie, zerwał się zbladły i rzucił ku drzwiom, które nagle naoścież otworzył.

Widok tego ścisku przyjaciół, na których czele stali przedniejsi senatorowie i duchowni, wprawił go chwilowo w osłupienie. Twarze ich same niosły mu wyrok jakiś przerażający. Na widok króla wszyscy z trwogą spoglądać po sobie zaczęli. Dębski stał na przedzie.

August krokiem gwałtownym zbliżył się do niego?

— Co to jest? mów!—zawołał—klęska? Mówcie!

I z taką natarczywością przypadł do biskupa, a od niego do Jabłonowskiego, jakby w drżących rękach miał ich zdusić. Na kimś musiał tę wściekłość spędzić. Dębski, znający go już, wojewoda, wszyscy ilu ich było, chociaż gotowali się uwiadomić go o ciężkiej klęsce, pod Rygą poniesionej, stracili odwagę, mówić nie śmieli. Tymczasem milczenie wzmagało gniew i rozdrażnienie.

Król natarł na Dębskiego.

— Mów klecho! — krzyknął porywczo — mów... co mi taicie? Ja od dni dziesięciu noszę w sobie przeczucie klęski. Spotkać mnie musiało to, co Duńczyka i cara.

— Klęska—odezwał się w końcu Dębski — nie jest wcale tak znaczną, jak zadana sprzymierzeńcom. Fleming dał się ubiedz. Nie bitwa była, ale napaść zdradliwa.

W tem nieopatrzny Pflug, łamiąc ręce, zawołał.

— Osiemdziesiąt dział naszych... oko z głowy nam wyłupiono!

August stał, jakby nie rozumiał, nagle rzucił się ku oknu, było to na piętrze, wyrwał je, druzgocząc, i zamierzył skoczyć.

Wszyscy, ilu ich tam było, objęli go, niedopuszczając. Z drugiego pokoju wpadła księżna i uklękła przed nim. Drżący, miotając się, August stanął.

— N. Panie — zawołał Pflug — działa można innemi zastąpić; Was nam nikt i nic w świecie nie potrafi!

Co się naówczas działo z królem, tylko po jego bledniejącej, kraśniejącej, mieniącej się twarzy— domyśleć się było można. Suknię, zapiętą na piersiach, rozerwał, aby odetchnąć. Chciał krzyknąć, zabrakło mu głosu, aż wybuchło z ust.

— Konia! konia! kto żyw, konia!

Niemcy, którzy go znali, iż nieraz w gniewie srogim dla uśmierzenia go, znużeniem konie do zdechu zajeżdżał, nie wahali się usłuchać rozkazu, chociaż księżna u nóg mu się położyła, błagając. Nie widział jej nawet... i wołał konia!

Constantini rzucił się ku stajniom, ale zamiast konia dla króla, rozkazał wyprowadzić wierzchowych, ile ich było, gdyż samego puścić go nie chciał.

August, gdy się prowadzony siwy jego wierzchowiec pokazał, jak stał, nic nie biorąc na głowę, szablę tylko konwulsyjnie, bezwiednie przypasawszy, wybiegł, rozpychając tych, co mu na drodze stali —

wprost do konia. Kilku sasów, kilku z polskiej młodzieży skoczyło na podane wierzchowce, aby mu towarzyszyć.

Sądzono, iż król popędzi do Warszawy — tymczasem zdaje się, nie patrząc kierunku, wbił ostrogi koniowi i puścił się cwałem na oślep.

W pałacyku wszyscy pozostali w oczekiwaniu i trwodze, jak osłupieli, milczący - czekali, a kobiety wyniosły omdlałą księżnę.

Król i towarzyszący mu znikli z oczów wśród drzew otaczających.

Poczęło się coś niepojętego, niezrozumiałego dla tych, którzy za królem gonili. Krew koniowi ciekła pod wbitemi w brzuch ostrogami. Koń i jeździec oba wściekli, walczyli z sobą. W szalonym pędzie siwy przeskakiwał kłody, płoty, rowy, a król smagał, kolanami dusił, ostrogami krajał mu boki. Całą swą wściekłość wywarł na nim. Oszalały był. Goniący spoglądali z nieopisaną trwogą, zdawało im się, że co chwila on i koń padną oba, lecz koń godzien jeźdźca. I on się wściekał i szalał.

Z lasu wyjechawszy w pole, August pędził jeszcze staj kilka, ale już ów siwy, którego tak dusił kolanami, że tchu mu w końcu zabrakło, słaniać się począł.

Padł nareszcie. Jeźdźcy, pozostali zdaleka, nie mieli czasu jeszcze dopędzić króla, gdy ten stał drżący, zeskoczywszy z siodła.

Siwy podniósł ku niemu głowę, okrytą pianą ze krwią zmieszaną. Naówczas błysnęła szabla z pochew dobyta i jednym zamachem August uciął łeb ulubionemu wierzchowcowi.

Było w tem coś tak dziwnie szalonego, iż zadrżeli wszyscy, bo pomyśleli, że tak samo w tej chwili człowieka by zamordował, jak konia.

Widok tego strumienia krwi, którą go obryzgał od stóp do głów, uśmierzył nagle szał. August padł na ziemię, precz odrzucając szablę skrwawioną.

Wtem przybiegli, otaczając go, niemcy i polacy.

Zdumienie było niezmierne. August się zdawał ostygły i zębami tylko zgrzytał tak, że przytomnych dreszcze przeszły.

Nikt się odzywać nie śmiał długo. Król dyszał jeszcze, cały umazany krwią. Oczy jego błądziły dokoła, nic nie widząc. Pflug zaczął mówić do niego, lecz nie zdawał się ani słyszeć, ni rozumieć. Nie wiedziano, co począć.

Wszyscy stali, okoliwszy siedzącego na ziemi, wśród kałuży krwi, która z konia zabitego płynęła.

Tak upłynęła chwila, jak wiek wydająca się długą. August obejrzał się, przychodząc do przytomności, wzdrygnął się, otrząsł i usiłował powstać.

Naówczas Pflug z jednej strony, Jabłonowski z drugiej rękę mu podawali. Dźwignął się na nogi. Podprowadzono silnego konia, ale niemcy nastawali, aby go masztalerz prowadził w ręku. Dobrano najsilniejszego hajduka. Król ani się sprzeciwiał, ani się zdawał wiedzieć, co się z nim działo.

Po szalonym tym biegu pochód z powrotem szedł noga za nogą. August nawet wodzów nie brał w ręce. Koń, którego konwulsyjnie czasem ściskał kolanami, stawał i dyszał. Następowała folga i stąpał dalej.

Tak doszli do lasku i naostatek już o zmroku, do pałacyku na Bielanach.

Tu, co było gości, pomnożonych świeżo przybyłemi z Warszawy, wszyscy stali w podwórzu, w trwożnem oczekiwaniu powrotu, a widok króla powitano z radością. Krew tylko, którą był zbroczony, z początku wznieciła przestrach, ale służba ją wytłumaczyła.

Król dał się tak poprowadzić do ganku, skoczył z siodła i z Constantinim i z Hoffmanem wszedł do swej sypialni.

W pokojach czekali wszyscy.

Księżna Cieszyńska przez cały ten czas trzeźwiona, płakała, omdlewała, rzucała się bezprzytomna,

aż król powrócił. Chciała natychmiast biedz do niego, lecz Constantini nie dopuścił.

Gdy się to stało, siedzącemu na łóżku Augustowi Pflug czytał listy i raporty Fleminga, a zgrzytanie zębami towarzyszyło cichemu szeptowi jego.

Król nie przerwał czytania ani słowem. Skończone już było i niemiec miał rozpocząć kondolencye i pociechy, gdy zmarszczony pan nakazał mu milczenie. U wezgłowia stał doktór.

Wtem obejrzawszy się dokoła, głosem stłumionym August zażądał wina.

Doktór chciał się sprzeciwić, ale groźny wzrok króla nie dozwolił mu ust otworzyć.

— Wina!—powtórzył po raz drugi.

Constantini, który skinienie jego każde rozumiał, rozbierać go i odziewać począł. Zwolna wszystko się w nim uśmierzało i uspokajało. Dwa ogromne kielichy wychylił jeden po drugim... i zaczął bezcześcić Fleminga.

Nikt nie śmiał przerywać. Ożywiał się coraz mocniej. Przeciągnęło się tak do wieczerzy.

Księżna stała niemal ciągle u drzwi, ale służba jej nie wpuszczała. Uspokojono ją tylko, iż król zupełnie przychodzi do siebie i wkrótce całkiem będzie uśmierzony.

Stół czekał do wieczerzy nakryty. Constantini coś szeptał. Zwolna podniósł się August i skierował wprost do jadalni. Tu zajął zwykłe swe miejsce. Podczaszy na skinienie nalał mu wina. Polacy, jeszcze nieoprzytomnieni po tem, co widzieli, z podziwieniem spostrzegli, że król jeść począł. Ze wściekłości całej pozostało mu na wargach szyderstwo.

Spodziewano się, że mówić będzie o tem, co go do takiej doprowadziło rozpaczy, tymczasem August począł o rzeczach całkiem obojętnych. Spytał jednego z polaków, czy widział, jak łeb koniowi ucinał, a po odpowiedzi potakującej, rzekł.

— Drugi raz w życiu.

Zamilkł potem i cicho szepnął imię wierzchowca, który mu był ulubiony.

Dobierał tak do rozmowy treści, aby z tem, co zaszło, najmniejszego nie miało związku. Było w tem coś tak niepojętego dla tych, co go po raz pierwszy widzieli w tym stanie, że nie śmiejąc ust otworzyć, spoglądali tylko po sobie. Stopniami pod wpływem wina i jakiegoś rozmysłu a walki z sobą, twarz się zaczynała rozjaśniać. Pflug coś mu szepnął.

Wstał od stołu, nie żegnając współbiesiadników i z kielichem w ręku wyszedł krokiem powolnym. Zaledwie drzwi się za nim zamknęły, gdy przypadająca z płaczem księżna zawisła mu na szyi.

— Panie mój! Królu mój! tyś mi niemal śmierć zadał!

August spojrzał na nią i ścisnął jej rękę.

— Idź spocząć — rzekł dziwnym głosem, — idź spocząć. Wszystko przeszło... ja potrzebuję się orzeźwić...

To mówiąc, pocałował ją w czoło i nie słuchając błagającej, powrócił do gości...

Codzienna pijatyka rozpoczęła się naówczas z tą tylko różnicą, że król pił daleko więcej, a pozostał zupełnie trzeźwym i że zamiast być uprzejmym i grzecznym, był nielitościwie szczerym i złośliwym.

O pierwszej tej porażce pod Rygą, która była zwiastunką całego szeregu klęsk dla króla i dla Rzeczypospolitej, mimo woli swej w wojnę za Szwedem wciągniętej, ani słowa, ani najmniejszej alluzyi nie było.

Dobrze z północy, gdy wszyscy towarzysze zmuszeni przez niego do picia, siedzieli już nieprzytomni, a niektórzy z nich obezwładnieni leżeli na stołach, Constantini z pomocą służby poprowadził króla nagle upojonego do łóżka [1]).

---

[1]) Scenę tę historyczną opisał w pamiętnikach swych Lamberty. *(P. A.)*.

Nazajutrz księżna Cieszyńska z obawą wielką oczekiwała na króla, lecz noc i biesiada zdawały się dzielić od siebie dwa momenta, które z sobą żadnego nie miały związku.

Po szale, uśmierzonym krwią, nastąpił dalszy ciąg życia powszedniego. Swoim zwyczajem August znowu zdał wszystko na usługi pomocników, a sam szukał rozrywki. Zdaniem jego nieszczęściu byli winni ludzie, on sam nie miał sobie nic a nic do wyrzucenia. Tak samo Fleming składał winę na swych podwładnych, a król, który miał w nim zaufanie i nałogowo się do niego przywiązał, brał jego stronę.

Saski ów oddział wojsk, który w obozie znienacka zaskoczył Karol XII, niemal cały został zniszczony, a co gorsza osiemdziesiąt kosztownych dział, których część była zapożyczona od Brandeburczyka, wpadła w ręce szwedom. Zapasy kul, prochu, amunicyi, drogo opłaconych, dostały się zwycięzcom.

Brandeburski sprzymierzeniec, który obiecywał posiłki, od tej chwili cofnął się i ani poruszył, zostawiając cara Piotra i Augusta samych z duńczykiem w tej matni.

W Polsce wieść o klęsce pod Rygą wywarła wrażenie straszliwe. W świeżej tu jeszcze pamięci były szwedzkie wojny za Jana Kazimierza; Karol XII wstępował jako godny następca swego poprzednika. Wzburzenie umysłów w całej Rzeczypospolitej powstało wielkie i brzemieniem padło na Augusta.

Skryci jego nieprzyjaciele już je wyzyskiwali...

Nazajutrz księżna Cieszyńska długo napróżno oczekiwała na króla. Ukazał się na chwilę w progu i zimno, chociaż z nadskakującą grzecznością prosił ją, aby powróciła do Warszawy, sam się tam obiecując.

Nie śmiała mu się sprzeciwiać, ale tego dnia w szklanem wejrzeniu, rzuconem na siebie, wyczytała jakby wyrok.

Potrzeba było znękanemu gwałtowniejszych wra-

żeń nad te, jakie po kilku latach pożycia księżna z sobą przynieść mu mogła. Rozumiał to najlepiej Constantini.

Witke i on siedzieli razem tego wieczora.

— Wszystko to się odmieni — mówił włoch. — Myśmy jeszcze dosyć mocni, aby Fleminga ospałość naprawić i odwetem się pomścić na Szwedzie, ale królowi trzeba silniejszej rozrywki, nowego czegoś, nie księżny tej, która mu się uprzykrzyła.

Witke się oburzył.

— Co bo mówicie — zawołał — przecież teraz ona, dawszy mu syna, jest pewnie droższą królowi, niż była.

Włoch się śmiać począł.

— To ty go znasz dobrze—począł szydersko.— A cóż pomógł Maurycy Königsmarce? Właśnie teraz już on ma i Cieszyńskiej dosyć. Czegoż ona może więcej żądać? Ma księztwo Cieszyńskie, któremu równego żadna nie dostała, a oprócz niego Hoyerswerdę i tyle dóbr na Łużycach! Jest z czego w Dreznie na królewskiej żyć stopie!

— Bo też ona do niej nawykła — odezwał się Witke.

— Wątpię, aby król jej to kiedy odebrał—dodał Constantini, — ale więcej żądać chyba nie może.

— Jakto, odebrał!—krzyknął kupiec—alboż to możliwa rzecz...

A Constantini się wziął w boki i postąpiwszy do Witkego, w głowę go pocałował.

— Kto daje, ten ma, spodziewam się, prawo, odebrać... Ja za nic nie ręczę! A ty, przyjacielu pięknej Urszuli, patrzaj lepiej i myśl, czy mu innego dziewczęcia pięknego gdzie nie znajdziesz... Gdybyś nastręczył, podzieliłbym się z tobą nagrodą...

Witke aż się cofnął.

— Jam do tego się nie zdał — rzekł. — Nawet gdyby mi sam pan rozkazywał, do sprzedawania ludzi nie mam ani talentu, ani ochoty.

— Cóż ty myślisz! — przerwał, marszcząc się,

Constantini—służba nasza nie zna granic... Gdy potrzeba zabić, musimy zbirów nasadzić, gdy się zachce świeżego kąska, nasz obowiązek go dostarczyć. Inaczej co z ciebie za sługa?

Witke nie odpowiedział nic, cofnął się nieco ku drzwiom. Constantini całkiem był tylko tą myślą zaprzątnięty, że Augustowi gwałtownego trzeba było roztargnienia, a tego nikt mu dać nie mógł, prócz kobiety.

— Widzisz—rzekł do Witkego,—kiedy po kościach kogo łamie, doktór przystawia plaster z much hiszpańskich, aż narwą. Dziewczyna mu będzie tym plastrem; nic innego nie pomoże, nawet zwycięztwo nad tym Szwedem przeklętym!

W kilka dni potem król się już zabawiał w Warszawie, gdy wcale niespodziewanie oznajmiono mu tu przybycie Aurory z kondolencyą.

Königsmark woziła z sobą prawie zawsze Spieglowę, oprócz więc księżnej Cieszyńskiej, dwie pocieszycielki stawiły się z kondolencyami.

August je prawie wszystkie zawsze przyjmował z wielką galanteryą, grzecznością, zalotnością niemal, obdarzał czasem, zapraszał na wieczerze, odwiedzał, ale żadna z tych Aryadn opuszczonych raz, na nowo sobie serca, a raczej zmysłów zdobyć nie mogła. Nowość, nawet najmniej ponętna, więcej go ku sobie pociągała.

Przyjął jednak przybywającą Aurorę bardzo wdzięcznie, pojechał do niej i przesiedział dosyć długo. Königsmark próbowała go pocieszać; za pierwszym jednak słowem brwi mu się ściągnęły i porywczo zwrócił rozmowę na inny przedmiot.

Był to jego zwykły sposób unikania wrażeń bolesnych. Zamiast szukać przeciwko nim ratunku, August je ignorował. Jak ów struś, chowający głowę przed nadchodzącem niebezpieczeństwem, ani myśleć o niem, ani mówić nie chciał. Opatrzność i ludzie mieli obowiązek uwalniać go od wszelkich napaści losu.

Zamiast mówić o Szwedzie i o wojnie z nim z Aurorą, w początku zabawiał ją rozpowiadaniem o paniach polskich, o strojach i obyczajach wiejskich, o plotkach z warszawskiego bruku, a właściwie błota, bo znaczniejsza część miasta nie była brukowana.

Dopiero po dość długiej zabawie z piękną zawsze szwedką, wstając z siedzenia odezwał się żartobliwie.

— Któż wie? Bardzo mi się jeszcze możecie przydać? Karolek jest waszym królem, wy szwedką! Młodziuchny jest, a wy macie potęgę wdzięków i rozum. Kto wie?—powtórzył—możecie być pośredniczką pomiędzy waszym królem—a przyjacielem.

Aurora ścisnęła rączki.

— Jam życie dla was i za was dać gotowa — odezwała się—rozkazujcie!

— O! dziś jeszcze niema nic do zrobienia dla was — rzekł król — wolałbym go pobić i upokorzyć, niż się z nim układać, ale...

Nie kończąc, ścisnął ramionami.

Aurora, której ta wzmianka o pośrednictwie do Karola XII była nadzwyczaj pożądaną i obiecującą na przyszłość, rozstała się z Augustem pełna nadziei i marzeń. Zdawało się jej może, iż odzyska u niego dawne zachowanie i łaskę.

Rozeszła się natychmiast wiadomość o tem po mieście, a Witke, który potajemnie służył księżnie Cieszyńskiej, przybiegł dowiedzieć się, czy już o swej współzawodniczce była uwiadomioną. Wyszła do niego, piękna Urszula, trochę smutna, ale więcej jeszcze znudzona.

— Wiem, że Königsmark przyjechała — odezwała się—ale ja się jej nie boję! Ani ona, ani żadna nie odzyszcze go raz utraciwszy, chyba na jaką godzinę, gdy będzie bardzo znużony.

Poruszyła białemi ramionami.

— Nowych się lękam więcej — dodała — a im królowi w Polsce i Inflantach gorzej się powodzi,

tem więcej się obawiam, aby dystrakcyj gwałtownych nie szukał.

Spojrzała na Witkego pytająco.

— A! nowego niema nic—odparł kupiec—król więcej zajęty polityką, niż miłostkami.

— Wy go nie znacie — wtrąciła Urszula.—Im gorzej mu się wiedzie, tem gwałtowniej zapragnie rozrywki. Radabym by jej nie szukał gdzieindziej, tylko wśród francuskich aktorek.

Z tych, którzy na króla codzień mogli patrzeć i do jego towarzystwa dopuszczani byli, z wyjątkiem najpoufalszych, mało kto mógł go zrozumieć. Wśród najgroźniejszych niebezpieczeństw, najstraszniejszych zawikłań i zaburzeń w kraju, gdy sądzić było można, iż całą duszą i całą siłą odda się ratowaniu siebie i kraju, August zabawiał się, okazywał dumnie obojętnym na klęski, lekceważąco traktował najważniejsze sprawy. Ztąd niektórzy go mieli za wielkiego polityka, gdy najpospolitszy egoizm, nie rachujący się z jutrem, władał nim i był pobudką czynności. Zdawał się na swych posługaczów, w Polsce na Przebędowskiego, w Saksonii na Fürstenberga i Fleminga. Zresztą, czyż los sam nie powinien był, zawiódłszy go chwilowo, natychmiast dźwignąć go z tej matni?

Jak owi Cezarowie starego Rzymu, jak prototyp Ludwika XIV, August się miał za istotę wyjątkową, której wszystko było wolno, którą bogowie i fata musiały bronić.

W walce z Karolem XII, im się ona dalej i nieszczęśliwiej ciągnęła, tem obojętniej patrzył na nią, pewnym będąc, że odzyszcze, co utracił. Jak? o to się los powinien troskać. W najnieszczęśliwszych godzinach zdawał się tylko chcieć dowieść, że nieszczęście dotknąć go nie mogło.

Daleko silniej odczuwali to ludzie, otaczający króla, bo upadek jego, był ich ruiną.

Lubomirska, dotąd będąca w łaskach, ze wszystkich ulubienic najszczodrzej obdarzona, bo też naj-

więcej poświęciła, choć nie kochała króla, zalewała się łzami, przewidując i trwożąc się, że zostanie tak zaniedbaną, jak Aurora.

Wrócić do polskiego towarzystwa, do stosunków familijnych, oprócz jednych Towiańskich i Prymasa, nie miała widoku, ani nadziei. Lubomirscy, spokrewnieni nawet z nią samą, ze starej szlachty polskiej, której cześć była nad wszystko droższą, nie dopuszczali jej na oczy.

Ofiarowała się im pomagać, wyrabiać u Augusta urzędy i starostwa, wzdragali się od niej cośkolwiekbądź przyjąć.

Między innemi, pan starosta Górski, który przez żonę był z nią skoligacony, na wspomnienie pięknej Urszuli uszy sobie zatykał i drzwi wskazywał tym, co mu się o niej mówić ważyli.

— Jabym miał panią duszkę królewską do mojego wprowadzić domu? i córki moje musiałyby się jej kłaniać?—wołał—żona ją szanować! a ja całować w ręce. Nigdy w świecie!

Wszelkie insynuacye, prośby, upokorzenia nie pomagały. Górski pierwszy rzucił na nią anathema; nikt nie śmiał głosu podnieść w obronie.

— Króla z jego rozpustą wszeteczną znoszę— wołał starosta — bo muszę, a Rzeczpospolita szanować mi go nakazuje. Bóg, nie ja, będzie go sądził; ale na tem dosyć, nie może mnie nic zmusić kłaniać się Urjaszowej.

Przekonawszy się, że w Polsce ani klejnotami, ani swym tytułem księżnej, ani wystawnością życia, nie potrafi sobie bezkarności uzyskać, — Lubomirska w przewidywania upadku, którego była pewną, niestety, oglądała się już za tym, coby jej mógł Augusta zastąpić.

Łatwo go było znaleźć na saskim dworze, ale i tu, począwszy od kanclerza, miała wielu zajadłych nieprzyjaciół. Na przemiany więc próby zbliżenia się, to do rodziny własnej, to do obcych, nieustannie po sobie następowały.

August jednak dotąd był przynajmniej napozór wiernym jej. Z wielu względów piękna Urszula odpowiadała najlepiej jego wymaganiom. Była piękną, dowcipną, łagodną, nie dokuczającą scenami zazdrości, czyniła mu honor swym dworem, życiem wystawnem i stanowiskiem, na jakiem się umiała utrzymać. Naostatek ona mu pilnowała Prymasa, który na pozór się oddawszy, pokątnie działał przeciwko niemu. Żadna też inna nie uczyniła na nim w tych czasach większego wrażenia.

I to jej nawet za dobre miał, że się dla jego spokoju godziła z Aurorą, nie brała za złe spędzanych u niej wieczorów, a gdy powracał, uśmiechała mu się zalotnie.

Nie odgadywał, co w duszy jej się działo i jak się dręczyła, przewidując przyszłość. Los pomścił na niej męża, ale znosiła męczarnię swą, nie okazując tego przed nikim, nie skarżąc się, uśmiechając, strojąc coraz wykwintniej, zaćmiewając blaskiem wszystkie panie, występując jak królowa.

A ponieważ w Polsce królowa protestantka nigdy się nie pokazywała i tytułu sobie należnego nie nosiła, Lubomirska tu ją zastępowała.

W ciągu tych zawikłań, jakie wojna o Inflanty, potem walka w Polsce i braterska waśń na Litwie Ogińskich ze Sapiehami sprowadziła, król przenosił się ciągle z miejsca na miejsce, zwoływał zjazdy, narady, sejmy, łączył się z wojskiem, nawiedzał Kraków, Warszawę, wyrywał się bez zezwolenia do Drezna, do Lipska... a niezmordowana księżna Cieszyńska goniła za nim, towarzyszyła mu, nie dając się porozumieć.

Zjawiła się w stolicy Saksonii, jednając tu sobie sprzymierzeńców, a nieprzyjaciół kanclerzowi Beichlingowi, który przeciwko niej intrygował; biegła potem do Warszawy, do Łowicza, do obozu, za którym zawsze niezliczona moc pań i różnej kondycyi kobiet ciągnęła, ażeby król zapomnieć o niej nie mógł.

Witke tymczasem podsłuchiwał, donosił jej dawał rady. Ale i on sam ich potrzebował; skrępowany, wypotrzebowany przez drugich, straciwszy swobodę, cierpiał i na majątku, i na handlu swym i na swobodzie.

Król zażywał go do posług najdrażliwszych i płacił obietnicami. Constantini strachem i groźbą go trzymał. Niepozbyta namiętność do Henryetki nie dawała mu się oddalić, a tymczasem biedna staruszka matka zamęczała się pracą i posyłała do niego błagając, aby powracał.

Witke czasem poruszony zrywał się już jechać, postanawiał zwyciężyć słabość, uciec i wrócić do ojcowskiego trybu życia. Najczęściej gdy to dobre postanowienie miał przyprowadzić do skutku, powoływał go Mazotin, król dawał polecenie, księżna Cieszyńska zapotrzebowała i Witke pozostawał na miejscu.

Z dnia na dzień odkładał tak poprawę, do której brakło mu siły. Nie zyskał nic, czuł swoje upokorzenie i upadek, a o własnej sile nie mógł wydobyć się z tej grzęzawicy.

Śmiało powiedzieć można, że wszyscy, co otaczali Augusta II, co mu służyli, co w jakimkolwiek z nim byli związku, padali jego ofiarą, bo wszystkich bezlitośnie sobie poświęcał. Tak samo jak z pięknemi paniami, które wyborem zaszczycał, a wprędce ostygły porzucał najobojętniej, obchodził się z faworytami, z narzędziami swej polityki, intryg i wodzami wojsk swoich. Serce się w nim nigdy nie odezwało.

Z najzimniejszą krwią skazywał ofiary swe, gdy mu tego było potrzeba, sam nigdy najmniejszej chwili nie poświęcając dla nich. Wyszukana galanterya i grzeczność służyły mu tylko na zamaskowanie egoizmu i na zasłonięcie od scen przykrych i wymówek.

Lubomirska nauczyła się przykładem Aurory i innych swych poprzedniczek, że chcąc sobie zapewnić względy króla, potrzeba mu było wszystko przeba-

czać aż do zdrady jawnej i ubóstwiać go, choćby najboleśniej się znęcał. Wiedziała, że godziny jej były obrachowane, a pocieszała się tem, że jak Aurora dla szwedów, tak ona dla Prymasa potrzebną być jeszcze mogła.

Sprawa króla w Polsce szła coraz gorzej. Najstraszniejszy zamęt panował w kraju, który się burzył, wciągnięty w wojnę, choć się od niej bronił... i wołał już o to, aby sam mógł ze Szwedem wejść w układy, aby od większych jeszcze klęsk się ubezpieczyć.

Witke, który pochlebiał sobie, wciskając się w tę niefortunnę służbę, że August spokojnie i swobodnie nad Polską panować będzie, teraz dopiero, spostrzegał błąd popełniony.

Warszawa i Kraków zagrożone być mogły przez Szweda, który niczyjej nie szanował własności, o handlu myśleć nie było można. Wycofać się do spokojnego Drezna, wrócić do dawnego bytu, nie dozwalały pozawiązywane stosunki...

Zacharyasz byłby może w ostatku pozrywał wszystkie, gdyby nie piękna Henryetka... Rosła ona i dojrzewała w oczach, przedwcześnie; Witke się przywiązał do niej, a choć głosiła się jego przyjaciółką, widział z boleścią, że równie zalotną była dla wszystkich gości uczęszczających do Renardów.

Nieopatrzni rodzice przedewszystkiem, chcąc do winiarni swej ściągnąć gości; nietylko jej nie wzbraniali wychodzić do nich, zabawiać się z nimi, dozwalać sobie prawić komplimenta, ale sami do tego pobudzali... Pustemu dziewczęciu smakowało to życie wśród kadzideł, pochlebstw i tłumu wielbicieli.

Szczególniej oficerowie sascy z gwardyi króla, ilekroć się znajdowali w Warszawie, tłumnie biegli i po całych dniach przesiadywali u pięknej francuzki. Wieczorem śpiewała im piosenki, niekiedy sprowadzano muzykę... Henryetka popisywała się tańcami... Młodzież szalała za nią... a biedny Witke usychał i żółkł z zazdrości...

Gdy rodzicom szepnął czasem na jakie niebezpieczeństwo narażali córkę, sama Renardowa uśmiechała się obojętnie...

— Mamy na nią oko—uspakajała go—wszystko się dzieje jawnie, przy nas... a nie możemy rozpędzać gości, ani jej oddać do klasztoru, bo jutroby sklep zamknąć było potrzeba...

Henryetka z Witkem mówiąc, wyśmiewała się ze wszystkich oficerów, którzy jej nadskakiwali, przypinała wszystkim łatki, ale któż mógł zaręczyć za to, że z nimi nie szydziła po cichu z niego?

IV.

W Wielkich Górach, rezydencyi pana starosty Górskiego, zjechała się gromadnie dla narady wielkopolska szlachta, zagrożona wojną od Szweda. Tu naprzód obudziło się uczucie oburzenia przeciwko Augustowi za podstępne wciągnięcie Rzeczypospolitej w walkę ze Szwecyą, gdy wszyscy się przeciwko niej oświadczyli, nikt jej nie chciał, a Karol XII też głosił od początku, iż z Rzeczpospolitą chce pozostać w zgodzie i pokoju...

Z całą swą przebiegłością August, nie mogąc sobie wyrobić licznego i silnego stronnictwa, rzucał się na wszystkie strony, chwytał najdzikszych pomysłów, zmieniał postępowanie z dnia na dzień. Ale też w Polsce przyjaciół wcale mu nie przybywało, a codzień odpadał ktoś z pozyskanych.

Gdy do króla przyszła wieść, że się wielkopolanie naradzali i zamyślali o jakiejś konferencyi czy rokoszu, August nie miał nawet kogo posłać tam na zwiady... Starosta Górski był tam powagą charakteru osobistością znaczącą i znaczną.

Lubomirska po kilkakroć to Augustowi powtarzała, że była z nim w powinowactwie. Król, który

się posługiwał i kobietami chętnie, a wierzył w ich umiejętność pozyskiwania ludzi, zagadnął piękną Urszulę, czyby rodziny dalszej w W. Polsce odwiedzić sobie nie życzyła...

Zawahała się nieco piękna pani, ale widząc, że Königmsmarck wybiera się parlamentować do szwedów, nie chciała jej dać się wyprzedzić i oświadczyła z gotowością do podróży.

Znała nadto dobrze Górskiego, aby mogła coś obiecywać, ale próbować przynajmniej musiała... Złożyło się tak, że wspaniałe kolebki i liczny bardzo dwór księżnej Cieszyńskiej ukazały się w Wielkich Górach, właśnie dnia tego, gdy tam się największy zjazd gotował. Dla starosty i dla księżnej nieszczęśliwiej złożyć się nie mogło.

Górski ani się uniżać przed królewską kochanką nie myślał, ani kłamać przed nią, postanowił nawet nie dozwolić wyjść do niej żonie i odprawił ją niemal od progu...

Piękna Urszula spodziewała się być przyjęta zimno, ale nie odepchniętą!

Blady jak ściana, drżący, z brwiami ściągniętemi, w opróżnionej sali oczekiwał na nią pan starosta z mocnem postanowieniem nie dać się ubłagać. Księżna już tem była zmięszana, że pomimo ogromnego tłumu gości, który był widoczny, nikt jej przyjmować, ani witać nie myślał. Obdarzona siłą nerwów, jaką tylko kobiety mają, szła, dodając sobie odwagi.

Służba otworzyła jej drzwi do sali, w pośrodku której sam jeden, wyprostowany, z obliczem surowego sędziego czekał na nią Górski.

Żwawo, wesoło, rzuciła się ku niemu.

Górski, posłyszawszy tytuł pokrewieństwa, natychmiast jej przerwał.

— Mościa księżno—rzekł—sądzę, żeś W. Pani nowy tytuł przyjmując, wszystkich się dawnych wyrzekła stosunków. Pomiędzy nami nie istnieje już żadne powinowactwo...

Piękna Urszula zaniemiała...

— Przecież mi pan starosta nie możesz odmówić... chociażby przyjacielskich stosunków... Nie zawiniłam nic, czembym na to zasłużyć mogła...

— Jak to? — podchwycił surowo Górski. — Księżna więc nie czujesz, żeś nam wszystkim tym swoim upadkiem uczyniła srom. Nietylko rodzinie, ale całemu szlacheckiemu plemieniowi naszemu... Postawiłaś siebie i nas na równej stopie z francuzkiemi, włoskiemi i niemieckiemi tancerkami i śpiewaczkami. Możesz sobie być księżną Cieszyńską, ale żadna szlachcianka polska nie poda ci ręki... Dla tego ani żona moja, ani córki nie wyjdą do niej.

Wyrazy te wyrzekł starosta z okrucieństwem niemal i księżna z początku zdawała się przybitą niemi, na pół żywą, ale gniew ją ogarnął i rozbudził do życia... Obejrzała się pogardliwie po próżnej sali.

— Taka więc dziś gościnność w Polsce—odezwała się z goryczą, po krótkim namyśle,—że się dla jakichś politycznych względów kobiecie odmawia... przyjęcia...

— Księżna się mylisz!—rzekł starosta—nie o politykę tu idzie. Bóg z nią! Chodzi o pogwałcone prawa kościelne i urąganie się z moralności.

— Wypowiadacie już posłuszeństwo królowi—ciągnęła dalej ks. Cieszyńska, nie zważając na to, co mówi Górski—chcecie zawiązać rokosz...

— O tem ja z kobietami mówić nie mam zwyczaju—odezwał się starosta—i odpowiadać nie będę.

Usiłując przedłużyć choć cokolwiek pobyt swój w nadziei, że sromotnie wobec mnóstwa zgromadzonych nie będzie odprawioną, księżna się obejrzała, szukając krzesła.

— Dajcież mi choć odetchnąć!—odparła dumnie, rzucając się w krzesło.

Gniew i wzruszenie łzy jej wycisnęły, ale na rozpalonych powiekach zaledwie się ukazały, nikły, zostawując po sobie tylko plamy, jak od oparzenia...

Górski stał, nic nie odpowiadając... W sąsiednich pokojach gromadnie zebrana szlachta, głośno mruczała i pokrzykiwała.

Pusta salka ta, obok ludzi, którzy z posłannicą króla nie chcieli ani przełamać chleba, ani jej cierpieć przy sobie, gospodarz stojący i oczekujący pozbycia się natrętnego gościa—kobiety, dumne i pomarszczone oblicze starosty, boleśnie zmieniona, pokrzywiona twarzyczka kobiety, były obrazkiem... mogącym poruszyć serce litościwe... Starosta miał ją, ale z zasadami nie wchodził nigdy w układy i ustępstwa im nie był zwykł czynić. Niemal grubijańsko wypowiedziawszy prawdę ks. Cieszyńskiej, stał już, czekając tylko, by go od swej przytomności uwolniła.

Piękna Urszula nie chciała, nie mogła sobie jeszcze powiedzieć tego, że podróż miała się skończyć takim sromotnym zawodem...

Cały tłum zebranej tu szlachty widział ją przybywającą i miał patrzeć na daną jej z okrucieństwem nielitościwem odprawę, własny jej dwór mógł się swej pani urągać. Upokorzenie było straszliwe.

— W. Pan nie masz litości, panie starosto — odezwała się po chwili długiej namysłu...—Narażasz mnie na srom... a siebie na zemstę króla, który przebaczyć nie może wyrządzonej mu krzywdy... Nie możesz przecie być surowszym od Prymasa, który mnie przyjmuje w Łowiczu i od rodziny, która mnie odwiedza.

— Każdy postępuje podług swojego przekonania i sumienia — odparł Górski bardzo spokojnie. — Ja nie mam litości nad wami, boście wy jej nad sobą, nad rodziną, nad poczciwem imieniem, nie mieli. Zerwaliście z nami, żyjcież z temi, którzy wam milsi byli, niż cnota...

Urszula oczy sobie zasłoniła.

Starosta, wychodząc do niej, stanowczy wydał rozkaz żonie, aby się ukazywać nie ważyła; pani Górska nie śmiałaby pewnie lekceważyć małżonka woli, ale z za drzwi, pod któremi stała niespokojna, pod-

słuchując, zdawało się jej, że usłyszała łkanie, miękkie serce niewieście ją uniosło, uchyliła nieco drzwi... Surowy wzrok małżonka zmusił ją natychmiast do cofnięcia się...

Chwilę jeszcze trwało oczekiwanie... księżna pochlebiała sobie, że go zmiękczy, starosta, że się jej pozbędzie; wtem w podwórzu dały się słyszeć krzyki: Vivat! vivat! Wszczął się hałas wielki i podniesione głosy wyrywały się ponad tę wrzawę. Górski domyślił się przybycia jakiegoś znakomitego gościa i nawet nie skinąwszy głową księżnie, wyszedł z salki, pozostawiając ją samą.

Od tej pamiętnej chwili, gdy piękna Urszula na widok króla, upadającego z konia, omdlała i oddała mu się cała, nie jednem upokorzeniem musiała przypłacić swą miłość... ale nigdy tak dotkliwa kara, tak niemiłosierne nie spotkało jej potępienie... Cała moc charakteru nie zdołała przezwyciężyć doznanego wrażenia... Zawróciło się jej w głowie i z lekkim okrzykiem, omdlała...

Starościna, która przeze drzwi przypatrywała się jej z politowaniem, wbiegła na ratunek... Kilka kropel wody, trochę trzeźwiącego octu starczyło, by ją ocucić... i jakby omdlenie nową jej siłę dodało... ks. Cieszyńska zerwała się dumna gotowa do wyjazdu.

Zawołano własną jej służbę, a że wyjście do ganku i w podwórze, pełne szlachty zalegającej dwór cały, było nad siły, starościna wskazała jej drogę przez ogród, do którego furtki powozom księżnej podejść kazano.

Z jakiemi uczuciami, na wpół obłąkana gniewem i pragnieniem zemsty, rzuciła się do powozu i rozkazała w pierwszem miasteczku stanąć na spoczynek, domyśleć się łatwo.

Ten, którego z takiemi okrzykami witała szlachta w Wielkich Górach, dla obcego wydałby się był postacią wielce zagadkową, ze względu na sam wiek swój, gdyż nie zdawał się mieć więcej nad lat dwadzieścia parę, a czerstwe zdrowie i czynne życie dozwo-

liło mu zachować całą świetność pierwszej młodości. Okryci siwizną, chlubnemi bliznami w wojnach starcy bezsilni, cały ten tłum rycerzy, szlachty witał przybywającego konno z małym i skromnym pocztem gościa, jakby bohatera, chociaż lata nie dozwalały przypuszczać, aby mógł sobie zdobyć zasługi...

Wejrzenia zgromadzonych zwracały się ku niemu z poszanowaniem i miłością, jakby ku człowiekowi, przeznaczonemu do ratowania w tych ciężkich czasach zagrożonej ojczyzny. Zdawali się go znać wszyscy wielkopolanie, bo po drodze wyciągali ku niemu ręce, podnosili czapki, mrugali oczyma, schylali się w pokłonach i z taką serdecznością gonili wzrokiem za nim, jakby w nim zbawcę widzieli.

Młodzieńczy ten gość, piękny, szlachetnego oblicza pełnego spokoju i łagodności, choć się w nim domyślać było można potomka jednej ze znaczniejszych rodzin wielkopolskich, przybywał małym pocztem, bez żadnego zbytku i wystawności przyodzianym i zbrojnym. On sam, ani koń, na którym wjeżdżał, nie odznaczał się błyskotkami, z jakiemi naówczas lubiono się popisywać przy każdem wystąpieniu... Postać była rycerska i pańska, ale wyraz twarzy, wejrzenie, wszystko w nim raczej zwiastowało statystę, niż żołnierza...

Senatorskie dziecię łatwo w nim poznać było... Szlachta, która w młodzieży i dzieciach magnatów, niechętnie szanuje pamięć i zasługi ojców, a im więcej może, tem więcej zwykła przypominać, że szlachcic na zagrodzie, równy wojewodzie,—temu paniczowi wcale za złe nie miała, że się wydawał tak arystokratycznie, jakby na wodza był zrodzonym.

Bez zawiści, z weselem w oczach witano go po drodze coraz żywszemi wiwatami. Stary Górski, który nie rad się komu kłaniał, z otwartemi rękami, z odkrytą głową, wychodził przeciwko niemu.

Ci, którzy już wprzódy przybywszy, zasiadali w jadalnej sali około stołu, aby się pokrzepić zasta-

wionem śniadaniem, wszyscy się porwali od mis i talerzy, wybiegając na spotkanie.

Uśmiechały się wąsate oblicza wielkopolanów, których buta była znana. Był to ulubieniec wszystkich, nadzieja Rzeczypospolitej, syn wojewody poznańskiego i generała wielkopolskiego, sam już po zgonie jego, mimo lat młodych, mianowany poznańskim wojewodą, Stanisław Leszczyński...

Po matce płynęła w nim krew Jabłonowskich, bo córka hetmana nią była, a stary wódz wnuka tego kochał, jak własnego syna.

Nadzwyczaj staranne ale i pełne przezorności i miłości wychowanie czyniły go w istocie tem, czem go głoszono, — fenomenem, wyjątkową osobistością. W dwudziestokilkoletnim zaledwie młodzieniaszku, była już cała powaga i rozwaga senatora Rzeczypospolitej... Najmniejszą płochością się nie skaził nigdy i można było twierdzić, że cudem wprost z dzieciństwa przeszedł do męzkiej doskonałości. Spokój i moc nad sobą, jaką dają innym lata i życie, jemu szczególną łaską losu dostały się w tym wieku, gdy drudzy szaleć jeszcze nawykli. Odbył podróż za granicę, dla obeznania się z ludźmi i światem, dwudziestoletni już następował po ojcu na to województwo, które było głową ziem wielkopolskich.

Ci, co go bliżej znali, odzywali się o nim nietylko z poszanowaniem, ale z rodzajem uwielbienia i zapału.

Powszechną tę miłość nie był winien Leszczyński pochlebstwu dla tłumu i pospolitym środkom zyskiwania sobie względów szlachty czapką i papką. Miał zawsze odwagę wypowiedzenia prawdy, nawet gdy znał i wiedział, że ona ogółowi może być niemiłą. Gdy się opierał zuchwałym zachciankom, słuchano go cierpliwie i z poszanowaniem.

I tym razem, z żywszemi może, niż kiedykolwiek oznakami miłości, otoczono go zaraz siadającego z konia przed gankiem. Uśmiechając się, witał tych, co mu się skłaniali nizko.

— Stawiam się na rozkazy panów braci *adsum!* Radźmy i myślmy sami o sobie, gdy o nas nikt myśleć nie chce, czy nie może!

Górski go ściskał w progu.

— Już samo przybycie wasze, — rzekł — daje nam otuchę... Ponure twarze wyjaśniliście panie wojewodo, bez pochlebstwa, jak słońce wschodzące... Jaśniej nam z wami.

Zarumienił się wojewoda.

— Na Boga! kochany starosto — odparł — ja u was światła przyjechałem szukać, a przywożę z sobą gorące pragnienie pracowania z wami dla wspólnego dobra.

Z tem weszli do największej sali na dole, tak przepełnionej, że ledwie przecisnąć się było można.

Na widok przybywających, wrzawa się natychmiast uśmierzyła. Wszyscy się cisnęli uścisnąć rękę wojewody, lub choćby wzrokiem go pozdrowić.

Ład wyrobiło samo przez się uszanowanie dla gościa pożądanego. Starszyzna otaczała go kołem, inni ustawili się jak mogli, a krzykliwe głosy, które przed chwilą usiłowały zapanować nad wrzawą, ucichły dobrowolnie.

Górski chciał naprzód wojewodę zaprosić do stołu, sądząc, że się po podróży pokrzepić zechce, ale gość podziękował, utrzymując, że głodnym nie był i do obiadu rad czekać będzie.

Wystąpił natychmiast jeden z najgorętszych.

— Panie wojewodo — rzekł — dośćeśmy przez niezgody i rozdwojenia cierpieli, a mamy ich jeszcze na Litwie i w Koronie poddostatkiem, by nowych nie mnożyć. Łatwy zawsze rokosz i konfederacya, ale wszelka potem pacyfikacya trudna. Są przecież chwile, gdy widząc się nad krańcem przepaści, każdy chwyta za taki oręż, jaki ma, aby się od zguby ratować. To, czemuby uwierzyć trudno, codzień się jawniejszem staje. Obierając króla, niebacznie wprowadziliśmy wroga *in viscera* Rzeczypospolitej. Frasz-

ką to jest, że sasów swych wprowadził bez konsensu wszystkich, a trzyma ich i pomnaża, pozorów różnych wyszukując; mijam to, że obce to żołdactwo znęca się nad nami, że August, sam zaczepiwszy Szweda, zmusza Rzeczpospolitą do ujęcia jego własnej sprawy za naszą... ale dziś jawna i codzień widoczniejsza, że się on sprzysiągł na zgubę, na rozerwanie, na zdeptanie swobód, na okucie nas w *absolutum dominium*. Pochwytane listy, zdradzone układy, cały chód spraw jego, przekonywa, że z carem Piotrem nie o co się zmówił, tylko o ujarzmienie nas, o rozpłatanie ziem naszych i obrócenie ich w monarchię dziedziczną dla siebie. Gotów o to traktowaś z Brandeburgiem, z carem a nawet i ze Szwedem, byle mu w tej imprezie dopomógł. Wszystkie siły jego ku temu są wytężone.

Gdy starzec, który rozprawy zagaił, mówił to głosem od wzruszenia drżącym, Górski mu milcząco poruszeniami głowy potakiwał.

— Srogi zarzut królowi czynicie — przerwał Leszczyński, — a niźli mu wiarę damy, należy zebrać dowody. Nie chcielibyśmy wierzyć temu obwinieniu.

— Ani my! — dodał Górski. — Ale przez zbytek zaufania zaślepiać się nie godzi, a lepsza gorliwość zbytnia, niż lekceważenie tam, gdzie o skarby nasze jedynie chodzi.

— Otwarcie wyznam — ciągnął dalej gospodarz — żem nigdy za elekcyą tą nie był, żem wolał Francuza, a bodaj i jednego z synów króla Jana, niż tego pana, który się nam, łamiąc prawa nasze, od początku narzucał. Gdy Conti przybył, tak rachował na nas, jak myśmy na niego rachowali, a zawiódłszy się, porzucił, i ja i wielu za mną poszliśmy za Augustem, aby rozterek i wojny domowej, już na Litwie grasującej, nie pomnażać. Poddaliśmy się, aleśmy źle za to wynagrodzeni. Podstępami, fałszem i przekupstwem zdobywszy tron, Sas postępuje tak dalej, jako począł; sprzedać nas chce, kupiwszy. Dla

tego się tak rozmiłował w carze Piotrze, dla tego z Brandeburczykiem we związku jest, a ten mu niby potajemnie, a dla nas jawnie dopomaga; naostatek nie tajne to, że gdyby Karol XII z nim się zgodził podzielić Polską i jemuby podał rękę. Posądzaliśmy królów naszych dawnych o to, że *absolutum dominium* zaprowadzić chcieli, ależ tu już nie o dyktaturę jakąś chodzi, ale o rozszarpanie dziedzictwa dziadów, krwią okupionego. Przyjaźń i przymierze z carem na czem innem stać nie może, chyba na rektyfikacyi granic, która znaczy, że się ziem naszych na kresach wyrzec dla niego będziemy musieli. Z Brandeburgiem przyjaźń, nie co innego nad uwolnienie go od lenna i hołdów, a oddanie mu nieopatrznie puszczonego Elbląga. I daj Boże, aby się ów tem chciał kontentować! Naostatek traktaty z Karolem, z któremi jeździła *proch pudor! virago!* i ów Vitztum... nieco innego opiewać miały, jak rozdział Rzeczypospolitej i jej ujarzmienie. Damy mu się tu wzmódz u nas i osiedzieć? doprowadzić do skutku zamiary swoje?...

Górski spuścił głowę; wojewoda stał milczący.

— Są sprawy — odezwał się w końcu głosem spokojnym—którym lepiej jest nie wierzyć, aby możliwości ich nie dopuszczać. Tak czarnej zdrady, nie godzi się na pomazańcu Bożym posądzać nawet, póki dowodów jej nie mamy. Czyńmy, co w naszej mocy; aby zapobiedz jej, lecz nie rzucajmy sromu tego na króla, któremuśmy winni poszanowanie. Mamy wprawdzie przykłady krajów, w których dokonały się przewroty niegodziwe, lecz myśmy przykładem sami, że tam, gdzie cnota obywateli czuwa, łacno się złamać nie dadzą prawa poprzysiężone.

Czuwajmy więc, lecz pozostańmy królowi wierni, a stójmy przy nim, bo to środek najlepszy, ażeby na zgubną drogę namowami obcych ludzi wprowadzony nie został.

— Z carem Piotrem—odezwał się jeden z otaczających—stosunki najściślejsze a tajemne nie usta-

ją, głośno o tem mówią na dworze, jako inflantczyk, dziś generał w służbie saskiej, przewrotny, a rozumny Patkul, za narzędzie do zawiązywania zgubnych dla nas traktatów służy.

— Z carem Piotrem — przerwał Leszczyński — dla wspólnej obrony przeciw Karolowi XII August mógł się porozumiewać. Tego mu jeszcze wyrzucać nie można.

— Cóż nas może obchodzić waśń króla Augusta ze Szwedem – wtrącił inny. – Rzeczpospolita, Oliwskim traktatem związana, nieprzyjaciela w nim widzieć nie chce, a on nieustannie głosi i uroczyście zapowiada, że Rzeczypospolitej przyjacielem i protektorem być pragnie. On ci to pierwszy nam oczy otworzył, z czem do niego ową niewiastę i pana Vitztuma posyłano... zapraszając na biesiadę, w której my byśmy z siebie dostarczyli im pastwy. August, co carowi Piotrowi ofiarował się pomagać przeciwko Szwedowi, Szweda ująć chciał tem, że mu gotów na Piotra posiłkować, byle razem Polskę rozszarpali. Sasowi nie idzie o całość naszą, ani o rekuperacyę awulsów, ale o zwiększenie dziedzicznej monarchii swej kosztem naszym. Łacno mu było wpaść na tę myśl niepoczciwą, widząc nieopatrzność i rozterki. Na Litwie wre braterska wojna... wojska mamy mało, szlachta do ruszenia nie łatwa, pieniędzy na wojsko wyżebrać u niej trudno... Same pergaminy, swobody nasze gwarantujące, nie obronią się, kiedy my w ich obronie stawać nie chcemy.

Dokończył mówić, a milczenie pognębienia panowało chwilę. Leszczyński westchnął.

— Niech nas Bóg uchowa od tego — rzekł, — aby się słowa wasze ziścić miały, chociaż w najdrobniejszej części. Dotychczas możliwości tej klęski nie widzę. Nie dopuścimy jej, gdy ją widzimy i przeczuwamy.

— Tak, należy się skupić, bodaj skonfederować i stanąć w obronie własnej. Rzeczpospolita sama, bez pośrednictwa króla, gdy zechce, może ze Szwe-

dem się układać, i nie dopuścić z nim wojny... Możemy i powinniśmy wyznaczyć posłów od nas i wyprawić ich do Karola XII. Przyjmie ich chętnie...

— Ale to rokoszem pachnie! — wtrącił ktoś z boku...

Leszczyński nie zabierał głosu. Widocznem było, że przeciwko ostateczności i zerwaniu z królem był usposobiony, że nie rad był mnożyć rozerwania; August miał przy sobie zastęp dosyć znaczny senatorów, którzy się na związek, mający się ze Szwedem układać, zgodzić nie mogli.

Z drugiej strony nie ulegało wątpliwości, iż Karol XII z Rzecząpospolitą się porozumieć nietylko pragnął, ale dla niej ustępstwa gotów był uczynić. Rzeczpospolita zdaniem, mogła tu być sama pośrednikiem między dwoma przeciwnikami...

Ten i ów rzucał po słowie, rozprawiano spokojniej, gdy przybywający dopiero Bronisz, starosta Pyzdrski, zaledwie gospodarza powitawszy i wziąwszy języka, głosu się domagać zaczął...

— Dobrzeby to było—rzekł,—gdyby Szwed, przyjął Rzeczpospolitą za mediatora, ale o tem wątpić potrzeba, bo Karol XII wielce rozjątrzony tem głównie, iż się nań król August z carem Piotrem sprzysiągł, od początku w żadne pono układy nie wejdzie z nami, dopóki pana tego, któregośmy obrali, z tronu nie zrzuci...

Blizkimi są krewnymi sobie, ale Szwed, żelazny człowiek, w nienawiści równie, jak w przyjaźni namiętny, gdy raz co postanowił, od zawziętej myśli się nie da odciągnąć. Chce on od Rzeczypospolitej Kurlandyi i Inflant, ale rychlejby się ich wyrzekł, niż Augustowi przebaczył. Wiem to pewno, że mierzy, aby Sasa zdetronizował...

Głuche naprzód milczenie, potem tu i owdzie szepty i głosy różne odzywać się zaczynały... Leszczyński ostateczności przypuścić nie chciał.

— Od tej myśli zgubnej dla nas — rzekł, — myśmy go właśnie przez wysłane poselstwo, jeśli ku

temu przyjdzie, odciągnąć powinni i my jedni to możemy, okazując, że na to się zgodzić nie chcemy.

Bronisz spojrzał z uśmiechem znaczącym na wojewodę.

— Znakiem to jest—dodał,—że Karola XII nie znacie, gdy sądzicie, że go nawrócić i do zmiany przekonań skłonić można. Nie jest on politykiem gładkim i tak kłamliwie ujmującym, jak pan nasz, o którym nikt powiedzieć nie może, aby wiedział, co on myśli i ku czemu zmierza; nie tai się z zamiarami, po żołniersku traktuje sprawy, lecz prędzej życie da, niż ulegnie.—Prorokiem nie jestem, lecz mi się zdaje, że wojna ta nie będzie miała końca, dopóki August na tronie pozostanie.

Oburzył się na to Leszczyński, inni też tak dalece, iż i przypuszczać nie chcieli, aby Karol mógł pożądać zemsty, sięgającej tak daleko.

Przybycie starosty Pyzdrskiego, który choć się nie przyznawał do tego, ze Szwedem miał jakieś potajemne frakcye, rozjaśniło nieco rozprawy namiętne, w których wiele było bałamuctw...

Bronisz miał stosunki, z których się nie tłumaczył, a znano go jako człowieka nie powtarzającego pacierza za panią matką, ale mającego przekonania własne i zdrowy sąd o ludziach i sprawach.

Gdy drudzy bajeczne rzeczy prawili o tym Szwedzie, który z młokosa niedawno pogardzanego, wyrósł w przeciągu lat niewielu na olbrzyma, starosta Pyzdrski za boki się trzymał, a mówiąc sam o nim, widać było, że na własnem opierał się zdaniu.

— Prawda, że Karol naszą Rzeczpospolitą, choć się protestuje, że ją kocha, srodze ciśnie i uciemięża, ale mu się zdaje, że tylko adherentów Augusta prześladuje—mówił Bronisz.—Króla polskiego i Kurfirsta saskiego będzie on nękał póty, aż mu tę koronę z głowy zdejmie i dziedziczne jego ziemie spustoszy, a kontrybucyami wyssie. Ma do niego wstręt i ansę osobistą, a żelaznej woli jego nic w świecie

nie złamie, zobaczycie... Próżno my Augusta bronić i zasłaniać będziemy się starali...

— Aleśmy obowiązku tego dopełnić powinni— odezwał się Leszczyński.—Dotąd Karol XII miał do czynienia z pojedyńczemi ludźmi i gromadkami, teraz wystąpi Rzeczpospolita i poselstwo w imieniu jej. Zmieni to postać rzeczy...

— Bardzo wątpię—rzekł Bronisz.—Karol XII ma już nawet pono króla upatrzonego...

Wszyscy się poruszyli ciekawie, ale starosta zamilkł, jakby więcej mówić nie mógł i nie chciał.

— Króla upatrzonego?—wtrącił gospodarz posępnie.—Nie ulega wątpliwości, że i my wolelibyśmy innego, bo niema dla nas nic wstrętliwszego, naszym obyczajom i tradycom przeciwniejszego, nad tego Sasa, ale właśnie poszanowanie tradycyi naszych wymaga, abyśmy wybranego, namaszczonego, ukoronowanego, tego, któremuśmy poprzysięgli, tak lekkomyślnie nie opuszczali.

Gorąco potwierdził to Leszczyński.

— Zaprawdę, tak jest—rzekł.—Może on nam być nie miłym, bo naszych praw nie szanuje i drogami tajemnemi wymijać je się stara. Powinniśmy go na drogę prawą skierować, ale nie porzucać i nie opuszczać. Prawo zapobiega nawet złożeniu korony bez przyzwolenia narodu.—Opierajmy się Augustowi, który przywykł do samowoli, bo Sasi nie znają ani sejmów, ani ich szlachta nie bierze udziału w rządzie, ale nie dopuszczajmy, aby obcy monarcha zrzucał naszego króla i innego nam z woli swej nadawał.

— Zaprawdę—zawołał Górski,—święte słowa! Wzięliśmy nieopatrznie Sasa, musimy się go trzymać i co gorzej, z nim walczyć i za niego wojnę cierpieć, a kraju wyniszczenie; ale *pereat mundus fiat justicia.* My przy pactach i przysięgach stać powinniśmy! Nie poszanuje się prawo w jednej rzeczy, pójdzie za tem lekceważenie go we wszystkiem. Do-

syć już mamy rokoszów i konfederacyi, związków wojskowych i sejmowych waśni.

— Nawzajem — rzekł Leszczyński, — ja muszę też zawołać ku wam, panie starosto, — święte wasze słowa! Nie dawajmy przykładu lekkomyślności, król da się, jak sądzę, na dobrą wprowadzić drogę.

Jeden z przyjaciół dawnych, a zarazem powinowaty ks. biskupa kujawskiego, Zakrzewski, ramionami poruszył na te ostatnie słowa.

— Pozwólcie panie wojewodo — rzekł, — abym dobrze poinformowany temu, co utrzymujecie, mimo respektu, jaki dla was mam, zaprzeczył. Dębski pokrewnym mi jest, od dziecka żyliśmy z nim jak bracia, a nikt nad niego lepiej nie jest wtajemniczony we wszystkie *arcana* jego myśli. Przez niego znam Augusta.

Śmiać się począł Zakrzewski.

— Dębski go weneruje, uniewinnia, tłumaczy— ciągnął dalej,—ale mojem zdaniem samą obroną tą potępia. Chodzący to fałsz, dyssymulacya i despotyzm, a przedewszystkiem egoismus. Fleming go z Przebędowskimi wprowadził do nas, rachując na bezład i na to, że w tak mętnej wodzie łacno ryby łapać. Nie kryje się z tem przed swojemi Sas, że naszą Rzeczpospolitą chce ujarzmić i w monarchią dziedziczną, z Saksonią połączoną, obrócić. Myśmy tylko na to ślepi. Szukał pomocy do zamachu na nas u Brandeburga, który ostrożny jest i wolałby wreszcie sam zagarnąć, gdyby zdołał; szuka u cara Piotra, który mu przyrzekł iść z nim, gotów był i z Karolem XII na wpół rozedrzeć nas. Nie naprawimy go.

A przytem zgroza patrzeć na jego życie! Wiemy jak dziadowie i ojcowie nasi krzyczeli zgorszeni przeciwko Zygmuntowi III za to, że siostrę po siostrze poślubiał, ale jakże porównać życie tego świątobliwego pana, z żywotem Augusta, który jawnym konkubinatem urąga się prawom Bożym i ludzkim? Poczęły mu już z Lubomirską panie nasze służyć,

będzie tego więcej. W cóż się poczciwy obyczaj nasz i srom, i domowa cnota obróci!

Górski podniósł ręce do góry i westchnął.

— Nie tajno wam — rzekł cicho z rezygnacyą bolesną,—iż duchowieństwo katolickie, nawet OO. Jezuici, zamykają oczy na tę rozpustę króla, bo interesem kościoła jest mieć go z sobą dla nawrócenia Saksonii, którą gniazdem luteranizmu nazwać można. Winniśmy i my pójść za duchowieństwem, milczeć, ale zarazem Augustowi nie pobłażać.

— Mówicie, że Rzym go trzyma i popiera — przerwał Zakrzewski—tak? a dla czegóż dotąd opierał się królem go uznać!

— Dla tego, aby zmusił do gorętszego popierania katolików — odezwał się Górski. -- Przyrzekł August syna swojego wychowywać po katolicku, tymczasem jest on w ręku matki i babki, gorliwych protestantek. Dla tego papież ociąga się, aby wymógł rękojmię przyszłości. Znają snadź w Rzymie Augusta, iż słowu jego zawierzyć nie można.

Zakrzewski ramionami poruszył i jakby już dłużej o tem nie życzył sobie rozprawiać, obrócił się do Bronisza.

— Mówiliście, że Szwed ma już kandydata do korony upatrzonego—odezwał się — radzibyśmy wiedzieli kogo.

Skrzywił się Bronisz.

— Wy byście radzi wiedzieć — roześmiał się kwaśno, —a jabym nie rad rozplatał.

— Skoro wiecie, że prawdą jest?...—podchwycił Zakrzewski.

— Nie każdą prawdę należy na ulicy wywoływać—rzekł starosta Pyzdrski.

— Ale to nie ulica—ofuknął szlachcic—zebraliśmy się na naradę *de publicis*, jakże radzić, gdy nam kryjecie, co wedle was grozi, albo się obiecuje, *clara pacta! clara pacta!*

Inni poczęli nalegać na Bronisza, który sobie wąsa zagryzał.

— Nigdym nie sądził—zawołał,—abyście waszmoście tak mało byli domyślni, że aż mojego zeznania potrzebujecie, aby się dopatrzeć rzeczy tak jasnej.

Wszyscy po sobie spoglądali.

— Domyśleć się w istocie można — przerwał młody wojewoda, — że nie kogo innego rozumiecie, nad jednego z Sobieskich.

— Naturalnie! — zawołał Bronisz, — Karol XII był i jest wielbicielem naszego Jana III, bohaterem go i wojownikiem największym naszych czasów zowie, wizerunek jego ze sobą wozi, w historyę się wczytuje, wie, że Jakób i Konstanty z ojcem walcząc, od niego się sztuki wojowania uczyli, a w krwi z niego wzięli męztwo.

Niektórzy z przytomnej szlachty, usłyszawszy to, psykać i prychać poczęli.

— Hej! hej! — zawołał Piętka, — widać, że Karol XII ze Szwecyi tu przybył i u nas się nie rozsłuchał. Sobiescy i królowa wdowa, co mieli u nas miru, postradali. Ani nawet ręczyć za to, żeby sami teraz chcieli z Augustem wnijść w kolizyę. Przyjmowali go nader uprzejmie w Wilanowie.

Potrząsano głowami a wojewoda Leszczyński dodał:

— O ile wiem, nie myśleli wcale Sobiescy o podobnej ewentualności i gdyby ona mogła nastąpić, pewnie korzystać z niej nie zechcą. Zdaje mi się, że król szwedzki zawczasu powinien wyrzec się rachuby na nich.

Cicho, pochyliwszy się do ucha wojewodzie, zapytał gospodarz.

— Cóż nasz Prymas?

Rozważny zawsze i wielce umiarkowany młody pan ociągał się z odpowiedzią i po namyśle rzekł cicho.

— Nie godzi mi się odgadywać, co w jego duszy się dzieje, a jawnie kardynał stoi dotąd po stronie Augusta i głośno się za nim oświadcza.

— Chodzą pogłoski różne — rzekł również ci-

cho Górski.—*Relata refero*, Towiańskich król podrażnił tem, że im dostojeństwa, którego się spodziewali odmówił *inde irae*, a gdy Towiańscy się gniewają, Prymas obojętnym pozostać nie może. Wnoszę ztąd, że przy pierwszej zręczności gotów będzie wystąpić czynnie przeciwko temu, ktorego nie koronował. Są nawet tacy, co go już usposobionym do popierania Szweda widzą.

— Panie starosto — przerwał Leszczyński, — ja wam nie potrzebuję powtarzać tego, iż z wami się godzę we wszystkiem. Nie pomnażać nam rozterki, ale godzić i goić należy. Więc gdyby przyszło do poselstwa i pośrednictwa między Karolem XII a Rzeczpospolitą, my nie nowych kandydatów, ale króla, jakiego Pan Bóg nam dał, popierać powinniśmy. Nie pochwalamy tego, co czyni niemiła nam swawola i rozwiązłość, złe są frymarki i zamachy na Rzeczpospolitą, wszystko to prawda, ale ów królem jest, uznaliśmy go i przysięgli. Zda rachunek przed Bogiem, a my mamy nasze prawa, które dają siłę niedopuszczania gwałtu. Może chcieć Rzeczpospolitę w monarchię dziedziczną obrócić, ale temu my zapobiegać powinniśmy, a nie anarchię mnożyć, zrzucając go.

Bronisz, który tego cichego porozumienia się ich nie dosłyszał, prawił dalej o Karolu XII, jakby go sam spraktykował.

— Niema w świecie — mówił — dwu monarchów mniej do siebie nie podobnych, nad tych dwu ciotecznych braci. Karol tak się odziewa, żeby go za prostego żołnierza można wziąść, gdyby nie twarz i wejrzenie, przebijające na wylot człowieka. Odzież na nim z takiego sukna, któregoby August dla czeladzi swej nie chciał. Do ucztowania, jak żyw nie zasiadł, je to, co jego dwór, a pije więcej wody, niż wina. Zbroi czasem i butów nie zrzuca po dni kilka, jak stał kładąc się spoczywać z mieczem, jak koncerz ogromnym, u wezgłowia. Klejnotów ani na nim ani przy nim nikt nigdy nie widział; na kobiety nie pa-

trzy i znać ich nie zechce. Obyczajów jest surowych, żołnierz przedewszystkiem, dla siebie i drugich nie przebłagany. August przy nim jak lalka wygląda i śmiać się z niego może, nieokrzesanym go gburem mieniąc, ale gbur... bije i zwycięża!

— Myślicie — wtrącił Ślaski, który na dworze bywał i miał na nim przyjaciół, — iż August bardzo do serca bierze, iż mu ludzi zabijają i armat nazdobywają! Byleby mu Lubomirskiej i nałożnic jego nie odebrano; zresztą, co go kosztuje kontrybucyę nową na sasów nałożyć i akcyzą ucisnąć? W kilka dni po batalii, w której go na głowę pobito, pił, ucztował i śmiał się, jakby go nic a nic nie obchodziło, iż mu najpiękniejszą gwardyę jego wytrzebiono. Wszak ci dla niego stworzony świat, a nie on dla tego świata! Karol XII kiedyś ustąpić musi, Austrya i cesarstwo ogłosi swego Kurfirsta... mogiły porosną darnią a August, dyamentami okryty, Herkulesa i Samsona na *teatrum mundi* będzie reprezentował!

V.

Drżąca, blada, zapłakana, gniewna wypadła z furtki ogrodowej księżna Cieszyńska i rzuciła się w otwarte drzwiczki kolebki swojej. Nie spojrzała na swych dworzan i sługi... Nie wiedziała co pocznie, ludzie żadnego nie mieli rozkazu. Przyszedł do niej starszy rękodajny spytać.

— Dokąd księżna rozkaże?

Cieszyńska musiała się namyślać... i nie wiadomo, coby była postanowiła na razie, gdyby niespodzianie z dworzaninem się nie zjawił Witke, który gonił za nią.

Zobaczywszy go, krzyknęła piękna Urszula, niemal uradowana, bo kogokolwiek bądź mieć po tej

klęsce i gromie, choćby do kondolencyi nad sobą, ulgą było dla srogiego bólu.

— Do miasteczka, do gospody! — zawołała. — Padam ze znużenia... na rany pańskie... Znalazłam się tu wśród jakiegoś sejmiku, wrzawy... nie mam co robić, niema z kim mówić, a warchoły głowy potracili.

Witke dał znak, aby gospody szukano, pokłonił się i odszedł, a towarzyszka, stara sługa księżnej, niańka jej niegdyś—Grądzka, dobyła flaszki z larendorgą i oblewać ją poczęła, a trzeźwić.

Nie mówiąc nic, ciągle jeszcze na poły osłupiała, leżąc na poduszkach kolebki, jechała Cieszyńska do gospody. Przejęta tem, co ją tu spotkało, pod wrażeniem odprawy, jaką jej dał Górski, straciła siły, że z powozu musiano ją niemal wynosić na rękach.

Czekał tu na nią Witke; spojrzenie na niego otrzeźwiło nieco osłabłą i zbolałą. Spodziewała się, że jej może coś pocieszającego przywiezie, ale naprzód potrzeba ją było do życia, sił i zwykłego przywrócić stanu.

Stara Grądzka znała naturę jej, wiedziała, co i jak mówić, czem pocieszać i zwolna temi wypróbowanemi, znanemi sobie środkami, potrafiła uspokoić.

— Paniusiu, królowo ty moja—szeptała pieszcząc ją—czyż tobie desperować, a cokolwiek brać do serca? Czyż to ty nie masz siły, czy ty nie potrafisz wybrnąć z największego zawikłania? Zmiłuj się, nie trać tylko animuszu! Nie płacz, nie pokazuj, że się czego obawiasz. Tyś królowa, królewna, tyś wyżej ich wszystkich... dla ciebie strachu niema.

Ukołysawszy ją tak, Grądzka uznała właściwem dla samej dystrakcyi przywołać Witkego, ale u progu szepnęła mu.

— Jeżeli waszmość masz co niedobrego jej zwiastować, bo to teraz taki czas szelmowski, że nam

wszystko idzie na przekorę, nie występuj że odrazu. Biedne kobiecisko strasznie zbolałe.

Witke dał znak, że położenie rozumiał i wszedł do izby.

Piękna Urszula leżała na łóżku, naprędce zasłanem, z oczyma na wpół zamkniętemi, jakby obumarła, lecz zobaczywszy Witkego, którego niecierpliwa była badać, zerwała się tak żywo, tak silnie, jak gdyby wcale nie została dotkniętą niczem.

Zawsze taką była; równie łatwa upaść i podźwignąć się.

— Co mi masz do powiedzenia? — poczęła nacierając — zmiłuj się... Pewnie Grądzka, która mnie pieści, zalecała ci mnie oszczędzać; ja proszę, nic nie taić! Gdzie król, co robi? co myśli?

Załamała ręce.

— Biją go i biją! Żołnierzy mu zabierają, działa, nawet kasę wojskową! Mówią, że Szwed po ostatniej batalii ostatnią beczkę złota pochwycił! Ci wasi sascy generałowie! co oni warci, te Flemingi, te Karlowice i wszyscy, wiele ich tam jest. Na paradzie to bohaterowie, a na placu boju—gorzej ciurów!

I ręce tak łamiąc ciągle, poczęła chodzić po pokoju. Witke stał dotąd milczący.

Nagle przypadła do niego.

— Ale to do mnie nie należy — rzekła, — mów mi prawdę? Co słychać z Drezna? Co z Lipska? Co August myśli? O mnie już jakby zapomniał? a ja tu za niego w ogień się rzucam.

Wlepiła oczy w Witkego, który stał smutny i chmurny. Miał litość nad tą kobietą biedną, wyobraziwszy sobie, iż była namiętnie do króla przywiązaną, że na niestałości jego straszliwie cierpieć będzie. Dla tego o wszystkich wybrykach Augusta, o których był przez Constantiniego zawiadomionym, najchętniej milczał przed nią.

Sądził, że te miłostki płoche, przemijające, przywiązaniu do księżnej i jej syna łatwo ustąpią, że Au-

gust do niej wierny powróci, jak to już bywało. Miałby był wiele do powiedzenia—wahał się.

Tymczasem rozpłomieniona, rozdrażniona, piękna Urszula, przejrzała się parę razy w zwierciadle, które jej na stole już ustawiła Grądzka, ostygła powoli i myślała tylko o sobie.

Witke, widząc ją teraz zupełnie na pozór uśmierzoną, ważył, czyby nie wyznać całej prawdy, którą wiózł z sobą, chociaż była wcale nie pocieszającą.

Upadek Cieszyńskiej przygotowywał się już zdawna, ale teraz był prawie nieuchronnym. August się nawet zwierzył Constantiniemu, iż rad był w jakikolwiek sposób bez wrzawy i rozgłosu zerwać z piękną Urszulą. Wyobrażał sobie wszakże, po okazywanej przez nią namiętności, iż zada jej cios straszliwy. Miał trochę litości. Zresztą w Polsce to zerwanie mogło być u Prymasa szkodliwem i odbić się na sprawie jego, na rokoszu, na burzących się żywiołach. Zwlekano więc krok stanowczy, a zręczny Constantini, sam nie chcąc być narzędziem do tego, wyznaczył w myśli Witkego na pośrednika.

Przez niego Witke dowiedział się po raz pierwszy, że król był szalenie, daleko zapalczywiej zakochany, niż w Aurorze, Fatymie i Lubomirskiej, w kobiecie istotnie nadzwyczajnej piękności, w żonie ministra Hoyma, który po pijanemu pochwalił się i zakład trzymał, że żona jego nad wszystkie była najpiękniejsza.

Działo się to, rzecz nie do uwierzenia trudna, właśnie w chwili, gdy największe troski, straty i niebezpieczeństwa otaczały Augusta. Zabierano mu armie i obozy, a on zdobywał nową kochankę.

Ta jednak nie tak była do zbałamucenia łatwą, jak inne. Nie kochała męża, który ani umysłem, ani sercem jej nie dorósł i trzymał zamkniętą, jak niewolnicę, ale metresą jak Aurora i Urszula być nie chciała. Wozy złota, i stosy klejnotów nie mogły oporu jej zwyciężyć!

Opór pięknej Hoymowej (z rodziny duńskiej po-

chodzącej--tym razem narodowość nowa wstępowała w szeregi), powiększył tylko namiętność króla, który mógł znieść, że go Karol XII pobił, ale nie chciał się uznać zwyciężonym cnotą kobiecą. Największe ofiary nic go nie kosztowały, a poświęcenie Lubomirskiej nie wchodziło w rachubę.

Zachwycająca Anna po tylu dowodach niestałości Augusta, inaczej mu się poddać nie chciała, jak na piśmie wymógłszy obietnicę ożenienia, w razie śmierci królowej. Król i na ten warunek się zgadzał, w myśli może, iż przyrzeczenie dane łatwo odebrać potrafi. Oprócz tego Hoymowa zabezpieczyła sobie rocznie olbrzymią sumę, a na wzór księżnej Cieszyńskiej zażądała nowego tytułu.

August na wszystko zgodzić się był gotów. O tem Constantini przez Witkego chciał uprzedzić księżnę, przewidując jej rozpacz, obawiając się wybuchu.

Pan Zacharyasz obeznany był już ze wszystkiemi towarzyszącemi temu wybrykowi króla okolicznościami. Königsmark, z którą się widział, oswojona już ze swem położeniem, obojętna na nie, byle pozostała przy tem, czem ją August obdarzył, także przez Witkego ostrzedz kazała swą przyjaciółkę, a teraz towarzyszkę niedoli, aby na próżno nie starała się zapobiedz temu, co się nieuchronnem stało. Zalecała jej pokorę i zdanie się na los cierpliwie, które króla mogło usposobić łagodnie i zapewnić jej jego protekcyę, zachowanie dóbr i wyposażenia.

Posłannictwo to biednego Witkego ciężyło mu jak kamień, ale od niego nie mógł się uwolnić, spełnić je musiał. Tu zaś trafiał w godzinę taką, w której litość brała bólu i utrapienia dodawać.

Nie wiedział spełna, jak przyjęto księżnę u Górskich, ale domyślał się łatwo z wielu drobnych wskazówek. Naostatek ona sama ostygłszy nieco, nieomieszkała wszystkiego odkryć, poskarżyć się przed niemcem, którego miała za przyjaciela.

— Wyobraź sobie—poczęła, przemógłszy pierw-

sze rozdrażnienie—wyobraź sobie, jak mnie tu moja rodzina przyjęła, co ja za tego króla cierpię! Starosta się żonie pokazywać zabronił, a mnie tak odprawił, jakbym nie Cieszyńską księżną była, ale z ostatnich ostatnią! Myślałam, że tam oszaleję, albo mnie to ubije! Nie mogę jeszcze przyjść do siebie.

— Ale pocóżeś w. ks. mość naraziła się na to,—zapytał Witke,—znając pana starostę?

— Po co? jużciż nie dla siebie — wykrzyknęła księżna—uczyniłam to dla króla, bo wiem, że oni tu wszyscy knują przeciwko niemu. Chciałam mu zjednać tego... tego...

Łkanie jej przerwało, lecz natychmiast zwróciła się, zmieniając już usposobienie, zapominając o tem, o czem mówiła.

— Cóż król? co król myśli? widziałeś go? słyszałeś co?

I na twarzy niemca wyczytawszy pomięszanie, z natarczywością poczęła nalegać.

— Mów! ty mi coś przynosisz! ja czuję! nigdy jedno nieszczęście nie przychodzi samo. Ty masz litość nademną—szczebiotała dalej.—O! ja oddawna przeczuwałam, że mnie spotka niewdzięczność od niego! Ja wiem...

Chciał jeszcze Witke bólu jej oszczędzić na razie, ale napastowała go tak, iż mógł się domyślać, że coś już wiedziała.

Potrzeba ją było przygotować do tego ciosu, który już nieuchronnie groził.

— Mościa księżno—odparł kupiec—ja... ja o niczem tak dalece nie wiem, zwykłe powszednie sprawy... nowego niema nic... król jeździł czasem do Königsmarki na wieczerzę, gdy jest w Dreznie, zabawia się z francuzkami w Lipsku.

Mówiąc to Witke się uśmiechał.

— No, chyba to nie nowina, że ministrowa, piękna pani Hoymowa, poraz pierwszy była zaproszoną do dworu i na nim się pokazała.

— Hoymowa? kto?—przerwała porywczo księżna—Hoymowa! czekaj!...

— Nikt jej nie znał, nikt w Dreznie nie widywał nigdy—dodał niemiec;—mąż ją trzymał zamkniętą pono w Laubegast i pilnował zazdrosny, że ją na oczy nie widział ani król, ani dwór.

— A ty? a ty? — wtrąciła gorąco księżna, już o wszystkiem, oprócz pięknej Hoymowej zapomniawszy.

— Gdzież ja ją mogłem widzieć—odparł Witke, smutnie się uśmiechając.

— Cóż mówią?—nagliła księżna.

— Mówią... mówią, że w istocie ma być nadzwyczajnej piękności — ociągając się, rzekł Witke—no i że króla, jak u niego zwykle, gdy nową twarz zobaczy, zajęła bardzo.

Dumnie się wykrzywiła Cieszyńska; ostygła znacznie, przeszła się parę razy po izbie.

— Domyślam się — rzekła, — że królowi nowe sitko będzie się od wszystkich innych piękniejszem wydawało, a długo ono na kołku się utrzyma?

Kupiec zmilczał. Nie chciał nastawać zbytnio odrazu i bezpieczniejszym znajdował na dwa dania swe poselstwo rozłożyć. Piękna Urszula zarzuciła go pytaniami, na których część większą odpowiedzieć nie umiał. Nie dał z siebie dnia tego dobyć co przywiózł.

Wieczór nadchodził, a choć księżna chciała koniecznie dnia tego, bodaj do najbliższego miasta, namówił ją, aby przenocowała. Dała się skłonić wreszcie, bo ją oblegały myśli, z któremi chodziła i rzucała się, nie wiedząc sama, co czyni. Pogrążona w nich, Grądzkiej i niemcowi dawała z sobą robić, co chcieli.

Wieczorem późnym przywołała raz jeszcze niemca, chcąc go jeszcze zapytać, czy się nie widział z Aurorą.

Przyznał się do tego.

— Nie kazała mi co powiedzieć?

— Owszem — dodał kupiec—kondolencyę wam

oświadczyć poleciła, bo jej się zdaje, że król Hoymową mocno zajęty, tylko Hoymowa o niczem słuchać nie chce.

Parsknęła śmiechem dzikim jakimś księżna.

— A wy w to wierzycie? — zawołała: – Droży się i nic więcej!

Zmilczał Witke.

Dnia tego na tem się skończyła rozmowa; stara Grądzka przyszła położyć księżnę do łóżka, zmuszając do spoczynku.

Nazajutrz rano konie stały zaprzężone, nie wiedziano, dokąd jechać zechce. Zawahała się nieco. Dla samego użalenia się, a może przez pewną rachubę, rozporządziła do Łowicza.

Zdziwiło ją to nieco, że Witke oświadczył, iż towarzyszyć jej będzie.

— Oho—rzekła w duchu—ma więc jeszcze coś do powiedzenia, a kiedy się wahał mi odrazu wyznać, mysi być coś niedobrego.

I wychyliła się z powozu, rękodajnemu zalecając, aby w pierwszej lepszej gospodzie na popas stanęli.

Niemiec, dopomagając jej wysiąść z powozu, postrzegł, że chmurną była, zakłopotaną, ale zarazem ostygłą. Nie miał już potrzeby zwłóczyć dłużej. Sam wprosił się za nią do przygotowanej izby.

— Mów mi co jeszcze o tej Hoymowej — poczęła zaraz, nastając.—Mnie się zdaje, że ty chcesz mnie oszczędzać, a ja na wszystko zdawna byłam i jestem gotową. To, co spotkało Haugwitzową, Königsmark, czeka i księżnę Cieszyńską. Co mówią o niej?

— Chwała Bogu—przerwał niemiec—żeś w. ks. m. przygotowana. Mówią w istocie, że król zajęty nią mocno, że ją chce Hoymowi odebrać i znaczną sumę na to przeznaczył.

— Gotów koronę stracić — wyrwało się księżnie — nie będzie za co nowych dział kupić, tyle ich postradawszy,—ale fantazyi dogodzić musi!

— Nie wiem tylko, czy się na ten warunek zgodzi, jaki mu postawiła Hoymowa, bo się domagała, aby jej na piśmie dał przyrzeczenie, że gdyby królowa zmarła, z nią się ożeni.

— At!—wyrwało się gwałtownie z ust pięknej Urszuli.—Myślicie, że nie podpisze? Gotów dyabłu duszę oddać na cyrograf, a nie ustąpi. Po kilku miesiącach każe odebrać pismo i ją, jak nas, odprawi.

Witke dał się jej wyburzyć.

— To zapewne wszystko, coś mi miał do doniesienia?—poczęła Urszula.

— Z tem chyba, że niektórzy twierdzą, jakoby król August nawet już ów cyrograf podpisał.

Księżna pobladła, ale się natychmiast przemogła. Podumała chwileczkę.

— Ja zawsze wolę—wyrwało się jej—nie łudzić się nadaremnie, a radzić zawczasu, jak złemu zaradzić.

Mówiła to drżącym głosem, widać było, że się dotąd łudziła jeszcze, a teraz mierzyła całą głębię swego upadku. I ona była tak prawie, jak królową, i ona marzyła o koronie, a teraz...

Twarz jej pobladła, łzy się potoczyły z oczów, ale wnet je gniew przyszedł osuszać.

O! gdyby mogła się pomścić! Niestety! August był za silny, nawet gdyby go z tronu zepchnięto. Witke, ciągle się jeszcze litując jej, śledził ruch jej każdy.

— Hrabina Aurora—rzekł, wyczekawszy,—która wam jest życzliwą, kazała wam radzić, abyście królowi wymówek nie czynili, nie starali się nawet docisnąć do niego, aby próbować serce jego poruszyć...

— Serce!—mruknęła piękna Urszula—poruszyć serce, kiedy on go niema... Z Panem Bogiem tak się obszedł, jak z nami; porzucił luterskiego, a przystał pod komendę papieskiego i z obu ich pono drwi sobie! Ale przyjdzie zemsta Boża!

Witke dał znak, aby się powstrzymała; lękał

się, aby ich nie podsłuchano, a teraz i sług się obawiać było potrzeba.

— A!—zawołała Urszula, nie długo się namyślając—pójdę za radą Aurory, mam najlepszy z niej przykład. Co tu się darmo zżymać i rzucać. Chciałabym go choć pożegnać, choć posłyszeć z ust jego...

— Wierz mi pani, że to niepotrzebne—odparł niemiec.—Wkrótce Hoymowa zajmie pałac, o którym dla niej myślą w pobliżu zamku, cały świat wiedzieć będzie o tem, a król, gdy się rozstanie bez wyrzutów, wdzięczen będzie. Nie jątrzcie go.

Księżna Cieszyńska ramionami poruszyła.

— W Dreznie ja mieszkać nie chcę—wyrwało się jej — tam dosyć Aurory, Haugwitzowej, Spieglowej, mnie nie przystało. Znajdę sobie gdzieś schronienie.

Zmęczona padła na krzesło i znowu płakać zaczęła.

Liczyła swych przyjaciół; wczoraj jeszcze miała ich do wyboru, padali przed nią wszyscy, teraz... szukała napróżno. Ani na Pfluga, ani na Fürstenberga wiele liczyć nie mogła.

W Polsce, oprócz Prymasa i Towiańskich, wszyscy ją wytykali palcami, jak Górski i uchodzili od niej... Miała księstwo swe, dobra na Łużycach, klejnoty, pieniędzy trochę; w tych nieszczęsnych bogactwach musiała szukać, coby przyjaciół zastąpiło.

Usposobienia ks. Radziejowskiego była pewną; krył się z największą niechęcią ku królowi, należało się z nim połączyć... to nie ulegało wątpliwości. Była pewna, że wiadomość o jej upadku, o nowej faworycie już się szeroko rozejść musiała.

— Grądzka — rzekła, zwracając się do starej sługi—nakaż niech konie popasłszy, pomyślą o dalszej wygodnej podróży do Łowicza.

Witke spojrzał.

— Księżna do Prymasa?—mruknął.

— A dokądże się mam udać? — rozśmiała się

gorzko,—choć się poskarżę jak dziecko, to mnie pożałuje!

Rozmowa z niemcem jeszcze się toczyła, gdy Grądzka powróciła od stajni z jakimś śmieszkiem na ustach... Oznajmywał on, że coś się jej przytrafić musiało. U drzwi gwar słychać było wesoły.

— Cóżeś to tam tak wesołego znalazła? — zapytała Urszula, dotknięta nieprzyjemnie wesołością niewczesną.

Grądzka ręką machnęła i odparła jednym wyrazem.

— Puciata!

Na twarzy księżnej wykwitnął uśmiech ale pogardliwy.

Ten Puciata, szlachcic dosyć zamożny, ale z imienia i rodu do książęcej mitry roszczący sobie prawa, od bardzo dawna rozmiłowany w pięknej Urszuli, bez żadnej nadziei ani wzajemności, ani nawet jakichkolwiek względów za wierne usługi, trwał uparcie, kręcąc się około Lubomirskiej, a później przy Cieszyńskiej księżnie.

Piękna Urszula czasem gniewała się na niego za napastliwość, ale w pilnych sprawach często się nim posługiwała.

Puciata, można było powiedzieć, życie pędził na dworowaniu koło niej. Musiał wyobrazić sobie, że kiedyś znudzona poda mu rękę... gdy nic lepszego nie wyszuka.

Słychać było pilne ocieranie nóg, brzękające ostrogi, odchrząkiwanie, drzwi się otworzyły i zawsze dobrej myśli, wesół, z czupryną do góry zadartą, wbiegł mężczyzna słusznego wzrostu, ani brzydki, ni piękny, ale śmiały, żywy i śmiejący się, nim było z czego się rozśmiać; pobiegł do rączek księżnej, uchwycił je, mimo że mu się wyrwała i począł wołać.

— Nareszciem w. k. Mość przyłapał! Aha!

— A cóż to tak pilnego pędziło do mnie?

Puciata rękę położył na sercu.

— Czyż po setny raz mówić potrzebuję — cd-

parł. — Pierwsza rzecz a pryncypalna, żem tęsknił, a powtóre—może i mam co donieść!

To mówiąc, obrócił się, obejrzał i zmilkł. Witke się na palcach wyniósł z izby. Grądzka stała opodal... Puciata wąsa długiego, bardzo wypieszczonego, pokręcał.

— A co, mościa księżno!—rzekł.—Nie mówiłem ja, że zdradzi i że pańska łaska na pstrym koniu jeździ.

— I myślałeś waćpan, żem ja tego nie wiedziała?—rozśmiała się księżna.—Oh! tak dobrze, jak i wy! Zamilkła moment.—Sądzicie, że teraz we łzach będę rozpływała?

— Nie? no, to tem ci lepiej!—wykrzyknął Puciata.—Ale wiesz, że w. k. mość co się stało?

— Zdaje mi się—szepnęła Urszula.

— Bo to prawią, panie, takie historye... jak o królowej Banialuce,—dodał Puciata.—Tedy ma być syreniej piękności, owa pani, jakie oko ludzkie nie widziało... Mąż ją zamykał, bo kto ją zobaczył szalał. Tymczasem trzeba mu się było upić. Wszyscy się żonami chwalili, — pochwalił się i pan Hoym.— Co to wasze piękności, to są kucharki i pomywaczki przy mojej... Stanął zakład, sędziów wyznaczono, a król się zajął strasznie i rozgorzał. Postrzegł pan minister, wytrzeźwiwszy się, że głupi był — ale poniewczasie. Musiał żonę na dwór przywieźć... No i okazało się, że tam żadna do niej umywać się nie mogła.

— Grzeczny pan jesteś!—wtrąciła księżna urażona.

— Księżnej tam przecież nie było—dodał wesoło.—Hoymowej już nie puszczono do domu.

— I kochani moi przyjaciele — wtrąciła Cieszyńska — postarali się, aby mnie do domu wyprawiono.

— Jak tam król z wizytą do niej przyszedł, dźwigając wór złota, którego by trzech ludzi nie podniosło, jak do nóg jej padał, jak cyrograf na siebie

wydał, a Hoym poszedł z kilku tysiącami dukatów konsolować się po stracie uleciałego ptaszka... toś pewno księżna słyszała

Wtem przerwał sobie nagle.

— Mościa księżno, a cóż dalej? Macie jakie rozkazy?

Chciał napróżno odgadnąć, co myślała, i jakie to na niej robiło wrażenie. Cieszyńska obojętną się osłoniła pogardą.

— Nie mam nic dalej!—odparła;—wybiorę sobie rezydencyę i raz przynajmniej w życiu spocznę. Co ma być dalej?—dodała, zaciskając usteczka i sznurując je — widzisz waćpan sam, jestem stara, czas pokutować za grzechy. Jadę też spowiadać się wujaszkowi... ten, spodziewam się, da mi rozgrzeszenie... a potem — mówiła zamyślona, poczynając się przechadzając, jakby zapomniała o Puciacie — a potem?... potem...

Gość stał i słuchał, zwróciła się ku temu.

— Zapomniałam pytać, waćpan o tem wiedzieć musisz... Co myślą, gdzie są Sobiescy?

Zapytanie to wydało się Puciacie dosyć ociężałej myśli i nieprzygotowanemu do odpowiedzi, tak zrazu dziwnem, że długo wahał się z odpowiedzią.

W rzeczy samej Sobiescy go nie wiele obchodzili, nikt na nich teraz wielkiej uwagi nie zwracał. Litwin ruszył ramionami.

— Bóg ich święty wiedzieć raczy — przemówił w końcu.—Królowa, której tu bez królowania ciężko żyć, podobno się wybiera za granicę... naśladując szwedzką, bodaj do Rzymu; jeden syn pewnie jej będzie towarzyszył, a reszta...

Ręką zamachnął.

— Pieniędzy, nadaremnie się kłócąc, stracili dużo... a teraz już królowa niema urzędów na sprzedaż...

Nie dopytywała go dłużej piękna pani, zajęta własnemi myślami więcej, niż nim...

Tymczasem powozy gotowe zachodziły i Pucia-

tę pożegnać było potrzeba... Z królewską powagą zbliżyła się do niego, tem dumniej, że w nim postrzegła pewne spoufalenie, które upadkowi swojemu przypisywała.

— Dziękuję waćpanu — odezwała się — za jego troskliwość o mnie. Tymczasowo ja usług jego życzliwych nie potrzebuję, ale możesz mi być później użytecznym. Sama jednak nie wiem dotąd, gdzie się osiedlę. W Cieszynie wątpię, na Łużycach pustynia i za blizko Drezna, w Polsce nie mam jakoś ochoty. Muszę się namyśleć i rozważyć... Dowiesz się łatwo, gdzie mnie szukać!

Odprawa ta dana wiernemu słudze z góry i zimno, zasmuciła go widocznie; chciał czynić wymówki, lecz księżna, unikając ich, już z Grądzką do kolebki swej pośpieszała, wydając rozkazy i ani spoglądając na Puciatę...

Ludzie zawiadomieni już byli, że do Łowicza jechała.

W milczeniu smutnem i rozmysłach upłynęła podróż ta, w czasie której piękna Urszula ust prawie nie otwierała. Sama sobie oddana, bez porady, bez przyjaciół, musiała obmyślać, co ma dalej poczynać. Rachowała nieco na Prymasa, ale o tyle tylko, o ile mu mogła być potrzebną, a interesa ich godziły się z sobą.

Postępowanie Aurory mogło ją nauczyć nieco, lecz temperamenta ich i charaktery różniły się. Szwedka była dość chłodną, mniej dumną i dającą się unosić fantazyi. Cieszyńska nierównie przebieglejsza, namiętniejsza, ale razem lekkomyślniejsza i płocha, nie mogła zapomnieć, że wprzódy, niż Cieszyńska, była Lubomirską, że sławę swą poświęciła i że jedną nóżką była już na stopniach tronu.

Z tego, co widziała i słyszała, dorozumiała się, że zwycięztwa Karola XII wielkie w Polsce wywołają zmiany. Rokosz mógł złożyć z tronu Augusta. Szwed tego się domagał. Na nową elekcyę Contiego spodziewać się już nie było można, bo i on się za-

wiódł i na nim się zawiedziono... innych kandydatów nie widać było... Sobiescy się nastręczali, narzucali, choćby byli bezczynni...

Urszula widziała to, jak na dłoni... i roiła sobie, że ulubieniec matki, Aleksander, mógł teraz być wybranym. Chociaż Jakób spokrewniony był z cesarskim domem i miał za sobą księżniczkę z panującego rodu, nie zdawało się jej niepodobnem, aby Aleksander z nią się ożenił...

Była to myśl zuchwała i dziwaczna, ale piękna Urszula miała nadzwyczaj wysokie wyobrażenie o swej piękności, a większe może jeszcze o przebiegłości i rozumie.

Gdy myśl uchwycenia się Sobieskich raz jej się nastręczyła, pozbyć się jej już nie mogła. Wyobraźnia panowała nad nią, obrabiała ją, kształtowała, odgadywała następstwa i księżna Cieszyńska, nim dojechała do Łowicza, już była do niej roznamiętnioną. Z trudnością jej nawet przychodziło nie zdradzić się z tem przed Grądzką, tak się z kimś dzielić potrzebowała. Radaby była stanąć jak najrychlej w Łowiczu, choć i tu trudno było otwarcie rzucić to na stół.

W Łowiczu, jak zawsze, gości duchownych i świeckich było mnóstwo. Prymas nie mógł się im opędzić, narzekając na ogromne koszta i wydatki, na jakie go elekcya Sasa narażała. Pojednany z królem na pozór, oświadczający się ciągle z uwielbieniem dla niego, występujący z radami, domagając się dla siebie i swoich wpływu, którego nie miał, w duszy był najzaciętszym wrogiem Augusta.

Niechęci tej i wstrętu nie obudzało w nim postępowanie króla, jego intrygi na obalenie Rzeczpospolitej, życie rozwiązłe, fałszywość, ale wprost tylko to, że nim zawładnąć nie mógł. Nienawidził Przebędowskich, Dębskiego i wszystkich, którzy bliżej pana stali!

Stosunki dwóch przeciwników, obu ich były godne. Prymas publicznie głosił swe przywiązanie, wier-

ność dla Augusta, w kółku zaś poufałem zwał go Antychrystem. Król pisał listy, pełne pochlebstw dla Radziejowskiego, czcił go, obiecywał mu złote góry, udawał, że mu ufa i wierzy, a przy drzwiach zamkniętych łajał go i oburzał się na zdrajcę, będąc doskonale uwiadomionym o każdym kroku jego.

Z nich dwu w tej grze mocniejszym był król, gdyż mniej jeszcze, niż Prymas, miał do poszanowania, a na *vox populi* bynajmniej się nie oglądał. Kilka lat panowania i nabyte doświadczenie nauczyło go postępowania z Polakami. Dozwalał im na sejmach tem swobodniej się wykrzyczeć, że ich wcale nie rozumiał, obiecywał, co tylko chcieli, a robił, co mu było potrzeba. Wojska saskie wyciągały z jednej, a wchodziły z drugiej strony. Gdy zbyt wiele wrzawy na nadużycia podnosiło się w Mało Polsce, Sasi wychodzili do Prus, tak samo uspokajano Wielko Polskę. Tymczasem August zamek na Wawelu umacniał i na twierdzę go powoli przerabiał...

Nieustanne porażki i coraz zuchwalsze, a szczęśliwe występowanie Karola XII, do wściekłości niemal jątrzyły Augusta, chociaż z uśmiechem wzgardy odbierał o nich wiadomości. Szpiegowie jego otaczali Szweda i myśli, zaledwie rodzące się, wykradali mu, sprzedając je Sasowi. Na wagę złota opłacał najdrobniejszą wskazówkę, chociaż z nich nie umiał korzystać. Całe postępowanie było jaknajdziwaczniejsze...

Wśród najstraszniejszych strat i klęsk, August nie zmienił ani na włos trybu życia, nie wstrzymywał się od obchodzenia wystawnego karnawału, od balów i maskarad w Lipsku, od sprowadzania komedyantów z Francyi, od sypania pieniędzy na metresy.

Wojsko było głodne i żywiło się rabunkiem, przyczyniając królowi nieprzyjaciół, a król sypał złotem na rozpustę i zapijał się w towarzystwie swych włochów, niemców, francuzów, olbrzymów i karłów,

trefnisiów i wszelkiego stopnia i kondycyj kochanek które rozsadzał wszędzie.

Wszystkie klęski, jakie ponosił od Szweda, zdawały się dla niego rzeczą przemijającą i nietrwałą, jak gdyby ostatecznego zwycięztwa był pewnym. Karol XII musiał raz ztąd ustąpić, a on zapłacić mu odwetem z pomocą cara Piotra.

Przybycie do Łowicza księżnej Cieszyńskiej, której się tu spodziewano, przypadało w tej chwili właśnie, gdy się tu pocichu stronnictwo, a raczej służba Radziejowskiego przysposabiała do potajemnego popierania tych, którzy w imię Rzeczypospolitej, pomijając Augusta, układać się gotowali ze Szwedem.

Myśl ta rzucona, pochwycona, podniesiona, coraz więcej zyskiwała adherentów. Taką drogą chciał Prymas przygotować detronizacyę Sasa, a postawienie na jego miejscu własnego kandydata.

Któż nim mógł być łatwiej nad Sobieskiego, nad jednego z Sobieskich? Nie wymawiano jeszcze imienia tego, ale pewne wskazówki kazały się domyślać, że i Jabłonowski, który tak dzielnie dopomagał na tron Augustowi, odstąpi go teraz i do Sobieskich się przyłączy.

Wszystko to jeszcze mglisto się przedstawiało; jedno tylko było bardzo wybitnem, że coraz więcej panów i szlachty przeciwko Augustowi się oświadczało.

Towiańscy, którzy ani na chwilę nie opuszczali kardynała, cała ich rodzina, aż do najdalszych powinowatych i kilku Lubomirskich, oprócz tego mnóstwo urzędników i senatorów, duchowieństwa z różnych ziem, wojskowych... zalewało miasteczko i zamek w Łowiczu, tak, że przodem wysłany dworzanin ledwie się pomieszczenia dla księżnej mógł doprosić, z tem, że dwór jej i ekwipaże na miasto iść musiały.

Towiańscy przyjęli wiadomość o przyjeździe prawie kwaśno. Pomódz im nie mogła w niczem, a na-

daremnie wtrącać się tylko i przeszkadzać w mnogich intrygach. Ale księżna była bardzo majętną, bo mimo wystawnego nad miarę dworu, zachowała się dobrze, a dobra jej dosyć przynosiły; kasztelanowa szanowała w niej dostatki... Przyjęto więc piękną Aryadnę tem otwartszemi rękami, tem serdeczniejszem współczuciem, im mniej go miano dla niej rzeczywiście.

Kardynał nie ukazał się aż u stołu... do którego Cieszyńska wystąpiła w klejnotach, strojna, ubielona i umalowana, a bardzo ponętna. W tej chwili musiała nią być, aby nie okazać, że czuła swe owdowienie i rozpaczała o przyszłości.

Z powagą, czułością odegraną dobrze, ale bez zbytniego wylania się dla krewnej, przyjął ją kardynał. U stołu posadzono ją przy nim, aby mogła odpowiadać pocichu na mnogie pytania... Kilka razy niecierpliwa próbowała coś wtrącić o Sobieskich, lecz Prymas udał, że nie słyszy i nie rozumie. W końcu szepnął, ogólnikiem zbywając ją:

— Do tego jeszcze daleko!

— Gdybyś książe chciał (zwała go tak zawsze pochlebnica z tytułu księcia kościoła), mogłoby się to zbliżyć!

Prymas nic nie odpowiedział.

W ogólnej rozmowie Radziejowski nakłaniał, aby się około tronu skupiono, i ubolewał nad losem króla...

Nowiny z Wielkopolski przynosiły to, co księżna ztamtąd przywiozła. Gotowano się, w imię Rzeczypospolitej, układać z Karolem XII, który o życzliwości swej dla niej zaręczał. Razem z tem opowiadano o dzikości Szweda, w której jedni upatrywali bohaterstwo, a drudzy szaleństwo... Narzekano na jego despotyzm i kontrybucye, rabunki kościołów, najazd dóbr duchownych i t. d.

— Takeśmy się dobrze urządzili—mówił jeden z biskupów—że z jednej strony lutry Szwedzi, z dru-

giej strony lutry Sasi nas drą, a my pisnąć nawet nie śmiemy!

Po dosyć długiem ucztowaniu, Prymas oddalił się dla siesty i spoczynków, goście porozbijali się na kupki, a kasztelanowej pozostała główna grupa.

Nadchodził wieczór, księżna jeszcze swych powieści nie dokończyła, uskarżając się przed Towiańską, gdy na dworze zrobił się wielki ruch i szmer, jakby coś nadzwyczajnego zaszło.

Kasztelanowa rzuciła się naprzód dowiedzieć, czy się co kardynałowi nie stało, lecz powróciła wprędce uspokojona. Listy jakieś tylko pilne nadeszły z Warszawy.

Tajemnica ich nie zachowała się długo... wybuchnęła ona wielkiem i nietajonem oburzeniem przeciwko królowi. Z Wilanowa przywieziono wiadomość, że Jakób i Konstanty Sobiescy na cudzem terytoryum na Szlązku, zaproszeni na polowanie, z pogwałceniem wszelkich praw, bez względu na powinowactwo z domem cesarskim, zostali z rozkazu Augusta aresztowani i pod mocną eskortą uprowadzeni do Saksonii na jakąś twierdzę.

Gwałt ten i samowola, której nic nie usprawiedliwiało, niesłychanie wszystkich przeciwko królowi oburzyły. Nie szło tu już o Sobieskich, ale o najwalniejsze prawa szlachty polskiej, owe wiekami utrwalone *neminem captivabimus*. Był to więc początek zapowiedzianego wywrotu zasadniczych ustaw Rzeczypospolitej.

Głoszono w Warszawie, że nie miało się skończyć na Sobieskich; odkryty był spisek przeciwko królowi, zmowa na jego życie, miano więzić innych. Starczyło podejrzenia, a nawet potwarzy, aby się pozbyć tych, którzy Augustowi zawadzali.

Prymas Radziejowski rad był naturalnie, że otwarcie króla i jego postępowanie potępić może. Szeptano, że Jabłonowskiego ten sam los spotka. Bystrzejsi wiedzieli, iż Sobieskich zamknięto, bo król

się obawiał, aby go Karol nie zdetronizował, a nie poparł Jakóba lub jego brata.

Z trzech jednak jeden pozostał wolnym, Aleksander, a do tego natychmiast posłano zawiadomienie, aby się od gwałtu zabezpieczył. Nie pozostawało mu nic, tylko w obozie Karola XII szukać schronienia.

Na księżnę Cieszyńską spadały te wiadomości, jak grom, ale ją utwierdziły w myśli, że może Aleksandrowi, najmłodszemu z Sobieskich, być pomocną.

Nie wydała się z tem; rozjaśniło się jej tylko lice, spojrzała parę razy w zwierciadło; była pewną, że młodego niedoświadczonego Aleksandra ująć potrafi.

Do późnej nocy trwały na zamku narady, pisanie listów, wysyłki gońców na wszystkie strony.

Księżna cieszyńska skorzystała z okazyi tych, aby do swych przyjaciół i pomocników rozesłać bileciki i nie dać im zapomnieć o sobie.

Nie było nikogo w Łowiczu, coby króla postępowanie pochwalał i uniewinniał. Prymas wzdychał niby ciężko, lecz zarazem cieszył się z popełnionego błędu, gotując się z niego korzystać. Wszyscy widzieli w nim dowód, że Sas przywiedziony do ostateczności, chwytał się ostatecznych środków, bo się czuł w położeniu rozpaczliwem.

Gotowano się na sejm zapowiedziany wystąpić nie za Sobieskiemi, ale za prawem zasadniczem pogwałconem.

Królewscy adherenci tłumaczyli go jedynie wojną, choć nie było przykładu, aby ona w Polsce gwałt czyniła bezkarnym.

Zabawiwszy dzień jeden tylko w Łowiczu, widząc że ją tu niebardzo zatrzymywano, Cieszyńska nazajutrz wybrała się do Warszawy i natychmiast posłała po Witkego, wiedząc, że go u Renardów szukać potrzeba. Znaleziono go tu wistocie, alu przywlókł się tak znękanym do księżnej, iż niewiele sobie z niego pociechy obiecywać mogła.

Zawiedzione nadzieje, poniesione straty, naostatek smutne przekonanie, iż ta Henryetka, w której się rozkochał do szaleństwa, wcale sobie, wychodząc za niego, świata zawiązywać nie myślała, do rozpaczy go przywiodły.

Zwykle milczący, tym razem boleściwie się począł uskarżać przed księżną na los swój i na doznane zawody.

— Nic mi innego nie pozostaje—rzekł w końcu — jak porzuciwszy te mętne sprawy, do których stworzony nie jestem, powrócić do szalek i miarki... Człowiekiem u dworu posługują się jak ścierką, a potem rzucają go na śmiecisko... — Masz księżna jejmość na sobie dowód, jak się tu poświęcenia płacą. a mnie też za wielkie utrapienia i posługi tylko straty spotkały i sponiewieranie. Rad się precz cofnę!

Księżna słuchała, główką potrząsając.

— A waćpan myślisz, że tu raz zagrzązłszy, wydobyć się łatwo? — zapytała.— Królowi raz posłużyłeś, toś się związał, a czy ci to będzie dogodnem lub nie, o to on wcale nie dba. Co innego ze mną, mnie on rad się pozbędzie, a ja rada też abszyt dostanę.

— Ale gdzie się schronię, Bóg jeden wie! Aurora może w Dreznie przesiadywać, bo jej rany się już przygoiły, a moje krwią jeszcze płyną.

Na Witkem wiadomość o uwięzieniu Sobieskich, która w Polsce takie czyniła wrażenie, najmniejszego nie zrobiła. Uśmiechnął się.

— Alboż księżna sama się do tego nie przyczyniłaś, że kanclerza Beichlinga posadzono w Königsteinie? Dla króla Sobiescy nie lepsi, nawet cesarz szwagier się nie wstawi za nimi.

Ręką rzucił.

— Będzie tego więcej!—dokończył.

— Dobrze choć na ten raz kobietą być—odezwała się pani Urszula,—przynajmniej do fortecy nie wsadzą.

— Jabym za to nie ręczył—dodał zniechęcony

Witke.—Gdybyś księżna groźną się stała! Zamków dużo pustych nad Elbą.

Cieszyńska pobladła, ale nic nie śmiała odpowiedzieć.

Nazajutrz, nie opowiadając się nikomu, cicho, skromnie, wysunęła się do Wrocławia i przez czas jakiś nic o niej słychać nie było.

Witke wybierał się do matki, ale Henryetki oczy go trzymały... Przeklinał dzień i godzinę, gdy ją zobaczył, a oddalić się nie mógł.

VI.

August cicho, potajemnie zjawił się w Warszawie, ale na zamku nie gościł. Z małym pocztem konno, pod pozorem jakichś strategicznych planów i oglądania wojsk, dojechał nocą na Bielany.

Nazajutrz ze stolicy sunęły się powoli i biegli konni, ale po drodze nie przyznał się nikt do celu podróży, każdy miał jakiś interes prywatny. O królu nikt nie wiedział.

Dla biskupa Załuskiego, który się tu znalazł podówczas, jak dla innych panów polskich, których powołał do siebie na radę, król się stawał coraz mniej zrozumiałą istotą.

Przeszedł on na stronę jego, czując w nim siłę, która dla pacyfikacyi i uporządkowania Rzeczypospolitej była potrzebną, lecz doznał bolesnego zawodu. August, który w rozmowach z Załuskim dowodził wybornego pojęcia swego położenia i wymagań jego, doskonałej przytem znajomości ludzi, zręczności w posługiwaniu się niemi, zdumiewał go potem nieudolnością w czynach. Biskup się przekonywał coraz mocniej, że wiary mu w niczem dać nie było można.

Gdy August z czynności swoich nie mógł się wytłumaczyć, miał nawyknienie omijać je, upartem zbywać milczeniem i nie dopuszczać rozprawy.

Wśród tych zawikłań i niezliczonych strat, biskup nie spostrzegł na jego twarzy chmurki najmniejszej. Nie mówił o tem, co go martwić mogło. Żaden dzień przytem nie minął bez ucztowania rozpasanego i ostatecznego upojenia.

Załuski wcześnie się zawsze cofał, lecz wiedział o tem przez drugich.

Widząc go tak swobodnym po tylu zawodach, przegranych bitwach, poniesionych stratach, Załuski musiał przypuszczać, że czuł jakąś siłę, która mu upaść nie dozwalała, bo lekkomyślność przechodziła wszelkie granice.

Ilekroć poważny, sumienny mąż próbował na cztery nawet oczy rozprawiać się z królem otwarcie, aby wiedzieć czem i jak ratować się myśli, spotykał się z wejrzeniem szklanem, bezmyślnem, ustami zaciśniętemi i odpowiedzią, która odwracała natychmiast przedmiot rozmowy.

Zdumiewało w nim i to, że największą uprzejmością, nadskakiwaniem niemal, przyjmował tych, których nie cierpiał. Fleming, Przebędowski, Dębski, czas jakiś Förstenberg spotykali się często z grubijaństwem, z naganą, ze słowem żywem i nie zmierzonem; — ale taki kanclerz Beichling, w wigilję uwięzienia, Aurora, gdy ją miał odprawiać, Cieszyńska, gdy już sobie umawiał Hoymowę i starał się dla niej u cesarza o tytuł hrabiny Cosel,—znajdowali go wylanym, serdecznym, pełnym czci i uwielbienia.

Dla obcych był zawsze z dumną, ale niesłychanie wielką uprzejmością.

Załuski, który znanym był ze swego przywiązania do króla Jana i interesowania się jego rodziną, pewnym był, że August, zobaczywszy go, wytłumaczyć się będzie starał gwałt, na Sobieskich popełniony.

August przyjął go w progu, rękami otwartemi,

zapytaniami o zdrowie, o podróż odbytą, ale pomimimo przedłużonego umyślnie pobytu jego u siebie, nie dopuścił nawet wzmianki o Sobieskich, a gdy biskup w końcu odważył się sam o nich zagadnąć, uśmiechnął się, popatrzył mu w oczy i odwrócił, zostawując bez odpowiedzi.

Fleming, którego biskup starał się wybadać potem, wyznał mu w największym sekrecie, że... własny spowiednik Jakóba go wydał, jako spiskującego wraz z innymi panami na życie króla.

Załuski, łamiąc ręce protestował, domagał się tego spowiednika, ale Fleming nie odpowiedział niczem, prócz powtórzenia potwarzy.

Oprócz tego niemcy głosili, że Sobiescy byli w stosunkach z Karolem XII, co było prawdopodobniejszem i że August zmuszonym został w obronie życia i korony ostatecznych chwycić się środków.

Inni panowie nie wiele więcej mogli się od króla dowiedzieć i poznać po nim.. Skarżył się na nudy, na niezręczność tych, którymi się posługiwał, tęsknił za Dreznem.

Constantini, bez którego August nie umiał się obejść i tym razem mu towarzyszył, a zaledwie przybywszy na Bielany, wymknął się do Warszawy, aby pochwycić swego pomocnika, nieszczęśliwego Witkego.

Wiedział dobrze, iż go najłatwiej znajdzie w winiarni Renarda. Tym razem wszakże się omylił; zniechęcony zalotnością Henryetki, niemiec próbował walczyć ze swą namiętnością i mniej u Renardów przesiadywał.

Włoch zastał tu towarzystwo wielce ożywione i nie zupełnie sobie obce, bo siedzieli gromadą oficerowie gwardyi saskiej, pili, grali, i nie puszczali od siebie pięknej Henryetki.

Mazotin mało co ją widywał... teraz zaś strojna, a przepiękna swą młodością i wdziękiem wesela tego, które ona daje, zachwyciła go!

Rufian z rzemiosła, włoch, zobaczywszy ją, nie

o sobie pomyślał, ale o królu! Gdy mu to raz w głowie zaświtało, wybić już było trudno. Król się nudził i bywał wieczorami wściekłym, potrzeba go było na tych dni kilka zająć czem koniecznie. Dziewczę to dorastające było prawdziwie królewskim kąskiem.

Naturalnym pośrednikiem, pomocą do tej niepoczciwej sprawy, powinien był być, wedle jego przekonania, nie kto inny, tylko Witke! Ale Constantini wiedział, domyślał się raczej, że kupiec szalenie się w niej kochał! Rachować na niego ani podobna było.

Włoch pomyślawszy nad tem, pozostał w winiarni, aby się lepiej rozsłuchać i rozpatrzeć.

Miał kilku oficerów znajomych, a wszyscy o nim wiedzieli, że był potęgą. Nadskakiwano mu więc bardzo. On tymczasem nie spuszczał oka z dziewczęcia, zabrał znajomość z matką, zbliżył się do ojca. Wiedziano tu dobrze o nim przez Witkego, który często wspominał Mazotina.

Poczęła się tedy pijatyka, do jakiej naówczas byle sposobność pochop dawała.

Constantini wziął na stronę jednego z oficerów, von Plauna.

— Wam tu, moi panowie rozkosznie żyć—odezwał się do niego. — Tuż pod zamkiem macie taką dobrą winiarnię, uprzejmych gospodarzy i takie śliczne dziewczę!

— A! śliczne! śliczne – odparł oficer, — ale co nam potem! Śmieje się, usługuje, czasem nawet uda się złapać całusa, ale matka, jak ostrowidz, czuwa, patrzy i chodzi za nią. My tylko zdala się jej przyglądamy i oblizujemy.

— E! e!—zaśmiał się włoch—dziewczyna z takiej winiarni, żeby znów tak okrutną być miała. Mnie się to nie widzi.

— Tak jest; porucznik Friesen, ja, Herder na zabój się kochamy, nadskakujemy, a nic zyskać nie możemy. Mówią o bogatym kupcu z Drezna, nieja

kim Witke, który się tu dla miłości jej bodaj osiedlił, gotów się pono i ożenić, ale i on nie wskóra nic! Rodzice ją pono na wabika do handlu trzymają.

— Do czasu—przerwał włoch.—Znajdzie się nać was zręczniejszy, który dziewczę zbałamuci i—uwiedzie.

Von Plaun potrząsnął głową.

— Wątpię!—rzekł. — Ktoś się wprzódy ożenić chyba będzie musiał, a potem, potem — kto ją wie; zalotną jest szatańsko...

Constantini, który w obcowaniu i zalecaniu się kobietom, miał wielką zręczność i doświadczenie, nie stracił dnia tego i gorąco Henryetce nadskakiwał. Rodzice wcale mu tego za złe nie poczytali, a dziewczę uwzięło się, aby mu zawrócić głowę. ale w rozmowie z matką, z ojcem, przekonał się Mazotin, iż w istocie nad nią czuwali pilno...

— Panie radco (Constantiniego tak tytułowano przez grzeczność, choć on sam na równi z ministrami się stawiał) panie radco, — mówił mu stary Renard,—nasze dziewczę posagu mieć nie będzie, krom swej piękności i statku. Musimy nad nią czuwać, to nasze jedyne oko w głowie.

— Nie lękacie się przyjmować tyle młodzieży?—wtrącił Mazotin.

— Hm! to nasza najlepsza klientela, — rzekł francuz.—bez niej by handel zamknąć przyszło. Henryetce też należy oddać sprawiedliwość, że jest rozumną i stateczną; jako młoda gosposia musi się gościom uśmiechać, śmiać się lubi, oczyma strzela, ale nadto się do siebie zbliżyć nie dopuszcza. Zalotną być musi... ale...

Wyrazistym ruchem dokończył Renard...

Wszystkie te zebrane spostrzeżenia i wiadomości nic zastraszyły bynajmniej Constantiniego; powtarzał sobie:

— To królewski kąsek.

Nie znaczyło dla niego nic zgubić młode dziewczę, gdy mógł królowi choć chwilową rozrywkę za-

pomnienie trosk i utrapień dostarczyć, a wiedział bardzo dobrze, iż taka nowość nadzwyczaj była Augustowi ponętną.

Ani nowo zdobytej pani Hoym, ani żadnej z dawnych przyjaciółek, Aurory, Spieglowej, ks. Cieszyńskiej nie było w Warszawie, król wpadał chwilami w gniewne szały, czasu których był niebezpiecznym. Constantini chciał koniecznie na to znaleźć lekarstwo, a nie było skuteczniejszego nad znajomość z Henryetką.

Króla tu mało znano i widywano; zmieniona peruka, strój, ubranie skromniejsze mogły nie dać go poznać Renardom; szło tylko o to, aby innych gości oddalić... Wszystko należało obmyśleć, przygotować, a ostateczne rozwiązanie pozostawić samemu Augustowi...

Witke, jako dobry przyjaciel domu, byłby się tu bardzo mógł przydać, ale Mazotin czuł i wiedział, że on sam szalenie się kocha w dziewczęciu i był o nią zazdrosny...

Układając plan, włoch powrócił na Bielany, ale wieczorem rozbierając króla i będąc z nim sam na sam, podszepnął, że w Warszawie upatrzył młodziuteńką francuzeczkę, taką, iż przed nią klękać było...

August się natychmiast zapalił. Constantini począł od tego, że ani było myśleć do niej przystąpić i dla rodziców i dla oficerów saskich, którzy ją oblegali nieustannie. Przymierze z carem Piotrem, wojna z Karolem XII, zdrady Prymasa, burze na Litwie, wszystko zapomniane zostało... król rozpytywał o Henryetkę, nie puszczając od siebie Mazotina... Kazał mu natychmiast przedsiębrać właściwe starania, ale pierwszą znajomość z dziewczęciem chciał zawiązać, jako prosty oficer gwardyi...

Wiedział włoch, że mu się te zachody sowicie nagrodzą, ale nie mniej stękał, że mu to ciężko przyść miało. Potrzeba było rodziców skłonić do przyjęcia tajemniczego gościa, o którym Mazotin mówił,

że był wielkiego rodu, bardzo bogaty i że im i córce mógł przynieść szczęście... zapewnić przyszłość świetną.

Zaraz nazajutrz rozpoczęły się zabiegi, a że Constantini obawiał się bystrego oka Witkego, zmyślił potrzebę jakąś i odesłał na straż do Łowicza.

Niemiec nic nie podejrzewał.

Constantini po jego wyjeździe nie miał już spoczynku, naprzód się postarał przez dowódzców, aby na czas jakiś oficerów saskich od uczęszczania do Renarda wszelkiemi możliwemi środkami odciągnąć... Następnie ujął sobie matkę i ojca, naostatek mocno zajął i obudził ciekawość dziewczęcia...

Ułożonem więc zostało, że król sam z Mazotinem tylko, najwierniejszemi swymi trabantami poprzebieranymi, miał w nocy konno przyjechać do Warszawy...

Tu u Renardów czekać na niego miała wieczerza, na którą zostały zaproszona Henryetka z matką. Mazotin sypał pieniędzmi, a więcej jeszcze nic nie kosztującemi przyrzeczeniami. Dla ujęcia dziewczęcia zawczasu król dał mu bardzo piękne kolczyki, które jako zadatek miał ofiarować.

Trudno się domyśleć, czy Renardowie starzy, znając położenie i stosunki Constantiniego nie domyślali się czegoś... Córce jednak nie mówiono nic, obiecywano jej tylko bogatego saskiego grafa, który gdzieś zdala ją widział, a teraz pragnął zobaczyć zblizka...

Król August był niewątpliwie jednym z najpiękniejszych mężczyzn swojego czasu, a gdy chciał, umiał być też jednym z najuprzejmiejszych, najczarowniej ujmujących, w obejściu się władnąc sobą tak doskonale, że od rubaszności grubijańskiej do sentymentalności, grał z równą łatwością wszystkie role...

W towarzystwie francuzkich tancerek, które niegdyś nad Renem spotykał, zachwycał je rozpasaniem; na dworze francuzkim, z paniami wielkiemi był to

galant pełen dystynkcyi. Nie kosztowało go nic zmieniać fizyognomię i charakter...

Z bardzo małemi wyjątkami ówczesny świat niewieści uwielbiał tego Don-Juana. Nastroić się do towarzystwa kobiecego wszelkiego rodzaju przychodziło królowi z największą łatwością.

Constantini zaledwie mógł jego niecierpliwość pohamować, tak mu było pilno poznać Henryetkę... Była to dla niego zabawka tylko, ale zabawa i nasycanie się, choćby największym kosztem, były u niego celem życia.

Po kilkudniowych zabiegach dzień został naostatek wyznaczony. Król wymknął się, ubrany w mundur oficera gwardyi saskiej, dosiadł konia i puścił się tak szalonym pędem, że włoch ledwie go mógł dogonić.

Godzina była dosyć spóźniona, handel Renardów, wedle umowy, zamknięty. Constantini od podwórza wprowadził Augusta, który bardzo dobrze udawał skromnego wojskowego; Renardowie oczekiwali z przygotowaną wieczerzą.

Zalotne dziewczę ustroiło się dla gościa ze staraniem nadzwyczajnem; matka i ona pracowały nad tem dzień cały. Była też czarującą, choć więcej wdziękiem młodości niż klejnocikami i szarfami, któremi ją ubrano...

Nadzwyczajna jej piękność odrazu uczyniła wrażenie wielkie na zapalnym Auguście... Constantini spostrzegł to i lękał się, aby namiętność nie wybuchnęła zbyt gwałtownie, pośpiesznie i nie zdradziła go. Król sam nie życzył sobie tu być poznanym, gotów był do ofiar... ale się obawiał Hoymowej i trochę wstydził, że spadł tak nizko.

Przy wieczerzy, choć pił wiele, zachował się tak, iż mógł ujść za oficera i syna majętnej familii grafów... jakim go opowiadano. Starając się podobać, był nadzwyczaj uprzejmym dla Renardów, iż się nie wahali przyrzec chętne przyjęcie.

Henryetce podobał się piękny oficer, ale budził

w niej jakąś obawę; domyślała się, że nie był tym, za kogo jej go przedstawiono... zdradzały go drobne rzeczy,—ogromne pierścienie brylantowe na palcach i guzy u kamizelki z kosztownych kamieni.

Gdy król tak zabawiał się wieczorami, dniami zajęty swą polityką, wojskiem i łagodzeniem rozdrażnienia, jakie uwięzienie Sobieskich i Jabłonowskiego wywołało, Witke niespokojny pod jakimś pozorem wyrwał się z Łowicza i naprzód wbiegł do Renardów.

Włoch zalecał im mocno zachowanie tajemnicy o wieczornych odwiedzinach, ale kupiec był na takiej stopie z niemi wszystkiemi, iż ukryć przed nim, co się działo w domu, było niepodobna.

Pierwsza się wygadała Henryetka, spodziewając się, że Witke jej odkryje prawdziwe nazwisko tego oficera. Niemcowi już i tak podejrzewającemu Constantiniego nie było trudno zgadnąć, kogo on tu przyprowadzał; opowiadanie dziewczyny o pierścieniach i guzach, dało mu pewność, że się nie mylił, ale nie chciał powiedzieć jej, że to ten oficer był królem.

Napadł we cztery oczy na Renarda...

— Gubisz swe dziecko! Z całego zachodu około tych wieczorów mogłeś się domyśleć, kogo ci ten włoch ściągnie. To nie kto inny, jak król...

— To cóż?—odparł francuz. — Jam go odrazu poznał, ale rady na to nie mam! Mogłem się narazić?... Odmówić przyjęcia nie było podobna, ale Henryety mu przecież nie sprzedamy...

Witke rzucił się zrozpaczony...

— Nie mogłeś się oprzeć, gdy szło o przyjęcie — zawołał — nie potrafisz ratować jej, gdy ci ją zechcą wydrzeć...

Zakochany łamał ręce i płakał. Parę godzin tu zabawiwszy, siadł na wóz i pojechał do Bielan...

Co się potem z nim stało? gdzie się podział?— Renardowie nie wiedzieli, bo się nie rychło pokazał u nich. Wpadł jak kamień w wodę...

Tymczasem wieczory u Renardów następowały

jeden po drugim. Polityka nieszczęśliwa pożerała dnie, a miłostki te i pijatyki—wieczory i noce; lecz król nigdzie teraz długo miejsca nie zagrzewał... bo Karol XII nie dawał mu spoczynku.

Coraz groźniej zarysowywała się przyszłość, a siły cara Piotra, na którego pieniądze i ludzi najwięcej rachował August, okazywały się niedostateczne... Starzy dowódzcy wprawdzie prorokowali Szwedowi, że się zuchwalstwem swojem i niesłychaną porywczością zgubi w końcu, tymczasem jednak zwyciężał i August z przerażeniem zaczynał już przewidywać, że się na Polsce nie skończy, a kolej przyjdzie na dziedziczne jego państwo—na Saksonię!

O Polskę dbał niewiele. Saksonia tymczasem była śpichrzem i skarbnicą... Jedyną nadzieję miał August, że cesarz nie dopuści Szwedów, biorąc stronę Kurfirsta..

Po długich naradach, w czasie których poraz pierwszy w charakterze posła czy agenta cara Piotra występował Patkul, August zniknął z Warszawy.

Nowa ta osobistość, w początku mało wybitna, coraz znaczniejszą odgrywała rolę... Zajadły wróg Szweda, Patkul, gdzie mógł i jak mógł przeciwko niemu intrygował i zabiegał. Wszędzie, gdzie się pokazał, zyskiwał ludzi.

Był to znakomity talent dyplomaty szkoły Machiavella, dla którego w polityce nie było innych praw nad zdobycie zamierzonego celu... Nic go nie kosztowało zdradzać Piotra przed Augustem i nawzajem, posługiwać się ludźmi, wyzyskiwać słabości, jak sprzedajność Prymasa... Ale sąd miał o sprawach bystry i zdrowy, a rady, które dawał carowi, do potrzeb czasu doskonale były zastosowane.

Augusta umiał oczarować łatwością w obejściu się, obyczajami wielce cywilizowanemi i zręcznem przybranem uwielbieniem dla niego, choć tak go cenił, jak zasługiwał.

Nikt naówczas w intrygach politycznych czynniejszym nie był nad Patkula, który biegał na prze-

miany do cara, do króla, do Danii, a gotów był na drugi koniec świata, byle zmódz nienawistnego Karola i oswobodzić od niego Inflanty.

Z carem Piotrem równie umiał pochlebstwy sobie zaufanie wyrabiać, ale rady mu dawał zdrowe, które umysł Piotra oceniał i do nich się stosował.

Ulubieniec salonów, równie jak gabinetów dyplomacyi, Patkul nie zaniedbywał żadnego środka pomocniczego tak, że gdy pani Hoym wystąpiła na scenę, jako wszechmocna metresa, Patkul i ją już zabiegł i potrafił ująć na swą stronę, zaniedbując księżnę Cieszyńską, której wprzódy dworował.

August do rad i działania Patkula przywiązywał największą wagę, ujmował go, opłacał i chciał sobie całkiem pozyskać. Tymczasem teraz zajmował on stanowisko posła, czy agenta Piotra, co nie przeszkadzało mu brać pensyi od Augusta.

Gdy króla już na Bielanach nie było, a w Warszawie nie wiedziano nawet, dokąd się udał, jednego ranka zjawił się u Renardów Witke, zmieniony do niepoznania, przybity, znękany, chmurny, jakby nie parę miesięcy, ale lata od ostatniej tu jego bytności minęły.

Zmiana zresztą, prawie równie wielka i smutna, dawała się widzieć w tej niegdyś wesołej winiarni. Inni to byli ludzie, jakaś chmura ciężka okrywała wszystko. Gwardye saskie wyciągnęły, nie widać więc było oficerów, którzy tu dawniej dzień i noc przesiadywali. A że towarzystwo ich rozpędziło szlachtę, teraz panowały pustki.

Renard chodził blady, kłócąc się ze sługami, narzekając, tłukąc drzwiami, prawie sam zmuszony starczyć za wszystkich, bo córka się wcale nie pokazywała, a żona rzadko z głową obwiązaną, z oczyma zapłakanemi.

Zobaczywszy Witkego, francuz powoli ze smutną twarzą podszedł ku niemu, wyciągając ręce. Kupiec stał milczący; nikt nie śmiał albo nie umiał rozpocząć rozmowy.

— Gdzieżeś był?—rzekł francuz naostatek z głębi piersi grobowym głosem.

Witke się przeszedł po izbie pustej.

— Służba, niewola!—rzekł, podnosząc głowę. — Posłał mnie z pilnym rozkazem na dwie godziny, a list, który wiozłem, kazał mnie tam trzymać dwa miesiące, bom tu zawadzał.

Westchnął.

— To jeszcze wielkie szczęście, że mnie na całe życie nie kazał zamknąć, bo i to być mogło!

Zmierzyli się oczyma. Witke z tego odpędzenia siebie wznosił niepłonnie, iż się tu coś stać musiało strasznego. Nie śmiał zapytać o Henryetkę.

Weszli razem do bocznej izdebki, oba zwlekając szczere rozmówienie się, wtem drzwi jej uchylono i biedna Renardowa okrzykiem powitała gościa, którego stratę opłakiwała. Na widok jego wybuchnęła wielkim płaczem.

Nie potrzebował pytać; nieszczęście malowało się na twarzach rodziców, a resztę mówiła sama nieobecność Henryety.

Renard padł za stołem na ławę, podparł się na ręku i zadumał.

Witke się ociągał z pytaniem o dziewczę, wiedząc, że mu odpowiedź serce zakrwawi. Milczenie się przedłużało, aż francuz, bijąc pięścią o stół, jakby sam mówił do siebie, począł się tłumaczyć.

— Cóżem ja miał począć? co? Nie dopuścić tego Rufiana włocha? Byliby mnie nazajutrz precz ztąd wypędzili, albo dziecko napatrzone porwali gwałtem! Musiałem politykować. Silniejsi nie potrafili oprzeć mu się, cóż ja? co ja?

Matka przerwała łkaniem.

— Lepiej było wszystko porzuciwszy, dziecko ratując, uciekać.

— Jak gdyby przed nimi uciec można?—dodał Renard.—Constantini...

— O! o! — przerwał Witke — znam go dobrze. Ale mówcież co się stało z Henryetą? gdzie ona?

Matka wskazała ręką na sąsiedni pokój...

— Leży chora—szepnęła—biedne dziecko moje! Z wielkich obietnic skończyło się na rzuconej nam przez łotra tego jałmużnie. Król bez opowiedzenia się, bez pożegnania, porzucił ją i odjechał.

Niemiec siedział, słuchając, z załamanemi rękami.

Renard zabrał głos znowu, pocichu począł opowiadać cały przebieg tej nieszczęsnej sprawy. — Jak król zdawał się szaleć dla niej, jak z początku złote góry obiecywał, dopóki oporu nie przezwyciężył i nie skłonił Renardowej, aby z córką do Bielan się przeniosła; ale cały ten zapał i miłostki nie trwały dwóch miesięcy i Constantini jednego dnia oznajmił, że król jedzie do obozu, a one mają powrócić do Warszawy. Oddał przy tem woreczek przeznaczony i wcale nieosobliwe, a nie wysokiej wartości klejnociki dla Henryetki; król obiecywał powrócić, albo może ją sprowadzić do Drezna.

To pozbywanie się ich w rozpacz niemal wprawiło Renardów. Matka wpadła z wymówkami na włocha, który śmiał się z niej i grubijańsko ich precz z Bielan odegnał.

Króla już tu nie było.

Henryetka od tego czasu leżała chora i zmieniona i lekarze nie byli pewni, czy ją utrzymają przy życiu. Włoch oprócz tego, nie czyniąc sobie skrupułu, rozgłosił, że Henryetkę umiał dla króla pozyskać. Renardowie i ona zabici byli na dobrej sławie i wzgardzeni.

Witke zażądał widzenia Henryety, ale matka potrząsnęła głową i odpowiedziała, że biedne dziewczę leżało w łóżku w gorączce i że doktór jej zakazał wszelkiego wzruszenia, a ona też sama nikogo z dawnych swych znajomych dopuszczać do siebie nie dozwalała.

Naleganie było próżne... Witke zaciął usta, zabawił chwilę jeszcze i jak szalony wybiegł do Re-

nardów, z sercem pełnem gniewu i pragnienia zemsty. Na kim?

Musiał, nie mogąc wyżej sięgnąć, ograniczyć ją do Mazotina, którego też nie tak łatwo było pochwycić i obalić, jak kupiec nasz się spodziewał. Król nadto go potrzebował, na niego zrzucał.

Constantini, czując się niezbędnym, nawet względem Augusta okazywał się niekiedy zuchwałym, a cóż dla niego znaczył taki kupczyk, jak Witke?...

Żadnym wszakże nieprzyjacielem nigdy pogardzać nie trzeba.

Wyszedłszy od Renardów, pan Zacharyasz potrzebował zamknął się sam z sobą, aby ochłonąć i obmyśleć, co miał czynić. Henryety uratować już nie mógł, ale pragnął pomścić się przynajmniej.

Constantiniego w Warszawie, jak mówiono, ani na Bielanach nie było, ale nawet tej wiadomości wiary dać nie mógł Witke, znając włocha.

Często się trafiało, że umyślnie kłamliwe plotki puszczał, aby niepostrzeżony swobodniej bruździć. Chociaż zapewniono, że król go przodem wyprawił do hrabiny Cosel (gdyż tak już Hoymowę zwano) z listami, Witke chciał to sprawdzić.

Chodził, jak błędny, nie mogąc dosięgnąć żadnego z winowajców, ani króla, ani przewrotnego pomocnika jego rozpusty. Tysiące myśli mu przychodziło, żadnej się chwycić nie śmiał, aby nie zdradzić się z tą żądzą pomszczenia nieszczęśliwej ofiary. Constantiniego inaczej, jak z pomocą samego króla, nie można było obalić.

Witke nosząc się z temi myślami, tak daleko szedł, iż gotów już był bodaj Szwedowi służyć, byle dać uczuć Augustowi mściwą dłoń skrytą.

Wszędzie jednak, gdziekolwiek się chciał obrócić, widział swą bezsilność, nie miał ani wprawy do pokątnych intryg, ani bezczelności, jakiej one wymagały. Cóż on mógł przeciwko włochowi, którego nie wstrzymywało nic, gdy Witkego litość i wstyd powściągały i onieśmielały.

Błądził tak dni parę po mieście, to wpadając czasami do Renardów, to kręcąc się około zamku, to śledząc czynności Prymasa, którego niechęci dla króla miał liczne dowody.

Z dwojga jedno miał do wyboru, albo porzucić wszystko, wrócić do Drezna, wyrzec się stosunków wszelkich i przebłagawszy matkę, ograniczyć się starym handlem ojcowskim, który przez te lata mocno zaniedbany podupadł, albo poświęcić wszystko zaspokojeniu zemsty, która ani krwią, ani łzami nasyconą być nie mogła.

Miłość ku Henryetce była jedyną namiętnością tego człowieka, nie dziw więc, iż go tak pochłaniała, i że jej wszystko gotów był poświęcić. Ona zdawała mu się najmniej, albo całkiem niewinną, Witke gotów był... teraz nawet się z nią ożenić.

Ale narzucić ją matce, zawieźć do Drezna, gdzie Constantini by się dowiedział o niej!

Kilka tak dni przewalczywszy z sobą, wybladły, chory, rozgorączkowany, zjawił się jednego wieczoru u Renardów. Spytał o chorą. Nic się tu nie zmieniło, leżała i płakała...

Doktór tylko obiecywał, że siły młodości zwyciężą i Henryeta przyjdzie do zdrowia. Stara francuzka, tając się z tem przed mężem, podszepnęła mu, iż ze stanu zdrowia córki wnosząc, podejrzewała powiększenie rodziny, które położenie ich w przyszłości tem sromotniejszem czyniło, a Henryecie miało wyjście za mąż utrudnić. Matka zalewała się łzami, kryła to jeszcze przed mężem.

Dla Witkego było to także wyrokiem, który o ożenieniu myśleć nawet nie dopuszczał. Nazajutrz kupca już tu nie było.

VIII.

Karol XII stał z częścią wojsk w Heilsbergu, ale obyczajem swym nie chciał zająć ofiarowanych w pałacu biskupim apartamentów; wybrał sobie małą oficynę i w niej się po żołniersku rozłożył, chociaż czasu zimy więcej był zajęty układami i dyplomatycznemi czynnościami, niż wojskowością. Całe usiłowanie jego zwracało się teraz na zmuszenie Rzeczpospolitej, aby, rzuciwszy Augusta, z nim się porozumiała i złożywszy Sasa z tronu, przystąpiła do elekcyi nowego króla.

Do wielkiego męztwa, spartańskich obyczajów prostych i niepospolitych darów umysłu młodego bohatera, łączyły się też przywary, które zwykły towarzyszyć upojeniu zwycięztw nie tylko w młodości, ale i w późniejszym wieku. Karol XII tem więcej podlegał obłędowi tryumfatorów, iż dotąd szczęście mu sprzyjało ślepo i wszystkich nieprzyjaciół swych z kolei potrafił przełamać. Z nich szczególny wstręt miał dla Augusta, a przekonawszy się o charakterze jego, o lekkomyślności, przewrotności, zamierzał go nietylko z Polski wygnać, ale i w Saksonii nawet ucisnąć tak, aby zmuszonym był się upokorzyć.

Sam jednak Karol XII, chociaż zarzucał Augustowi nieposzanowanie praw poprzysiężonych, zdradzenie Polski dla własnego interesu, — równie się z Rzeczpospolitą despotycznie i bezwzględnie obchodził. Raz postanowiwszy detronizacyę Augusta, stał przy niej niewzruszenie. Najmniej może obchodziło go kim miał zastąpić Sasa.

Z książąt obcych żaden w takim składzie okoliczności, gdy koronę trzeba było wziąć z rąk młodego zwycięzcy, nie chciałby się starać o nią. Mimowoli Karol musiał zwrócić oczy na kandydatów Piastów, a najprzód na Sobieskich... chociaż obok nich i Lubomirskiego i innych mu podszeptywano.

Cześć dla Jana III, z którą się król szwedzki

ciągle oświadczał, zmuszała do wyboru tego. Miał na myśli Jakóba, na którego cesarz byłby też zmuszony się zgodzić. Wtem zuchwałe na terytoryum obcem pochwycenie Sobieskich i przewiezienie ich do Pleisenburga, zniweczyło te plany. Pozostawał Aleksander, ale na pierwszą wzmiankę, iżby go Karol miał na tronie osadzić, oświadczył jaknajuroczyściej, że nigdy i w żadnym razie nie przyjmie wyboru, który należał starszemu z rodziny, Jakóbowi, a nawet gdy tenby się zrzekł, on po koronę nie sięgnie.

W czasie, gdy się to agitowało, Rzeczpospolita na zjeździe w Warszawie, przy tajnem podżeganiu Prymasa, postanowiła wysłać posła od siebie dla układów z królem szwedzkim. Napróżno od misyi tej wymawiał się młody wojewoda poznański samym wiekiem i niedoświadczeniem, zmuszono go przyjąć posłannictwo i wyruszyć do Warmii.

Widzieliśmy już wojewodę poznańskiego na zjeździe Wielkopolanów. Toż samo umiarkowanie, jakiego tam dał dowody, nakłaniając do przejednania, do porozumienia — wiózł Leszczyński z sobą do Heilsberga. Nie był to może człowiek, jakiego poselstwo to wymagało; zbyt łagodny charakter, ogłada statysty, temperament żołnierskiej buty i energii pozbawiony, chociaż niezłomnej prawości, nie dozwalały się spodziewać, aby Karol XII łatwo się z nim porozumiał.

Wojewoda poznański, chociaż starał się, zawczasu przygotowując do tych układów, zebrać wiadomości o Karolu, wcale go pono inaczej sobie wyobrażał.

Pewien blask królewski, majestat jakiś spodziewał się tu znaleźć i gdy go wprowadzono do oficyny, izby szczupłej i urządzonej wcale nie po królewsku, ani po pańsku, gdy obaczył przed sobą młodzieńca spartego na ogromnych rozmiarów mieczu, w prostych pochwach żelaznych, z twarzą energicznych rysów i wejrzeniem przeszywającem, z włosami krótko

strzyżonemi, w granatowym z grubego sukna kaftanie, z miedzianemi guzami, przepasanego skórzanym pasem, w butach zabłoconych do kolan i rękawicach skórzanych, do łokci prawie sięgających, z szyją obwiązaną kawałkiem krepy czarnej, zrudziałej od używania, wojewoda z początku powątpiewał, czy stał przed królem szwedzkim. Opowiadano mu wprawdzie, że występować, ubierać się i otaczać zbytkiem nie lubił, ale tu już prostota przechodziła w zaniedbanie, w pogardę wszelkiej formy, mogącej się przyczynić do obudzenia uszanowania.

Karol XII nie dał mu się namyślać długo i wprost od najważniejszych spraw, bez przygotowania rozpoczął rozmowę... Pierwsze wrażenie, jakie postać wojewody zrobiła na królu, nie było stanowczem; zdał mu się zbyt łagodnym, miękkim i ogładzonym, gdy on żądał w mężach przedewszystkiem męzkiej siły. Ale pierwszych słów kilka, z których wiał spokój i energia, wprawdzie nie objawiająca się po żołniersku, ale z wielką mocą przekonań, zmieniły usposobienie. Głos i postawa przemówiły do niego sympatycznie.

Wojewoda począł od określenia stanu stosunków na północy i nie mógł, mówiąc o królu Auguście, pominąć osoby jego, czynności i ludzi, którzy bliżej niego stali. Nie pobłażając wcale królowi, wojewoda wyrażał się o nim z takiem umiarkowaniem i powściągliwością, z jakiemi należało oświadczyć się względem panującego dotąd—senatorowi i urzędnikowi.

Król zmarszczył się trochę...

— Spodziewam się, że wy, panie wojewodo — rzekł—przynosicie mi to, czego od Rzeczypospolitej żądałem. Potrzebuję wiedzieć, kto z was ze mną, a kto przeciw mnie?... Ja go na tronie polskim cierpieć nie mogę, a kto ze mną jest—powinien mi być w tem pomocą.

Leszczyński zawahał się nieco z odpowiedzią...

— N. Panie—odparł z zupełnym spokojem.— Jeżeli to w oczach Waszej Królewskiej Mości ma być

występkiem, żeśmy w nieszczęśliwych tych zakłóconych czasach starali się obranemu i ukoronowanemu przez nas panu posiłkować dla uspokojenia i zgody, to mało kto z nas niewinnym się okaże, a ten, który stoi przed Waszą Kr. Mością, także nie okaże się czystym. Jakiekolwiek są względem nas winy króla Augusta, które nieznajomości praw naszych w części przypisać potrzeba—bardzo byśmy się okazali lekkomyślnymi, gdybyśmy, nie proponując porozumienia, z tronu go zrzucali.

— Jakto? — żywo przerwał Szwed, zwracając się bliżej do wojewody—jakto? przybyliście więc do mnie z tem, aby się starać utrzymać go na tronie?

Leszczyński zaczepką tą dosyć szorstką bynajmniej się zmięszać nie dał.

— Najjaśniejszy panie — odezwał się,—nie jesteśmy ślepi, widzimy, że August postąpił sobie względem W. K. Mości nie jak sprawiedliwość i szlachetność rozkazywała; wiemy, co zawinił on przeciwko Rzeczypospolitej, nie możemy mu przebaczyć krzywdy i gwałtu, dokonanego na synach króla Jana, ale pomimo to wszystko, widzimy w nim też przymioty tronu godne... a godnem by było W. Królewskiej Mości i rycerskiego charakteru jego, gdybyś po tylu i tak stanowczych zwycięztwach, po takiem upokorzeniu nieprzyjaciela, wspaniałomyślnie mu przebaczył.

Szwed długo patrzył mu w oczy, jakby chciał przez nie zajrzeć do duszy.

— Pięknem to jest, że bronicie człowieka, który nie zasłużył na pobłażanie, że stoicie przy świętości przysiąg—odezwał się—ale ja nie mam powodów przebaczenia człowiekowi, który jest moim wrogiem i używa wszystkich godziwych i niegodziwych środków, aby mnie zgubił. Dla niego nic świętem nie jest; zmienił wiarę dla korony, żyje jak rozpasane zwierzę, wszystkich gotów poświęcić dla siebie... Wiecie z czem przysłał do mnie tę hrabinę i swojego ministra? Oto ofiarował mi przymierze za roz-

szarpanie waszej Rzeczypospolitej. Ale ja ją ratować, nie gubić przybyłem. Sądzicie, że z carem Piotrem przymierze zawarł przeciwko mnie? — Wymierzone ono zarówno przeciw wam! Zapłacicie za nie Ukrainą, a może jeszcze i czemś więcej! Nie czas już unosić się szlachetnością, winy przebaczać i puszczać w niepamięć zdradę, — idzie o zagrożony byt wasz własny!

— Co do mnie — dokończył Szwed, stojąc naprzeciw wojewody, sparty na swym ogromnym mieczu, jak miał zwyczaj—co do mnie—ja nie ustąpię, aż zgniotę tego nikczemnika. Polska musi mieć króla, któryby był godzien rządzić narodem rycerskim i tak nieopatrznym, jak wy jesteście. W rękach Augusta zguba wasza nieuchronna.

Leszczyński milczał. Zmiarkował wreszcie Karol, że choćby podzielał jego przekonania, nie zechce wystąpić, jako oskarżyciel przeciw Augustowi. Bronić go zaś było w istocie tak trudno, iż wojewoda łagodził tylko i uśmierzał gniew Karola.

Rozmowa z tej treści głównej przeszła na potoczniejsze sprawy... Karol okazał się doskonale obeznanym nietylko z ogólnem położeniem kraju, ale i z ludźmi, którzy największy nań wpływ wywierali.

Sądy jego były cierpkie i surowe.

— Zatruto ostatnie dni bohatera, którego ja jestem wielbicielem, rodzinie jego odmówiliście tronu!

— N. Panie—przerwał wojewoda — wina może w tem nie nasza, ale nic niema boleśniejszego nad rolę oskarżyciela; ja nim być nie chcę... Bóg dopuszcza wiele złego dla nauki naszej.

— Tak — uśmiechnął się pogardliwie Szwed— dopuścił wam wybrać Sasa, aby pokazać, że istota podobna może egzystować... Namyślcie się, panie wojewodo, przyjmijcie moje warunki, których najpierwszym jest, że Augusta z tronu złożycie... a mnie wypuśćcie ztąd, abym poszedł do Saksonii wybrać, co mi się należy od tego, który mnie tu wprowadził. Skarżycie się na wojska moje? Jestem zmuszony was

objadać, ale wszystkich tych ofiar nie powinniście żałować, jeśli z was plamę i brud zmyję.

Przerywana po kilkakroć raportami wojskowemi rozmowa, przedłużała się nad miarę, chociaż Leszczyński pragnął ustąpić, aby nie być królowi zawadą w jego codziennych zajęciach.

Karol odwoływał ciągle odchodzącego, badał go i zdawał się mieć pociąg jakiś ku niemu, chciaż między szwedzkim, dziko wyglądającym żołnierzem, z mieczem w dłoni, który przypominał katowski, a pięknym i łagodnym, arystokratycznej powierzchowności młodym wojewodą, najmniejszego powinowactwa charakterów nie można się było dopatrzeć...

Z widoczną przyjemnością słuchał Karol otwarcie i bez pochlebstwa dlań wygłaszanych przekonań jego, wywołując polemikę, która więcej go pozyskiwała, niż zrażała.

Naostatek nadejście Pipera z pilnemi depeszami dało wojewodzie znak ustąpienia, a Karol XII, chwytając za rękę swego ministra, zawołał z wybuchem jakiejś dziwnej radości:

— Ten będzie mi przyjacielem wiernym do zgonu!

Piper się musiał uśmiechnąć i ośmielił się szepnąć:

— N. Panie, po kilku kwadransach znajomości trudno wróżyć o przyszłości.

— Ja to czuję! Przeczucie mnie nie myli! — potwierdził król i zwrócił do naglących spraw powszednich.

Wojewodzie polecono pozostać, układy wcale się jeszcze nie rozpoczęły. Szwed się oświadczał z wielką przyjaźnią dla Rzeczypospolitej, lecz wymagał od niej zbyt wiele a przedewszystkiem powtarzał jedno:

— Detronizacya!

— Byłaby ona w Polsce bezprzykładną—oponował wojewoda.

— Panujący też taki, jak August—wołał Karol—któryby krajem, co go adoptował, frymarczył, bez-

przykładnym jest u was i w dziejach... Nim włożył koronę, już się nią dzielił z carem i Brandeburczykiem...

Nie były to czcze słowa; Karol składał listy i noty, które wzięto z Vitzhumem.

Zażartość przeciwko Augustowi rozpłomieniało nieustannie posługiwanie się jego Patkulem, którego Szwed nienawidził, jako najzawziętszego ze swych wrogów.

Wieczorem wezwany pilno przez Karola książę Aleksander Sobieski nadbiegł do Heilsberga. O tem spodziewanem przybyciu jego Szwed nie wspominał wojewodzie.

Nie czekając jutra, Leszczyński pobiegł do młodego księcia.

Znalazł go zaniepokojonym wielce nagłym tym rozkazem, któremu uledz musiał.

Najmłodszy ten z braci, najmniej z nich miał powołania do korony i walki, jaką o nią stoczyć było potrzeba. Stały mu jeszcze w pamięci rozterki Jakóba z matką, popierającą Konstantego, zgorszenie, jakie one wywołały. Aleksander przerażony, samą myśl dobijania się po ojcu korony ciernistej, odpychał.

Zobaczywszy Leszczyńskiego, pobiegł ku niemu z niekłamaną na twarzy radością.

— Wojewodo!—zawołał.—Nie wiesz jak tu dla mnie jesteś pożądanym! Nie znam Karola XII, nie wiem, czego może chcieć odemnie, obawiam się go! Bracia moi są już w drapieżnych szponach Augusta, ja się do nich dostać nie chcę. Nie pragnę, nie dobijam się niczego, oprócz spokoju. Dla czego Karol mnie tu sprowadził tak pilno?

— Nie wiem — odparł Leszczyński. — Ja także dziś widziałem go po raz pierwszy, nie wynurzał się przedemną. Lecz, jeśli mi wolno wnioski wyciągać z tego, o czem rozprawiał ze mną, sądzę, że wam niechybnie koronę ofiarowywać będzie. Augusta zostawić na tronie—ani chce przypuścić, aby się on na

nim utrzymał. To pierwszy warunek przyjacielskich stosunków z Rzeczpospolitą.

Zmarszczył się ks. Aleksander.

— Niech w jego miejsce postawi kogo chce kandydatem,—rzekł—ja nim nie będę! Ubiedz Jakóba w chwili, gdy jest uwięzionym, byłoby niepoczciwą zdradą, której obcemu nie godziłoby się dopuścić, cóż dopiero bratu!! Nigdy w świecie, żadna siła mnie do tego skłonić nie może!!

Pochwycił się oburącz za głowę młody książę i rzucił ku wojewodzie, wołając:

— Ratuj mnie! posiłkuj! Przekonaj go, że dopuścić się tego z mej strony, byłoby pamięci ojca, dobremu imieniowi rodziny, mojemu sumieniowi i poczciwości zadać cios niepowetowany! Dość już nas niezgoda sponiewierała! Ja jej pomnażać nie będę.

Milczał wojewoda, przybyły rozwodził się długo i namiętnie. Rozeszli się późno w noc. Nazajutrz do dnia wołano Leszczyńskiego do króla.

Czekał na niego ze swym mieczem ogromnym, ubrany jak wczoraj, a na ciężkich butach widać było, że ich nawet na noc nie zrzucał.

Z gwałtownością wielką, nie dając przyjść do słowa wojewodzie, despotycznie polecił mu, aby szedł Aleksandra zawczasu przygotować, iż musi przyjąć koronę.

— N. Panie,—odparł wojewoda—widziałem go wczoraj; nie wie on i nie przypuszcza, aby go spotkać miało podobne życzenie W. K. Mości, ale z tego, co mi mówił, widzę, iż nigdy nie marzył o koronie, a jedynem pragnieniem jego jest usunięcie się gdzieś, bodaj za granicę, aby tam spokojne, prywatne prowadzić życie. Nie czuje się powołanym do większych zadań i przeznaczeń.

Karol XII potrząsnął głową.

— Nie zmienia to mojej woli — rzekł; — będę nalegał, a was proszę, panie wojewodo, abyście mi w pomoc przyszli.

— N. Panie—łagodnie i spokojnie począł Le-

szczyński—proszę mi przebaczyć, ale, pomimo żywej chęci usłużenia w tem W. K. Mości, moim obowiązkiem jest przedewszystkiem usłużyć ojczyźnie. Ks. Aleksandra mógłbym skłaniać do przyjęcia ciężaru korony, gdybym go znajdował takim, jakiego my dziś na króla potrzebujemy!

Szwed gwałtownie się poruszył.

— A jakiegoż wam monarchy potrzeba? — zapytał zdumiony.

— Położenie nasze wymaga męża z doświadczeniem, z energją—począł Leszczyński—z poszanowaniem dla praw, a zarazem pojęciem jasnem tego, co w nich odmienić potrzeba dla zbawienia kraju. Ks. Aleksander na to wszystko za młodym jest... zbyt nieprzygotowanym. Przyjąć po prostu rządy gotowe, któreby, jak dobrze urządzona machina, pod okiem nadzorcy, dalej się obracała... niczem byłoby. Nam więcej dziś potrzeba, u nas wszystko w ruinach; jedno naprawiać, drugie stwarzać należy. Od czasu pierwszych elekcyj władza monarchów słabła, dziś jest ona tylko pozorną! Wybory królów zakrzewiły przedajność i zepsucie, zbytki i rozwiązłość, rycerstwo nasze stare nadwerężyły. Husarze nasi skrzydła sobie przyprawiają na popis, ale duch ich nad ziemię nie ulatuje, jak niegdyś, gdy skrzydeł na barkach nie mieliśmy, ale w duszy iskrę ducha Bożego!

Westchnął Leszczyński.

— A wielkie dziś jest zadanie tego, co nam będzie panować—dodał.—Jakiego sumienia potrzeba mu, aby naprawiając, nie wywracał, a władzę wyzyskując, nie uczynił ją despotyczną! Tylko szlachetny, wielkiego, a świetnego ducha mąż, może bez trwogi skroń swą do tego męczeństwa namaścić, bo królowanie u nas nie czem innem jest, ino męczeństwem. Na potwarze, nienawiści, rokosze, na pracę i czuwanie dniem i nocą musi być zbrojnym.

Rycerzem być u nas nieochybnie mu potrzeba, bo wojny stoją dokoła, ale zarazem statystą i poli-

tykiem, a nad wszystko mężem wielkiego sumienia i ofiarności bez granic!

Mówiąc to, mimowoli rozgrzewał się i zapominał wojewoda przed kim to wygłaszał, kto przed nim stał i słuchał z zachwytem i podziwieniem, malującem się na twarzy, która pod wrażeniem słów tych wypiękniała i traciła wyraz dziki.

Leszczyński się w końcu opamiętał i zamilkł, a Karol XII zdawał się chcieć słuchać go jeszcze i nie odpowiadał ani słowa. Zabrał więc głos wojewoda, spostrzegłszy się, że kreśląc ten ideał monarchy, zbyt może księcia Aleksandra nim odpychał.

— Nie ujmuję ja,—rzekł—potomkowi bohatera naszego. Życie może z niego wyrobić niepospolitego męża, ale nam gotowego potrzeba, bo chwili nie mamy do stracenia. Kraj wojną domową szpetnie rozdarty i zakrwawiony, prywata go trawi i rdzą okrywa, wojsko nie bić się, ale związki, koła i rokosze chce tworzyć; na każdym kroku naprawa potrzebna, od elekcyj poczynając, do sejmów i prawodawstwa, od opieki nad stanem włościan i rzemieślników, aż do senatorskich rad i przybocznych króla współpracowników.

Karol XII, który o swej nienawiści ku Augustowi i środkach zaspokojenia jej rozprawiać się z Leszczyńskim był przygotowanym, tak dalece zbity został z drogi, iż po chwili sam dał znak pożegnania wojewodzie, zamawiając go na konferencyę, gdy się z księciem Aleksandrem rozmówi na cztery oczy.

Cały ten dzień był poświęcony próżnym a namiętnym rozprawom. Jeden Leszczyński umiał utrzymać całą swą zimną krew i sposób, w jaki wystąpienie gwałtowne młodego Szweda hamował i ostudzał, wpłynął na możliwość porozumienia, które zrazu zdawało się niepodobnem do osiągnięcia.

W jednem tylko Karol ustąpić nie chciał, stojąc uparcie... za warunek pierwszy, jedyny, główny stawiając... złożenie z tronu Augusta! Wojewoda

kwestyę tę, nie uznając się do rozwiązania jej kompetentnym, pomijał i pozostawiał nietkniętą.

Książę Aleksander, stanowczo odmawiając korony, pilno poruczył królowi szwedzkiemu los brata.

Zarzuty, jakie im czyni August—mówił—są czystą potwarzą i zmyśleniem. Nigdy Jakób ani Konstanty nie godzili na życie króla, ani o tem pomyśleć mogli, nigdy żaden spowiednik Jakóba nie obwiniał go o to. Wszyscyśmy się wyrzekli starania o koronę, poprzysięgłszy Augustowi. Przyjmowaliśmy go w Wilanowie, gotowiśmy byli służyć mu wiernie. Sam sposób, w jaki moich braci w kraju obcym pochwycono, oburzającym jest i woła o pomstę. Uwłacza cesarzowi takie gwałcenie terytoryum jego, prawom Rzeczypospolitej rzucanie się na rycerskiego stanu osoby, na dzieci króla, bez sądu, bez dowodów jakiejkolwiek winy.

Leszczyński popierał to, a Karol słuchając, tarł swe krótko ostrzyżone włosy i mruczał.

— Zapłacić za to powinien, składając koronę, której nigdy nie godziło mu się wkładać na skronie.

Niecierpliwy Szwed, rozprawiwszy się naprzód z ks. Aleksandrem, który stanowczo koronę ofiarowaną odrzucił, cały już potem oddał się Leszczyńskiemu.

Ci, co znali młodego pana, zdumieni byli tak nadzwyczajną przyjaźnią dla mało znanego jeszcze polaka, iż zrozumieć jej i wytłumaczyć sobie nie umieli. Widzieli go zawsze dotąd zimnym i nie skłonnym do oddawania się z zaufaniem, a raczej podejrzliwym, niż wylanym... Dla Leszczyńskiego zaś od pierwszego z nim spotkania, o którem Piperowi z takiem dziwnem proroctwem przyszłości się odkrył, Karol okazywał stałą, rosnącą coraz sympatyę. Pomimo pełnego poszanowania, ale zarazem ostrożności obejścia się wojewody, Szwed stawał się z nim coraz poufalszym.

Szwedzi zdumieni, zrozumieć nie mogli, czem wojewoda mógł go sobie tak pozyskać. Pod pozo-

rem narad o porozumienie się i przymierze z Rzecząpospolitą, Karol nie dawał Leszczyńskiemu odstąpić prawie na chwilę, trzymał go całemi godzinami u siebie, częściej mówiąc o rzeczach, wcale do układów nie należących, niż o ciężkich warunkach, jakie obie strony się domagały od siebie.

Zawarowawszy detronizacyę, bo o pozostawieniu Augusta na tronie polskim mówić nie dozwalał, Karol następnie godził się naprzód na przebaczenie i zapomnienie winy tym wszystkim, którzy saskiego Kurfirsta popierali, przystał na to, iż ziem i prowincyj żadnych odrywać nie chce i nie będzie, zrzekł się nawet wszelkiej indemnizacyi za koszta wojenne.

Co więcej, ofiarował od siebie pół miliona talarów na opłatę zaległości wojsku koronnemu, jak tylko nowy król będzie obranym i koronowanym; obiecywał wojska swe wycofać z Polski i oddać wszystkich jeńców wojennych bez okupu. Naostatek przyrzekał posiłkować Polsce przeciwko carowi Piotrowi, nie roszcząc żadnych pretensyi do zawojowanych krajów.

Wszystkie te tak świetne warunki, o które dobijanie się Leszczyński znajdował zadaniem tak trudnem, Karol prawie bez oporu przyjmował i przyzwalał na nie.

Piper ruszał ramionami, przyznając, że młodego pana swego nigdy nie widział tak nadzwyczaj powolnym i łagodnym. Wspomnienie tylko o Auguście roznamiętniało go i oburzało.

— Nie spocznę—powtarzał wojewodzie,—dopóki go do Saksonii nie zapędzę i tam dopiero rachunek mój z nim rozpocznę. Ma tyle na kochanki, fajerwerki, komedye i bale a maskarady, że mnie też powinien dług zapłacić. Polska Bogu dziękować powinna, że mnie na obronę jej sprowadził; z carem Piotrem i Brandeburgiem byliby ją tak rozdzielili i pochłonęli, iż wkrótce śladu by po niej nie zostało.

Układy te w Heilsbergu, przy których w ciągu całego pobytu Leszczyńskiego nie było ani jednego

występu, balu, zabawy, zebrania ani uczty, poszły nadzwyczaj szybko. Szwed więcej nawet rozprawiał z Leszczyńskim wogóle o rzeczach panowania, władzy rycerstwa, stosunkach społecznych, niż o sprawach bieżących, a że wojewoda miał zawsze pochop wielki do rozważania wszystkiego tego, co się na świecie działo, niekiedy do późna w noc zagadywali się we dwu i rozchodzili — Leszczyński z uwielbieniem coraz większem dla młodego bohatera, Karol XII z coraz gorętszą miłością dla wojewody.

Król przed odjazdem Leszczyńskiego przyznał się Piperowi, iż w Polsce nikogo jeszcze nie znalazł, coby mu jak ten przypadł do serca.

Można już było przewidzieć może naówczas, że poszukując kandydata na tron, Karol XII tego ulubieńca swego wskaże, słowem jednak najmniejszem ani żadną alluzyą się nie zdradził.

Gdy się to działo w obozie Szweda, czasowo przebywająca we Wrocławiu piękna Urszula, która nie umiała jeszcze powiedzieć sobie, co jej począć wypadało, wahała się, czy powrócić na cichy, zrezygnowany pobyt do Drezna, czy wrócić do Polski i z Towiańskimi zapisać się do dworu Prymasa, czy szukać następcy po królu—kochanka a raczej męża.

Tu potwierdziła się wiadomość o uwięzieniu królewiczów Sobieskich i głucha pogłoska, że Karol XII myśli Aleksandra prowadzić na tron polski.

Ciągle przemyślając o sobie, niepokojąc się, szukając jakiegoś wyjścia z tego położenia, które jej się wydawało nie do zniesienia, piękna Urszula nie wiedzieć jak do tego przyszła, że zamyśliła napisać do prawie sobie nieznajomego ks. Aleksandra.

Szło jej wistocie o to tylko, aby go pod jakimkolwiek pozorem zwabić do siebie. Stojąc przed zwierciadłem i przypatrując się nieco zmęczonej i przywiędłej twarzyczce, Urszula ciągle sobie powtarzała:

— Niepodobna, abym ja, gdy zechcę, głowy mu nie zawróciła! Niepodobna!! niepodobna.

Pomimo całej swej przebiegłości i rozumu, ks. Cieszyńska niekiedy wydawała się starej Grądzkiej niemal dziecinną.

Przejrzawszy się w zwierciadle, wołała jej do siebie.

— Elżuniu! Elżusiu, chodź no tu... a prędko... i mów mi taką szczerą prawdę, jak na spowiedzi. Jak ci się zdaje, mogę ja jeszcze bałamucić i rozkochać? August mnie nauczył wątpić o sobie! Marszczek... niema. Patrz-no! tu—około oczów, ale to nie są zmarszczki, to ze zmęczenia i od płaczu.

Grądzka patrzyła, słuchała, ruszała ramionami i kończyła na strofowaniu.

— Co to w tej główce się plącze! Ty jeszcze wyglądasz tak, jakbyś dwudziestu lat nie miała! Ale płakać nie trzeba nigdy. Naprzód, że nikt łez twych nie wart, powtóre że łzy nikogo, oprócz mazgajów, nie pociągają, a naostatek, że nie masz czego płakać. Mój Boże! taka księżna Cieszyńska, pani na Hoy... Hoy... werda... jak się ono tam nazywa! A klejnoty, a rozum, a te oczki.

Urszula rzuciła się jej na szyję.

— Ja bo tak nie mogę pozostać wdową słomianą—mówiła—trzeba się na królu pomścić... no—i o przyszłości myśleć.—A! a! żebyś ty wiedziała jakie ja mam projekta... jak one sięgają daleko. Augusta... Pan Bóg skarze za mnie, zobaczysz (i pochyliła się jej do ucha) oni go zrzucą z tronu—no! już ja wiem! książę Prymas go nienawidzi. A kogo potem na tron?

Tu położyła palec na ustach i niedokończywszy, śmiać się i trzepotać zaczęła.

— Nie wiesz, gdzie się ten przeklęty Witke podział? Czemu on się do mnie nie zgłasza?

— Ale on tu wczoraj był — przerwała Grądzka — miał pono jechać do Drezna, a ja samam go odprawiła, że tu robić nie ma co!

— A ty! nieznośna stara!

Uderzyła się w czoło.

— Gdzież u ciebie pomiarkowanie? Właśnie on teraz mi najpotrzebniejszy... poślij mi natychmiast; dam dziesięć talarów, kto mi go przyprowadzi.

Piękna Urszula nie miała spoczynku, nie chciała jeść, nie przysiadła, porozsyłała wszystkich masztalerzy i służbę, dworzan, aby jej Witkego szukali i przyprowadzili.

Musiano go już na drodze do Drezna łapać, zawrócić i na drugi dzień dopiero Grądzka w tryumfie wprowadziła chmurnego niemca do swej pani.

Urszula o mało i jemu na szyję się nie rzuciła, zarzucając go pytaniami.

Witke, który miał na sercu, jak kamień leżące wspomnienie Henryetki, począł naprzód od wyrzekań przeciw królowi i Constantiniemu.

Księżnę los dziewczęcia nie obchodził bynajmniej... nie oburzyło ją to—a ledwie nie wydawało się śmiesznem, iż Witke tak ubolewał nad nią.

— Otóż to jego kochanie!—zawołała—rozpadał się dla tej Hoymowej!

Splunęła z pogardą. Witke, którego rana się jątrzyła, nieopatrznie począł się przeciwko królowi odgrażać.

— Ten człowiek dla siebie gotów wszystkich dać, choćby na miecz katowski—wołał—ale nie może być, aby Bóg nie pomścił na nim tylu łez, tylu ofiar... Mnoży sobie nieprzyjaciół w Polsce; Saksonia, jak ze skóry odarta, ledwie dysze... ale Bóg Szweda na nią posłał i ten go zgniecie!

Ks. Cieszyńska słuchała. Witkemu się wyrwało:

— Teraz jam gotów przeciwko temu tyranowi sam pierwszy dopomagać... niech ginie!

Roztargniona słuchała Urszula; jej wistocie więcej szło o to, aby siebie ocalić, niż jego gubić. Dla zjednania Witkego, zaczęła od gorącego przekonywania go, że się pragnie mścić na królu, żądając, aby on jej do tego, nie pytając o nic, dopomagał. Niemiec był tak zniechęcony do wszystkiego, pragnął spoczynku i zapomnienia popełnionych omyłek, któ-

rych się wstydził, iż najmniejszej do żywszego zajęcia się czemkolwiek nie miał ochoty. Jednakże gorączka księżnej nieco i jego rozbudziła.

— Mnie się potrzeba koniecznie widzieć z ks. Aleksandrem Sobieskim—szepnęła Witkemu—trzeba, żeby mu list odemnie oddał ktoś zaufany... rozumiesz?

P. Zacharyasz nie wiedział nawet, gdzie miał Sobieskiego szukać, ale księżna go zakrzyczała, że o to rozumnemu człowiekowi najłatwiej się było nawet w samym Wrocławiu dowiedzieć...

Rad nie rad Witke dał się ująć.

— Bylem go tu miała... dzień, dwa dni — mówiła sobie księżna—głowę mu zawrócić muszę...

W nadziei, że go ściągnie, poczęła się przygotowywać...

A że tych zastawionych sideł na Sobieskiego nie dosyć jej było, innego posłańca wyprawiła do Prymasa, do Towiańskiej, ofiarując się im w pomoc i z ważnemi wiadomościami.

Tych wiadomości wcale nie miała piękna Urszula, lecz pod pozorem jakimś chciała się wcisnąć znowu w intrygi przeciwko królowi, może z myślą, że Augusta w porę rozbrajając niemi, znowu sobie zjedna.

Gniewała się, płakała, marzyła... Los Aurory upokarzał ją...

Jakkolwiek przyszłość chmurna i czarna się jej przedstawiała, nie chciała, aby ludzie dostrzegli w trybie jej życia zmianę najmniejszą, dowodzącą zubożenia, troski o jutro... Nie odprawiła ani jednego z dworzan, nie zmniejszyła liczby powozów i koni, zapraszała i ugaszczała z dawną wystawą i przepychem... nie przestawała być księżną Cieszyńską.

August, zająwszy się Hoymową, ani się czuł w obowiązku pożegnać z nią, tłumaczyć i choć pozornie starać zatrzeć winę; wprost zamilkł, zerwał stosunki, nie mówił o niej, nie pytał o nią, a gdy go kto zagadnął, zbywał milczeniem. Powinna się

była mieć za szczęśliwą jeszcze, iż jej nie prześladował.

Ona też, czego się król w początkach lękał, nie napadała go listami, nie goniła za nim, nie żaliła się jawnie... Co do rodziny, o tę król był spokojnym, iż się nie upomni o Urszulę.

We Wrocławiu szlachty i panów polskich trafiało się dosyć wiele, a że dom księżnej był gościnny i otwarty, a kuchnia wykwintna i wina dobre, zbierało się tu zawsze liczne kółko, mężczyzn szczególniej. Szli ci w największej liczbie, co króla nie lubili i do roboty przeciwko niemu byli gotowi.

Księżna otwarcie przeciwko Augustowi nie występowała, milczała, dumną minę przybierając, ale nikomu nie przeszkadzała ciskać błotem i kamieniami.

Z dziesięć dni upłynęło od wyjazdu Witkego, gdy zrana wpadła zdyszana Grądzka, zaperzona i wzruszona, oznajmując po cichu, że książę Aleksander przybył *incognito*, nie chciał, aby o nim wiedziano, ale żądał godziny do rozmowy.

Księżna posłała zaufanego dworzanina z zaproszeniem na obiad, na którym nikt więcej być nie miał, oprócz ich dwojga.

W domu nastał sądny dzień! Trzeba się było ubrać tak, aby być zachwycającą, piękną, a dystyngowaną, aby popisać się z przepychem i smakiem.

Siadała i zrywała się od tualety, biegała, przeklinała, płakała, obiecywała góry złote, rozpaczała, śmiała się, ubierała siebie, pokoje, służbę, a na ostatku i obiad musiała uczynić biesiadą jakąś bajeczną.

W domach pańskich już wówczas do nader wykwintnego stołu przywiązywano wielką wagę, dobry kucharz był cechą domu arystokratycznego... Po wsiach jeszcze zajadano bigosy, rozkoszowano się flakami i zaspakajano sztukamięsą z chrzanem. Po pałacach i zamkach kucharze cudzoziemcy, osobni pasztetnicy i cukiernicy nie byli osobliwością.

Ks. Aleksander, jak wszyscy Sobiescy, był po francusku wychowany, wykarmiony i gębę miał po-

psutą. Jeden Jakób, niegdyś pod Wiedeń idąc z królem, skosztował sucharów i zatęchłej wody; ulubieńcy królowej popsuci byli tak, jak synowie królewscy.

Zaledwie na kwadrans przed przybyciem księcia Aleksandra, piękna Urszula, cała w płomieniach ze zmęczenia, weszła do salonu ustrojona z wielkim i wytwornym smakiem.

Suknia mieniona ze srebrem, cała koronkami obszywana, włosy cudownie ufryzowane, na rączkach brylanty ogromne, na szyi rzeka dyamentów, we włosach dyadem... ale przedewszystkiem w niej całej ogień i życie, coś tajemniczo nęcącego, — mgłą melancholii osłoniona, swawolna, dziecinna. W towarzystwie Augusta stała się mistrzynią tego kunsztu zalotów, którego on mógł być nauczycielem.

Książę Aleksander, młody, piękny, więcej daleko francuz, niż polak, bo w nim krwi starej szlacheckiej dopytać było trudno, nieco sztywny, trochę zimny, ale wielce pańskiego tonu, gdyby nie był ani królewiczem, ani Sobieskim, niewiastę taką, jak Cieszyńska księżna musiałby był zająć sobą, zachwycić. On też nudził się. Smutny był, potrzebował rozrywki — i gdy się zbliżyli do siebie, oboje byli niezmiernie z tego szczęśliwi.

Książę ani mógł przypuścić, aby dawna ulubienica Augusta na niego zastawiała sidła, ale rozumiał to, iż jej jako mściciel mógł być potrzebnym... Ona — nie wątpiła o niczem. „Przybył, widział”, widział ją, a ona musiała zwyciężyć!

Sidła były umiejętnie i szczęśliwie zastawione... Przyznała się, że teraz jeszcze nic powiedzieć nie może, ale potrzebowała zakląć, przestrzedz, aby był ostrożnym. Miała mu potem wkrótce odkryć wszystko. Ubolewała nad losem Jakóba i Konstantego, z tego co słyszała w Saksonii, tworząc opisy okropnych więzień Pleissenburga i Königsteinu, chwytała za ręce Aleksandra, błagając go, aby się nie narażał i do Polski nie wracał... i t. d.

W tem wszystkiem nie było związku, ale któż od pięknej zalotnicy wymaga innej logiki, nad tę, jakie mieć powinny wejrzenia, zniżanie i podwyższanie głosu, odcienia uśmiechu czepianego do rozmowy, jak koronki do sukienki.

Książę Aleksander uwierzył w jej troskliwość o siebie, a więcej jeszcze w nienawiść i chęć pomszczenia się na przeniewiercy... rozmowa zawiązała się żywo, jak gra w rakiety... i ani się spostrzegł książę, gdy go poprowadziła do stołu.

Stół na dwie osoby ustrojony był jak ołtarz; kredens od podłogi do stropu okrywały ciężkie, przepyszne srebra. Podawano na złoconych talerzach (vaisselle plate) a kucharz był ten sam, co dla Augusta niedawno jeszcze gotował.

Księciu Aleksandrowi z tą śliczną laleczką sam na sam było tak rozkosznie jak w raju. Rozumie się, że księżna poczęła od niesłychanej powagi, chłodu i surowości przesadzonej, aby książę Aleksander mógł sobie pochlebiać, że on to wszystko przełamał i zwyciężył. Taktyka to była odwieczna, pierwotna, zużyta, ale powtarzać się ona będzie jeszcze wieki, bo jest instynktowną, tkwi w naturze kobiety.

Ktoby był porównał wnijście księcia do saloniku, do pożegnania się z nią, ten mógłby ocenić, co i jak zręcznie dokonała. Pozostawało jeszcze bardzo wiele do powolnego podziału na dni wiele... dopókiby książę Aleksander nie został ułaskawiony, okuty i przyswojony tak, że się już ucieczki jego nie było co obawiać.

Zmienić było potrzeba na dni kilka tryb życia i porządek domowy. Wielu znajomych nie przyjęto, ale Sobieski tak się czuł później bezpiecznym, osłoniwszy jakiemś nazwiskiem przybranem, w które nikt nie wierzył, że na gości postanowił nie zważać. Drzwi się więc otworzyły znowu i rozpoczęło życie wesołe.

Dlaczego właśnie powołała go piękna Urszula, co mu zagrażało, co ona mu doradzić miała? — nie

było to dla nikogo jasnem, ale im dwojgu z sobą tak przyjemnie dni upływały, iż Sobieski się nie gniewał i nie pytał o tłumaczenie.

Księżna miała posłańców z Hoyerswerda i Drezna, wiadomości, listy, wiedziała o wszystkich obrotach Augusta, o zabawach jego, o intrygach. Z drugiej strony przez Towiańskich miewała tak dobre informacye o Szwedzie, iż książę Aleksander, siedząc przy niej, zdawał się we wszystkiem brać udział czynny.

Piękna Urszula tymczasem starała się go rozmarzyć, rozkochać i doprowadzić do tego stopnia rozgorączkowania, iż coraz mniej zważał na następstwa.

Sobieski długo milczał, aż w końcu zaczęły się wyrywać miłosne słówka; księżna ich słuchać nie mogła, ani chciała, zagroziła zerwaniem, obrażoną była i nieszczęśliwą, ale nazajutrz jedli obiad razem, sam na sam, aby to nieporozumienie wyjaśnić.

Trwało to już kilka tygodni, gdy Sobieskiemu powołanemu przez matkę, wyjechać było potrzeba... Rozstanie było niewypowiedzianie smutne, lecz książę Aleksander dał słowo powrócić na dzień oznaczony.

Prymas był już w ostatniej wojnie z królem, którego detronizowano. Wszyscy zajęci byli tylko nową elekcyą.

August miał w Polsce za sobą małą tylko garstkę ludzi, swoich niedobitków kilkadziesiąt tysięcy i część duchowieństwa, idącą za głosem Papieża, który brał stronę króla. Księżna znalazła tu umysły poburzone, a kardynała, Towiańskich i co tu żyło piorunujących przeciwko Sasom. Największa niepewność panowała co do kandydata, którego naprzeciw Augustowi prowadzić miano.

W Łowiczu trzymano z Lubomirskim.

Ten i ów odzywał się za wojewodą poznańskim, lecz on sam wcale sobie korony nie życzył, a wiek jego młody mówił też przeciwko niemu.

Szeptano, że Karol XII był za nim, ale jawnie

król szwedzki nie zalecał nikogo, szło mu o to, ażeby zrzucić z tronu Augusta.

Z Saksonii donoszono, że tam rachowano głównie na poparcie cara Piotra, który ze znacznemi posiłkami obiecywał nadejść. Na nim i na przyrzeczonych subsydyach pieniężnych słabe jeszcze opierały się nadzieje.

Witke, który raz w niewolę popadłszy, nie mógł się już wyzwolić, zgromiony i zastraszony przez króla, odprawiony został z powrotem do Warszawy i Łowicza, aby ztąd dawał znać, jaki obrót biorą sprawy przygotowanej elekcyi.

Księżna, pośpieszająca też na zwiady do Prymasa, spotkała się z nim w drodze. Ale z niemca, który jechał zmuszony i mało się już czem zajmował, dowiedzieć się czegoś było trudno. Zmiarkować mogła tylko, iż wszystko ulegało despotycznemu wpływowi Karola, a on sam myślał, starał się, pracował nad zadaniem śmiertelnego ciosu przeciwnikowi.

Polityka była tu w zgodzie z osobistemi uczuciami roznamiętnionego Szweda. Tyle razy pokonawszy Augusta, burzył się Karol, że go nie mógł przywieść do zupełnego poddania się i upokorzyć publicznie. Codzień prawie dowiadywał się, że August wydawał bale, palił fajerwerki, urządzał maskarady, przenosił się z miejsca na miejsce, rzadko dla wojska, najczęściej dla tej fantazyi pańskiej, którą się urągał Karolowi.

To lekceważenie, które zdawać się mogło przekonaniem, iż tryfumfy Szweda są przemijające i pozostaną bez skutków, do najwyższego stopnia gniewało Karola. Postanowił przywieść do abdykacyi, aby nią zgnieść i znękać ostatecznie Augusta.

Nie mógł przewidzieć tego, że ratyfikując najsromotniejsze traktaty, Kurfirst będzie zupełnie jak przedtem, balował, bawił się i pilno uczęszczał na lipskie jarmarki... Kamienny chłód saskiego pana podżegał Karola do najwyższego stopnia... Był on w części może tylko dziełem jego natury. August wiedział,

że tem nieprzyznawaniem się do pokonania, pozostawi przynajmniej świat w wątpliwości o następstwach...

Tymczasem wszystkie nadzieje ograniczały się na posiłkach cara Piotra, które Patkul uroczyście przyrzekał; szły one, ciągnęły, tylko co ich widać nie było, ale nie przybywały.

August sam na sam z Patkulem kruszył czasem ze złości żelazne szczypce, któremi ogień poprawiał, ale na ulicę wyjechawszy z fajką w ustach, z pogardą spoglądał na świat i zdawał się mówić: nic mi to nie szkodzi!

Odarto go z milionów, rozpędzono najlepsze wojsko, pozbawiono kosztownych kartaczów, ale on był pewien, że stworzy znowu miliony, nowe wojsko i artyleryę...

Tylko zapowiedź wnijścia i zajęcia Saksonii przez Szweda, wywołała bladość na lice króla, ale i ta znikała, gdy się publicznie musiał pokazywać.

Z nieszczęśliwego niemca napastliwa księżna nic prawie dobyć nie mogła.

— Cóż się dzieje w Łowiczu?—pytała.

— Zobaczy księżna sama — mówił Witke — ja nic nie wiem. Towiański już tak chodzi, jakby wziął wielką buławę koronną... a stary hetman, jakby był ukoronowany...

Księżna potrząsała główką, nie chcąc wierzyć.

— O naszym Kurfirście, ażeby się mógł utrzymać, nikt już słuchać nie chce— ciągnął dalej ostygły Witke.—Kto to tam ten chaos zrozumie! Szwed podobno chciał któregoś Sobieskiego na tron popierać, ale ich dwu siedzi w Pleissenburgu, a trzeci...

Księżna bystro mu zajrzała w oczy.

— Cóż trzeci?—podchwyciła.

— Trzeciemu korona nie smakuje...

Księżna się chciała dopytać coś o hrabinie Cosel. Witke odpowiadał niechętnie.

— Ta dotąd królem rzuca i prowadzi go, jak chce — wybąknął. — Buduje dla niej pałace, jakich

żadna nie miała, honory sobie oddawać każe, jak królowa... Pieniędzy dla niej Fleming nastarczyć nie może. Wkrótce pono i depeszy, i listów król bez niej nie będzie mógł rozpieczętować, bo się miesza do wszystkiego.

— A długo to potrwa? — spytała szydersko księżna.

Witke głową potrząsał.

— Dłużej pewnie, niż się komu zdawać może— dokończył. — Czy ją król kochać będzie, nie wiem, ale i to coś znaczy, że mu pięknością, dumą, rozumem honor czyni i chwalić się może.

Cieszyńska rzuciła się, obrażona mocno.

— Oho!—zawołała—zobaczymy, jak się te piękne horoskopy ziszczą!!

Godzili się zresztą z Witkem dosyć dobrze, bo oboje mieli dla króla niechęć i przebaczyć mu nie mogli, on—losu Henryetki, ona własnego. Oboje też jawnie nie śmieli stanąć w szeregach nieprzyjaciół króla, bo los ich był w jego ręku.

Niemiec z Warszawy zawrócił się z nią do Łowicza.

Znaleźli tu, jak Witke zapowiadał, kandydaturę Lubomirskiego, żywo wszystkich poruszającą, ale agitacya ta, niedaleko po za krąg wpływu Prymasa i hetmana sięgała. Stary, chory, naganami z Rzymu, ciągle odbieranemi, rozdrażniony Prymas, rzucał się bezsilny, łudzony przez Towiańskiego i Lubomirskich, którzy się nawet, wydając córkę za siostrzeńca Prymasa, związali z nim powinowactwem.

Tu więc na pozór popierano Szweda, ale niechciano słuchać o jego kandydacie, którym miał być wojewoda poznański.

Przeciwko Leszczyńskiemu w Łowiczu oburzenie było wielkie.

— Wśliznął się do Szweda, przypochlebił mu, przylizał—wołał Towiański — ale ani Karol XII, ani generał Horn króla przecież obierać nie będzie...

— A to mi piękny król—trzęsącym się głosem burczał Radziejowski—mleko pod nosem!

Przybywająca ks. Cieszyńska, która ten argument z ust ks. Aleksandra słyszała, wtrąciła:

— Szwedzki król powiada, że on jest młodszy od Leszczyńskiego, a przecież mu to panować nie przeszkadza

— Rozbójnik—zamruczał Prymas.

Czuć było w Łowiczu, że tu we własne siły, przeceniając je głośno, nie wierzono.

Chodziły pogłoski, że papież miał kardynała wezwać do Rzymu i przynaglał go, aby naród z Augustem pogodził.

Lecz o Auguście Prymas też słuchać nie chciał, nienawidził go. Jednał się z nim wprawdzie, brał pieniądze, dawali mu się kupować Towiańscy, ale August miał swych doradzców i słuchać nie chciał Radziejowskiego. Pioruny tu rzucano na Przebędowskich.

Księżna Cieszyńska zjawiła się i przesunęła prawie niepostrzeżona teraz. Wiedziano, że łaski straciła, że z Augustem się nie widywała, że mocy żadnej nie miała.

— A co waćpani myślisz z sobą? — zapytał ją Radziejowski.

— Kochany wuju—odparła żywo Urszula—naprzód się za mąż wydać muszę i to nie inaczej jak świetnie.

Prymas zamruczał coś tylko.

Odwrócił się ku niej, popatrzył długo i milcząc czekał dalszych zwierzeń.

Księżna więcej instynktem, niż rozumem, po kilku dniach już doszła do przekonania, że w Łowiczu nie było czego szukać, bo tu mała gromadka, która się w wielki obóz zamienić napróżno usiłowała, ani pomódz komu, ani zaszkodzić nie mogła.

VII.

Czasu znowu upłynęło niemało.

Szwedzi i sasi uganiali się za sobą po nieszczęśliwej Rzeczypospolitej. Karol nareszcie elekcyę Leszczyńskiego przyprowadził do skutku i generał Horn dopilnował, aby się wszystko odbyło bez oporu.

Zrzucony z tronu August czekał na posiłki od cara Piotra i ścigany, nękany, ponosząc klęski i straty, upierał się jeszcze. Tymczasem Karol zmierzał już ku dziedzicznym krajom saskim. Kurfirst, który dotąd znosił z pozorną przynajmniej pogardą na czole wszystkie ciosy, jakie mu zadawał straszny przeciwnik jego, stawał się zadumanym i posępnym. Dwór jego szeptał, że w izbach, które zajmował w pochodach, znajdowano często w drzazgi połamane sprzęty, porwane żelazne łańcuchy, jak gdyby na czemś potrzebował wywrzeć gniew swój i złość, tak pracowicie skrywaną.

Fleming nawet z obawą przestępował próg jego sypialni, z której dwakroć wyniesiono tak pobitą i zgniecioną czeladź, że się jej już dotrzeźwić nie było podobna. Dla obcych wszakże August miał zawsze na zawołanie uśmiech i jasne oblicze, o wojnie oprócz z Flemingiem i kilku generałami nie mówił nigdy, o politycznych swych planach tylko z jednym Patkulem.

Oczekiwano znowu na posiłki, z Moskwy obiecane. August niecierpliwy sam się udał na przyjęcie ich do wojska swego i od dni kilku stał za Piotrkowem we wsi Barszczewie, dziedzictwie pana stolnika Barszczewskiego.

Oprócz posiłków, wyglądał tu także swego nieodstępnego, jedynego powiernika Fleminga, tak rozdrażniony, niespokojny i poruszony, że Constantini nawet, zwykle zuchwale się stawiający królowi, teraz gdy miał wnijść do jego sypialni, żegnał się pobożnie. Wiedział dobrze, iż ważył tu życie, jeżeli sło-

wo jakie nie podobałoby się do najwyższego stopnia w duszy rozjątrzonemu, pragnącemu pomsty Augustowi.

Obawiano się tembardziej jakiegoś wybuchu, że do uszów J. K. Mości dochodziły ciągle, acz niezromiale, ale wściekle gniewne łajania pod oknami chodzącej stolnikowej Barszczewskiej, która króla od ostatnich słów bezcześciła.

Żadna siła ludzka nie mogła powstrzymać zuchwałej pani.

Stolnikostwo dla króla naturalnie wyrzuceni ze dworu zmuszeni zostali ścisnąć się w jednej izbie na folwarku; oprócz tego sasi pozabierali siano, owies, chleb, mąkę, porznęli bydło, zjedli stado owiec, wyłapali drób, a skarżącej się gospodyni, jakiś chudy pachołek, polak, stajenny króla, jeden co mówił po polsku, odpowiedział:

— Wojenne czasy, jejmościuniu. Trudna rada, kiedy konie i ludzie głodni.

Sam pan stolnik, starszy daleko od żony, chudy, słusznego wzrostu, spokojny i zrezygnowany człowiek, w długim kontuszu paradnym, przy karabeli, stał we drzwiach folwarku i próżno swą połowicę usiłował uspokoić.

— Na rany Chrystusa — mówił, ręce łamiąc — Tereniu, serce moje, dajże ty pokój temu! Toż król... a twoje łajanie nie pomoże nic, tylko się gorzej pogniewa, jeszcze gotów, odchodząc, kazać na cztery rogi podpalić. Zlituj się, Tereniu!

Stolnikowa ani chciała słuchać męża. W boki się wziąwszy, w czepcu na bakier, którego szlarki niezwiązane powiewały około zarumienionej jej twarzy, na złość pod samemi oknami króla powtarzała swoje:

— Bodajeś żyw stąd nie wyszedł, zbóju ty przeklęty... bodaj cię pioruny niebieskie, ciebie i twoich niemców wytłukły. Z tobą wszystkie nieszczęścia na nas spłynęły... Bodajeś...

Okno, pod którem stolnikowa przechadzając się,

tak piorunowała, wprawdzie przychodziło od królewskiej sypialni, ale okiennicą było zamknięte, a wewnątrz dywanami zabite tak, że wątpliwem było nawet, czy uszu króla dochodziły wrzaski, którym służba napróżno starała się zapobiegać.

Tymczasem saskie gospodarstwo w Barszczewie szło swym porządkiem i co było jeszcze do zjedzenia, wypicia i zniszczenia, niemcy bez miłosierdzia zabierali.

Stolnik, który o żonę się obawiał, a argumentów mu już do upamiętania jej brakowało, w końcu płaczliwym głosem dorzucił:

— Tereniu! Chrystus Pan więcej cierpiał, a nieprzyjaciołom swym przebaczał.

Stolnikowa nieprzekonana podnosiła głos jeszcze, gdy zdala na gościńcu ukazał się tuman kurzu, poczet jezdnych i pędem wprost pod dwór przez króla zajęty, wpadli w dziedziniec wojskowi konwojujący lekki powóz.

Z wozu wyskoczył średnich lat mężczyzna i nie zatrzymując się, jak stał, kurzem okryty, w płaszczu, wbiegł do sypialni króla.

August siedział na łóżku, nieubrany jeszcze, okryty tylko długim jedwabnym płaszczem, a przed nim w nieładzie stało podane mu śniadanie. Trzymał już w ustach świeżo nałożoną fajkę i puszczał z niej ogromne kłęby dymu.

Na zmarszczonem czole, w zaciśniętych ustach malowała się złość hamowana od wybuchu, lecz nie skrywana, bo dla Constantiniego, który stał w progu i dla Fleminga, który wchodził, usposobienie króla nie mogło być tajemnicą.

Oblicze też przybywającego przyjaciela tak było straszliwie zmienione bólem i trwogą, że na niem król nie pytając, wyrok mógł swój wyczytać.

Wlepił oczy we Fleminga.

— Co mi przynosisz? — zagrzmiało z piersi — mów!...

Zawahał się minister, ujął drżącą rękę Augusta, schylił się do niej, nie miał siły odpowiedzieć.

— Mów—gwałtownie krzyknął król—mów! Cóż mnie już spotkać może straszniejszego nad zrzucenie z tego tronu, przegrana pod Wschową... zbezczeszczone wojsko, ja sromem okryty... Polska stracona... Schulenburg...

I nie dokończywszy, padł król na łóżko, a fajka, którą trzymał w palcach, skruszona w kawałki padła u nóg jego.

Fleming ocierał pot z czoła.

— Szwed...—począł niecierpliwie August.

— Królu mój—przerwał Fleming równie gwałtownie.—Szwed zajmuje kraj twój dziedziczny... niech djabli wezmą Polskę... trzeba Saksonię ratować!

— Tak!—ryknął król z boleścią.—Ty, ty mnie to radzisz teraz, ty Fleming, a któż, jeśli nie ty i twoja Przebędowska zagnaliście mnie do tej przeklętej Polski, która mnie miliony kosztowała i okryła sromem... kto? Tyś winien! Jabym ciebie powinien kazać obwiesić.

Fleming ramionami poruszył.

— Jeżeli ci to ma pomódz do odzyskania Polski i milionów—rzekł—wieszaj, a prędko. Ale ja ci mówię, ani Polska, ani Saksonia stracone nie są. Szwedowi musi się noga ośliznąć, nadto długo mu szczęście służy. W tej chwili tylko potrzeba mu uledz.

August dyszał, słuchając... trząsł się cały gniewem i bólem.

Fleming stał i zdawał się czekać chwili, w której by mógł chłodniej się z nim rozmówić, lepiej położenie określić. Król tymczasem pełen kielich, stojący pod ręką, wychylił i tchnął, a raczej ryknął, uderzając się w piersi. Straszliwe, bezbożne przekleństwo z ust mu się wyrwało...

— Pierwszego tego miesiąca — począł, patrząc na niego, Fleming—Szwedzi weszli do nas!

— I powinni byli znaleźć pustkę tylko—zawo-

łał król.—Rozkazałem, aby lud wszystek z dobytkiem, z mieniem... co żyło—szło w lasy nad Sprewę i kryło się w niedostępnych moczarach.

— Tak—odparł Fleming, — lecz czasu już nie było na to... Szwed pośpieszył i drugiego września pod Steinem Odrę przeszedłszy, kraj zalał szeroko... wydawszy najostrzejsze rozkazy. Ministeryum widząc, że obrona i nieposłuszeństwo ściągnęłoby klęski większe jeszcze, nakazało się ludności zachować spokojnie. Nie można było postąpić inaczej.

August zerwał się z łóżka, okrył płaszczem i chodzić zaczął po izbie ciasnej, ale tu mu duszno było. Podszedł do drzwi, rozparł je, rzucił niemi tak że się w sztuki rozpadły i wyszedł do drugiej komnaty, pełnej jeszcze czeladzi i wojskowych, którzy na widok króla natychmiast pierzchnęli.

Wszystko, co po drodze mu stało, August przechodząc chwytał, nie mówiąc słowa, Fleming też przerwawszy opowiadanie, czekał.

On jeden w tej chwili okazywał najmniej trwogi, choć może się miał powód najwięcej lękać Augusta, ale bez niego też jednego król obejść się nie mógł.

Przechadzka ta skończyła się wnijściem napowrót do sypialni. Zwolna królowi twarz zaczęła się wypogadzać. Należał on do tych ludzi, których wrażenie zabija czasem, ale nigdy nie trwa długo... bo by z niem żyć nie było podobna.

On i Fleming stanęli naprzeciw siebie. August począł mówić zcicha, ale zwolna głos podnosił i widać było, jak go wewnętrzna jakaś otucha poczęła ożywiać.

— *A charge de revanche!*—odezwał się ponuro.—Potrzeba uledz, uledz, aby Saksonię ocalić! Bądź co bądź, pod jakiemikolwiek warunkami... dać mu, co zechce... podpisać przymierze, jakie podyktuje... Saksonię ratować muszę... O Polskę się rozprawię później... oddać ją jestem gotów temu faworytowi jego,

który jej utrzymać nie potrafi. Pokój muszę mieć i niech mi precz z mojego dziedzictwa ustąpi!

Fleming nic nie odpowiedział.

— Bić się z nim, nawet gdyby nadciągnęły posiłki cara—począł król—nie mam kim! Działa nowe ledwie lać poczęto... broni brak, pieniędzy niema, Schulenburg do niczego... inni tyle, co on warci. Bądź co bądź, Saksonię ocalić muszę, rozumiesz!

— Rozumiem — rzekł zimno Fleming, — ale ja ani o ten pokój traktować z nim nie będę, ani go podpiszę.

Spojrzeli na siebie. W wejrzeniu Fleminga wypisanem było, że z góry przewidywał wszystkie następstwa tego przymierza, którego ofiarą paść musieli ludzie, co je zawierać mieli.

— Wszystko, bez wyjątku, wszystko gotów jestem poświęcić—dodał August—byle Saksonię oswobodzić; rozumiesz mnie, ludzi, związki moje, słowo dane... wszystko... wszystkich...

Powtórzył to po razy kilka, a że przyjaciel nie chciał odpowiadać, dodał po małym przestanku.

— Komu dasz pełnomocnictwo? *Carte blanche! Carte blanche!*—z przyciskiem powtórzył król—*Carte blanche!*

Zadumał się krótko Fleming.

— Ci, którzy pojadą—rzekł—zawczasu się za zgubionych mogą liczyć.

— *Ma foi!*—zawołał król—to bardzo być może, ale ja dla nich ginąć nie mogę; wolę, ażeby zginęli dla mnie.

Milczeli oba. Wyznaczenie tych dwu ofiar, które miały paść dla ocalenia Augusta, przychodziło z trudnością.

Fleming, równie jak August, zimny i bezlitośny, gdy nie o niego samego chodziło, wahał się z wyznaczeniem tych ofiar na stracenie.

Wtem królowi wyrwało się z ust imię, Imhofa, prezesa izb (Kammerpräsidenten); spojrzał na Fleminga, który się nie sprzeciwiał.

— Imhof—powtórzył August i zadumał się patrząc w podłogę.—No Pfingsten.

Fleming nie stanął w obronie... nie miał przeciwko nim nic.

— Ani chwili czasu nie tracąc—rzekł August—natychmiast kuryera wypraw do nich, *carte blanche!* Niech nie powracają, nie podpisawszy przymierza. Gdzie jest ten Szwed przeklęty?

— Sądzę, że musi być w okolicach Lipska — odparł Fleming.

Usłyszawszy to król pobladł.

— A Schulenburg?

— Uchodzi—rzekł spokojnie Fleming—z resztą rossyan do Turyngii, sądzę!

August już pytać nie śmiał więcej.

— Ślij im natychmiast pełnomocnictwo.

Wtem jakby coś sobie przypomniał, zapytał:

— A królowa?

— Królowa musi być w Bayreuth — mruknął przybyły.

— Z matką?

— Nie. Anna Zofia z Kurfirstem odjechała aż do Danii.

Zmarszczył się August i westchnął.

— A Cosel?—rzekł ciszej.

— Pozostała dotąd w Dreznie.

Królowi lice się rozjaśniło nieco.

Na tych zadawanych pytaniach i urywanych odpowiedziach, które długie przystanki dzieliły od siebie, upłynęło dużo czasu...

Król nagle się opamiętał i ochłonął, krzyknął na Mazotina, że się chce ubierać, zamknięto jako tako połamane drzwi. Fleming otrzymał rozkaz bez zwłoki pełnomocnictwo dla zawarcia przymierza Imhofowi i Pfingstenowi wygotować. Spytał o ograniczenia.

— Niema żadnych, wszystko mają poświęcić dla ocalenia Saksonii... wszystko... *carte blanche!*

Fleming głową potrząsał. Szydersko się uśmiechnął August.

— Nie wielki z ciebie dyplomata — rzekł cicho.—Kto daje *carte blanche*, ten się najłatwiej potem nieograniczonego pełnomocnictwa zaprzeć może. Prywatnie im napiszę, że mnie, czci mojej i całości Saksonii oszczędzać powinni, ale im granic nie kładź żadnych, sami je znaleźć powinni.

Fleming się już poruszał, gdy król dorzucił.

— Przymierze i pokój za wszelaką cenę stanąć muszą... niech mi inaczej nie powracają.

Mówiąc to, król już stał przed zwierciadłem, a Constantini poddawał mu jego allongé, perukę codzienną. Strój chciał tego dnia przywdziać na złość losowi jak najokazalszy, choć prawdopodobnie, oprócz pani stolnikowej i dworu, nikt go nie miał oglądać. Ale August lubił tak na przekorę gnębiącemu go losowi okazywać się jak najnieczulszym na ciosy jego.

Constantini, pomimo, że już był ochłódł, z obawą się zbliżał do niego, widział, że jeszcze ręce mu drżały i oczy ciskały piorunami.

Od przybycia Fleminga dwóch już po nim kuryerów przybiegło z Saksonii. Fleming odebrał od nich papiery i starał się nieporuszony, zimny, naśladować pana, ale twarz go zdradzała, a mówiąc, jąkał się i mylił.

Zaledwie miał czas w izbie naprzeciwko podyktować ową *carte blanche* dla pełnomocników, gdy król wołać już kazał.

Wchodzącemu wyrwał ją z rąk, zaledwie okiem rzucił i pochwyciwszy pióro, zamaszyście podpisał, rzucając precz od siebie.

— Lipsk! — począł badać znowu król — zajęli Lipsk! a Pleissenburg?

— Komendant się w nim trzyma... Kupcy dawno, wszystko, co mieli, powywozili... Łupów Szwed nie weźmie.

— A jarmak?—podchwycił król niespokojnie— ja się spodziewam być tam jeszcze na jarmarku!

Fleming spojrzał wielkiemi oczyma.

— Tak jest—potwierdził król z dziwnym uśmiechem wyzywającym, jakby chciał się urągać nieszczęściu, które go dotknęło i straty korony wcale sobie nie ważył.

Z pod tej dumy przeglądała złość. Fleming popatrzał i nie odpowiadał.

— Listy, które odebralem w tej chwili — odezwał się pomilczawszy — donoszą mi, że Karol główną kwaterę założył w Tauchau, ale ją przeniósł do Altranstadtu... Z Tauchau wydał manifest do kupców lipskich, poręczając bezpieczeństwo własności wszelkiej i wzywając, aby jarmark jak zwykle się odprawił.

August się uśmiechnął.

— Za to mu wdzięczen jestem — odparł prędko — bo ja, jak tylko pokój będzie zawarty, muszę natychmiast jechać się rozerwać do Lipska.

Oświadczenie to w takiej chwili nawet Flemingowi, który doskonale króla znał, tak się dziwnem wydało, że niedowierzająco ramionami poruszał, ale August żywo potwierdził swe oświadczenie.

— Śpieszno mi do Lipska...

— Ale Altranstadt pod bokiem — odezwał się przyjaciel—a Karol...

— Będę musiał i do Altranstadtu pojechać, to nieuchronne—rzekł obojętnie August.

Fleming chciał coś dodać i wstrzymał się; król zdawał się myśli jego odgadywać.

— Chcecie mnie może przestrzedz, że się tam spotkać mogę z panem wojewodą poznańskim, a pseudo królem polskim szwedzkiej fabryki? he?

— Tak jest — wtrącił Fleming. — Leszczyński nietylko sam, ale z żoną towarzyszy protektorowi i zajął kwaterę w Lesnig.

August zrobił minę pogardliwie szyderską.

— Patrzaj! — zawołał do Fleminga—ja tu jestem w jego królestwie, a on moje zajmuje... umyślnie... Karol go tam przytrzyma, aby mnie zmusić mu się pokłonić! Niepoczciwy braciszek! Gdybym miał kiedy

się doczekać odwetu... ha! ha! Strasznym by być musiał... strasznym!... Wszystka krew tego wyschłego draba nie starczyłaby na ugaszenie mojego pragnienia.

— Tst! — powstrzymał Fleming.

Lice królewskie zbladło, jak ściana, i lekkie drżenie poruszyło fibry twarzy.

— Sądzi, że tem mnie złamie? — zamruczał. — Nie! Będę mu się pod nosem bawił na Lipskim jarmarku!

Zdawał się namyślać nieco Fleming i chwilę małą poczekawszy, ujął poufale króla pod rękę, chociaż wcale nie znajdował go do przyjacielskiego zbliżenia się usposobionym...

— Schulenburg — rzekł pocichu poufale. — Schulenburg zaręcza, że jeśli mu pozwolicie, on jednym zamachem wszystkiemu koniec położy.

Ze wzgardą brwi zmarszczywszy okrutnie, August wykrzyknął tylko.

— Schulenburg! on... *allons donc!*

— Tak jest — dodał Fleming. — Wiadomo powszechnie, że na straży przy Karolu nigdy więcej nie stoi nad trzydziestu trabantów, on sam nieopatrznym jest i zuchwałym. Schulenburg zaręcza, że go pochwyci i uwięzi w Tauchau, czy w Altranstacie.

Król posłyszawszy to, głową poruszył gwałtownie.

— Niech się nie waży na to — zawołał — takich środków nie mogę użyć, ani ich dopuścić. Nie umiał go pokonać, a chce odwetu zdradą! Wstyd by mi tem uczynił tylko. Schulenburgowi to przystało może, — ale nie Augustowi.

Przeszedł się po izbie, ostygając.

— Otruć go, z za węgła mu w łeb strzelić... to co innego — mówił dalej. — Sprawa pozostałaby ciemną, niktby mi nie dowiódł, żem się do niej przyłożył... wszystko zrobić pozwalam, ale ja muszę pozostać nietknięty. — Nie! nie! Karol sam sobie gotuje zgubę... Wszystko to są chwilowe ofiary... zwycięztwo pozostanie przy mnie.

Fleming zaczynał głową potrząsać, ale August już zmienił przedmiot rozmowy.

— Wyssie mi Saksonię kontrybucyami — zawołał.—Jestem pewnym, że jarmark Lipski opłacić się musiał.

— Dali dobrowolnie sto tysięcy talarów — zamruczał przyjaciel.—Zwołał też Karol, jak mi donoszą, zjazd szlachty do Lipska.

— Cóż panowie szlachta moja? — uśmiechając się, zapytał król.

Flemingowi tak przykrem było zdać sprawę z tego, iż papier, świeżo odebrany, podsunął milcząc królowi i palcem na nim wskazał miejsce podkreślone. Stało tam, iż szlachta się przywilejami składa, jako do niczego obowiązaną nie była, krom służby osobistej i dawania koni. Na to szwedzki król odpowiedział:

— Gdzież panowie szlachta byliście ze swemi końmi pod te czasy? Gdybyście obowiązki swe spełniali, mnieby dziś w Saksonii nie było! Gdy na dworze ucztować trzeba i pić, żadnego z was tam nie braknie, ale za ojczyznę pójść się bić?... niema ochoty... wolicie siedzieć w domu.

I głośno dodał Fleming.

— Szlachta miesięcznie płacić będzie musiała od 200 do 250,000 talarów.

Rozśmiał się August.

— Brat mi wziął moich kochanych poddanych na edukacyę—rzekł—wdzięczen mu jestem! Obrachujemy się z nim kiedyś.

Rozmowa przeciągnęła się dalej. Dwa czy trzy razy spytał król o ukochaną Cosel, o której przyjaciel przebąknął coś sucho. Zagadnął potem o Patkulu i otrzymał odpowiedź, że blizkim był ożenienia z wdową Einsiedel.

Król zadumał się, wymówiwszy jego nazwisko.

— Wyznać potrzeba, Fleming—rzekł poufnie,— iż Patkul rozumnym jest, dyplomatą znakomitym, człowiekiem niepospolitej rzutkości, przebiegłości i nie

przebierającym w środkach. Zdradza Piotra dla mnie, mnie pewno dla Piotra, gotów nas obu, gdyby mu to było na rękę, sprzedać Prusom. Ale o sobie pono najlepiej pamięta. Einsiedlowa mu przyniesie, oprócz białej rączki, jakie czterykroć sto tysięcy talarów. Piotr mu płaci, ja płacę, nie ręczę, ażeby nie brał od innych, a i szlachta inflancka...

Tu przerwał sobie nagle.

— Ale Patkul wart jest tego, nieopłacona głowa i on jeden to rozumie, iż w polityce żadnemi względami kierować się nie można, oprócz zasady, że zwyciężyć potrzeba; kto przebiera w środkach, nie zrobi nigdy nic. Trucizna, sztylet, więzienie, tak są dobre, jak inne lekarstwa, gdy skutkują.

— Przyjacielu—przerwał Fleming—dla czegóż Schulenburgowi nie dopuszczacie użyć tego środka, jaki on proponuje?

— Dla tego, że świat jest głupi—zawołał August — i że Machjawelowska polityka dopiero może za sto lat znajdzie uznanie powszechne. My się nią posługiwać możemy, ale taić musimy.

— My—dodał ze śmiechem—my jeszcze jesteśmy rycerze... i musimy sadzić się, aby wyglądać szlachetnie. My chwalimy się jeszcze męczeństwami, a niema nic głupszego nad dobrowolne męczeństwo...

Wszystko to August szybko tak jakoś, poplątanemi wyrazami wyrzucił do ucha powiernika, iż Fleming nie dobrze go zrozumiał nawet. Zaledwie dokończywszy, król się zwrócił. Dochodziły go głosy polskich panów, nielicznych, którzy przychodzili pokłonić mu się i przynosili wiadomości na pozór pomyślne.

Teraz, gdy Karol XII wtargnął był już do Saksonii, gdy August wysłał pełnomocników, aby pokój zawrzeć pod jakimikolwiek, choćby najcięższemi warunkami, byle wyswobodzić kraj dziedziczny, w Polsce nieliczni pozostali szwedzi, mogli się z trudnością utrzymać; — posiłki cara Piotra nadciągały, zebrane wojska króla, który się już w myśli swej zrzekł ko-

rony, kilkakroć przewyższały siłą szwedów i ich partyzantów.

Teraz, gdy zwycięztwo na nic się przydać nie mogło, August, zdaniem wszystkich, prawie na pewno rachować na nie był mocen... Była to nowa ironia losu!

— Choćby traktat i przymierze było podpisane, choćbym ja je ratyfikował — szepnął Flemingowi — nic głosić nie potrzeba; przyjmiemy, wywołamy nawet starcie, a jeżeli wygramy bitwę, ocalimy honor.

Palec położył na ustach.

Po śniadaniu wydano nagle rozkaz wyciągania z Barszczewa. Wprawiony nim w ruch obóz królewski, dwór, czeladź, natychmiast poczęli się sposobić do wyciągania.

Flegmatyczny stolnik Barszczewski, którego żona nie przestała kląć i wyklinać króla J. Mości, rzucając się w ciemnej izbie na folwarku, wymyślając, wszedł do niej.

— A widzisz asińdźka, kochana Tereniu — począł od progu,—że wszystkiemu tego utrapieniu koniec przychodzi, a co się do lasu udało pochować, zostanie całe... Król wyciąga... już mu konia siodłają. Sam widziałem, na własne oczy.

Zerwała się stolnikowa piorunem.

— Wyciąga! — krzyknęła, biegnąc do drzwi — nie puszczę go tak na sucho... odprowadzę kułakami do wrót... i przekleństwy..

Stolnik, z przestrachu złożywszy ręce, chciał przed nią przyklęknąć, odepchnęła go aż się zachwiał.

— A ty stary grzybie!

W sam czas znalazła się w dziedzińcu.

August w paradnym stroju podróżnym dosiadł był konia, gdy stolnikowa, w czepcu na bakier, z obiema pięściami ściśniętemi i podniesionemi do góry, poskoczyła prawie pod kopyta jego wierzchowca.

— Jedź! jedź!—poczęła wołać. — Jedź na złamanie karku, jedź, rozbójniku, szczęśliwej drogi na dno piekła... bodaj cię pioruny ścigały, bodaj cię!...

Król nie rozumiał ani słowa, ale mimika pani stolnikowej była tak wyrazistą, twarz, oczy zaognione, usta niemal zapienione nie dozwalały powątpiewać, że go nie błogosławiła...

Mnóstwo osób, pełen dziedziniec ciekawych przypatrywało się tej scenie. Cóż król miał począć z tą kobietą?

Znalazł się z niepospolitym dowcipem; usta mu się uśmiechnęły, zdjął kapelusz i począł się jej kłaniać jaknajuniżeniej. Im wściekłej napastowała go pani Barszczewska, tem król kłaniał się jej niżej, uśmiechał wdzięczniej, a towarzysze jego, widząc króla tak dobrze usposobionym, wszyscy, idąc za jego przykładem, zdejmowali kapelusze i kłaniali się stolnikowej.

Mało się tam komu pewnie śmiać chciało, ale uśmiech króla był zaraźliwym i jakżeby go dworacy nie mieli naśladować!

Stolnikowa rozdrażniona mocniej jeszcze tem urągowiskiem, którego czeladź jej własna była świadkiem, aż do wyłamanych wrót, ostatniej nocy porąbanych i spalonych przez straże króla, przeprowadziła podskakując i klnąc Augusta.

Tu dopiero siły jej nie stało i gdy mąż nadbiegł, aby ją odciągnąć i wyzwolić, obawiając się żołdactwa, padła w objęcia jego z krzykiem i śmiechem szyderczym.

Było to jedno z ostatnich pożegnań Polski, którą pani Barszczewska uosabiała.

Król, którego twarz uśmiechnięta doprowadziła go aż do wrót, włożył kapelusz na głowę i wydał rozkaz jakiś przybocznej straży.

Sasi już wszyscy wyciągali z szop, obór i budynków, które zajmowali, gdy nagle pożar się wszczął ze czterech rogów zabudowań, płomię podniosło do góry i Barszczów do wieczora zgorzał do szczętu.

Król ciągnął pod Kalisz, przeciwko szwedom, mając w pomoc kniazia Mężykowa, przysłanego przez cara Piotra.

Za Prosną stało siedem tysięcy szwedów z generałem Mardenfeldem, przy którym byli wojewoda kijowski, Lubomirscy, podkomorzy i Potocki, pisarz koronny.

Byłby się może nie ważył August na tę rozprawę, choć siły miał potemu, gdyby go chciwy boju i łupów Szmigielski, najdzielniejszy z jego partyzantów, nie pociągnął gwałtem z sobą.

Tak król, w chwili, gdy już traktat sromotny pełnomocnicy jego podpisali, po raz pierwszy znakomite odniósł zwycięztwo, a sasi wzięli ogromne łupy na placu boju...

Trzeciego dnia po bitwie, na pobojowisko, usłane trupami, rannymi, konającemi, wyjechał August w przepysznym stroju rycerskim, otoczony dworem, lśniącym od złota, przeprowadzony przez promieniejącego tryumfem Brandta.

Tu tragicznie się powtórzyła scena, poczęta w Barszczewie... która na królu, równie jak pierwsza, najmniejszego nie uczyniła wrażenia... Konający zrywali się na widok jego, okrwawionemi pięściami mu grożąc i bełkocąc przekleństwa, które śmierć na ich ustach drżących ścinała...

„To dziwna — pisze świadek współczesny, — że gdzie król przyjechał, tam się owi niedobici, choć okrutnie postrzelani, niektórzy bez rąk, inni mając do połowy poodcinane głowy, na przyjazd królewski porywali, jedni stawali, drudzy siadali, i znaki jakieś mowy ustami dawali, łając go... Zaprawdę straszny to był widok, ale król August bynajmniej się nim nie konsternował”.

Co za obraz, co za dzieje!!

Niesłychane okrucieństwo sasów pozostalo w pamięci na długo...

„...Bezbożnie obchodzili się sasi z polakami, obdzierając ich, pisze tenże współczesny świadek. Panu Łosiowi, sędziemu lwowskiemu, rotmistrzowi pancernej chorągwi, obnażywszy go do koszuli, gdy sygnetu kosztownego z palca dać im nie chciał, czyli

też nie mógł, a saski żołnierz do owej obdzierania bezbożnej dramy komenderowany, postrzegł u niego ów sygnet, chciał mu go z palcem urżnąć i już go bagnetem ciął, gdyby Łoś na jenerała Brandta nie zawołał o salwowanie... a jednak sygnet musiał dać".

Drudzy dali życie...

Z tego to czasu, który się w dziejach zapisał smutnem a niezrozumiałem później przysłowiem, od Sasa i do Lasa, pozostał ów żarcik wieśniaczy, który przytacza Otwinowski:

„Szedł podjazd kwarcianych nad jeziorem Gopłem, a chłopa wziętego za przewodnika pytali ichmość, która strona mu się lepszą zdała, saska czy szwedzka? Chłopek w strachu, nie wiedząc z kim kwarciani trzymali, zakłopotał się odpowiedzią. Lękał się obrazić...

Im dłużej milczał, a ociągał się, tem kwarciani mocniej nalegali, przewodnik zaś wzdychając, szeptał tylko: Zgadnij Jezu kto Cię bije? Poczęli żołnierze zmuszać do odpowiedzi... Wziął więc biedota na rozum.

— A, panowie mili... człowiek by życzył, aby szwedzka siła wszystka przemieniła się w takie oto jezioro mleka, jak Gopło nasze, zaś sascy ichmość niechby się stali chlebem... i niechby potem dyabeł sobie chleb ten w mleko wdrobił i wyjadł do kropli...

Nim Imhof i Pfingsten z Drezna do Altranstatu dojechali, gdy o pełnomocnictwie ich wieść się rozeszła, oblężeni zostali przez całą szlachtę saską znękaną, pokutującą za swego Kurfirsta, przeklinającą Polskę i domagającą się od swoich, aby kraj ratowali bez względu na Augusta...

— Czas było, wołali, aby pokutował, kto był winien, gdy dotąd Saksonia płaciła za grzechy swego Kurfirsta...

Stan kraju, błagania wszystkich, nalegania na ostatek, rozkazy samego króla, który wydawszy nieograniczone pełnomocnictwo, kazał Flemingowi dopisać, aby nie powracali bez zawarcia pokoju i oswo-

bodzenia Saksonii, sprawiły to, że dwaj posłowie przystali na najsromotniejsze wymagania i warunki Karola XII, a August traktat ten ratyfikował.

Wprawdzie później wykłamywał się, wstydząc, a Imhof i Pfingsten przypłacili za swą powolność życiem niemal, ale w pierwszej chwili August gotów był na wszelką ofiarę, byle Saksonię odzyskać.

Sumienie miał dość swobodne i otwarte naoścież, by potem zobowiązania złamać, tłumaczyć i niweczyć nie czując najmniejszej zgryzoty.

Brat, król szwedzki, który tak długo czekał napróżno na zupełne przygnębienie Augusta, którym pogardzał i nienawidził, gdy posłowie sascy przybyli dla traktowania z nim, okazał się nielitościwym, okrutnym... Warunki narzucone były oburzające.

Każdy inny wolałby śmierć i bój nad nie—August je lekceważył! Wielkość swą pokładał on właśnie na tem ostygnięciu, obojętności, umyśle, nie dającym się schmurzyć, serca nie mogącym poruszyć...

Stracił wszystko i z wydaniem Patkula—nawet honor. Jednym okrzykiem oburzenia cały świat powitał pakta Altranstackie; August ruszył ramionami i zabawiwszy się w pijanem kółku przyjaciół, gotował na jarmark Lipski.

Karol, równie dziki i nienasycony w swem pragnieniu zemsty, jak August na srom obojętny, narzuciwszy zwyciężonemu najcięższe warunki, zażądał i wydania Patkula... którego za podżegacza głównego uważał... Patkula broniło prawo ogólne, posłom przysługujące, bo on, choć pensyonowany przez Augusta, był przy nim rezydentem cara Piotra, dodanym Dołhorukiemu, ale król gotów był na połamanie praw i przywilejów wszelkich dla zaspokojenia Karola, dla wyswobodzenia się od niego.

Wiedział bardzo dobrze, iż z nim skończywszy, Karol rozpocznie walkę zaciętą z Piotrem, a znał Piotra i przeczuwał, że wytrwałość jego żelazna przemoże impet namiętny Szweda.

— Naówczas!!—myślał Sas, uśmiechając się —

naówczas Altranstackim traktatem ja sobie fajkę zapalę...

A kości Patkula? — nikt o nim już nie pamiętał!

Wszystko teraz z niezmiernym pośpiechem, jak obalona budowa, waliło się, biegło ku końcowi i zamknięciu dramatu... Imhof i Pfingsten, nieśmiejąc nawet z Piperem o punkta się spierać, stękając, ręce łamiąc, przyjmowali jedne po drugich... Jeżeli zacięli się na którym z nich, Szwed tem mocniej naciskał właśnie na to, co najwięcej dokuczyć mogło.

W kilka tygodni potem August z zagryzionemi usty, blady, podpisywał tajemnie ratyfikacyę. Zdawało mu się, że Szwed natychmiast wyjdzie z Saksonii, ale brat chciał się swą zemstą nasycić... Przywiódł z sobą Leszczyńskiego i spodziewał się zmusić Augusta, aby się kłaniał i komplementa prawił temu, który go korony pozbawiał.

Leszczyński próżno się od honorów tych wypraszał, Karol, choć go kochał, ale i jego nie oszczędzał... W Saksonii rządził się, jeździł, rozkazywał, brał pieniądze i ludzi, gospodarował jak w domu.

W dziewięć dni po ratyfikacyi traktatu wygrał Sas bitwę pod Kaliszem, ale tem na nowo sobie Karola naraził, który dozwolił mu się wytłumaczyć, lecz wywdzięczył tysiącznemi drobnemi upokorzeniami.

August w ostatku wybrał się z Warszawy... Nie obchodziło go to, że się miał spotkać z wrogiem... Czekała nań śliczna Coseł i ten niezrównany, pocieszny jarmark lipski, ówczesne Saturnalia książąt niemieckich!

Piękna Urszula patrzyła na to wszystko zdaleka, stojąc na uboczu, cichutko i bałamucąc dopóty ks. Aleksandra, dopóki się on jej dawał czarować i więzić... Jedno pono wspomnienie ożenienia, podszepnięte naostatek, spłoszyło młodzieńca...

Ona chciała być dla niego wdową po królu, on znał w niej tylko ulubienicę nienawistnego człowieka... Jednego dnia... nie stało Sobieskiego we Wro-

cławiu, a potem miało wkrótce i Augusta zabraknąć w Polsce.

Aurorze Königsmark tak dobrze było w Dreznie i w przyjaźni z Augustem... Cicho wciągnęła Lubomirska do swego domu w Dreznie i dnia jednego ukazały się kolebki księżnej Cieszyńskiej w ulicach. Z Königsmarkową padły sobie w objęcia i rozpłakały się.

— A! co za okropne czasy!! — cicho szepnęła Urszula.

— Ten biedny król! — dodała Aurora...

I siadły biadać wspólnie, dopóki nie zaczęły mówić o Cosel.

Cosel na żadną z nich patrzeć, żadnej ze swych poprzedniczek znać nie chciała... głosiła się żoną króla... Cuda prawiono o jej przepychu, samowoli, obejściu się z Augustem i ze wszystkiemi... Ten jeden przedmiot starczył na długie, niewyczerpane rozmowy, a potem ks. Cieszyńska oczyma już szukała kogoś, aby się za mąż wydała...

Potrzebowała księcia... reszta była już prawie obojętną... August nie odebrał dotąd nic, była więc dość bogatą, aby sobie kupić mitrę książęcą i była jeszcze dość ładną, dość umiejętnie zalotną, aby ją ku sobie przywabić. Otwarły się świetne salony, rozpoczęły wykwintne obiady; nie brakło pięknej czarodziejce gości.

IX.

Król August przesunął się tylko przez Warszawę, nie pokazując nikomu. Zwycięztwo pod Kaliszem kazało się domyślać, że wojna jeszcze się przedłuży, bo o traktacie, zawartym w Altranstacie, mało kto wiedział, a mniej mu jeszcze ludzi wierzyło.

Wszak po zawarciu jego Brandt jeszcze pobił szwedów!...

Jednego wieczora na zamku widać było światło w oknach, nazajutrz rano wrota stały otworem, a zamek pustką. Kupy słomy i siana leżały porozsypywane w podwórzach. A król? Pojechał na polowanie? do Krakowa? na Bielany? kto to mógł wiedzieć? Cisza zaległa w mieście, straże znikły z przed zamku... Sasi rozchodzili się w różne strony...

Mówiono, że ostatki żołnierzy, niedobitków, król sprzedał gdzieś na okręta, za morze...

Ci, co go widzieli na drodze, jadącego jakby ku Krakowu, rozpowiadali, że był dobrej myśli i śmiał się, żegnając:

— Do widzenia...

Sasi kwaśno nucili piosnkę:

— Du lieber Augustin! — a nuta jej przeleciała do Polski.

Tymczasem w Dreznie sposobiono się na przyjęcie gości. Królowa matka, królowa, któż wie? może nawet król miał powrócić. Hrabina Cosel gotowała się go przyjmować.

Z Czech nadciągnął Ogilvy i miał Steinau'a odprawionego zastąpić. A Karol XII siedział spokojnie w Altranstacie, jeździł do Lipska, oglądał swoje wojsko, rozłożone na zimowe leże, odwiedzał Leszczyńskiego w Leśniku i kontrybucye surowo wybierać kazał.

Wieczorem, piętnastego grudnia, Aurora przybyła w odwiedziny do Cieszyńskiej.

— Na zamku króla oczekują—rzekła.—U Coseli wszystkie okna się świecą... Mogłożby to być? a Szwed pod Lipskiem!...

— Z nim zawarto przymierze, to pewna! — westchnęła Urszula. — Wojna się raz przecież skończyła...

— Myślisz?—odparła Königsmark.—Ja nic nie rozumiem i w nic już nie wierzę...

— A ja lepszych się dni spodziewam—zawoła-

ła Urszula.—Kazałam sobie wróżyć przyprowadzonej cygance... prorokowała pogodę i zabawy...

We drzwiach zaszeleściały suknie kobiece, na progu stała hrabina Reuss i do góry podniósłszy rękę z chustką, zadyszana wołała:

— Król, król! Zajechał wprost do Coseli!

Obie przyjaciółki się zerwały.

— Być że może? przyjechał?

— Friesen go widział na własne oczy... Opalił się, ale twarz ma wesołą!—dodała Reuss.

— On, gdy chce, zawsze wesół być potrafi — dorzuciła Urszula— zawsze!

Wszystkie trzy zbiegły się w gromadkę na cichą rozmowę. Wtem drzwi się otwarły znowu, pierwszy kamerdyner księżnej wszedł krokiem pośpiesznym.

— N. pan jest w Dreznie—rzekł, jakby nowinę przynosił, ale Urszula ręką rzuciła tylko...

Do późna się wszystko z wieścią o powrocie nosiło po mieście. Oddawna tu niewidziano Augusta.

Na górze w kamienicy pod Rybami, nad rozwartą biblją siedział do niepoznania wychudły, nędznie ubrany, sam jeden Witke. Chwilami schylał się nad księgą, czytał słów kilka i dumał. Przed nim puste stało krzesło stare, niegdyś zajmowane wieczorami przez matkę; ta już spoczywała na cmentarzu.

Witke był sam i los swój przeklinał. W nim i około niego wszystko było w ruinie, on sam nie żył już, ale dźwigał życie. Nic go nie obchodziło... zdał wszystko na sługi.

Gdy wśród tego dumania kroki się na schodach słyszeć dały, nie poruszył się wcale. Drzwi potem ktoś ręką niecierpliwie wstrząsnął, szukając klamki.

Witke się nie poruszył.

Wtem z przekleństwem na ustach wpadł, jak burza i wicher, Constantini, stanął, popatrzył na siedzącego, który się nie poruszył nawet i zaklął straszliwie.

— No... wstawaj! król cię potrzebuje!

Zacharyasz ramionami ruszył.

— Ja nie potrzebuję króla — rzekł zimno — ty i on wzięliście mi, co miałem najdroższego... trupem jestem, nie służę nikomu, robactwu się zdam chyba na pastwę.

I głowę odwrócił.

Mazotin przystąpił do niego i ręką go uderzył po ramieniu.

— Pleciesz! wszystko da się naprawić! Wstawaj... potrzeba mi kogoś do Warszawy. Ważne papiery zostały tam, przywieziesz je!

— Ani pojadę, ani przywiozę!—odparł Witke— ani o was dbam, ani się was boję. Idź sobie nowych szukać ofiar... Idź! idź!

Włoch patrzył, słuchał i uszom nie wierzył prawie.

— Co się z tobą zrobiło?—rozśmiał się z przymusem.—Tyś oszalał!

— Wolę moje szaleństwo, niż wasz rozum — zamruczał Witke i, podparłszy się na łokciu, w książce się zatopił.

Constantini stał nad nim i zżymał ramionami.

Wtem, czując go za sobą, Zacharyasz powoli mówić zaczął, nie zwracając się ku niemu.

— Kto was dotknął, kto się o was otarł, zginął; wyście jak węże, nosicie jad w sobie, który zabija wszystkich, a wam tylko nie szkodzi. Zabiliście mi matkę, zabiliście to dziecko niewinne. Zabiliście we mnie wiarę wszelką, oprócz w szatana, który was spłodził. Idźcie odemnie!

Włoch się marszczył.

— Oszalał — powtórzył, i pomilczawszy nieco, dodał:

— Mnie ciebie żal, naprawdę żal mi ciebie. Wstań, otrząśnij się, naprawi się zło, powrócą straty.

Ciągnął tak dalej, ale Witke z oczyma spuszczonemi na kartki książki, zdawał się go nie słuchać i nie słyszeć.

Constantini czekał nieco. Zaszedł z przodu, aby mu zajrzeć w oczy, okrążył dokoła, splunął i drzwia-

mi zatrzasnąwszy, na zamek powrócił. Po chwili Witke wstał także, zbliżył się ku drzwiom i zaryglował je. Rękę wyciągnął w stronę zamku i zamruczał:

— Dzieci szatana!

Nazajutrz rano nieznacznie ściągnięci wieścią o powrocie króla, starzy słudzy, panowie szlachta, przypadkiem będąca w opustoszałem Dreznie, poczęli się snuć około wrót zamkowych. Tu szwajcarska gwardya chodziła po staremu, ziewając.

Zaglądano w podwórce zamkowe i stajenne. Kilka obłoconych kolebek stało świeżo wyprzężonych, ale ludzi i ruchu nigdzie widać nie było.

Karzeł Kasperle, który ani z królem, ani z królową nie wyjechał ztąd i siedział, jak kot w opuszczonem domostwie, ziewając i wyciągając się, spoglądał na ulicę.

Z miasta przyciągnął do niego starzec z brodą nieogoloną, w sukni zbrukanej, ale z miną pańską i dumną.

— Kasperle—zawołał ochrypłym głosem—jest król? Będziemy my nareszcie znowu pili za jego zdrowie? Ja już i piwa kwaśnego nie mam kupić za co. Ot, ot, co nas ta Polska kosztuje, a teraz zapłacić trzeba, ażeby ją sobie od nas wzięli! Hę! jest król?

Kasperle ziewnął straszliwie i cały się wstrząsnął, jakby go ta nuda do wnętrzności poruszyła.

— Jaki król? gdzie król?—począł mrucząc.—Kurfirst wczoraj przybył do Coseli, a rano dziś nazad odjechał.

— Dokąd?

— Z komplimentem do brata króla szwedzkiego—rzekł karzeł.

To mówiąc, obwiązał się wytartym kożuszkiem i tyłem do starego odwrócił.

Tak było w istocie. Wieczorem, dnia 15-go grudnia, August śmiejący się, promieniejący nadrobioną fantazyą, przyjechał do Coseli, wiózł z sobą

Fleminga. Zastawiono mu wieczerzę, którą jadł, a potem pił do późna.

Nazajutrz zaledwie na brzask stały konie wierzchowe w dziedzińcu zamkowym. Było ich trzy, dla króla, dla Pfluga, który mu miał towarzyszyć i dla kamerdynera. Chociaż szwedzi zajmowali posterunki po drodze, August jechał tam samotrzeć tylko, z pistoletami w olstrach, do Lipska.

— Jutro—zapowiedział Flemingowi—jutro będę w Lipsku, a pojutrze odwiedzę brata Karola w Altranstacie. Nie może być, musi mi złagodzić warunki pokoju. Przecież dosyć już mieć musi i krwi przelanej i zmarnowanego grosza. Coby to za piękne klejnoty zakupić można za te zjedzone w razowym chlebie przez chłopów miljony!

Z tą wiarą w pogodę swojego uśmiechu, August konno tegoż dnia, mimo dosyć tęgiego mrozu dobiegł do Lipska i siadł do wieczerzy, kazawszy oznajmić do Altranstatu, że nazajutrz odwiedzi króla szwedzkiego.

Około południa w złotogłowej sukni ze sławnemi dyamentowemi guzami, jechał August do cioteczznego brata.

Na przyjęcie jego Karol XII nie zmienił nawet pary grubych, zbłoconych butów ciężkich, których już od dni kilku nie zdejmował, nawet spać idąc. Miał na sobie granatowy swój kaftan z grubego sukna, a u boku ów miecz w żelaznych pochwach, który od krwi zardzewiał.

Szwed chciał być dla kuzyna grzecznym aż do zbytku i najkrótszą drogą, prowadzącą do Lipska, uprzedzając Augusta, wyruszył także do dnia na spotkanie, tak, że nie wiedząc o sobie, w drodze się rozminęli.

Król August dobiegł już do Grünthersdorfu o pół godziny od Altranstadtu, gdzie z kancelaryą stał Piper, gdy mu tu zabiegając oznajmiono, że Karol XII wyjechał na spotkanie i Piper u siebie spocząć prosił.

Wysłano gońca, aby zawrócił Szweda i w nie-

spełna kwandrans tentent koni na zmarzłej ziemi oznajmił przybycie Karola. August pośpiesznie wybiegł naprzeciw niego na wschody, w których połowie spotkali się, po trzykroć sobie ręce podając, a ściskając i całując jak najserdeczniej. August nadzwyczaj czule, nadskakująco witał Karola, jakby do niego najmniejszego żalu nie miał. Szwed płacił równąż grzecznością, ale zimną i sztywną i przez cały czas pobytu gościa nie zmiękł i nie odtajał na chwilę.

Na wschodach rozpoczęły się już ceremonie, mające pewne znaczenie. August na ziemi własnej uważał się za gospodarza, chciał więc dać i pierwszy krok i prawą rękę Karolowi, ale Szwed ze swym olbrzymim mieczem także chciał gospodarować i przyjmował Augusta jak gościa.

Mruczeli oba czas jakiś, rękami sobie wskazując drogę, ale w końcu dyamenty saskie musiały posłuszne poprzedzać szwedzkie owo skromne ubóstwo.

Piper, na przyjęcie panów, kazał na komin parę polan drzew dorzucić.

Rozmowa, wydająca się zdala wesołą, poczęła się pono od Karolowych butów, których historyi słuchał August z żywem zajęciem, przeszła potem na zimę i mrozy, na podróż odbytą po grudzie z Warszawy, na najbłahsze przedmioty, aż do guzików miedzianych Szweda i jego koncerza.

Stali obok siebie w zagłębieniu okna, zwróceni twarzami, unikając wejrzeń długich i przebyli tak prawie godzinę całą. August się ciągle uśmiechał.

Szwed wkońcu porwał się, jakby zmęczony.

— Jedziemy do mnie—rzekł.

Na wschodach August musiał iść przodem.

Przed gankiem stał świeży koń przygotowany dla niego, którego dosiadł dzielnie, bo w tem celował, i puścili się, obok siebie jadąc do Altranstadtu. Tu ich czekano z obiadem, który u Karola nigdy godziny nie trwał.

Mieszkanie, które zajmował, było nadzwyczaj

szczupłe i skromne. W pierwszej izbie stał okrągły prosty stół, już nakryty i kilka drewnianych stołków. Tylko dla Augusta przygotowano miękkie krzesło. W drugiej widać było tapczan, zarzucony kołdrą sukienną, ze skórzaną poduszką, stolik w rogu do umywania, a na kołkach po ścianach trochę wcale niepozornej broni.

Podano jedzenie. Szwed był milczący, August ożywiony, wesół i zmagający się na to, aby pokryć znękanie i zakłopotanie. Wczesna noc zmusiła go tu nocować, ale nazajutrz rano wyrwał się po najserdeczniejszych uściskach do Lipska, rad, że mu tym razem nie kazano się kłaniać i ściskać z królem Leszczyńskim, bo to już było nad jego siły.

Ale pierwsze odwiedziny były tylko zapowiedzią następnych i wzajemnych, a Szwed upierał się przy tem, aby mieć raz u stołu swojego na spartańskiej swej polewce, dwu razem polskich królów.

Nierównie wprawniejszy do odgrywania roli, jaka mu się zdawała potrzebną, August te spotkania grzeczne z ciotecznym swym przebywał, jak zimną kąpiel, po której wzdrygnąwszy się, zapiwszy ją, był niemal dumny, iż ją tak bohaterskim przeniósł duchem. Karolowi, który do rąbania prawdy nawykł, udawanie przychodziło ze wstrętem i odrazą, a wśród niego wyrywały mu się poruszenia, które ohydę zdradzały.

August nie miał nawet tej pociechy, iż nadzwyczajną, heroiczną powolnością swą dla zwycięzcy coś zyskał. Żelazny Karol nie ustępował w niczem, kazał sobie wydać Patkula, żądał listu do Leszczyńskiego, oznajmującego mu o zrzeczeniu się korony i winszującego wstąpienia na tron.

Szwed musiał choć raz wizytą odpłacić za wszystkie te grzeczności. Wpadł wcale niespodzianie do Drezna, gdzie Fleming i Cosel chcieli zupełnie bezbronnego pochwycić i uwięzić, tak jak Schulenburg, który go porwać zamyślał.

August byłby może dopuścił się tego, ale nieprzyjaciela, który sam się mu oddawał, zdradzić — było ostateczną na siebie ściągnąć hańbę. Wolał go więc odprowadzić sam za miasto.

Z Leszczyńskim spotkał się August u Karola; było to nieuniknione, ale wymijali się tak, aby jeden drugiego nie widział, nie pozdrawiał i nie wymienił ani słowa. Tak samo w ulicach Lipska, czasu jarmarku się spotykając, August pochylał się na kark konia i pędził na oślep, żeby Karola nie pozdrowić przy ludziach i nie być zmuszonym mu się pokłonić.

Szwedzi, którzy natychmiast wyjść mieli, siedzieli tymczasem, rekrutowano na nowo, wypełniano w pułkach szczerby i wyciskano kontrybucye. Karol XII nie zsiadał z konia, prawie codzień oddziały wojsk swych lustrując, a August — wyprawiał fajerwerki, wydawał bale, polował w Moritzburgu, zaglądał do Lipska.

Przyjaciele jego, Fleming i Pflug, znużona szlachta saska, nie mogąc się doczekać końca, mruczała, że Szweda ubić gdzieś trzeba w zasadzce, aby raz się wyswobodzić.

— Ubić?... nie!... — mówił August. — Ale gdyby zjadł grzybów niezdrowych, albo się napił wody niedobrej i gdyby mu to zaszkodziło! ..

Tymczasem Karol mało co jadł, a jeszcze mniej pił i nic mu nie szkodziło. On i Leszczyński swobodnie siedzieli sobie w Altranstacie i Leśniku.

W Dreznie życie już szło dawnym trybem, przy muzyce i okrzykach.

Ks. Cieszyńska we wspaniałym swym pałacu otrzymanym w darze po Beichlingu, na ulicy Pirnajskiej coraz wytworniej się urządzała, a nikt jej nie przeszkadzał.

August wiedział o niej, nadto jednak był Coselą zajęty, aby nawet chwilowego w jej towarzystwie szukał roztargnienia.

W ulicy jadąc konno, król raz przesunął się

około drzwiczek jej powozu. Piękna Urszula pozdrowiła go żywo. Uśmiechnął się. Jechała do siebie.

W kwandrans później kazał się przynieść w lektyce.

— Jesteś tu, moja śliczna pani!—zawołał, kłamiąc wesoło, bo wiedział o niej dobrze.

— N. Panie, schroniłam się pod twe skrzydła opiekuńcze—odpowiedziała Urszula.

— Zrobiłaś, coś mogła najrozumniejszego uczynić — rzekł król. — Warszawa musi być okrutnie smutną.

— Jak cmentarz, N. Panie.

— Widujesz Aurorę?

— Prawie codzień.

August z galanteryą przysiadł się do niej na kanapce, wziął białą rączkę, pocałował, uśmiechnął się i począł namawiać, aby przyjechała na bal maskowy do Lipska, gdzie miał przyjmować ks. Wirtemberskiego i Hohenzollerna.

Ożywił się niezmiernie; mówiono potem o jakimś turnieju. Nie wspomniał ani o klęskach swych, ani o przeszłości... wstał i powrócił do Coseli.

Ks. Cieszyńska teraz już spokojną i pewną być mogła, że jej nic nie odbierze, ani tego wspaniałego pałacu, ani dóbr na Łużycach, ani księztwa. Mogła się cała oddać staraniu o wyjście za mąż.

W kwietniu po karnawale, Karol XII jeszcze u tego samego prostego stołu w niewielkiej izbie jadalnej w Altranstacie przyjmował odwiedziny lorda Marlborough, zaprosiwszy do tego samego stołu Augusta, który nie mógł się od bytności wymówić.

Było to już w kilka dni [1]) po tym sławnym liście, który August był zmuszony, z rozkazu Szweda, napisać do króla Stanisława i jeszcze upokorzenia

---

[1]) List Augusta do Leszczyńskiego z dnia 15 kwietnia 1707, a Marlborough w Altranstacie 26—29, t. miesiąca. *(P. A).*

nie przebolał, gdy mu na nowo pić z tego kielicha goryczy kazano.

Karol XII bawił się i igrał ze złapanym kuzynkiem, jak kot z myszką.

W wigilię odwiedzin lorda przybiegł konno do Leśnik, gdzie królestwo oboje bardzo skromny domek zajmowali.

Stosunki Leszczyńskiego z Karolem były szczególnego rodzaju. Dwa te charaktery i temperament różniły się od siebie, jak niebo od ziemi; ale w jednem łączyły zgodnie: Karol XII i król Stanisław zarówno stali niewzruszenie przy zasadach i przekonaniach, przy wierze swej w prawdy, na których, jak na osi obrotowej, życie zawisło. Stanisław był niezrównanej łagodności i dobroci, po chrześcijańsku przebaczający, bez żółci w sercu, bez najmniejszego zemsty pragnienia... Żaden wzgląd polityki, interesu, nie mógł go skłonić do surowości, do okrucieństwa, z jakiemi Karol występował namiętnie. Temperament i natura żołnierza w nim przeważały. Leszczyński, którego później nazwano „filozofem dobroczynnym", miał męztwo, ale rycerskiego ducha mu brakło.

Pomimo to surowy, szorstki Karol XII kochał w nim tę duszę czystą, tę prostotę i miłość prawdy, które stanowiły charakter jego właściwy.

W pojęciach obowiązków i środków działania, spierali się prawie codziennie z sobą. Leszczyński ulegał naostatek, ale w tych tylko sprawach, w których szło raczej o formę, niż o treść, gdyż przeciw swym zasadom, nawet przez powolność dla przyjaciela, który mu na skroń cierniową włożył koronę, postąpić nie chciał. Naówczas Karol spotykał w nim szlachetny opór, ze słowem serdecznem, ale nieprzełamanem.

Nie jeden raz, gdy się z sobą spierali, Leszczyńskiemu się z głębi duszy wyrywało:

— Źle postąpiłeś, królem mnie czyniąc; ja krwią moich współziomków korony okupywać nie chcę, raczej się jej zrzeknę. W takim stanie, w jakim dziś

się znajduje Rzeczpospolita, jeżeli jej zreformować nie zdołam, jeżeli praw nie zmienim i karności nie zaprowadzimy, ani ja na tronie, ani to królestwo przy życiu się nie utrzyma.

Karol XII milczeniem go zbywał i wróżył przyszłość dobrą. Pomimo miłości dla swego wybrańca, czasem narażał go nielitościwie na bardzo nieprzyjemne wrażenia. Tak naprzykład, obstawał dla dokuczenia Augustowi, dla upokorzenia go, aby zmusić ich do osobistego z sobą spotkania.

Po kilkakroć August z wielką zręcznością już zastawionych sideł uniknąć potrafił; przyjazd lorda Marlborough nastręczył jeszcze nową próbę.

W progu domku, w którym Leszczyński z żoną przyjmował przyjaciela, Karol mu rękę na ramieniu położywszy, zawołał despotycznie:

— Jutro musisz być u mnie na obiedzie... Marlborough przybywa...

Spojrzeli sobie w oczy i król Stanisław, myśl przeniknąwszy, odparł smutnie:

— Na co mnie i jemu chcesz uczynić przykrość? Ukłon jego nie sprawi mi przyjemności, a mój widok odbierze mu apetyt i pragnienie.

— O! pragnienia z pewnością nie! — odparł Szwed.—Wiem, że tobie to nie uczyni przyjemności, ale się nudzę i nie dosyć mu dokuczyłem. Musisz paść ofiarą. Kilka godzin przebyć z nim—starczą ci siły. Rachuję na twe przybycie, wymagam go.

Rozśmiał się wesoło.

— Przecież i ja się zabawić muszę, a nie mam ani Coseli, ani błaznów nadwornych, ani takich, jak August, Frölichów i Kyanów.

W ten sposób Leszczyński zmuszony został stawić się na obiad do Altranstadu. Przybył tu wcześniej tak, że nadjeżdżający, strojny i świecący od złota i dyamentów Saski pan, już go tu zastał. August więcej się domyślił i przeczuł tu tego przeciwnika, niżeli widział, bo oczyma tak umiejętnie manewro-

wał, ażeby się nie spotykały z łagodnem i smutnem, pełnem powagi wejrzeniem Leszczyńskiego.

Szczupły pokój, w którym oprócz trzech królów, lorda Pipera i kilku jeszcze z orszaku Szweda, nie było nikogo, wymagał nadzwyczajnej baczności, aby nie ocierali się jedni o drugich. Król August dał dowód gibkości, zręczności i przytomności umysłu niezwyczajnej, zawsze tak kierując sobą, ażeby ktoś go od Leszczyńskiego oddzielał.

Była to jakby gra na szachownicy, po której Karol XII pionków swych popychał, a Sas jak mógł i umiał, zamatowaniu się wykręcał. Oprócz pilności w każdem słowie i ruchu, musiał jeszcze nie okazywać po sobie ani zakłopotania, ani tego przymusu, jakiemu ulegał.

Bawiło to Szweda, a męczyło smutnego Leszczyńskiego, który przez cały prawie czas pobytu był zamyślony i milczący. Karol umyślnie go wciągnął w rozmowę, naówczas, gdy sądził, że August się też będzie musiał odezwać. Ale Sas naówczas nadzwyczaj zręcznie wynajdywał pretekst do zwrócenia się gdzieindziej i do kogo innego...

U stołu dwaj królowie, siedzieli po obu stronach Karola XII i to im nieco wypocząć dało...

August wyszedł z tego turnieju prawie zwycięzko; dał dowód obrotności, przytomności umysłu, chwilami czelności niepospolitej, lecz tych kilka godzin męczarni wewnętrznej tak go zmogły, doprowadziły do tego stopnia złości i rozdrażnienia, że na noc powróciwszy do Lipska do hotelu pod Jabłkiem, gdzie stawał zwykle, w pokojach swych sprzętów połowę połamał i powywracał, nim się potrafił uspokoić.

Nikt naówczas, gdy tak szalał, przystępować się nie ważył do niego, bo najmniejsze słowo można było życiem przypłacić. Niezmierna owa siła Augusta czyniła go niebezpiecznym; dosyć mu było popchnąć człowieka, jeżeli ściana stała blizko, aby się rozbił o nią. Nie jeden raz wynoszono tak z jego

mieszkania potłuczoną czeladź, która jęknąć nie śmiała, bo jęk go drażnił gorzej jeszcze.

Cudzoziemcy, wtajemniczeni w stosunki tych trzech królów, przypatrując się nielitościwemu pastwieniu się Karola XII nad Sasem, nie mieli wcale ochoty się uśmiechać, choć położenie mogło było śmiech wywołać. Czuć było w tem coś tragicznego zarazem. August, który każdego dnia inaczej, jak aktor występujący w teatrze, przebierał się w lamę złotą, srebrzystą, w guzy rubinowe i dyamenty, w peruki coraz misterniej fryzowane, grał swoję rolę do końca ze stereotypowym uśmiechem: który mówił:

„Nie zwyciężysz mnie, zniosę wszystko, ale wara gdy przyjdzie do odwetu"!

Ostatniego dnia, po pożegnaniu z lordem, wpadł August do swego apartamentu w Lipsku z Flemingiem razem, wołając:

— Nareszcie!

Dnia tego nie łamał już nic i rzucił się na krzesło z fajką, długiem milczeniem wytrzymując stojącego przed sobą Fleminga.

— Koniec już temu — dodał naostatek — nieco cierpliwości, a odwet musi nastąpić, na Karolu, na Leszczyńskim, na wszystkich, którzy mi się zadłużyli... Altranstacki traktat! — dodał — śmieję się z niego, byłem zmuszony... nóż na gardle miałem. Imhof i Pfingsten przekroczyli daną im instrukcyę, odpokutują za to...

— Uwięzieni są oba—rzekł Fleming,—ale ja...

— Ani ty, ani nikt w świecie niech się napróżno nie ujmuje za nimi—rzekł król pośpiesznie.— Czy są winni, czy nie, dla oczu ludzkich, dla sławy mojej muszą paść ofiarą. Powinienbym ich, jako dezerterów z pod Warszawy, na rynku w Dreznie kazać powiesić obu...

To mówiąc wstał. Fleming łagodnie zaczął go skłaniać do tego, aby o Polsce myśleć przestał i cały się Saksonii poświęcił. August spojrzał na niego

bystro i ramionami zżymnąwszy, odwrócił się od niego.

— Nie mów mi o tem—odezwał się.—Tymczasem car Piotr tam czuwa za mnie, a gdy się Karolowi XII noga powinie, w Polsce powinienem wszystko znaleźć w pogotowiu. Stosunki w Warszawie i Krakowie utrzymać potrzeba... z nikim nie zrywać, obiecywać, jeśli nie płacić. Cośmy z tobą, Fleming, rozpoczęli na opanowanie Rzeczypospolitej, na rozdzielenie jej z Piotrem i z...

Tu się wstrzymał nieco.

— Nie będę nikogo może więcej potrzebował, oprócz Piotra; Leszczyński nie jest wcale wojakiem, choć go wybrał Karol XII. Nadto wiele ofiar mnie Polska kosztowała, abym nie był zmuszony ich na niej poszukiwać. Mój syn powinien ją uzyskać, jako państwo dziedziczne. Cesarza sobie pozyskam!

Marzenia te we cztery oczy z dyskretnym przyjacielem rozpoczęte, wieczorem się zmieniły w ucztę, do białego dnia przeciągniętą.

Pobyt Karola w Saksonii, nad miarę i nad przyrzeczenia jego przeciągnięty, upozorowany był tem, że August wojsk, danych cesarzowi w pomoc do wojny nad Renem, wycofać nie mógł. Pobyt Szwedów w Saksonii trwał cały rok okrągły. Kosztował on dwadzieścia kilka milionów talarów najrozmaitszych kontrybucyi i dwadzieścia kilka tysięcy ludzi, gwałtem do wojska szwedzkiego wcielonych.

Szwedzi jeszcze nie byli opuścili zniszczonego kraju, gdy August cały się oddał ulubionym rozrywkom.

W jesieni uroczyście strzelano do... ptaka i królem kurkowym został Robinson, poseł angielski. Urodziny swe następnego roku obchodził król na jarmarku Wielkanocnym w Lipsku, z okazałością, z przepychem tem większym, iż niemi pokryć musiał swe pieniężne kłopoty.

Zabawiwszy się potem nad Renem wojną, a raczej obozowaniem wesołem—na karnawał musiał po-

wrócić do domu. Tu przygotowywał się przyjmować „magnific", piszą współczesne gazety, powracającego z Włoch króla duńskiego. Sam fajerwerk, mający wyobrażać oblężenie Ryssel we Flandryi, w którem August zdala jako świadek uczestniczył, kosztował przeszło dziesięć tysięcy talarów.

Wśród tych rozrywek, balów, odwiedzin książęcych, doczekał się August wiadomości o bitwie pod Połtawą.

Ósmego lipca rozegrał się ten dramat... krwawy, a w miesiąc potem drukował się już manifest Augusta i na czele jedenastu tysięcy wojska, jako król wskrzeszony wszedł do Polski.

Zaprosić go na tron przybyli znowu wierni mu Denhoff i biskup kujawski.

Walka z dobrodusznym, wspaniałomyślnym, a wcale nie chciwym panowania Leszczyńskim, któremu już Karol XII pomagać nie mógł, ledwie z życiem w kilkaset koni uszedłszy, walka przewrotności nieograniczonej niczem — z prawością i łagodnością, nie mogła być wątpliwą w skutkach. Silne poparcie cara Piotra zresztą, zapewniło Augustowi odzyskanie tronu.

Dnia ósmego sierpnia przywiózł Fleming manifest drukowany do narodu, głoszący przebaczenie powszechne i poszanowanie praw Rzeczypospolitej— już w łóżku leżącemu, rozmarzonemu toastami królowi.

Twarz jego rozogniona, dumna, zwycięzka, uśmiechnęła się wdzięcznie przychodzącemu.

— Nie byłem-że prorokiem?—zawołał, zwracając się do przyjaciela.—Nie wierzyłeś mi, gdym przepowiadał odwet, gdym zapewniał, że powrócę na ten tron, który od dziś mam za swój dziedziczny... Pracuj teraz, abyś mi do tego dopomógł... mamy ludzi oddanych, znamy ich... wiemy, czem do nich trafić i czem korrumpować... Prusak, Duński król, car Piotr i ja... nie byłożby nas dosyć na stworzenie tu takich stosunków, jakich potrzebujemy? Garść szlachty

w obronie swych praw i przywilejów niedorzecznych miałażby nam stanąć na zawadzie? Fleming, co ty na to?

Wierny druh się zadumał, ale na jego twarzy, która nigdy nic z siebie nie dawała wyczytać— i tym razem nie widać było ani zbytniego przejęcia się świetną przepowiednią, ani wielkiej w nią wiary.

Poruszył ramionami tylko.

— Wiesz — rzekł po chwili milczenia — że we mnie masz wiernego sługę. Co się tyczy tych, na których rachujesz w Polsce...

Uśmiechnął się Fleming.

— Ja nikomu z nich nie ufam.

— Ani ja też — dodał król — i właśnie dlatego nie są nam straszni, że wiemy, jak ich cenić mamy.

. . . . . .

Tak się rozpoczęło owe powtórne panowanie Augusta II, które było niczem innem, tylko walką ciągłą z zasadniczemi prawami Rzeczypospolitej.

Wymijano je, nie śmiąc łamać, łamano, ilekroć upozorować się to dało, a ostatecznie synowi król pozostawił w spuściźnie najstraszniejszą anarchię, coś nakształt domu, w którym stary naruszywszy porządek nowego zaprowadzić nie umiano.

Losy pięknej Urszuli wkrótce potem rozstrzygnęły się dosyć szczęśliwie. Zabrała ona znajomość z księciem Wirtembergskim i uspokoiła Cosel, która się jej obawiała zawsze, wychodząc za niego za mąż. Dom jej naówczas zarówno z salonami pani Przebędowskiej, stał się ogniskiem polskich i saskich intryg, zabiegów i robót pokątnych. Ks. Cieszyńska lękała się i nie lubiła Fleminga; wszyscy ci, co jej

wstręt i obawę dzielili, zbiegli się tutaj do jednej gromadki... Panowie senatorowie polscy codzień się prawie schodzili na wieczerzę i pogadankę...

Król August, nie okazując szczególnej czułości dla dawnej kochanki, lubił ją i miał pewne względy. Cosel nie prześladowała, przestawszy się jej obawiać.

Ze wszystkich Aryadn opuszczonych, Urszula okazała się najzręczniejszą w zapewnieniu sobie przyszłości świetnej i niepodlegającej kaprysom losu. W Dreznie z jej wpływem i znaczeniem liczyć się musieli nawet najmocniej stojący na dworze; dom był w stolicy najwykwintniej po pańsku urządzony. Pomimo przepychu, licznego dworu, wydatków znacznych—pani Urszula dokupywała jeszcze dobra. Naostatek piękność jej oryginalna, pomimo wieku, dosyć się długo utrzymywała i czyniła ją w towarzystwie kobiet zawsze wdzięcznem zjawiskiem. W Polsce wszakże imię księżnej Cieszyńskiej zupełnie zostało wkrótce zapomnianem i obcem.

Ze śmiercią Prymasa Radziejowskiego, świetne nadzieje Towiańskich, którzy już skoligaciwszy się z Lubomirskiemi, sięgali po wielką buławę—spełzły marnie i rodzina ta, nie dobiwszy się znaczenia w Rzeczypospolitej, zniknęła i została zapomnianą...

Lat niemal dziesiątek upłynął.

Przyznać tu trzeba Augustowi II, że jako władzca zostawiwszy po sobie najprzykrzejsze wspomnienia w Polsce i Saksonii—tak, że nikt po nim w chwili zgonu nie bolał, jako miłośnik sztuki, jako budowniczy, jako zwolennik teatru, kunsztów przemysłowych i wszystkich rękodzieł, do przepychu posługujących, wiekopomną zasługę w Saksonii sobie zjednał.

Drezno do niepoznania przebudowane zostało,

rozszerzone, upiększone *à la Louis XIV*... Malarstwo, budownictwo, muzyka zakwitły. Cała kolonia włoska osiadła około zamku. Pałace nad Elbą, wille, zamki—powznosiły się, jak różczką czarodziejską wywołane... Pochłonęło to miliony, ale chwilowo wspaniałością dworu postawiło Saksonię na czele państewek, składających rzeszę niemiecką ówczesną.

Prawda, że w tej chwili, gdy August II zbierał tak zapalczywie chińską i japońską porcelanę, że za nią dawał najpiękniejszych swych grenadyerów, król pruski tak usilnie zwiększał i wprawiał swą armię, iż bez żalu pozbywał się dla niej ogromnych wanien porcelanowych i—porcelana dziś stoi w zbiorach pyłem okryta, a Saksonia zdrobniała do rozmiarów mikroskopowych.

Lecz było to za panowania jednej z ostatnich kochanek Augusta II, pani Denhoff, z domu Bielińskiej... W przedpokoju króla zawsze jeszcze i to coraz zuchwalej rządził się Constantini. Nie urósł on ani tytułami, ani urzędem, ale wpływem na króla, dotąd niezachwianym, zdumiewał wszystkich.

Miano go już za nieśmiertelnego, gdy dnia jednego rozeszła się wieść po zamkowej ulicy, że Constantiniego zawieziono do Königsteinu.

Nikt temu wierzyć nie chciał w początkach, lecz wszyscy dworscy, którzy go nie lubili, uśmiechali się tryumfująco, tajemniczo kładli palec na ustach i potwierdzali niesłychaną tę wieść, niezrozumiałą dla ogółu.

Nie można się było dziwić temu, że Włoch uzuchwalony długą służbą, poszedł tam na pokutę, gdzie siedział kanclerz Beichling, Jabłonowski, Sobiescy i tylu innych! lub, że August poświęcił w chwili rozdrażnienia małego człowieka, gdy tylu znakomitych i zasłużonych nie wahał się strącić i więzić!

Pytano się tylko ze zdumieniem, co gniew królewski po wielu latach tak wiernej służby wywołać mogło?

Nie wiedział nikt, ale rumieniła się i mięszała,

słuchając o tem, płocha i dziecinna Denhoffowa, a wkrótce potem dowiedziały się od niej przyjaciółki i doszło to do nieprzyjaznych, iż się poskarżyła królowi:—Mazotin, podpiwszy, śmiał się do niej zalecać!!

Na zamkowej ulicy pod Rybami, gdzie w miejscu Witkego, zupełnie nieczynnego i czytającego biblię po dniach całych, rządził jakiś jego krewny, stojącemu w zadumie u bramy Zacharyaszowi przyszedł ktoś szepnąć do ucha.

— Wiesz? długo dzban wodę nosił, aż się ucho urwało. Constantini siedzi na Königsteinie!

Witkie obojętnie to przyjął, co go ten szkaradny koczot obchodził? Nazajutrz jednak wziął kij z kąta i pieszo wyciągnął za miasto, prostym gościńcem do tej przesławnej naówczas twierdzy, która uchodziła za niezdobytą, a dziś jest tylko zabytkiem, którego by nikt bronić nie próbował.

Zacharyasz miewał teraz często fantazye takie; nie bywało go w domu po kilka dni i tygodni.

Na Königstein się dostać w owe czasy nie było łatwo, ale dowódzcą twierdzy był dawny znajomy pułkownik, który sławił wina Witkego i często do komórki na nie przychodził. Kupiec się zameldował do niego.

Właśnie gromadkę swej załogi musztrował w podwórzu na górze, a był, lub udawał, że zły okrutnie.

Zmiękł jednak, zobaczywszy Witkego, nad którym się litowali wszyscy, utrzymując, że mu się po śmierci matki w głowie pomięszało.

— A ty biedaku co tu robisz?—spytał go von Planitz.

— Ja? — odparł Witke. — Spełniam obowiązek chrześcijański, chcę więźnia nawiedzić, choć nie wart jest może litości.

— Więźnia? — zawołał zdumiony pułkownik — kogo?

— Wszak Mazotin tu siedzi?

Planitz się rozśmiał.

— Dobrze mu tak—nadto już sobie pozwalał. Chcesz go pocieszać?

— Chcę go nakłonić, aby pokutował za grzechy—rzekł surowo Witke.

— Każę cię zaprowadzić—odparł pułkownik—znajdziesz go pewnie grającego w karty z którym z moich gości...

To mówiąc, Planitz skinął i inwalidowi kazał przeprowadzić Witkego...

Przez ciemne, sklepione korytarze po wschodach ciasnych, wdrapał się na drugie pięterko bastyonu narożnego...

Klucznik otworzył drzwi i wpuścił Witkego do niewielkiej izby.

Constantini drzemał nad stołem, przed nim stały kubki i flaszki, a karty porozrzucane walały się na podłodze i między naczyniem...

Przebudzony, zobaczywszy nagle przed sobą Witkego, krzyknął zdumiony i uradowany... Chciał go ściskać, ale niemiec się cofnął aż do drzwi:

— A co?—zawołał—a co? Jam ci tylko przyszedł przypomnieć i powiedzieć, że kara boża nie mija złoczyńców... Gdybyś tu zgnił—jeszcze by mało było za te dusze, któreś pogubił...

Mówiąc to, Zacharyasz stuknął kijem, popatrzał, potrząsnął głową, zawrócił się i dał klucznikowi znać, aby go nazad prowadził...

KONIEC.